

IRWIN SHAW

POGODA DLA BOGACZY

Tom II

T. Książnica Katowice

Na dysk przepisał Franciszek Kwiatkowski

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ I

Ranek był przyjemny, tyle że w kotlinie Los Angeles leżała mgła, jak cienka zupa o metalicznym połysku. Gretchen - bosa i w nocnej koszuli - prześliznęła się pomiędzy zasłonami i przez otwarte drzwi balkonowe wyszła na taras. Z wierzchołka wzgórza spojrzała w dół na zamglone, lecz oświetlone słońcem miasto, na odległe morze.

Głęboko odetchnęła powietrzem wrześniowego ranka, które pachniało wilgotną trawą i rozwijającymi się kwiatami. Z miasta nie dobiegały żadne odgłosy, a poranną ciszę zakłócało jedynie pokrzykiwanie stadka przepiórek żerujących na trawniku.

Lepiej tu niż w Nowym Jorku, pomyślała setny raz. Znacznie lepiej niż w Nowym Jorku.

Chętnie napiłaby się kawy, ale było zbyt wcześnie na podniesienie z łóżka służącej Doris, a gdyby poszła do kuchni i sama spróbowała naparzyć kawę, szum wody z kranu i pobrzękiwanie metalowymi przyborami obudziłyby Doris, więc dziewczyna pojawiłaby się uprzejma, rzecz jasna, lecz niezadowolona z pozbawienia jej snu należnego według umowy. Nie chciała również budzić Billy'ego - zwłaszcza przed dniem, jaki chłopiec miał przed sobą. No a zupełnie nie wchodziło w rachubę niepokojenie Colina, którego zostawiła śpiącego smacznie w wielkim łożu. Leżał na wznak z mocno skrzyżowanymi na piersi rękami i marszczył się tak, jak gdyby we śnie oglądał przedstawienie, które nie mogło mu się podobać w żadnym razie.

Gretchen uśmiechnęła się na wspomnienie Colina śpiącego w pozie waźniaka. Mówiła mu nieraz o tym i o innych jego sennych pozach - wesołej, zalęknionej, pornograficznej, zgorzzonej. Obudziła ją cienka smuga światła przenikająca między zasłonami w oknie i Gretchen odczuła pokusę, by dotknąć męża, rozprostować te jego mocno skrzyżowane ręce. Ale Colin nigdy nie chciał się kochać z rana. Poranki są odpowiednie do morderstw, powiadał. Przywykł do nowojorskich godzin teatralnych, więc nie cierpiał wczesnych zajęć w studio i jak przyznawał otwarcie, do południa bywa zawsze wściekły.

Gretchen wyszła przed dom. Z zadowoleniem człapała bosymi stopami po mokrej

od rosy murawie. Nocna koszula z przezroczystego batystu powiewała wokół jej ciała. Nie mieli żadnych sąsiadów, a prawdopodobieństwo, by o tej porze mógł przejeżdżać samochód, było rzeczywiście znikome. Zresztą w Kalifornii nikt nie dbał, jak ubierają się inni. Gretchen często opalała się nago w ogrodzie i po długim lecie skórę miała ciemnobrązową. Dawniej, na Wschodzie, starannie unikała słońca. Ale tu ktoś nieopalony budzi podejrzenie, że jest chory albo zbyt ubogi, by pozwolić sobie na urlop.

Na podjeździe leżała poranna gazeta złożona i ściśnięta gumową taśmą. Gretchen rozpostarła ją i wędrując wolno wokół domu, przebiegała wzrokiem nagłówki. Na pierwszej stronie były zdjęcia Nixona i Kennedy'ego, którzy chętnie obiecywali wszystko wszystkim. Zastanowiła się, czy jest to słuszne i moralne, by ktoś tak młody i przystojny jak John Fitzgerald Kennedy ubiegał się o prezydencką godność. Colin nazywał go „czarusiem”, lecz sam Colin był codziennie czarowany przez aktorów, co niemal z reguły oddziaływało nań negatywnie.

Gretchen przypomniała sobie, że musi zgłosić się po karty uprawniające do głosowania poza miejscem zamieszkania. Obydwoje z Colinem mieli być w listopadzie w Nowym Jorku, a chodzi przecież o każdy cenny głos przeciwko Nixonowi. Pomyślała o tym, chociaż obecnie, kiedy przestała pisywać do czasopism, polityka niewiele ją interesowała. Okres MacCarthy'ego rozwiął jej złudzenia na temat osobistej uczciwości i alarmów podnoszonych publicznie.

Miłość do Colina, którego zapatrywania polityczne były, wyrażając się najłagodniej, kapryśne, skłoniła Gretchen do porzucenia swojej dawnej postawy wraz z dawnymi przyjaciółmi. Socjalista pozbawiony nadziei, nihilista, zwolennik równości podatkowej, monarchista - tak mawiał o sobie Colin przy różnych okazjach i zależnie od tego, z kim się spierał - lecz ostatecznie głosował zawsze na demokratów. Obydwoje trzymali się z dala od namiętnej działalności politycznej filmowego światka. Nie brali udziału w fetowaniu kandydatów na różne stanowiska, w podpisywaniu petycji, w bankietach wydawanych na takie czy inne cele. Prawdę mówiąc, nie bywali prawie nigdzie. Colin nie lubił pić dużo, a pijackie, niedorzeczne rozmowy prowadzone zazwyczaj na zebraniach towarzyskich w Hollywood uważał za zupełnie nieznośne. Nie

flirtował nigdy, więc nie miały dlań uroku bataliony pięknych pań skorych zawsze do usług wobec mężczyzn bogatych lub sławnych. Po niezorganizowanych, pełnych wybryków latach z pierwszym mężem Gretchen przyjmowała radośnie spokojne dni i spokojne noce w domu.

Niechęć do - jak się wyrażał - „publicznych występów” nie zaszkodziła karierze Colina. „Tylko beztalencia muszą brać udział w hollywoodzkich rozgrywkach” - mawiał. On zasygnalizował talent swoim pierwszym filmem, potwierdził drugim, obecnie zaś, gdy jego trzecie dzieło było w ostatnim stadium montażu, znalazł się w gronie najbardziej uzdolnionych reżyserów swojego pokolenia.

Niepowodzenie spotkało go tylko raz, gdy ukończywszy swój pierwszy film pojechał do Nowego Jorku i wystawił tam sztukę, która zeszła z afisza po zaledwie ośmiu przedstawieniach. Wówczas zniknął na trzy tygodnie, a gdy pojawił się wreszcie, był posępny, milczący i mógł wrócić do pracy dopiero po upływie kilku miesięcy. Nie przywykł do niepowodzeń, więc cierpiał i Gretchen cierpiała z nim razem, chociaż uprzedzała go z góry, że jej zdaniem sztuka nie nadaje się jeszcze na scenę. W każdym razie Colin prosił ją zawsze o opinię na temat wszystkich aspektów swojej pracy i żądał absolutnej szczerości, do czego Gretchen się stosowała. Obecnie niepokoiła ją sekwencja z nowego filmu Colina, którą poprzedniego wieczoru oglądali w studio podczas próbnej projekcji przed ostatecznym montażem. Widzieli ją tylko Colin, ona oraz Sam Corey, montażysta. Gretchen czuła, że coś tam jest nie w porządku, lecz nie umiała wytłumaczyć z sensem, co i dlaczego. Po zakończeniu projekcji nic nie powiedziała, lecz była pewna, że mąż poruszy tę kwestię przy śniadaniu. Kiedy wróciła do sypialni, gdzie Colin leżał nadal w swojej „pozie ważniaka”, usiłowała przypomnieć sobie tę sekwencję, kadr po kadrze, aby mieć porządek w głowie, gdy przyjdzie do rozmowy.

Spojrzała na stojący na szafce nocnej zegar i zobaczyła, że jest jeszcze za wcześnie, by budzić Colina. Włożyła szlafrok i przeszła do bawialni. Na stojącym w rogu pokoju biurku piętrzyły się książki, maszynopisy, wycinki z prasy literackiej - amerykańskiej i angielskiej. W niedużym domu nie można było znaleźć innego miejsca na te nie malejące nigdy stosy papieru, które obydwójce atakowali systematycznie, aby

wyławiać takie czy inne pomysły do filmów.

Gretchen wzięła z biurka okulary i usiadła, aby do końca przejrzeć poranną gazetę. Były to szkła Colina, lecz pasowały nieźle, więc nie wróciła do sypialni po własne. Niedośkonalskość winna czasami wystarczać.

W rubryce teatralnej była recenzja nowej sztuki dopiero co wystawionej w Nowym Jorku, pełna zachwytów dla młodego aktora, o którym dotąd nikt nic nie słyszał. Gretchen zrobiła notatkę, aby zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku zamówić bilety na tę sztukę dla siebie i męża. Z lokalnego repertuaru kin dowiedziała się, że pod koniec tygodnia ma być wznowiony pierwszy film Colina.

Starannie wydarła ten repertuar, aby pokazać go mężowi, który dzięki temu powinien być przy śniadaniu mniej wściekły.

Spojrzała na stronę poświęconą sportowi, żeby zobaczyć, jakie konie biegają tego dnia w Hollywood Park. Colin uwielbiał wyścigi i był zapamiętałym hazardzistą, więc na torze bywali tak często, jak tylko czas im pozwalał. Ostatnim razem wygrał tak dużo, że mógł jej kupić śliczną broszkę w kształcie gałązki. Dzisiejszy program nie wróżył nic z biżuterii, więc Gretchen odkładała już gazetę, gdy zauważyła fotografię dwu walczących bokserów. Do diabła! - pomyślała. Znowu on! Przeczytała podpis pod zdjęciem: „Henry Quayles i jego partner sparringowy Tommy Jordach trenują w Las Vegas przed meczem w wadze półśredniej, który odbędzie się w przyszłym tygodniu.”

Nie widziała brata i nie słyszała o nim od tamtego wieczora w Nowym Jorku, i prawie nic nie wiedziała o boksie. Ale orientowała się o tyle, by zdawać sobie sprawę, że Tom musiał zjechać w dół od czasu zwycięskiej walki w Queens, skoro pracuje jako czyjś partner sparringowy. Starannie złożyła gazetę pełna nadziei, że Colin nie zauważy tej fotografii. O Tomie powiedziała mu tak, jak mówiła o wszystkim, lecz nie chciała, by Colin zainteresował się nim, zechciał go poznać albo zobaczyć na ringu.

Było już słyhać, że coś się zaczyna dziać w kuchni, więc Gretchen poszła do pokoju syna, żeby go zbudzić. Billy siedział w pidżamie na łóżku. Nogi miał skrzyżowane pod sobą i bezgłośnie przebierał palcami po strunach gitary. Jasnoblond włosy, poważne, myślące oczy, różowa cera, nos zbyt duży w porównaniu z nie ukształtowaną jeszcze

twarzą, cienka, długa szyja dorastającego chłopca, długie nogi. Skupiony, bez uśmiechu. Kochany.

Na krześle stała jego walizka otwarta i spakowana. Schludnie spakowana. Billy mimo swoich rodziców - lub może właśnie dzięki rodzicom - miał zamiłowanie do porządku.

Pocałowała go w czoło. Nie zareagował. Ani niechęci, ani miłości.

Uderzył ostatni akord.

- Gotów jesteś? - zapytała.

- Aha.

Rozpostarł długie nogi, zsunął się z łóżka. Bluzę pidżamy miał rozpiętą. Smukły, szczupły tors, żebra łatwe do przeliczenia pod skórą koloru kalifornijskiego lata, która świadczyła o dniach spędzanych na plaży, kąpielach w morzu, dziewczętach i chłopcach wylegujących się razem na gorącym piasku, o soli i gitarach.

Gretchen sądziła, że chłopiec jest jeszcze niewinny, ale nie było o tym mowy między nimi.

- Gotowa jesteś? - zapytał on z kolei.

- Walizy spakowane. Trzeba je tylko pozamykać.

Billy odczuwał niemal patologiczny lęk przed spóźnieniem się do szkoły, na pociąg czy samolot, na przyjęcie. Gretchen musiała się nauczyć przesadnej punktualności w przypadkach, które jego tyczyły.

- Co chciałbyś na śniadanie? - podjęła z myślą, aby go uraczyć.

- Sok pomarańczowy.

- Nic więcej?

- Wolę nie jeść. W samolocie robi mi się niedobrze.

- Przed odlotem zażyj dramaminę. Pamiętaj.

- Aha.

Zrzucił bluzę pidżamy i poszedł do łazienki, by umyć zęby. Od czasu gdy zamieszkała u Colina, Billy przestał pokazywać się jej nago - nagle i z całym uporem. Przyczyna była dwojaka. Gretchen zdawała sobie sprawę, że chłopiec podziwia Colina,

ale wiedziała również, że ją podziwia mniej niż uprzednio, dlatego że przed ślubem żyła z Colinem. Takie bywają konwenanse dzieciństwa - bezkompromisowe i bolesne.

Gretchen weszła do sypialni, żeby obudzić Colina. Rzucił się niespokojnie i mamrotał przez sen:

- Krew. Wszędzie krew.

Wojna? Taśma z celuloide? Trudno odgadnąć, jeżeli chodzi o reżysera filmowego.

Obudziła go pocałunkiem w ucho. Teraz leżał bez ruchu, spoglądał w sufit.

- Diabli nadali! - powiedział. - Przecież to noc głęboka.

Pocałowała go znowu.

- Dobrze! - burknął. - Niech będzie ranek. - Rozczochrał jej włosy.

Gretchen żałowała, że najpierw poszła do syna. Może jakiegoś rana - w narodowe lub religijne święto - Colin zdecydowałby się raz na akt miłosny? Może właśnie w to rano? Cóż, nie skoordynowany rytm pożądań.

Stęknął, spróbował się dźwignąć, opadł znowu i wyciągnął rękę.

- Pomóż biednemu starcowi - westchnął. - Wyciągnij go z otchłani.

Ujęła jego rękę i pociągnęła. Colin usiadł na łóżku, zaczął przecierać oczy wierzchem dłoni, jak gdyby czuł wstręt do dziennego światła.

- Słuchaj no! - Dał spokój przecieraniu oczów i spojrzał na nią podejrzliwie. - Wczoraj wieczorem na projekcji coś w przedostatniej rolce wydało ci się diablo kiepskie, prawda?

Nie zaczął nawet do śniadania, pomyślała Gretchen i powiedziała:

- Przecież nic nie mówiłam.

- Nie musiałaś nic mówić. Wystarczyło, że sapałaś.

- Nie bądź aż tak pewien własnej intuicji - odrzekła, aby zyskać na czasie. -

Szczególnie teraz, zanim zdążyłeś napić się kawy.

- Mów! Śmiało.

- Niech będzie. Coś mi się tam nie podobało, ale nie wiedziałam, co i dlaczego.

- A teraz?

- Teraz chyba wiem.

- Co to było?

- Widzisz, sekwencja, w której on dostaje wiadomość i jest przekonany, że to jego wina...

- To jedna z kluczowych scen filmu - przerwał jej niecierpliwie.

- Każesz swojemu bohaterowi chodzić po całym domu, patrzeć na własne odbicie w lustrach. W jednym lustrze po drugim! W łazience, w długim lustrze na drzwiach szafy w ścianie, trochę zmętniałym w bawialni, powiększającym do golenia. Każesz mu nawet oglądać własną sylwetkę odbijającą się w kałuży przed gankiem.

- To całkiem prosty pomysł! - Colin był podniecony, usposobiony defensywnie. - Facet próbuje zgłębić samego siebie... Dobrze.

Wyraźmy to po staroświecku! On patrzy w głąb swojej duszy, w rozmaitym oświetleniu, pod rozmaitymi kątami widzenia. Chce dokonać odkrycia. I co? Na czym polega tu błąd twoim zdaniem?

- Dwa błędy - powiedziała spokojnie.

Teraz była pewna, że problem rozgryzała podświadomie od wyjścia z sali projekcyjnej - w łóżku przed zaśnięciem, na tarasie, gdy spoglądała w stronę zamglonego miasta, w bawialni podczas przeglądania gazety.

- Dwa błędy - powtórzyła. - Pierwszy to tempo. Do tej sekwencji wszystko dzieje się szybko, taki jest styl całego obrazu. A tutaj nagle, jak gdyby po to, by uświadomić widza, że nadszedł Wielki Moment (przez duże „W” i duże „M”), zwalniasz do istic żółwiego kroku. To zbyt widoczne.

- Zbyt widoczne! - warknął. - Taki już jestem. Zresztą o to mi chodziło.

- Jeżeli chcesz się złościć, umilknę - powiedziała.

- Już się złoszczę, ale nie milknij. Wspomniałaś o dwu błędach.

Jaki jest drugi?

- Dajesz te wszystkie wielkie zbliżenia jego twarzy, aby pokazać, jak mi się zdaje, że on przeżywa męki, wahania, niepewność.

- Cholerny świat! Przynajmniej to zrozumiałaś!

- Chcesz, abym mówiła dalej, czy wstaniesz i pójdziemy na śniadanie?

- Następna pani, z którą się ożenię, nie będzie taka diablo inteligentna. Dobrze!
Mów dalej.

- A zatem tobie wolno sądzić, że pokazujesz jego męki, wahania, niepewność. Jemu też wolno sądzić, że pokazuje swoje męki, wahania, niepewność. A wiesz, jak ja to odebrałam? Przystojny młody facet przegląda się w lustrach i rozważa, w jakim oświetleniu jego oczy prezentują się najkorzystniej.

- Gówno prawda! - wybuchnął. - Okropna z ciebie zgaga! Nad tą sekwencją pracowaliśmy cztery dni.

- Na twoim miejscu wycięłabym ją od początku do końca.

- Kiedy zaczniemy kręcić następny film - powiedział - ty będziesz działać w studio, a ja zostanę w domu i zajmę się kuchnią.

- Pytałeś mnie o zdanie - westchnęła.

- Nigdy nic się nie nauczę! - Zeskoczył z łóżka. - Za pięć minut będę gotów do śniadania.

Ruszył w stronę łazienki. Sypiał zawsze bez bluzy pidżamy, więc prześcieradła odcisnęły na jego szczupłych plecach różowe wałki, jak gdyby ślady po chłóście odbieranej we śnie. Przy drzwiach odwrócił się i powiedział:

- Wszystkie inne panie, które znałem, myślały, że to, co ja robię, jest zawsze wspaniałe. I akurat musiałem ożenić się z tobą.

- Mówiły - poprawiła Gretchen z czarującym uśmiechem. - Czy tak myślały, nie wiesz.

Podeszła doń i Colin ją pocałował.

- Będzie mi brakowało ciebie - szepnął. - Piekielnie! - Odsunął się od niej raptownie. - Teraz idź. Dopilnuj, żeby kawa była naprawdę czarna.

Przy goleniu podśpiewywał, co było objawem wesołości, niezwykłym o tak wczesnej porze. Gretchen zdawała sobie sprawę, że i jego martwiła tamta sekwencja, że doznał ulgi, gdy - jak mu się zdawało - zrozumiał, co jest tam nie w porządku. Przewidywała, że tego dnia w pokoju montażowym Colin zadecyduje z całą satysfakcją o zmarnowaniu czterech dni pracy, które kosztowały wytwórnię czterdzieści tysięcy

dolarów.

Do portu lotniczego przyjechali wcześniej i Billy pozbył się zatroskanej miny, gdy zobaczył, że walizy jego i matki zniknęły za ladą ekspedycji bagażowej. Był ubrany do podróży w garnitur z szarego tweedu i różową koszulę z niebieskim krawatem. Włosy miał starannie uczesane, a młodzieńcze pryszcze nie szpeciły jego twarzy. Gretchen pomyślała, że jest urodziwy i wygląda znacznie bardziej dorośle, nie na swoje czternaście lat. Był już jej wzrostu i wyższy niż Colin, który przywiózł ich samochodem do portu lotniczego, obecnie zaś po mistrzowsku ukrywał zniecierpliwienie, gdyż chciał wrócić jak najprędzej do studio do swojej pracy. Po drodze Gretchen musiała panować nad sobą, bo sposób prowadzenia wozu przez Colina mocno ją denerwował. Jej zdaniem była to jego najslabsza strona - jedyna słaba strona.

Czasami włókł się wolno zamyślony, a później nagle stawał się zapamiętałym wyścigowcem i przeklinał innych kierowców, gdy wyprzedzał ich lub nie pozwalał się wyprzedzić. Jeżeli nie mogła zapanować nad sobą i zwracała mu uwagę w ryzykownych sytuacjach, warczał gniewnie: „Nie bądźże typowo amerykańską żoną!” Oczywiście sądził, że jest znakomitym kierowcą. W rozmowach z Gretchen podkreślał często, że nigdy nie spowodował wypadku, chociaż kilkakrotnie był notowany za przekraczanie szybkości, co nie trafiło do jego rejestru policyjnego dzięki staraniom agentów wytwórni - tych wymownych i sceptycznych zawsze dżentelmenów.

Gdy do ekspedycji podeszli inni pasażerowie ze swoim bagażem, Colin powiedział:

- Mamy moc czasu. Chodźmy na kawę.

Gretchen wiedziała, że Billy wolałby zostać przy wejściu na lotnisko, by jako pierwszy znaleźć się na pokładzie samolotu.

- Wiesz co, Colin - powiedziała. - Nie musisz czekać. Pożegnania w ostatniej chwili to taka nuda i...

- Chodźmy na kawę - przerwał. - Niezupełnie się jeszcze obudziłem.

Przez hall ruszyli w stronę restauracji. Gretchen szła pomiędzy mężem a synem,

świadoma ich urody i własnej, zadowolona, że cała ich trójka zwraca ku sobie spojrzenia. Pycha, pomyślała, najmilszy z siedmiu grzechów głównych.

W restauracji ona i Colin zamówili kawę, a Billy coca-colę, którą popił stosowną dawkę dramaminy.

- Do osiemnastego roku życia rzygałem w autobusach - odezwał się Colin spoglądając na chłopca, który połykał pastylki. - Później miałem pierwszą dziewczynę i przestałem rzygać.

Billy zmierzył go przelotnym, karcącym spojrzeniem. Colin miał zwyczaj mówić przy nim tak samo jak w towarzystwie dorosłych.

Gretchen zastanawiała się nieraz, czy to rozumna metoda. Nie wiedziała, czy chłopiec kocha ojczyzna, toleruje go tylko, czy też nienawidzi. Billy nie kwapił się do udzielania informacji o stanie swoich uczuć. Natomiast Colin nie podejmował chyba starań o pozyskanie chłopca. Czasami był dla niego szorstki, czasami interesował się nim żywo, pomagał mu w odrabianiu zadań szkolnych.

Raz bywał ożywiony i uroczy, raz jakiś dziwnie odległy. Colin nie robił ustępstw na rzecz widowni, ale - jak sądziła Gretchen - to, co jest godne podziwu w pracy reżysera, nie musi być korzystne w stosunkach z dzieckiem matki, która porzuciła jego ojca dla kapryśnego i niełatwego w pożyciu kochanka. Z mężem miewała oczywiście sprzeczki, ale powodem ich nie był nigdy Billy i Colin płacił za edukację chłopca, ponieważ Willie Abbott popadł w tarapaty i na taki wydatek nie mógłby sobie pozwolić. Colin zakazał Gretchen mówić, skąd pochodzą pieniądze, lecz była pewna, że Billy i tak domyśla się prawdy.

- Kiedy byłem w twoim wieku - mówił Colin - ja też zostałem wyprawiony do internatu. Przez pierwszy tydzień płakałem. Przez pierwszy rok nienawidziłem szkoły. W drugim zacząłem ją znosić. W trzecim redagowałem gazetkę szkolną, doświadczałem pierwszych rozkoszy autorytetu i władzy i chociaż nie przyznałbym się do tego nawet przed samym sobą, polubiłem szkołę. Przyszedł ostatni rok i płakałem znowu na myśl o pożegnaniu.

- Ja z chęcią jadę - powiedział Billy.

- Świetnie. To dobra szkoła, jeżeli w obecnych czasach jakąkolwiek szkołę można nazwać rzeczywiście dobrą. Ale nawet z najgorszej wyjdiesz z umiejętnością napisania prostego zdania w formie oznajmującej i w języku angielskim. Masz. - Podał chłopcu kopertę.

- Weź to i za nic nie powiedz matce, co znalazłeś w środku.

- Dziękuję. - Billy schował kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki, spojrzął na zegarek. - Chyba już lepiej chodźmy - dodał.

Znów ramię w ramię ruszyli we troje ku wejściu na lotnisko. Billy niósł swoją gitarę. Gretchen zaniepokoiła się nagle, jak ten instrument przyjmie szkoła - stara, szacowna, prezbiteriańska szkoła w Nowej Anglii. Zapewne bez szczególnego zdziwienia. Do tej pory tamtejsi ludzie winni przywyknąć do rozmaitych obyczajów czternastoletnich chłopców.

Kiedy znaleźli się u wejścia, samolot zaczynał właśnie przyjmować ładunek.

- Idź pierwszy na pokład, Billy - powiedziała Gretchen. - Ja chcę pożegnać się z Colinem.

Colin podał rękę pasierbowi.

- Jeżeli będzie ci czegoś potrzeba, zwróć się do mnie. Pamiętaj.

Gretchen pilnie obserwowała jego twarz, gdy mówił tak do jej syna.

Ostre, subtelne rysy wyrażały prawdziwą troskę i tkliwość. Groźne czasami oczy pod krzaczastymi, czarnymi brwiami były łagodne, kochające. Nie omyliłam się, pomyślała. Stanowczo nie omyliłam.

Billy uśmiechnął się poważnie i rozpoczął niełatwą podróż od ojca do ojca. Swoją gitarę niósł tak, jak piechur na patrolu karabin.

- Wszystko z nim będzie dobrze - podjął Colin, gdy chłopiec znalazł się na pasie startowym, gdzie czekał wielki odrzutowiec.

- Mam nadzieję - powiedziała Gretchen. - W kopercie dałeś mu pieniądze, prawda?

- Marnych parę dolarów - odrzekł beztrąsko. - W charakterze zderzaka albo środka uśmierzającego bóle. Rozumiesz? Zdarzają się chwile, kiedy chłopiec nie

potrafiłby wytrzymać edukacji bez cocktailu mlecznego lub ostatniego numeru „Playboya”. Willie będzie czekał w Idlewild?

- Tak.

- Razem odwieziecie małego do szkoły?

- Tak.

- Chyba masz rację. Podczas takiej ceremonii rodzice winni występować parami. - Odwrócił wzrok, popatrzał na pasażerów zmierzających w stronę samolotu. - Ile razy widzę ogłoszenie z fotografią uśmiechniętych radośnie pasażerów, którzy po schodkach wspinają się do samolotu, uprzytamniam sobie, w jak załganym żyjemy społeczeństwie. Nikt nie bywa radosny przed podróżą powietrzną. Masz zamiar przespać się dzisiaj z byłym mężem?

- Colin!

- Znam panie, które to robiły. Rozwód, widzisz, to potężny afrodyzjak.

- Bodaj cię licho - zawołała Gretchen i ruszyła w stronę wejścia na lotnisko.

Zatrzymał ją mocnym uchwycem za ramię.

- Wybacz - powiedział. - Straszny człowiek ze mnie. Posępny.

Niebezpieczny dla samego siebie. Pełen zwątpienia. Nie wierzący w szczęście. - Uśmiechnął się smutno, błagalnie. - O jedno proszę.

Nie rozmawiaj o mnie z byłym mężem.

- Nie będę - obiecała.

Ma się rozumieć, zdążyła mu już wybaczyć i teraz stała przed nim bardzo blisko. Pocałował ją delikatnie. Przez głośniki po raz ostatni zapowiadano odlot.

- Za dwa tygodnie zobaczymy się w Nowym Jorku - powiedział Colin. - Nie baw się tam zanadto, póki ja nie przyjadę.

- Spokojna głowa.

Musnęła wargami policzek męża, a on odwrócił się i jak zawsze odmaszerował w sposób, który z reguły zmuszał Gretchen do dyskretnych uśmiechów - takim krokiem, jak gdyby zmierzał na groźne spotkanie, z którego postanowił wyjść zwycięsko.

Przez krótką chwilę spoglądała jego śladem. Później minęła bramkę prowadzącą

na lotnisko.

Mimo dramaminy Billy zwymiotował, gdy samolot podchodził do lądowania na Idlewild. Załatwił to schludnie i wstydliwie do przeznaczonej na ten cel torebki, lecz pot wystąpił mu na czoło, a ramiona drżały mocno. Gretchen uderzyła go po karku, chociaż wiedziała, że to nie pomoże, a dolegliwość nie jest poważna.

W każdym razie cierpiała, że w podobnych momentach jest bezradna i nie potrafi stanąć pomiędzy synem a jego cierpieniem. Oto jedna z nielogiczności macierzyńskich uczuć. Wreszcie Billy przestał wymiotować i porządnie zamknąwszy torbę, ruszył przejściem pomiędzy fotelami w kierunku toalety, aby się tam pozbyć torby i wypłukać usta. Wrócił bardzo blady. Ma się rozumieć otarł pot z twarzy i sprawiał wrażenie opanowanego, kiedy jednak zasiadł znów obok Gretchen, powiedział z rozgoryczeniem: - Do licha! Straszny ze mnie jeszcze smarkacz.

Willie - w okularach przeciwsłonecznych - stał wśród niewielkiej grupy oczekującej pasażerów z Los Angeles. Dzień był szary i słotny, więc Gretchen wiedziała, zanim nawet podeszła wystarczająco blisko, by się z nim przywitać, że Willie pił poprzedniej nocy, a ciemne szkła miały zamaskować przed byłą żoną i synem nieomyłne świadectwo przekrwionych oczu. Mógłby być trzeźwy, pomyślała, chociaż przez jeden wieczór przed spotkaniem z synem którego nie widział od miesiący. Ale poskromiła rozdrażnienie. Przyjazna, pełna powagi postawa obowiązuje rozwiedzionych małżonków w obecności potomstwa. To nieodzowna obłuda przebrzmiałej miłości.

Billy zobaczył ojca i pobiegł doń, wyprzedziwszy rząd opuszczających samolot pasażerów. Objął go i pocałował w policzek.

Gretchen celowo szła wolniej, aby im nie przeszkadzać. Razem ojciec i syn zwracali uwagę podobieństwem. Co prawda Billy był wyższy i przystojniejszy, niż Willie mógł być kiedykolwiek, ale ich związki krwi nie nastęrczały wątpliwości. Gretchen raz jeszcze odczuła żal i gorycz, że jej wkład w genetyczny rozwój dziecka był absolutnie niewidoczny.

Kiedy Gretchen podeszła do nich wreszcie, Willie uśmiechał się szeroko (może

głupkowato?) z powodu demonstracji synowskich uczuć.

- Witam cię, kochanie - powiedział do Gretchen obejmując ramiona Billy'ego, później przysunął się i delikatnie pocałował ją w policzek.

Dwa bardzo podobne pocałunki w ciągu tego samego dnia - na dwu przeciwległych krańcach kontynentu - pożegnalny i powitalny.

Willie zachowywał się bez zarzutu w trakcie sprawy rozwodowej i w stosunkach z synem, więc Gretchen nie mogła mieć mu za złe zwrotu „kochanie” ani też smutnego pocałunku. Nie powiedziała nic na temat okularów przeciwsłonecznych lub niezawodnego zapachu alkoholu w jego oddechu. Willie był ubrany starannie odpowiednio skromnie dla kogoś, kto ma przedstawić syna dyrektorowi renomowanej szkoły w Nowej Anglii. Gretchen pomyślała że powstrzyma go jakoś od picia po drodze, kiedy nazajutrz będą jechali do szkoły.

Siedziała sama w małym saloniku hotelowego apartamentu. Za oknami jaśniały światła nowojorskiego wieczoru, pomruk wielkiego miasta - znany i podniecający - dobiegał z ulic. Niemądrze spodziewała się, że Billy będzie nocował u niej. Ale w wynajętym samochodzie, który prowadził z Idlewild do śródmieścia, Willie zwrócił się do syna:

- Nie masz chyba nic przeciwko spaniu na kanapie, prawda? Mam tylko jeden pokój, ale jest tam kanapa. Co prawda ma pękniętych parę sprężyn, myślę jednak, że w twoim wieku będziesz na niej spał doskonale.

- Wyborny pomysł - odpowiedział Billy, a ton jego głosu nie mógł budzić żadnych wątpliwości.

Nawet nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć pytająco na matkę. A gdyby tak postąpił, co ona mogłaby powiedzieć?

Willie zrobił ironiczną minę, kiedy zapytał Gretchen, gdzie się zatrzymuje, ona zaś wymieniła „Algonquin”.

- Colin lubi ten hotel - przeszła do ofensywy. - Jest położony blisko dzielnicy teatralnej, więc Colin oszczędza dużo czasu, bo na próby i do różnych agencji może chodzić pieszo.

Kiedy Willie zatrzymał wóz przed „Algonquin”, bąknął nie patrząc na nią ani na Billy'ego:

- Kiedyś w barze tego hotelu postawiłem butelkę szampana jednej dziewczynie.
- Proszę cię, zatelefonuj do mnie z rana - powiedziała Gretchen. - Jak tylko się obudzisz. W szkole powinniśmy być przed lunchem.

Billy zajmował miejsce obok kierowcy, kiedy więc wyszła na chodnik i tragarz hotelowy zabrał jej walizy, nie mogła pożegnać chłopca pocałunkiem, lecz gestem ręki odprawiła go na obiad w towarzystwie ojca i nocleg na zniszczonej kanapie w ojcowskim pokoju.

W recepcji hotelowej była wiadomość dla niej. Z Los Angeles zadepeszerowała do Rudolfa, że przyjeżdża do Nowego Jorku i prosi, aby razem zjedli obiad. Wiadomość pochodziła od Rudolfa. Nie mógł spotkać się z nią tego wieczoru, lecz obiecywał, że zatelefonuje z rana.

W swoim apartamencie Gretchen rozpakowała walizy, wzięła kąpiel i jęła zastanawiać się nad wyborem stroju. W rezultacie narzuciła tylko szlafrok, gdyż nie miała pojęcia, co robić z wieczorem. Nie chciała odezwać się do nikogo, bo ludzie, których znała w Nowym Jorku, byli przyjaciółmi Willie'ego albo jej eks-kochankami, albo osobami, osobami spotkanymi przelotnie, kiedy przed trzema laty była tu z Colinem, podczas przygotowań do wystawienia owej katastrofalnej sztuki. Odczuwała gwałtowną potrzebę alkoholu, ale nie mogła przecież zajść do baru i tam upić się samotnie. Ten podły Rudolf, myślała obserwując przez okno ruch na Czterdziestej Czwartej Ulicy, nawet na jeden wieczór nie może oderwać się od swoich zyskownych zajęć, żeby poświęcić go siostrze! W czasie ostatnich lat Rudolf dwa razy przyjeżdżał do Los Angeles w jakichś swoich sprawach handlowych. Wtedy pilotowała go w każdej jego wolnej minucie. Zobaczy, jak to będzie, kiedy się znów zjawi! - myślała. I na niego będzie czekała wiadomość w hotelowej recepcji.

Miała pokusę, by zadzwonić do byłego męża. Mogła przecież udać, że chce zapytać, jak Billy czuje się po niedyspozycji w samolocie, a może Willie zaproponowałby wtedy obiad we troje. Podeszła nawet do aparatu, ale kiedy sięgnęła po słuchawkę,

opanowała się w porę.

Niewieście sztuczki trzeba ograniczyć do absolutnego minimum. Jej syn zasługuje chyba na bodaj jeden miły, spokojny wieczór z ojcem - nie pod obserwacją zazdrosnych oczu matki.

Zaczęła się snuć tam i z powrotem po małym, staroświeckim saloniku. Jakże była szczęśliwa, kiedy przyjechała tu niegdyś, jak szeroko otwarty, gościnny wydał się jej Nowy Jork! Młodą, ubogą, osamotnioną powitał życzliwie, więc swobodnie, bez lęków wędrowała jego ulicami. Obecnie - mądrzejsza, starsza, bogatsza - czuła się więźniem w hotelowym pokoju. Mąż o trzy tysiące mil i syn o kilka ulic hamowali w sposób niewidoczny jej swobodę zachowania.

Oczywiście mogła zejść na dół, zjeść obiad w hotelowej restauracji. Byłaby jeszcze jedną samotną kobietą, która siedzi przy małym stoliku nad opróżnioną do połowy butelką wina, stara się nie słyszeć rozmów innych biesiadników, a wreszcie, podchmielona lekko, mówi do obserwującego ją kelnera za dużo i zbyt wesoło. Do licha! Jakże nudno czasami być kobietą!

Poszła do pokoju sypialnego i sięgnęła po swoją najbardziej prostą suknię - czarny model, który kosztował za drogo i jak wiedziała, bardzo nie podobał się Colinowi. Beztriosko potraktowała makijaż, ledwie poprawiła włosy i była już przy drzwiach, kiedy zadzwonił telefon.

Zawróciła prawie biegiem. Jeżeli to Willie, pomyślała, pójdę na obiad z nimi, niech się dzieje, co chce.

Ale to nie był Willie. Telefonował Johnny Heath.

- Dzień dobry - rozpoczął. - Rudolf mówił mi, że będziesz tutaj, a ponieważ akurat przechodziłem, przyszło mi na myśl, że warto popробować szczęścia.

Łgarz, pomyślała, nikt akurat nie przechodzi tędy trzy kwadransy na dziewiątą wieczorem.

- Ach, Johnny! - odpowiedziała radośnie. - Jaka to miła niespodzianka.

- Jestem w hallu - ciągnął Johnny, a w jego głosie dźwięczały echa tamtych lat. - Jeżeli więc nie jesteś po obiedzie...

- Widzisz - odrzekła jak gdyby opornie, gardząc sobą z powodu wykrętów. - Nie jestem ubrana i miałam właśnie zamówić obiad do pokoju. Jestem zmęczona po locie, a jutro muszę wstać bardzo wcześnie, no i...

- Będę w barze - przerwał jej i odłożył słuchawkę.

Gładki zadufany skurwysyn z Wall Street, pomyślała. Później wróciła do pokoju sypialnego i zmieniła suknię. Ale kazała mu czekać w barze przez pełnych dwadzieścia minut.

- Rudolf był niepokieszony, że nie mógł dziś przyjechać i zobaczyć się z tobą - mówił Johnny Heath przy restauracyjnym stoliku.

- Akurat! - powiedziała Gretchen.

- Naprawdę. Słowo daję. Przez telefon było słycać, że jest rzeczywiście zgnębiony. Specjalnie dzwonił do mnie z prośbą, abym zastąpił go, wytłumaczył ci, czemu...

- Poproszę o trochę wina - przerwała mu Gretchen.

Johnny skinął na kelnera, który niezwłocznie napełnił jej kieliszek. Obiad jedli w małej francuskiej restauracji w dzielnicy ulic opatrzonych pięćdziesiątymi numerami. Było tam prawie pusto.

Dyskrecja, myślała Gretchen. Dobre miejsca na obiad w towarzystwie mężatek, z którymi niegdyś się romansowało. Johnny dysponuje zapewne długą listą podobnych lokali. „Nowojorski przewodnik po ustronnych restauracjach”. Wydać taką książkę, a z pewnością okazałaby się bestsellerem. Szef sali uśmiechnął się ciepło, kiedy weszli, a następnie umieścił ich przy stoliku w rogu, gdzie nikt nie mógłby podsłuchać ich rozmowy.

- Gdyby mógł to urządzić jakoś - ciągnął z uporem Johnny, doskonały pośrednik w przypadkach krótkich spięć pomiędzy przyjaciółmi, nieprzyjaciółmi, kochankami, krewniakami - przyjechałby z pewnością. Jest do ciebie bardzo przywiązany - ciągnął Johnny, który nigdy nie był bardzo przywiązany do nikogo.

- Podziwia cię bardziej niż wszystkie inne kobiety, które spotykał kiedykolwiek. Sam mi to mówił.

- Czy wy, chłopcy, nie macie lepszych tematów pogawędek w długie zimowe wieczory?

Pociągnęła łyk z kieliszka. Mimo wszystko zyskała coś dobrego tego wieczoru. Butelkę przyzwoitego wina. Może nawet zaleje się trochę.

Tyle że koniecznie musi wyspać się przed jutrzejszą ciężką próbą.

Zastanawiała się, czy Willie i jej syn też jedzą obiad w dyskretnym lokalu. Czy ukrywa się również dzieci z poprzednich małżeństw?

- Jestem głęboko przekonany - mówił dalej Johnny - że głównie z twojej winy Rudi nie ożenił się dotąd. Podziwia cię i nie spotkał kobiety, która odpowiadałaby jego wysokiemu mniemaniu o tobie, i...

- Podziwia mnie tak bardzo - przerwała - że po blisko roku niewidzenia, nie wygospodarował wolnego wieczoru, aby się ze mną spotkać.

- W przyszłym tygodniu otwiera nowy ośrodek handlowy w Port Philip. Największy jak dotychczas. Nie pisał ci o tym?

- Pisał - przyznała. - Ale nie zwróciłam uwagi na datę.

- Jest milion spraw do załatwienia w ostatniej chwili - ciągnął Johnny. - Biedak pracuje po dwadzieścia godzin na dobę. Naprawdę nie mógł. To była fizyczna niemożliwość. Wiesz, jaki jest Rudi, kiedy bierze się do roboty.

- Wiem. Obecnie praca, reszta życia później. Ma tęgiego fioła.

- A twój mąż, Burke? - zapytał Johnny. - Czy on nie pracuje? Nie wątpię, że cię też podziwia, ale nie zauważyłem jakoś, by znalazł czas na przyjazd z tobą do Nowego Jorku.

- Będzie tu za dwa tygodnie - odpowiedziała. - A zresztą to zupełnie inny rodzaj pracy.

- Aha. Rozumiem. Produkowanie filmów to czynność uświęcona, więc zaniedbywanie kobiety dla takiego celu uszlachetniają niewątpliwie. No a prowadzenie wielkiego przedsiębiorstwa to brud i paskudztwo, więc mężczyzna powinien rzucić wszystko i pognać do Nowego Jorku, aby swoją samotną, czystą, uszlachetnioną siostrę spotkać w porcie lotniczym, i zafundować jej obiad.

- Nie bronisz Rudolfa - powiedziała. - Bronisz samego siebie.

- Nas obydwu - podchwycił. - Rudolfa i siebie. A zresztą nie odczuwam potrzeby, by bronić kogokolwiek. Jeżeli artysta chce wierzyć, że jest jedyną godną uwagi istotą zabląkaną wśród nowoczesnej cywilizacji, to jego sprawa. Ale wymaganie, aby taki jak ja marny, splamiony pieniędzmi filister zgadzał się z takim poglądem, to czysty idiotyzm. To niezły sposób na dziewczyny i dzięki niemu wielu niedopieczonych malarzy i niedoszłych Tolstojów trafiło do całkiem przyjemnych łóżek. Ale ze mną takie coś nie zagra. Trzymam zakład, że gdybym pracował na poddaszu w Greenwich Village, nie w klimatyzowanym biurze przy Wall Street, wyszłabyś za mnie znacznie wcześniej, niż Colin Burke pojawił się na horyzoncie.

- Prorokuj dalej, braciszku, a tymczasem nalej mi wina. - Gretchen podsunęła mu kieliszek.

Napełnił jej kieliszek prawie do rąbka i gestem ręki dał znać kelnerowi, że prosi o drugą butelkę. Przez chwilę siedział bez ruchu, chmurny i zamyślony. Jego gwałtowny wybuch zdziwił Gretchen, gdyż wcale nie pasował do kogoś takiego pokroju. Nawet gdy byli kochankami, Johnny wydawał jej się zawsze chłodny, wyrachowany, a w łózkowych sprawach doskonały, jak we wszystkim, czego się podejmował. Obecnie jednak wyglądało na to, że ostatnie resztki grubiaństwa - fizycznego i umysłowego - zostały z niego zestrugane. Johnny przypominał oszlifowany starannie, ogromny, krągły kamień, wytworny oręż, amunicję właściwą dla zdobywców.

- Dureń był ze mnie - powiedział teraz półgłosem bez wyraźnego tonu. - W swoim czasie należało poprosić cię o rękę.

- Wtedy byłam zamężna. Pamiętasz?

- Byłaś także zamężna, kiedy trafił ci się Colin Burke. Pamiętasz?

Wzruszyła ramionami.

- Działo się to w innym roku i chodziło o innego mężczyznę.

- Widziałem niektóre jego filmy - podjął Johnny. - Są całkiem dobre.

- Są znacznie więcej niż całkiem dobre.

- Dla zakochanych oczu - powiedział Johnny siląc się na uśmiech.

- Do czego właściwie zmierzasz, Johnny?

- Ja? Do niczego. Cholerny świat! Chyba dlatego zachowuję się po świńsku, że tylko czas marnuję. Postępowanie niegodne mężczyzny.

Ale już się poprawiam i poczynam zadawać uprzejme pytania miłemu gościowi, byłej żonie jednego z moich najserdeczniejszych przyjaciół. Domyślam się, że jesteś szczęśliwa?

- Nawet bardzo.

- Dobra odpowiedź. Wyjątkowo dobra. Zaniedbywana długo dama znalazła zadośćuczynienie w małżeństwie z niskim, ale nad wyraz czynnym artystą srebrnego ekranu.

- Dalej zachowujesz się po świńsku. Chcesz, to wstanę zaraz i odejdę.

- Zaraz podadzą deser. - Dotknął jej ręki; palce miał gładkie, krągłe, mięsiste, dłoń bardzo miękką... - Nie odchodź. Mam jeszcze parę pytań. Powiedz mi, co dziewczyna twojego pokroju, absolutnie nowojorska, tak gorliwie zajęta własnym życiem, co taka dziewczyna może robić dzień po dniu w tamtym cholernym mieście?

- Większość czasu spędzam dziękując Bogu za to, że już nie jestem w Nowym Jorku.

- A resztę? Nie opowiadaj mi, że po prostu przesiadujesz w domu, którego jesteś panią, czekasz, aż tata wróci ze studio i powtórzy ci to, co Sam Goldwyn mówił podczas lunchu.

- Jeżeli musisz wiedzieć, to bardzo mało przesiaduję w domu, którego jestem panią, jak się wyraziłeś. Biorę udział w życiu człowieka, którego podziwiam i mogę mu pomagać. To znacznie lepsze niż w Nowym Jorku być osobą pewną siebie i zarozumiałą, puszczając się w sekrecie, drukować to i owo w czasopiśmie i żyć z facetem, którego trzy razy na tydzień trzeba wyciągać z dna butelki.

- Aha... Nowa kobieca rewolucja - powiedział Johnny. - Kościół dzieci, kuchnia. Do diabła! Jesteś ostatnią kobietą, którą posądzałbym...

- Daruj sobie kościół - podchwyciła - a będziesz miał dokładny obraz mojego życia. Kapujesz? - Wstała od stolika. - A ja daruję sobie deser. Niscy, ale nad wyraz

czynni artyści srebrnego ekranu lubią kobiety szczupłe.

- Gretchen! - zawołał jej śladem, gdy szła w stronę wyjścia.

Jego głos zabrzmiał nutą naiwnego zdziwienia. Oto zaszło coś, co nie przytrafiło mu się nigdy dotąd, było nie do pojęcia w świecie obwarowanym prawidłami gier, jakie Johnny Heath zwykł prowadzić.

Gretchen nie obejrzała się i opuściła lokal tak raptownie, że żaden z restauracyjnych fagasów nie zdążył otworzyć przed nią drzwi.

Szybko szła w stronę Piątej Alei, później stopniowo zwalniała kroku, w miarę jak jej gniew łagodniał. Była głupia, zadecydowała, że zirytowała się aż tak bardzo. Czemu przejmować się tym, co Johnny Heath myśli o jej obecnym życiu? Facet udaje, że odpowiadają mu tak zwane kobiety wolne, ponieważ z nimi może postępować zależnie od swojej chęci. Odprawiła go z kwitkiem, więc usiłował odplacić jej to na swój sposób. Czy Johnny wie, jakie znaczenie ma prosty fakt, że ona budzi się i widzi Colina, który śpi obok? Ona związana jest ze swoim mężem, a Colin związany jest z nią i obydwójgu lepiej z tym, weselej. W jakież brednie na temat wolności ludzie przyzwyczaili się wierzyć!

W hotelu pośpieszyła do swojego pokoju, natychmiast sięgnęła po słuchawkę i telefonistce podała swój numer w Beverly Hills. W Kalifornii była ósma, więc Colin winien już wrócić do domu.

Musiała usłyszeć jego głos, chociaż Colin nie znosił rozmów telefonicznych i bywał wtedy cierpki i opryskliwy nawet jeżeli ona doń dzwoniła. Ale nie otrzymała odpowiedzi, a gdy zatelefonowała do studio i poprosiła o połączenie z pokojem montażowym, dowiedziała się, że pan Burke już wyszedł.

Powoli odłożyła słuchawkę i przeszła się po pokoju. Następnie usiadła przy biurku, rozłożyła arkusik papieru i zaczęła pisać:

Colin, mój kochany! Telefonowałam, ale nie było cię w domu i nie było cię w studio, i jestem smutna, i ktoś, kto był moim kochankiem, mówił rzeczy nieprawdziwe, które mnie zirytowały, i w Nowym Jorku jest strasznie gorąco, i Billy kocha swojego ojca znacznie więcej niż mnie, i jestem strasznie nieszczęśliwa bez Ciebie, i myślę, że

powinieneś być w domu, więc przychodzą mi do głowy niegodne podejrzenia. Teraz zejdę do baru i kropnę jednego albo dwa, albo trzy i jeżeli ktoś będzie mnie chciał poderwać, wezwę policję, i nie mam pojęcia, jak przeżyję te dwa tygodnie, zanim zobaczę Ciebie, i mam nadzieję, że o tej sekwencji z lustrami nie mówiłam jak zarozumiała i pewna siebie osoba, co to wie wszystko, a jeżeli tak, to wybaczyć, i obiecuję, że nie zmienię się nie poprawię ani nie będę trzymać języka za zębami pod warunkiem, że ty nie poprawisz się, nie zmienisz ani nie będziesz trzymać języka za zębami, i kiedy odwoziłeś nas na lotnisko miałeś wystrzępiony kołnierzyk, a więc okropna ze mnie pani domu, pani w Twoim domu, co jest najlepszym w świecie zajęciem, i jeżeli nie będzie Cię w mieszkaniu, gdy zatelefonuję następnym razem, jeden Bóg wie, jaką obmyślę zemstę. Zawsze Cię kochająca G.”

Nie czytając listu włożyła go do koperty lotniczej i zeszła do hallu, gdzie kupiła znaczki, i kopertę wrzuciła do skrzynki, a zatem dzięki papierowi i atramentowi, dzięki samolotowi odbywającemu nocną podróż została połączona z ośrodkiem swojego życia odległym o trzy tysiące mil, o cały pograżony w ciemnościach olbrzymi kontynent.

Wstąpiła do baru, gdzie nikt nie usiłował jej poderwać, więc nie rozmawiając z bufetowym, wypła dwie whisky. Później wróciła do swojego apartamentu, rozebrała się i położyła.

Nazajutrz rano obudziło ją dzwonienie telefonu.

- Za pół godziny przyjedziemy po ciebie - powiedział Willie. - Już jesteśmy po śniadaniu.

Były mąż i były lotnik Willie prowadził wóz szybko i dobrze.

Zbliżając się do szkoły patrzyli na niewielkie, urocze wzgórze Nowej Anglii gdzie liście zaczynały przybierać pierwsze jesienne barwy. Willie był znowu w ciemnych okularach, ale tym razem dla ochrony przed słonecznym blaskiem, nie z powodu pijaństwa. Jego dłonie spoczywały na kole kierownicy spokojnie i pewnie, a w brzmieniu głosu nie wyczuwało się śladów przebałaganionej nocy.

Musieli zatrzymać się dwukrotnie, ponieważ Billy dostawał mdłości również w

samochodzie, ale nie licząc tych drobiazgów, podróż była zupełnie przyjemna. Oto w słoneczny dzień września przystojna i niestara amerykańska rodzina w dobrych warunkach materialnych przemierza nowym, lśniącym wozem jeden z najbardziej obfitych w zieleń krajobrazów Ameryki.

Zabudowania szkolne były przeważnie w stylu kolonialnym, z czerwonej cegły ozdobione tu i ówdzie białymi kolumnami portyków.

Na rozległych terenach znajdowało się również kilka luźno stojących starych domów z drewna, w których mieściły się sypialnie. Wszystko to otaczały liczne stare drzewa i piękne boiska sportowe.

- Cóż, Billy zapisujesz się do sztywnego klubu wiejskiego - powiedział Willie, gdy zajeżdżali przed główny budynek.

Zaparkowali wóz i po kilku stopniach weszli do przestronnego hallu zatłoczonego rodzicami i tłumem chłopców. Uśmiechnięta pani w średnim wieku siedziała za biurkiem i rejestrowała nowych uczniów.

Ich powitała uściśnieniem dłoni, powiedziała, że bardzo jej miło i że mamy dziś piękną pogodę, wręczyła Billy'emu kolorowy znaczek do klapy marynarki, a następnie zawołała: „Dawid Crawford”, zwracając się do gromadki starszych chłopców ze znaczkami innych kolorów w klapach marynarek. Wysoki osiemnastolatek w okularach podszedł żywo do biurka. Dama w średnim wieku dokonała ogólnej prezentacji.

- Williamie - powiedziała do Billy'ego - to jest Dawid, który zajmie się tobą. Jeżeli napotkasz jakieś problemy dzisiaj lub kiedykolwiek w ciągu roku szkolnego, zwracaj się do Dawida i jemu zwracaj głowę.

- W porządku, Williamie - podchwycił Crawford głębokim głosem ucznia ostatniej klasy, pełnym powagi i poczucia odpowiedzialności. - Jestem na twoje usługi. Gdzie masz rzeczy? Chcę zaprowadzić cię do twojego pokoju.

- William - szepnęła Gretchen spiesząc za dwoma chłopcami w asyście byłego męża. - W pierwszej chwili nie zdawałam sobie sprawy, do kogo zwraca się ta pani.

- To dobry znak - powiedział Willie. - Kiedy ja poszedłem do szkoły, wszyscy mówili wszystkim po nazwisku. Przygotowywano nas do wojska.

Crawford uparcie niósł walizę podopiecznego i wszyscy czworo przeszli w głąb terenów szkolnych do trzypiętrowego budynku z czerwonej cegły, który bez wątplenia musiał być wzniesiony o wiele później niż inne.

- To Sillitoe Hall - powiedział Crawford. - Ty, Williamie, będziesz mieszkał na trzecim piętrze.

Tuż za drzwiami wejściowymi znajdowała się w przedsiönku tablica informująca, że ta budowla przeznaczona na sypialnie stanowi dar Roberta Sillitoe, którego syn, porucznik Robert Sillitoe jr., absolwent z roku 1938, poległ na polu chwały w służbie ojczyzny dnia 6 sierpnia 1944 roku.

Gretchen zrobiło się przykro na widok tej tablicy, wnet jednak nabrała serca, bo gdy za Crawfordem i synem wspinała się na schody, z wielu pokoiów dobiegał śpiew młodych męskich głosów albo jazz z płyt i wszystko wokół było pełne życia.

Pokój przydzielony Billy'emu był niewielki, a znajdowały się w nim dwa tapczany, dwa małe biurka, dwie szafy. Wysłaną uprzednio walizę z rzeczami Billy'ego zobaczyli obok jednego z tapczanów, druga, opatrzona wizytówką „Fournier”, stała w pobliżu okna.

- Twój współlokator już przybył - powiedział Crawford. - Zdażyłeś się z nim poznać?

- Nie... Jeszcze nie.

Billy był wyjątkowo nieśmiały - bardziej niż zwykle - a Gretchen zapragnęła gorąco, aby ten Fournier nie okazał się chuliganem ani pederastą, ani palaczem marihuany. Nagle poczuła się bezradna. Oto życie wymyka się jej z rąk.

- Spotkacie się przy lunchu - podjął Crawford. - Za kilka minut usłyszysz dzwonki. - Uśmiechnął się poważnie do Gretchen i jej byłego męża. - Naturalnie wszyscy rodzice są również zaproszeni, pani Abbott.

Gretchen dostrzegła błagalne spojrzenie syna, które zdawało się mówić wyraźnie: „Nie teraz. Proszę!” Wobec tego powstrzymała się od sprostowania. Billy będzie miał wiele czasu na wyjaśnienia, że jego ojciec nazywa się Abbott, lecz matka nosi nazwisko Burke.

- Dziękuję, Dawidzie - bąknęła Gretchen głosem, który zabrzmiał niepewnie nawet

w jej uszach; spojrzała na byłego męża i zobaczyła, że przecząco kręci głową. - Takie zaproszenie to ładny gest ze strony szkoły.

Crawford wskazał ruchem ręki nie zasłany tapczan.

- Zalecałbym trzy koce, Williamie - podjął. - Noce bywają teraz piekielnie zimne, a ogrzewanie jest spartańskie. Nasi opiekunowie wyobrażają sobie, że chłód wpływa korzystnie na kształtowanie charakterów.

- Jeszcze dziś wyślę ci koce z Nowego Jorku - obiecała Gretchen i spojrzała znów na byłego męża - a w kwestii lunchu...

- Chyba nie jesteś głodna, moja miła? podchwycił żywo.

Jego głos brzmiał nutą prośby, i Gretchen zrozumiała doskonale, że ostatnie, czego Willie mógłby sobie życzyć, to lunch w szkolnej jadalni, absolutnie pozbawiony widoków na coś do wypicia.

Ulitowała się nad nim.

- Nie. Skąd znowu - powiedziała.

- Zresztą muszę być w Nowym Jorku przed czwartą... Mam spotkanie, którego nie mogę... - Jego głos przycichnął nieprzekonywająco.

W tym momencie odezwały się dzwonki.

- O, mamy lunch - powiedział Crawford. - Drzwi jadalni są akurat za biurkiem, przy którym zarejestrowałaś się, Williamie. I pamiętaj, jestem na twoje usługi. A teraz, jeżeli państwo wybaczą, pójdę umyć ręce.

Prosty i po dżentelmeńsku swobodny, w ładnym blezerze i biało-brązowych butach - prawdziwa reklama trzech lat spędzonych w szkole - wyszedł na korytarz rozbrzmiewający nadal donośną muzyką rozmaitych patefonów.

- Cóż - odezwała się Gretchen. - Ten Crawford sprawia wrażenie wyjątkowo sympatycznego chłopca. Prawda, Billy?

- Poczekał, zobaczę, jaki będzie bez waszego towarzystwa. Wtedy ci powiem.

- Myślę, Billy, że musisz już iść na lunch - zabrał głos Willie.

Gretchen nie wątpiła, że biedak marzy o pierwszym tego dnia łyku.

Podczas jazdy był niezwykle grzeczny; nie proponował postoju w żadnym z

przydrożnych barów i ogólnie biorąc zachowywał się jako ojciec bez zarzutu. Rzetelnie zarobił na coś do wypicia.

- Odprowadzimy cię do jadalni - powiedziała Gretchen.

Na płacz jej się zbierało, lecz oczywiście nie mogła sobie pozwolić na łzy w obecności syna. Rozejrzała się dokoła.

- Kiedy ty i twój współlokator ozdobicie go trochę - podjęła - ten pokój powinien wyglądać całkiem przytulnie. No i z okna jest śliczny widok.

Raptownie odwróciła się i wyszła na korytarz.

Na terenach szkolnych inne nieliczne grupki zmierzały w stronę głównego budynku. Gretchen zatrzymała się w pewnej odległości.

Nadchodził moment pożegnania, z którym wolą się uporać nie u stóp schodów, wśród tłumu rodziców i uczniów.

- Lepiej będzie pożegnać się tutaj - powiedziała.

Billy objął ją i pocałował krótko, a ona zdobyła się jakoś na uśmiech. Billy podał rękę ojcu.

- Dziękuję za odwiezienie - powiedział zwracając się sprawiedliwie do obydwójga.

Oczy miał suche, kiedy odwrócił się i bez pośpiechu ruszył w kierunku schodów głównego budynku - ruszył wraz z nurtem innych uczniów - wąła, dziecięca jeszcze, zagubiona figurka, nieodwołalnie skazana na stałe obcowanie z dorastającymi chłopcami w miejscu, gdzie tylko z oddali mogą dobiegać matczyne głosy, które w swoim czasie śpiewały kołysanki, pocieszały w zmartwieniach i strofowały.

Przez mgłę łez Gretchen patrzyła śladem syna, który minął białe filary ganku i zostawiwszy za sobą otwarte drzwi, ze słonecznych blasków zniknął w cieniu. Willie otoczył ją ramieniem i zadowoleni z kontaktu swoich ciał pośpieszyli w stronę zaparkowanego samochodu. Przez krętą aleję parkową wyjechali na ocienioną drzewami ulicę wiodącą obok szkolnych terenów sportowych, gdzie nie było obecnie zawodników, gdzie nikt nie bronił bramek, nikt nie ćwiczył na bieżniach.

Gretchen siedziała obok byłego męża zapatrzona przed siebie. Wtem od strony kierownicy dobiegły ją dziwne dźwięki i wóz zatrzymał się pod drzewami. Willie szlochał

rozpaczliwie, więc i ona straciła panowanie nad sobą. Przyłgnęła doń i spleceni uściskiem płakali i płakali nad synem i oczekującą go przyszłością, nad Robertem Sillitoe juniorem, nad sobą i zaprzepaszczonej miłością, i panią Abbott, i panią Burke, nad wszystkimi wypitymi whisky, wszystkimi własnymi błędami, całym zmarnotrawionym wspólnym życiem, które mieli za sobą.

- Proszę nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi - powiedziała dziewczyna obwieszona aparatami fotograficznymi, gdy Gretchen i John Heach wysiedli z samochodu i przez plac parkingowy ruszyli w stronę Rudolfa, który stał pod kolosalnym napisem „Calderwood” rysującym się na błękitnym, wrześnieowym niebie.

Był to dzień otwarcia nowego ośrodka handlowego, który znajdował się na północnych krańcach Port Philip, w okolicy dobrze znajomej Gretchen, bo tamtędy właśnie prowadziła droga do położonej o kilka mil dalej posiadłości Boylana.

Gretchen i Johnny nie uczestniczyli w samej ceremonii otwarcia, ponieważ Johnny nie mógł wyrwać się ze swojego kantorku przed godziną lunchu. Był pokorny z tej przyczyny, a także z powodu rozmowy przy obiedzie, jaka miała miejsce przed dwoma dniami, więc droga upłynęła w pogodnej i przyjaznej atmosferze. Przeważnie mówił Johnny - ale nie o sobie ani o Gretchen. Czas poświęcał pełnym uznania wyjaśnieniom mechaniki, dzięki której Rudolf wyrósł na przedsiębiorcę i dyrektora najwyższej klasy. Jego zdaniem Rudolf rozumiał zawiłości nowoczesnego świata interesów lepiej niż ktokolwiek w jego wieku, z kim Johnny zetknął się dotychczas.

Kiedy począł rozwodzić się nad genialnym posunięciem Rudolfa, gdy ten w ubiegłym roku skłonił Calderwooda do kupienia firmy, która w okresie ostatnich trzech lat wykazała straty w kwocie dwu milionów, Gretchen musiała przyznać, że to przekracza jej możliwości zrozumienia, i zachwyty Heatha przyjęła na słowo.

Gdy Gretchen podchodziła do brata, który stojąc robił jakieś notatki na podręcznym bloczku, dziewczyna-fotograf klęczała o kilka stóp przed nim i obiektywem celowała w górę, aby uchwycić jego i widniejący na górze olbrzymi napis. Rudolf uśmiechnął się szeroko na widok siostry i przyjaciela i postąpił parę kroków, aby ich powitać. Obracający milionami żongler w sferze gry na giełdzie i ryzykanckiego

lokowania kapitałów w oczach Gretchen był jedynie jej bratem - opalonym, przystojnym młodym mężczyzną w ładnie skrojonym, nie zwracającym uwagi garniturze. Jeszcze raz uświadomiła sobie różnicę między bratem a mężem. Z tego, co mówił Johnny, wnosiła, że Rudolf jest wielokrotnie bogatszy niż Colin i sprawuje faktyczną władzę nad nieporównanie większą liczbą ludzi, a przecież nikt - nawet rodzona matka - nie mógłby posądzić Colina o skromność. W każdym skupisku ludzkim Colin wysuwał się na czoło, był butny, władczy, stwarzał sobie nieprzyjaciół. Tymczasem Rudolf starał się nie zwracać na siebie uwagi i - sympatyczny, układny - z pewnością zyskiwał przyjaciół.

- Dobrze. Doskonale! - mówiła klęcząca dziewczyna i robiła zdjęcia jedno po drugim.

- Poznajcie się państwo - powiedział Rudolf. - Moja siostra, pani Burke, mój wspólnik, pan Heath; panna... eee... panna... Stokrotnie przepraszam.

- Prescott - podchwyciła dziewczyna - ale wystarczy Jean. Proszę nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi.

Podniosła się i uśmiechnęła raczej nieśmiało. Była drobna i miała proste, długie kasztanowate włosy upięte w węzeł na karku. Lekko piegowata i nie umalowana, poruszała się swobodnie, mimo trzech aparatów fotograficznych i ciężkiej kasety na filmy przewieszanej przez ramię.

- Chodźcie - podjął Rudolf. - Oprowadzę was wszędzie. A jeżeli zobaczycie starego Calderwooda, cmokajcie z zachwytu.

Gdziekolwiek się znaleźli, liczne kobiety i liczni mężczyźni zatrzymywali Rudolfa, ściskali mu dłonie, mówili, jak to wiele zdołał dla miasta. Ilekroć panna Prescott robiła zdjęcie, on przywoływał na twarz swój skromny uśmiech, powtarzał, że mu niezmiernie miło, pamiętał zadziwiającą ilość nazwisk.

Pośród gratulantów Gretchen nie rozpoznała ani jednej koleżanki szkolnej, ani jednej z dziewcząt, z którymi pracowała w Zakładach Cegielniczych Boylana. Natomiast licznie stawili się dawni koledzy Rudolfa, jak gdyby chcieli zobaczyć na własne oczy, czego dokonał ich stary przyjaciel oraz złożyć mu serdeczne życzenia - jedni szczerze, drudzy z aż nazbyt widoczną zawiścią. Za sprawą dziwnych igraszek czasu panowie,

którzy z żonami i dziećmi podchodzili do Rudolfa, mówili: „Przypominasz mnie sobie? W jednym roku skończyliśmy szkołę” - wydawali się starsi, bardziej ociężali, powolniejsi niż nieżonaty, nie obarczony obowiązkami rodzinnymi brat Gretchen. Sukces przeniósł go do innego pokolenia - pokolenia ludzi szczuplejszych, żywszych, bardziej eleganckich. Uprzymiła sobie, że Colin też nie wygląda na swoje lata. Jest to młodość zwycięzców.

- Widzę, że zgromadziłeś tu dziś całe miasto - odezwała się Gretchen.

- Coś koło tego. Słyszałem nawet, że pojawić się raczył sam Teddy Boylan. Pewno zaraz natkniemy się na niego. - Rudolf bystro spojrział na siostrę.

- Teddy Boylan - powiedziała spokojnie. - To on jeszcze żyje?

- Podobno. Nie widziałem go od wieków.

Przez chwilę szli obok siebie zmrozeni przelotnym chłodem.

- Zaczekajcie tu na mnie - odezwał się wreszcie Rudolf. - Muszę pogadać z dyrygentem orkiestry. Za mało grają staroświeckich kawałków.

- Z całą pewnością on lubi wszystko trzymać w garści, prawda? - powiedziała Gretchen do Johnna Heatha, spoglądając śladem brata, który w nieodłącznej asyście panny Prescott szedł szybko w stronę podium dla orkiestry.

Orkiestra grała „Szczęśliwe dni nadeszły znowu”, gdy Rudolf wrócił holując dwie nowe osoby - szczupłą, bardzo ładną blondynkę w nakrochmalonej muślinowej sukience oraz starszego nieco od siebie, łysiejącego, spoconego mężczyznę w garniturze z wełnianej kory. Gretchen była pewna, że tego mężczyznę widziała gdzieś uprzednio, lecz w pierwszej chwili nie potrafiła go umiejscowić.

- To Wirginia Calderwood - powiedział Rudolf - najmłodsza córka szefa. O tobie, Gretchen, mówiłem jej wszystko.

- Tak, proszę pani - uśmiechnęła się skromnie panna Calderwood.

- No a Bradforda Knighta pamiętasz chyba? - zapytał Rudolf.

- Do sucha panią opilem podczas oblewania naszych dyplomów w Nowym Jorku - powiedział Bradford.

Wtedy przypomniła sobie mówiącego wyraźnym akcentem z Oklahomy byłego sierżanta, który w mieszkaniu w Greenwich Village uganiał się za dziewczynami. Akcent

uległ pewnemu stuszowaniu, szkoda tylko, że Brad szybko tracił włosy. Przypomniała też sobie, że przed kilkoma laty Rudolf sprowadził go do Whitby i zaczął szkolić na zastępcę dyrektora. Rudolf lubił go - chociaż spoglądając na faceta, nie potrafiłaby powiedzieć czemu. Twierdził, że Bradford wbrew pozorom jest sprytny i cudownie radzi sobie z ludźmi, jeżeli słowo w słowo trzyma się instrukcji, które dostaje.

- Oczywiście! Pamiętam pana, Brad - powiedziała Gretchen. - Słyszałam, że jest pan nieoceniony.

- Rumienię się, łaskawa pani - bąknął Knight.

- Wszyscy jesteśmy nieocenieni - podchwycił Rudolf.

- Nie! - zaprotestowała z całą powagą Wirginia Calderwood spoglądając na Rudolfa w sposób, co do którego Gretchen nie miała żadnych wątpliwości.

Roześmieli się wszyscy z wyjątkiem młodej panienki. Biedna mała, pomyślała Gretchen. Lepiej zaczęłaby robić słodkie oczy do kogoś innego.

- Gdzie podziewa się pani ojciec? - zapytał Rudolf Wirginię. - Chciałbym przedstawić mu moją siostrę.

- Wrócił do domu - odpowiedziała. - Zirykowało go coś, co powiedział burmistrz, bo burmistrz mówił wciąż tylko o panu, nie o nim.

- Tutaj przyszedłem na świat - uśmiechnął się Rudolf - a burmistrz uważa to za zaszczyt dla siebie.

- I ojcu nie podoba się, że ona - Wirginia wskazała pannę Prescott, która z bliskiej odległości robiła zdjęcie grupy - że ona wciąż fotografuje tylko pana.

- Takie bywają koleje losu w naszym fachu - wtrącił Johnny Heath.

- Pani ojciec udobrucha się wkrótce.

- Nie zna go pan - powiedziała Wirginia i zwróciła się do Rudolfa:

- Niech pan później zadzwoni do niego, uspokoi jakoś ojca.

- Zadzwonię później, jeżeli znajdę chwilę czasu - rzucił beztrąsko Rudolf. - Cóż, za godzinę pójdziemy coś wypić. Czy nie wybrałaby się pani z nami? Pani i Brad?

- Mnie nie wolno pokazywać się w barach - odpowiedziała Wirginia.

- I pan wie o tym.

- Aa... Prawda. Zamiast baru będziemy mieli obiad. Brad! Przejdź się tu i tam i zrób porządek, gdyby zaczynało się coś niedobrego.

No a później, jak młodzież zacznie tańczyć, pilnuj, żeby było jak trzeba, grzecznie.

- Będę namawiał na menueta - powiedział Brad. - Chodźmy, panno Wirginio. Powodowany szacunkiem dla pani ojca postawię pani czysty sok pomarańczowy.

Uprowadził ją, na co panna Calderwood pozwoliła bardzo niechętnie.

- Nie jest mężczyzną z jej snów - powiedziała Gretchen ruszając dalej u boku brata. - To murowane.

- Tylko nie mów tego Bradowi - podchwycił Rudolf. - Pragnąłby wżenić się w rodzinę i zapoczątkować wielkie imperium handlowe.

Taką ma wizję.

- Sympatyczna dziewczyna, prawda? - podjęła Gretchen.

- Dość sympatyczna - przyznał. - Zwłaszcza jak na córkę szefa.

Przysadzista kobieta, uróżowana, z podmalowanymi oczyma i w przypominającym turban kapeluszu, jak gdyby wziętym z jakiegoś filmu z lat dwudziestych, podeszła do Rudolfa mrugając i kokieteryjnie wykrzywiając usta.

- Eh bien, mon cher Rudolph - rozpoczęła piskliwie, siląc się na dziewczęce brzmienie głosu. - Tu parles francais toujours bien? * (* I co, mój drogi Rudolfie, wciąż mówisz dobrze po francusku? [fr.]

Rudolf skłonił się z powagą.

- Bonjour, Mademoiselle Lenaut - odpowiedział. - Je suis tres content de vous voir. * (* Dzień dobry, panno Lenaut, bardzo się cieszę, że panią widzę. [fr.]) Pozwoli pani przedstawić sobie moją siostrę, panią Burke. A to jest mój przyjaciel, pan Heath.

- Rudolf był najlepszym z moich uczniów - podjęła panna Lenaut przewracając oczami. - Zdolniejszego nigdy nie miałam. Byłam pewna, że wysoko zajdzie. To wynikało jasno z wszystkiego, co robił.

- Pani jest zbyt łaskawa - powiedział Rudolf i gdy odeszli, uśmiechnął się złośliwie. - Kiedy byłem uczniakiem pisywałem do niej miłosne listy. Ma się rozumieć, żadnego z nich nie wysłałem.

Jednego razu tata nazwał ją francuską pindą i dał jej po twarzy.

- Nigdy nie słyszałam tej historii - wtrąciła się Gretchen.

- Bardzo wielu historii nie słyszałaś nigdy.

- Któregoś wieczora musisz zasiać i opowiedzieć mi dzieje Jordachów - powiedziała.

- Tak. Któregoś wieczora.

- To musi być szalona satysfakcja - wtrącił się do rozmowy Johnny Heath - w taki dzień wrócić do swojego rodzinnego miasta.

Rudolf zastanawiał się przez chwilę.

- To jest już inne miasto - powiedział obojętnie. - No dobrze.

Chodźmy obejrzyć wystawione na sprzedaż towary.

Pod jego przewodnictwem rozpoczęli wędrowkę po sklepach. Gretchen - jak jej to raz powiedział Colin - miała instynkt posiadania poniżej normy, więc przygnębiało ją gigantyczne nagromadzenie rzeczy do nabycia, ta gwałtowna powódź przedmiotów wpływająca nieustannie z amerykańskich fabryk.

Wszystko, bądź prawie wszystko, co najbardziej zrażało Gretchen do wieku, w którym żyć jej przyszło, było spiętrzone w fałszywie wiejskim konglomeracie białych budynków. A zgromadził to wszystko jej ukochany brat, który obecnie skromnie i delikatnie czuwa nad tym konkretnym i materialnym dowodem swojego sprytu.

Po wizytacji sklepów Rudolf zaprowadził ich do teatru. Trupa z Nowego Jorku występowała wieczorem z premierą komedii, kiedy więc weszli na widownię, próba generalna była w toku. Tutaj gust starego Calderwooda nie stanowił decydującego czynnika.

Matoworóżowe ściany i obicia foteli z ciemnoczerwonego pluszu łagodziła szlachetna surowość linii tego wnętrza, a skomplikowane efekty świetlne, jakimi posługiwał się reżyser, świadczyły, że na urządzenie zaplecza nie oszczędzono kosztów. Po raz pierwszy od lat Gretchen odczuła żal z powodu zrezygnowania z kariery teatralnej.

- To piękne, Rudi! - zawołała.

- Cóż, musiałem pokazać ci coś, co przypadnie ci do gustu - odpowiedział spokojnie.

Dotknęła jego ręki, jak gdyby tym gestem przepraszała za nie wyrażoną słowami krytykę całej reszty osiągnięć brata.

- W ostatecznym rezultacie - podjął - będziemy mieli sześć takich teatrów w rozmaitych punktach kraju. Zamierzamy wystawiać własne sztuki i utrzymywać je na afiszu przez co najmniej dwa tygodnie w każdym teatrze. A zatem każde przedstawienie będzie miało gwarantowane trzy miesiące, no i uniezależnimy się pod tym względem. Gdyby Colin miał ochotę wystawić coś dla mnie...

- Miałby ochotę. Z pewnością! - podchwyciła Gretchen. - W takim prześlicznym teatrze! Colin skarży się nieraz na obrzydliwe, stare budy z Broadwayu. Jak przyjedzie do Nowego Jorku, sprowadzę go tutaj, żeby obejrzał sobie twój teatr. Chociaż... Czy ja wiem?

Może to nie najlepszy pomysł?

- Czemu? - zdziwił się Rudolf.

- Bo on okropnie lubi wojować z ludźmi, którzy go zatrudniają.

- Ze mną nie będzie wojował - odrzekł z przekonaniem Rudolf, gdyż on i Burke polubili się już przy pierwszym spotkaniu. - Wobec artystów jestem uległy i z całym respektem. A teraz należy coś wypić.

Gretchen spojrzała na zegarek.

- Obawiam się, że muszę zmykać. O ósmej Colin zadzwoni do hotelu i będzie wściekły, jeżeli nie przyjmę telefonu. Johnny, a może pojechalibyśmy razem. Zgoda?

- Jestem do usług szanownej pani - odpowiedział Johnny.

Gretchen pożegnała brata pocałunkiem i pozostawiła go w teatrze, gdzie twarz Rudolfa rozjaśniały światła rampy, a panna Prescott - ruchliwa, czynna, ładna - zmieniała obiektywy i raz po raz robiła nowe zdjęcia.

Johnny i Gretchen odeszli w stronę samochodu i po drodze minęli bar. Gretchen była kontenta, że nie przyjęła zaproszenia brata, bo przez okno dostrzegła w ciemnym wnętrzu pochyloną nad szklanką sylwetkę, która z całą pewnością była jej znajoma.

Nawet po piętnastu latach Teddy Boylan potrafiłby wyprowadzić ją z równowagi, a tego nie życzyła sobie wcale.

Telefon brzęczał, gdy otworzyła drzwi swojego apartamentu.

Dzwoniono z Kalifornii - ale nie był to Colin. Dyrektor studio z żalem zawiadamił panią Burke, że jej mąż zginął w wypadku samochodowym o pierwszej po południu. Od tego czasu nie żył, a ona nic nie wiedziała!

Spokojnie podziękowała za dyskretne słowa współczucia, odłożyła słuchawkę i nie zapalając światła, długo siedziała sama w hotelowym pokoju.

ROZDZIAŁ II

- Popróbuj zwarcia, Tommy! Więcej zwarc! - zawołał Schultz, gdy dzwonek zapowiedział ostatnią rundę spotkania sparringowego.

Bokser, z którym Quayles miał spotkanie za pięć dni, był mistrzem w zwarcu, więc Tom powinien naśladować jego styl. Jednakże Quayles - tancerz i zongler o ruchliwych, elastycznych nogach i zwinnych pięściach - był niełatwy w walce takiego rodzaju. Nigdy nie uszkodził poważnie przeciwników, ale dzięki sprytowi zaszedł daleko. Walka miała być nadawana w telewizji krajowej, za co Quayles dostawał dwadzieścia tysięcy. Honorarium Toma za jego udział w imprezie wynosiło sześćset dolarów. Byłoby mniejsze, gdyby Schultz, który - przynajmniej pod względem finansowym opiekował się obydwoma bokserami - nie wojował o pieniądze z organizatorami meczu. W grę wchodziły kapitały mafii, a jak wiadomo, nie uczestniczą w niej ludzie skorzy do filantropii.

Ring treningowy postawiono w teatrze, a kibice, którzy przyszli obejrzeć walkę - panowie w kanarkowożółtych spodniach i noszonych w Las Vegas fantazyjnych koszulkach - zajmowali pierwsze rzędy parteru. Pośrodku sceny Tom czuł się bardziej aktorem niż bokserem. Rundę zapoczątkował natarciem na przeciwnika, który miał płaską, tępą twarz i śmiertelnie zimne, jasne oczy pod skórzaną opaską chroniącą czoło. Trenując z Tomem miewał zawsze na ustach lekceważący uśmiezek, jak gdyby za nedorzecznosc uważał, że jednocześnie znajdują się na tym samym ringu. Nigdy z nim nie rozmawiał, nie mówił mu nawet dzień dobry, chociaż obydwoj należeli przecież do jednej „stajni”. Tom miał tylko tę satysfakcję, że obrabiał żonę Quaylesa i spodziewał się wcześniej lub później poinformować go o tym.

Quayles tańczył w przód i w tył, zadawał przeciwnikowi ciosy łatwo parował jego sierpy popisując się przed widownią pozwalał na zwarcie, a później jednym zwinnym ruchem głowy unikał trafienia i wywoływał wrzaski wśród kibiców.

Partnerzy sparringowi nie powinni wyrządzać krzywdy mistrzom, z którymi walczą, ale to było ostatnie spotkanie treningowe, więc Tom atakował zawzięcie, nie licząc się z ewentualnymi konsekwencjami. Chciał bodaj raz porządnie stuknąć skurwysyna,

posadzić go na tych jego deseniowych spodenkach gimnastycznych.

Quayles zorientował się do czego przeciwnik zmierza, więc z jeszcze bardziej niż dotąd wyniosłym uśmiechem cofał się i nacierał robił zgrabne uniki, w powietrzu chwycił zadawane ciosy.

Pod koniec rundy nie był nawet spocony i mimo zawziętych, dwuminutowych usiłowań Toma nie miał na ciele ani jednego śladu rękawicy.

- Powinieneś pętału zapłacić mi za lekcję boksu - powiedział, gdy zabrzmiał znów dzwonek.

- Mam nadzieję, stary żłobie, że tamten zatłucze cię w piątek - odgryzł się Tom i zszedł z ringu, aby zaraz wziąć natrysk.

Tymczasem Quayles mocował się z linami, robił ćwiczenia gimnastyczne, bombardował pięściami worek. Drań nie męczy się nigdy, myślał Tom. Łakomie wchłania wiadomości, no i skończy pewno jako mistrz wagi średniej z milionowym kontem w banku. Kiedy wrócił spod natrysku mając skórę pod oczyma zaczerwienioną od uderzeń przeciwnika, tamten był wciąż na scenie, popisując się nadal, a wśród kibiców w cyrkowych ubiorach raz po raz odzywały się „ochy” i „achy”.

Tom dostał od Schultza kopertę z pięćdziesięcioma dolarami za dwie odbyte rundy, szybko ominął tłum kibiców i wyszedł w skwarne popołudnie Las Vegas. Po klimatyzowanej sali teatralnej upał wydał mu się nienaturalny, złośliwy, jak gdyby jakiś diaboliczny uczoney prażył miasto, by zniszczyć je w najbardziej bolesny sposób.

Po pracy odczuwał pragnienie, więc przeciął rozżarzoną jezdnię i wszedł do jednego z wielkich hoteli. W hallu było cieniście i chłodno. Kosztowne prostytutki zajmowały stanowiska obserwacyjne, starsze damy oblegały automaty do gry w monety. Przy stołach, które Tom ominął zmierzając do baru, szła gra w kości i w ruletę.

W całym tym śmierzącym mieście wszyscy wyglądali na nadzianych forszą. Tylko nie on! W ciągu ostatnich dwu tygodni przegrał w kości z górą pięć setek - prawie wszystko, co w tym czasie zarobił.

Tym razem zwalczył pokusę i kopertę z pięćdziesięcioma dolarami Schultza utrzymał jakoś w kieszeni. W barze zamówił piwo. Wagę miał jak trzeba, a w pobliżu nie

było Schultza, który mógłby go rugnąć. Zresztą Schultz teraz, kiedy miał lepszego na „stajni”, nie bardzo dbał o to, co robi Tom. Zastanowił się, ile ze swojej doli Schultz będzie musiał odpalić gangsterom?

Wypił drugie piwo, zapłacił i w powrotnej drodze przystanął na chwilę obok jednego ze stołów gry w kości. Facet, który sprawiał wrażenie małomiasteczkowego przedsiębiorcy pogrzebowego, miał przed sobą stos sztonów, wysoki mniej więcej na stopę. Szła ostra gra! Tom sięgnął po kopertę i zaopatrzył się w sztony. Po kilku minutach pozostało mu dziesięć dolarów, miał jednak dość rozsądku, by zatrzymać tę sumkę.

Wolał nie płacić za taksówkę, więc za pośrednictwem odźwiernego poprosił kogoś z gości o podwiezienie do hotelu w śródmieściu. Był to marny hotel z kilkoma automatami do gry w monety i jednym stołem kości w hallu. Quayles mieszkał w „Sands” z rozmaitymi gwiazdami filmowymi. No i ze swoją żoną, która całymi dniami wylegiwała się nad basenem pływackim, jeżeli korzystając z okazji nie śpieszyła ukradkiem do hotelu Toma.

Z natury, jak mówiła, była skora do kochania, a Quayles sypiał sam w osobnym pokoju. Był zawodnikiem serio i miał przed sobą ważną walkę. Tom przestał być zawodnikiem serio i nie miał przed sobą żadnych ważnych walk, a zatem nie odgrywało roli to, co robi.

Damulka zachowywała się w łóżku aktywnie, toteż niektóre popołudnia były warte zachodu. W recepcji leżał list dla niego. Od Teresy. Nie otworzył go nawet. Dobrze wiedział z góry, że to kolejne domaganie się pieniędzy. Teresa pracowała ostatnio i zarabiała więcej niż on, lecz to nie hamowało jej wcale. Została szatniarką i sprzedawczynią papierosów w jakimś nocnym klubie; kręciła zadkiem, pokazywała nogi tak wysoko, jak zezwalają przepisy o ochronie moralności, no i zgarniała sute napiwki.

Twierdziła, że nudzi ją ciągle przesiadywanie tylko z małym, bo przecież Toma najczęściej nie ma w domu. Chciała też zrobić karierę, a swoje nowe zajęcie uważała za coś w rodzaju pracy teatralnej. Dziecko oddała siostrze zamieszkałej w Bronx i nawet wówczas, gdy Tom był w Nowym Jorku, wracała do domu o fantastycznych porach - o piątej, szóstej nad ranem - z torebką wyładowaną dwudziestodolarowymi banknotami.

Diabli wiedzieli, co robiła właściwie. Tom nie dbał o to.

Na górze w swoim pokoju, położył się zaraz. Był to jedyny sposób oszczędzania pieniędzy. Kombinował, jak od dzisiaj do piątku poradzi sobie mając tylko dziesięć dolarów. Skóra pod oczyma piekła go w miejscach, gdzie dostało mu się od Quaylesa. Pustynny upał wyciskał z niego pot, gdyż urządzenie klimatyzacyjne prawie nie działało.

Zamknął oczy i począł drzemać niespokojnie. Przyśniła mu się Francja. We Francji spędził najpiękniejsze chwile swojego życia i często marzył o wybrzeżu Morza Śródziemnego, chociaż od pobytu tam minęło pięć lat i ostatnio obrazy senne traciły na wyrazistości.

Obudził się z westchnieniem, bo smutno mu się zrobiło, gdy morze i białe budowle zniknęły, a pojawiły się znowu spękane ściany nędznego hotelowego pokoju w Las Vegas.

Na Lazurowe Wybrzeże wybrał się po swoim londyńskim sukcesie.

Zwycięstwo odniósł tak łatwo, że Schultz zakontraktował dlań kolejne spotkanie w Paryżu. Termin wyznaczono za miesiąc, więc nie opłacałby się powrót do Nowego Jorku. Za to w Londynie poderwał jakąś zwariowaną dziewczynę, która twierdziła, że zna cudowny mały hotelik w Cannes. Wreszcie tarzał się w pieniądzach i wyglądało na to że każdego europejskiego przeciwnika mógłby pokonać jedną ręką, więc pozwolił sobie na kosztowny weekend. Weekend rozciągnął się do dziesięciu dni wypełnionych rozpaczliwymi depeszami Schultza.

Tom wylegiwał się na plaży, pozwalał sobie na dwa sute posiłki dziennie, zagustował w vin rose i przybrał piętnaście funtów. Po powrocie do Paryża zdołał osiągnąć właściwą wagę akurat w dzień spotkania i Francuz omal go nie zabił. Pierwszy raz w życiu Tom został znokautowany i raptownie skończyły się wszystkie europejskie propozycje. Prawie wszystkie pieniądze roztrwonił z angielską dziewczyną, która prócz innych zalet przejawiała zamięłowanie do biżuterii, a w powrotnej drodze do Nowego Jorku Schultz nie rozmawiał z nim przez cały czas.

Tamten Francuz odebrał mu coś niewątpliwie, i nikt nie pisał więcej, że Tomasz Jordach to kandydat do mistrzowskiego tytułu.

Odstępy czasu pomiędzy walkami rosły i rosły, a honoraria odpowiednio malały. Dwukrotnie zdarzyło mu się nawet brać pieniądze za walkower, a Teresa odstawiła go zupełnie, więc tylko przez wzgląd na dziecko nie pakował manatków i nie odchodził.

Obecnie leżąc wśród skwaru na skotłowanym łóżku, medytował o tym wszystkim i przypominał sobie to, co brat mówił mu niegdyś w hotelu „Warwick”. Zastanawiał się, czy Rudolf śledził jego karierę, czy czasami mawiał do tej ważniaczki swojej siostruni:

„Powiedziałem mu przecież, że to tak musi się skończyć”.

Niech diabli wezmą brata!

Być może w piątek odzyska dawną krzepę i w walce pokazowej spisze się na medal. Ludzie zaczną znów tłoczyć się dokoła niego i triumfalnie wróci na ring. Wielu, bardzo wielu starszym od niego bokserom zdarzały się takie powroty. Chociażby Jimmy Braddock.

Upadł tak nisko, że pracował za dniówkę jako robotnik niewykwalifikowany. I co? Później niespodziewanie pokonał Maksa Baera w walce o tytuł mistrza świata wagi ciężkiej. Schultz musi mu starannie dobierać przeciwników. Niech to nie będą tancerze i żonglerzy, lecz tacy, co rzeczywiście walczą. Musi o tym pogadać z Schultzem. I nie tylko o tym. Przed piątkiem trzeba będzie wycisnąć z niego zaliczkę, żeby przetrzymać jakoś w tym parszywym mieście.

Dwa, trzy porządne zwycięstwa i cała bieda pójdzie w zapomnienie.

Dwa, trzy porządne zwycięstwa i znów nadejdą propozycje z Paryża.

Znowu będzie mógł wybrać się na Lazurowe Wybrzeże, zasiąść w kawiarni na chodniku, popijać vin rose i przyglądać się masztom jachtów zakotwiczonych w porcie. Jeżeli szczęście naprawdę mu dopisze, może pozwoli sobie na zakontraktowanie takiego jachtu, odbędzie rejs z dala od swoich spraw i ludzi. A później będzie ledwie parę walk w ciągu roku - tyle, ile potrzeba, by utrzymać przyzwoity stan rachunku w banku.

Takie rozmyślenia usposobiły go pogodnie i zamierzał właśnie zejść do hallu, zaryzykować ostatnie dziesięć dolarów przy stole gry w kości, gdy zabrzączał telefon.

Dzwoniła Cora, żona Quaylesa. Była półprzytomna. Płakała i spazmowała rozpaczliwie.

- Dowiedział się! Dowiedział się! - powtarzała. - Doniósł mu jakiś cholerny fagas z twojego hotelu. Omal mnie nie zabił. Omal nie zabił... Dopiero co... Myślę, że nos mam złamany, że zostanę kaleką do końca życia...

- Zaraz, zaraz. Spokojnie - przerwał jej Tom. - Czego on się dowiedział?

- To niby nie wiesz, co? Jest właśnie w drodze...

- Chwileczkę. Co ty mu powiedziałaś?

- A co, u diabła, mogłam powiedzieć? - wrzasnęła. - Powiedziałam, że nie. No i zaraz dostałam po twarzy. Jestem cała we krwi. On mi naturalnie nie uwierzył. Ten cholerny fagas z twojego hotelu musiał mieć teleskop czy coś takiego. Lepiej wiesz z miasta. Zaraz.

W tej chwili. On, powiadam ci, jest teraz w drodze do ciebie.

Licho wie, co ci może zrobić. A później mnie. Tylko ja nie myślę czekać. Już jadę na lotnisko. Nawet nie zapakuję walizki. I tobie radzę to samo. Tylko trzymaj się daleko ode mnie. Ty go nie znasz jeszcze. To morderca. Tak czy inaczej, zmiataj z tego miasta.

Prędko!

Tom miał dosyć pełnego przerażenia piskliwego bełkotu, więc odłożył słuchawkę. Później zerknął w stronę stojącej w kącie walizki, wstał i podszedłszy do okna wyjrzał przez spuszczoną żaluzję na ulicę pustą o czwartej po południu wśród pustynnego żaru. Zawrócił w kierunku drzwi, aby upewnić się, że nie są zamknięte na klucz. Następnie odstawił do kąta jedyne krzesło. Nie chciał, by w pierwszym impecie ataku Quayles popchnął go na nie i obalił.

Wreszcie uśmiechnięty łagodnie, zasiadł na łóżku. Nigdy nie umykał przed bójką, więc i przed tą nie zamierzał umykać. Zapowiadało się, że może to być spotkanie najprzyjemniejsze w całej jego karierze. Ciasny pokój hotelowy nie stanowi przecież odpowiedniego miejsca dla tancerzy i żonglerów.

Wstał znowu i z szafy w ścianie wyjął skórzaną wiatrówkę. Włożył ją na siebie, zasunął zamek błyskawiczny i postawił kołnierz, aby możliwie najlepiej ubezpieczyć szyję. Następnie przysiadł znowu na krawędzi łóżka i czekał z całym spokojem. Był lekko przygarbiony, ręce zwisały mu pomiędzy kolanami. Nie drgnął nawet, kiedy usłyszał, że

wóz hamuje gwałtownie przed hotelem. Po chwili rozległ się w korytarzu odgłos kroków, drzwi otworzyły się raptownie i Quayles, który wszedł do pokoju, stanął tuż za progiem.

- Oo... - powiedział Tom i podniósł się wolno.

Quayles zamknął za sobą drzwi i obrócił klucz w zamku.

- Wiem wszystko, Jordach - powiedział.

- O czym? - Tom zapytał łagodnie, nie odrywając wzroku od stóp Quaylesa, by nie przegapić pierwszego ich poruszenia.

- O tobie i mojej żonie.

- Aha. Pieprzyłem ją. Oczywiście. Czyżbym zapomniał powiedzieć ci o tym?

Był gotów do skoku, toteż prawie się roześmiał, gdy Quayles - ten dandys i fasonowiec ringu - zadał na oślep cios z prawej, długi cios rzeczywiście godny początkującego frajera. Był gotów, więc łatwo zrobił unik, podszedł do zwarcia, uczeplił się Quaylesa, a że nie było sędziego, który mógłby ich rozdzielić, począł okładać przeciwnika z całą satysfakcją i zaciekłością. Później stary wyga ulicznych bójek, świadomy wszelkich sztuczek i podstępów, przyparł Quaylesa do ściany i lekceważąc jego starania, by się wyrwać, cofnął się tyle, ile potrzeba mu było do swobodnego rozmachu, i tłukł, bombardował, szarpał przeciwnika, nie pozwalał mu upaść, lecz trzymając go lewą ręką za gardło, prawą zadawał jeden po drugim brutalne ciosy w twarz, korzystał ze swoich łokci, z kolan, głową rozbijał czoło Quaylesa. Kiedy odstąpił wreszcie, tamten osunął się i leżał bez ruchu z twarzą zwróconą w stronę zbryzganego krwią dywanu.

Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi i z korytarza dobiegł głos Schultza. Tom wpuścił go, obróciwszy klucz w zamku.

Schultz wszedł do pokoju i jednym rzutem oka ocenił sytuację.

- Ty głupi skurwysynu? - powiedział. - Widziałem tę idiotkę, jego żonę. Od niej wiem wszystko. Myślałem, że uda mi się zdażyć w porę. I co, Tommy? Wielki z ciebie zapaśnik w czterech ścianach pokoju, no nie? Za forszę nie potrafisz dać rady własnej babci, ale jak przyjdzie do mordobicia za darmo, jesteś prawdziwym mistrzem.

- Przyklęknął obok Quaylesa nieruchomego nadal na dywanie, obrócił go, obejrzał

rany na czole, przesunął po dolnej szczęce. - Wygląda na to, że złamałeś mu szczękę. Idioty! Facet nie będzie zdolny do walki w najbliższy piątek ani w trzydzieści dalszych piątków.

Bardzo się to spodoba organizatorom. Cholernie się spodoba.

Wyłożyli moc forsy, no i to wszystko jak psu w dupę... - Mocno potrząsnął bezwładnym nadal Quaylesem. - Ucieszą się, że ty tak go gładko wycofałeś. Na twoim miejscu zmyłbym się z Las Vegas, zanim ja zabiorę tego... tego rogacza z pokoju i odstawię do szpitala.

No i nie odpoczywałbym aż do brzegów oceanu, a później przedostałbym się za ocean i do tego kraju nie wracałbym przez co najmniej dziesięć lat, gdybym chciał pozostać przy życiu. Tylko nie korzystaj z samolotu. Zanim samolot zdąży wylądować gdziekolwiek, oni będą tam czekać na ciebie, a będą czekać nie z różami w rękach.

- To co? Chcesz, żebym wiał pieszko? - zapytał Tom. - Mam przy duszy dziesięć dolarów.

Schultz objął zatroskanym spojrzeniem Quaylesa, który zaczynał się poruszać. Później wstał.

- Chodź ze mną na korytarz.

Wyjął klucz z zamku i gdy wyszli z pokoju, zamknął drzwi od zewnętrznej strony.

- Słusznie powinni cię podziurawić kulami - rozpoczął. - Ale widzisz, długo byłeś ze mną... - Nerwowo spojrzał w jedną i w drugą stronę korytarza; z portfela dobył kilka banknotów. - Bierz.

To wszystko, co mam przy sobie. Sto pięćdziesiąt. Weź także mój samochód. Stoi przed hotelem. Klucz jest w stacyjce. Wóz zostawisz w Reno na parkingu przy porcie lotniczym. Stamtąd wuj autobusem na wschód. Tym facetom powiem, że mi samochód ukradłeś. No i nie próbuj porozumieć się z żoną. Będą ją mieli na oku. Ja z nią nawiążę kontakt. Powiem, że uciekłeś i żeby nie spodziewała się wiadomości od ciebie. Nigdzie nie jedź prostą drogą. Rozumiesz?

Nie żartowałem mówiąc, że musisz zwać z kraju. Na terenie Stanów Zjednoczonych twoje życie nie będzie warte nawet dwu centów. - Schultz zmarszczył

czoło, zastanowił się głęboko. - Najbezpieczniejsza byłaby praca na jakimś statku. Kiedy znajdziesz się w Nowym Jorku, pójdz do hotelu, który nazywa się „Egejski”. To przy Zachodniej Osiemdziesiątej Ulicy. Pełno tam zawsze greckich marynarzy. Zapytaj o kierownika. Facet ma jakieś cholernie długie greckie nazwisko, ale wszyscy nazywają go Pappy. On werbuje marynarzy na statki handlowe, które pływają nie pod amerykańską banderą. Powiedz mu, że to ja cię przysłałem i że chcę, abys jak najprędzej zniknął ze Stanów. O nic nie będzie pytał. Winien mi wdzięczność za coś, co dla niego zrobiłem podczas wojny, kiedy służyłem we flocie handlowej. No i nie bądź za mądry. Nie wyobrażaj sobie, że jako bokser możesz dorobić kilka dolarów. Nie możesz. Nigdzie. Nawet pod zmienionym nazwiskiem w Europie ani w Japonii. Od tej chwili jesteś tylko marynarzem i niczym więcej.

Słyszysz?

- Słyszę, Schultzy.

- I nigdy więcej nie chcę słyszeć o tobie. Zrozumiałeś?

- Tak, Schultzy.

Tom postąpił krok w stronę drzwi swojego pokoju. Schultz powstrzymał go stanowczo.

- Po co się tam wybierasz?

- Po mój paszport. Będzie mi potrzebny.

- Gdzie go szukać?

- W górnej szufladzie komody.

- Poczekaj. Sam go wezmę.

Schultz obrócił klucz w zamku i wszedł do pokoju. Po chwili wrócił na korytarz z paszportem w ręku.

- Masz, i od tej pory staraj się myśleć głową, nie kutasem. No, zmiataj. Ja muszę się zająć składaniem do kupy tego drugiego durnia.

Tom zszedł po schodach do hallu i obojętnie minął stół do gry w kości. Nie powiedział nic dyżurnemu z recepcji, który nie bez zdziwienia spojrzął na jego pokrzwawioną wiatrówkę. Spokojnie wyszedł na ulicę. Wóz Schultza stał przy krawężniku,

a tuż za nim Cadillac Quaylesa. Tom wszedł, zapuścił silnik i ruszył w stronę autostrady - bardzo wolno. Nie chciał, by tego dnia zatrzymano go w Las Vegas z powodu naruszenia przepisów ruchu. A wiatrówkę zdąży oczyścić później.

ROZDZIAŁ III

Byli umówieni na jedenastą, ale Jean zatelefonowała, że spóźni się trochę. Rudolf odpowiedział, że nic nie szkodzi, bo i tak musi załatwić kilka telefonów. Był to sobotni ranek, a on przez cały tydzień miał zbyt dużo zajęć, by zadzwonić do siostry, więc czuł się winnym z tej racji. Od czasu gdy wrócił z pogrzebu, udawało mu się zazwyczaj telefonować do Gretchen dwa lub trzy razy tygodniowo. Proponował jej, aby przeniosła się do Nowego Jorku i zamieszkała u niego w apartamencie, który wynajmował. Praktycznie biorąc, byłaby tam u siebie, gdyż stary Calderwood stanowczo nie chciał ruszyć biur zarządu z Whitby i Rudolf nie mógł liczyć na więcej niż dziesięć dni na miesiąc w Nowym Jorku. Jednakże Gretchen wolała pozostać w Kalifornii - w każdym razie chwilowo.

Burke nie sporządził testamentu albo też niepodobna było znaleźć tego dokumentu, więc adwokaci rozpoczęli taniec, była żona Colina wystąpiła o prawa do większej części spadku a oprócz wielu innych niemiłych manewrów prawniczych usiłowała wyeksmitować Gretchen z domu.

W Kalifornii była ósma rano, lecz Rudolf wiedział, że jego siostra wstaje wcześniej, więc nie zbudzi jej dzwonek telefonu. Zamówił rozmowę i w swojej małej bawialni usiadł przy biurku nad sobotnim numerem „Timesa”. Chciał uporać się z narożnikiem krzyżówki, przy którym utknął w czasie śniadania.

Wynajmował umeblowane mieszkanie utrzymane w natrętnych krzykliwych barwach i pełne kanciastych metalowych krzeseł.

Traktował je wszakże jako pomieszczenie tymczasowe, i zadowolony był z doskonałej małej kuchni wyposażonej w lodówkę ze znakomitym urządzeniem do produkcji lodu. Bardzo lubił przyrządzać sobie posiłki i jadając samotnie czytywać przy stole. Tego rana miał na wczesne śniadanie grzanki, sok pomarańczowy i kawę. Czasami Jean przychodziła i robiła śniadanie dla obydwojga, jednakże tej soboty była zajęta. Na noc nie chciała zostawać i nigdy nie wyjaśniała, co ją od tego powstrzymuje.

Telefon zadzwonił i Rudolf sięgnął po słuchawkę, ale to nie była Gretchen. Poznał głos Calderwooda - martwy, suchy i starczy.

Soboty i niedziele niewiele znaczyły dla prezesa, nie licząc dwu niedzielnych godzin przedpołudniowych, które zwykł spędzać w kościele.

- Rudi - rozpoczął Calderwood bez grzecznościowych wstępów - będziesz w Whitby dziś wieczór?

- Nie miałem takiego zamiaru, proszę pana. Mój weekend jest wypełniony, a w poniedziałek z rana czeka mnie kilka spotkań i...

- Chciałbym, Rudi, zobaczyć się z tobą możliwie najprędzej.

Calderwood był wyraźnie zły. Z wiekiem stawał się coraz bardziej drażliwy i nerwowy. Można by sądzić, że irytuje go własne rosnące wciąż bogactwo oraz ludzie, którzy je pomnażają, a także fakt, że rozmaite ważne decyzje zależą teraz w znacznej mierze od nowojorskich bankierów i prawników.

- Będę w biurze we wtorek rano, panie prezesie - odpowiedział Rudolf. - Czy to nie może poczekać do wtorku?

- Nie. To nie może poczekać do wtorku. No i nie chcę rozmawiać z tobą w biurze. Chcę, żebyś mnie odwiedził w domu. - Głos w słuchawce brzmiał gniewnie, zgrzytliwie. - Czekam cię, Rudi, jutro wieczorem po kolacji.

- Będę u pana. Oczywiście - zgodził się Rudolf.

Trzask w słuchawce oznajmił, że Calderwood odłożył ją bez słowa pożegnania.

Rudolf spojrział niechętnie na telefon i też odłożył słuchawkę. Na niedzielne popołudnie miał bilety dla siebie i Jean na ciekawy mecz piłki nożnej, a wezwanie Calderwooda oznaczało, że będzie musiał z tego zrezygnować. W Michigan Jean zaprzyjaźniła się z jednym z chłopców z drużyny „Giants”, a o piłce nożnej wiedziała zadziwiająco dużo, więc jej towarzystwo podczas meczu byłoby niemałą przyjemnością. Dlaczego stary człowiek nie kładzie się po prostu do łóżka i nie umiera?

Telefon zadzwonił znowu i tym razem odezwała się Gretchen. Po śmierci męża jej głos zmienił się dziwnie - utracił coś z ciepła, melodyjności, ożywienia, którymi dźwięczał od wczesnych młodzieńczych lat Gretchen. Była zadowolona, że słyszy brata, ale zadowolona tępo, jak ciężko chora, która przyjmuje odwiedziny w szpitalnym pokoju. Powiedziała, że u niej wszystko dobrze. Jest nieustannie zajęta przeglądaniem i

porządkowaniem papierów Colina, a ponadto odpowiada na listy kondolencyjne, które nadal otrzymuje masowo i odbywa konferencje z adwokatami w sprawach spadkowych.

Dziękuję Rudolfowi za czek przesłany pocztą w ubiegłym tygodniu i zapewnia go, że po ostatecznym załatwieniu formalności spadkowych zwróci mu wszystkie pieniądze, jakie od niego otrzymała.

- O to się nie martw, bardzo cię proszę. Nic nie będziesz musiała mi zwracać - powiedział Rudolf.

Gretchen puściła mimo uszu jego słowa i mówiła dalej.

- Jestem zadowolona, że się odezwałeś. Właśnie chciałam zadzwonić do ciebie, poprosić o jeszcze jedną przysługę.

- O jaką przysługę? - zapytał i dodał zaraz: - Przepraszam cię na chwilę.

Dzwonił telefon wewnętrzny z portierni, więc podszedł żywo do aparatu i nacisnął odpowiedni guzik.

- W hallu jest panna Prescott - oznajmił portier, który miał za zadanie bronić spokoju lokatorów domu.

- Proszę ją przysłać na górę - powiedział Rudolf i śpiesznie wrócił do przerwanej rozmowy. - Bardzo przepraszam, Gretchen. Co chciałaś mi powiedzieć?

- Wczoraj dostałam list, który Billy napisał ze szkoły - odpowiedziała - i jego ton bardzo mi się nie podoba. Nie ma tam nic konkretnego, ale, widzisz, Billy jest już taki. Nigdy nie przyzna się, co go dręczy i dlaczego. Tym razem, Rudi, odniosłam wrażenie, że chłopak jest w rozpacz. Czy mógłbyś znaleźć trochę czasu, odwiedzić go i sprawdzić, co stało się złego?

Rudolf zawahał się. Miał poważne wątpliwości, czy Billy lubi go wystarczająco, by mu zaufać, obawiał się zatem, że jego odwiedziny w szkole mogą wyrządzić więcej złego niż dobrego.

- Oczywiście - odparł - pojedę tam, jeżeli sobie życzysz. Nie sądzisz jednak, że bardziej wskazana mogłaby być wizyta ojca?

- Nie. Willie to niezdara. Z pewnością znalazłby do powiedzenia coś najbardziej niewłaściwego.

Tym razem zabrzączał dzwonek u drzwi wejściowych.

- Przepraszam znów na chwilę - powiedział Rudolf. - Ktoś dzwoni do drzwi...

Wybiegł do przedpokoju i otworzywszy drzwi, poinformował śpiesznie Jean:

- Mam międzymiastową rozmowę.

Wrócił truchtem do bawialni i podjął raz jeszcze:

- Słucham cię, Gretchen. - Celowo użył imienia siostry, bo nie chciał, by Jean podejrzewała go o rozmowę z inną kobietą. - Wiesz, co myślę zrobić? Jutro rano pojedę do szkoły, zaproszę twojego syna na lunch i przy okazji dowiem się, o co chodzi.

- Bardzo mi przykro, że ci czas zajmuję - powiedziała Gretchen - ale ten jego list był taki... taki mroczny.

- Najprawdopodobniej to nic ważnego. Billy zajął drugie miejsce w jakimś biegu, oblał egzamin z algebry albo coś w tym rodzaju.

Dobrze wiesz, jakie są dzieciaki.

- Inne, ale nie on. Powiadam ci, że Billy jest w rozpacz.

Głos Gretchen był jakiś obcy, wezbrany łzami.

- Zatelefonuję do ciebie jutro wieczorem po wizycie w szkole.

Będiesz w domu?

- Tak. Będę w domu - odpowiedziała.

Rudolf wolno odkładał słuchawkę myśląc o swojej siostrze, która - sama w położonym na grzbiecie wzgórza, odosobnionym domu z widokiem na miasto i morze - wyczekuje dzwonka telefonu, przegląda papiery swojego zmarłego męża. Potrząsnął głową. Na troskę o Gretchen przyjdzie czas jutro. Przez szerokość pokoju uśmiechnął się do Jean, która w czerwonych pończochach i mokasynach siedziała skromnie na zwykłym drewnianym krześle. Włosy miała błyszczące, wyszczotkowane starannie i czarną aksamitką związane w koński ogon. Jej twarz - jak zawsze - sprawiała wrażenie wyszorowanej do czysta i bardzo dziewczęcej, a ukochane smukłe ciało prawie niknęło w luźnej kurtce sportowej z wielbłądziej wełny. Jean miała dwadzieścia cztery lata, ale w podobnych chwilach wyglądała na nie więcej niż szesnaście. Tego rana pracowała zawodowo i przysłała ze swoim sprzętem fotograficznym, który beztrąsko złożyła na

podłódze tuż obok drzwi bawialni.

- Wyglądasz tak, że powinienem zaproponować ci szklanekę mleka i ciasteczko - powiedział Rudolf.

- Lepiej zaproponuj mi coś mocniejszego do wypicia. Jestem na mieście od siódmej rano. Może być whisky. Tylko nie za dużo wody.

Zbliżył się i pocałował ją w czoło. Odpowiedziała mu pogodnym uśmiechem. Ach, te młode dziewczęta! - pomyślał i wyszedł do kuchni po dzbanek z wodą.

Popijając whisky, Jean przeglądała listę wystaw artystycznych zamieszczoną w numerze „Timesa” z ostatniej niedzieli. Gdy Rudolf miewał wolną sobotę, zazwyczaj robili wycieczki do rozmaitych galerii sztuki. Jean pracowała na własną rękę jako fotograficzka i wiele zdjęć robiła dla czasopism artystycznych oraz wydawców katalogów.

- Włóż wygodne obuwie - powiedziała - czeka nas pracowite i długie popołudnie.

Głos miała zadziwiająco niski i głęboki jak na tak drobną dziewczynę.

- Dokąd ty pójdziesz - odpowiedział - ja pójdę za tobą.

Byli u drzwi, kiedy telefon odezwał się znowu.

- Niech sobie dzwoni - uśmiechnął się Rudolf. - Zmykajmy prędko.

Jean zatrzymała się w otwartych drzwiach.

- Jak to? Ty możesz słuchać dzwoniącego telefonu i nie podnieść słuchawki?

- Ma się rozumieć, że mogę.

- Ja nie mogłabym za nic. Przecież to może być coś cudownego.

- Nigdy nie przytrafiło mi się nic cudownego przez telefon.

Zmykajmy. Prędzej.

- Odezwij się. Ta historia będzie cię dręczyć do wieczora.

- Nie. Wcale nie będzie dręczyć.

- Ale mnie będzie dręczyć. Trudno! Ja się odezwę. - Zawróciła do małej bawialni.

- Dobrze, dobrze... Niech będzie. - Rudolf wyprzedził ją i podniósł słuchawkę.

Telefonowała z Whitby jego matka. Ton, jakim powiedziała:

„Rudolfie”, wskazywał, że rozmowa nie będzie niczym cudownym.

- Rudolfie - rozpoczęła matka - nie chciałabym nudzić cię podczas wypoczynku... -

Była święcie przekonana, że jej syn wyjeżdża z Whitby do Nowego Jorku jedynie po to, by korzystać z jakichś sekretnych, nieprzyzwoitych rozrywek. - Ale ogrzewanie nie działa i kosztuje w tej pełnej przeciągów, starej ruderze.

Przed trzema laty Rudolf kupił położony na krańcach miasta piękny, stylowy, osiemnastowieczny dom farmerski o niskich, belkowanych pułapach, lecz Mary Pease Jordach z reguły nazywała tę świeżą siedzibę pełną przeciągów, starą ruderą albo obrzydliwą norą w ruinie.

- Marta nic na to nie poradzi? - zapytał.

Marta była starą służącą, która utrzymywała dom w porządku, gotowała i opiekowała się starszą panią, za co zdaniem Rudolfa otrzymywała haniebnie niskie wynagrodzenie.

- Marta! - obruszyła się matka. - Mam ochotę wyrzucić ją z miejsca.

- Ależ, mammo...

- Kiedy jej powiedziałam, by zeszła do piwnicy i obejrzała piec, odmówiła bezczelnie. - Głos pani Jordach podniósł się o oktawę. - Podobno boi się piwnic. Poradziła mi za to, abym włożyła sweter. Z całą pewnością nie szafowałaby takimi radami, gdybyś traktował ją mniej pobłaźliwie. Naszym kosztem spała się tak, że nie byłoby jej zimno nawet na Biegunie Północnym. Jak wrócisz do domu, jeżeli kiedykolwiek raczysz wrócić, błagam cię, powiedz kilka słów tej osobie.

- W domu będę jutro po południu i z Martą porozmawiam. - Rudolf zdawał sobie sprawę, że Jean uśmiecha się doń złośliwie; jej rodzice mieszkali gdzieś na Środkowym Zachodzie i od dwu lat ich nie widziała. - A tymczasem, mammo, zadzwoń do biura: Wezwij do telefonu Brada Knighta. On dziś pracuje. Powiedz mu, że z mojego polecenia prosisz o przysłanie jednego z naszych monterów.

- Pomyśli sobie, że stara idiotka ze mnie.

- Nic nie pomyśli. Zrób tak, jak ci mówię.

- Nie wyobrażasz sobie, jak tutaj zimno. Wiatr po prostu wyje w okiennych szparach. Nie mam pojęcia, dlaczego my nie możemy mieszkać w przyzwoitym, nowym domu, jak wszyscy inni.

Była to stara śpiewka, więc zlekceważył ją kompletnie. Od czasu gdy uświadomiła sobie, że Rudolf robi grube pieniądze, jego matka zaczęła nagle przejawiać niepojęte zamilowanie do zbytku.

Rudolf marszczył się gniewnie za każdym razem, gdy otrzymywał z domu towarowego jej miesięczne rachunki do uregulowania.

- Każ Marcie rozpaść ogień w bawialni i pozamykać wszystkie drzwi. Zobaczysz, że bardzo niedługo zrobi ci się zupełnie ciepło.

- Każ Marcie rozpaść ogień! - fuknęła matka. - Jeżeli będzie łaskawa. Czy jutro wieczorem zdążysz do domu na obiad?

- Obawiam się, że nie. Muszę być u pana Calderwooda.

Nie było to zupełnie kłamstwo. Rudolf nie został zaproszony na obiad do Calderwooda, lecz rzeczywiście musiał być u niego. A w każdym razie nie nęcił go obiad w towarzystwie matki.

- Calderwood, Calderwood! - burknęła gniewnie. - Nieraz wydaje mi się, że zacznę krzyczeć, kiedy znowu usłyszę to nazwisko.

- Muszę już wyjść, mam. Ktoś na mnie czeka.

Usłyszał, że jego matka zaczyna płakać, więc szybko przerwał połączenie.

- Dlaczego starsze panie nie mogą po prostu kłaść się i umierać? - zwrócił się do Jean. - Eskimosi lepiej radzą sobie z nimi.

Wyprowadzają je na mróz. No chodźmy, nim ktoś jeszcze zdąży zatelefonować.

Przy drzwiach ucieszył się, gdyż Jean nie sięgnęła po swoje aparaty fotograficzne. Świadczyło to, że po południu musi wrócić, aby je zabrać. W tej kwestii nigdy nic nie było wiadomo. Kiedy wychodzili razem, czasami wracała z nim, jak gdyby inne rozwiązanie było niepodobieństwem; czasami bez komentarzy zatrzymywała taksówkę i mówiła, że musi być w swoim mieszkaniu, które dzieliła z jakąś inną dziewczyną. Kilkakrotnie zjawiała się u jego drzwi nie zapowiedziana twierdząc, że chciała sprawdzić, czy może przypadkiem jest w domu.

Jean chodziła własnymi drogami i robiła, co chciała. Rudolf nie widział nigdy jej mieszkania. Z reguły przychodziła do niego albo też spotykali się w jakimś barze. Na ten

temat również nie udzielała wyjaśnień. Była młoda, to fakt, lecz sprawiała wrażenie osoby pewnej siebie i całkowicie niezależnej. Jej prace - o czym Rudolf dowiedział się gdy po otwarciu ośrodka handlowego w Port Philip przyjechała z próbnymi odbitkami do Whitby - miały charakter wybitnie zawodowy i były zadziwiająco śmiałe jak na zdjęcia robione przez dziewczynę, która na pierwszy rzut oka wydawała się bardzo dziecinna i nieśmiała. Ale i w łóżku nie była nieśmiała a bez względu na to, co robiła i dlaczego, nigdy nie przejawiała cech powściągliwości: Nigdy nie skarżyła się, że z powodu swojej pracy w Whitby Rudolf nie może widywać się z nią często, a okresy rozłąki trwają niekiedy aż po dwa tygodnie. To on biadał z tej racji i ustawicznie szukał rozmaitych pretekstów, wymyślał niepotrzebne spotkania w Nowym Jorku, po to jedynie, aby móc ją widywać.

Jean nie należała do dziewcząt, które ukochanego zasypują szczegółami autobiograficznymi. Rudolf dowiadywał się od niej niewiele. Pochodzi ze Środkowego Zachodu. Jest w złych stosunkach z rodziną. Ma starszego brata, który zajmuje się familijną firmą branży farmaceutycznej. College ukończyła w dwudziestym roku życia. Później specjalizowała się w socjologii. Fotografia interesuje ją od dzieciństwa. Osiedliła się w Nowym Jorku, ponieważ ktoś, kto chce dojść do czegoś w życiu, tam musi rozpoczynać karierę. Cartier-Bresson, Penn, Capa, Duncan, Klein - to fotograficy, których prace odpowiadają jej najbardziej. Pośród tych nazwisk znajduje się miejsce na chociaż jedno kobiece. Może to ma być jej nazwisko?

Miewa randki z mężczyznami, o których nie chciała mówić. Latem żegluje zwykle na jachtach, których nazw nie wymieniała. Była w Europie na pewnej jugosłowiańskiej wyspie i bardzo chętnie wybrałaby się tam ponownie. Dziwi się, że Rudolf nigdy nie wyjeżdżał poza granice Stanów Zjednoczonych.

Ubierała się młodzieżowo, w kolorach, które zrazu wydawały się jaskrawe i kontrastowe, lecz po chwili sprawiały wrażenie pięknie harmonizujących ze sobą. Ubiorów miała niewiele i po pierwszych trzech wspólnych wypadach do miasta Rudolf był pewien, że zna całą jej garderobę.

Krzyżówkę z niedzielnego numeru „Timesa” rozwiązywała szybciej niż on.

Charakter pisma miała męski - bez zbędnych ozdób i zakrętasów.

Lubiła nowoczesnych malarzy, których dzieł Rudolf nie potrafił ocenić ani zrozumieć. „Patrz długo i wytrwale - mówiła - a pewnego dnia drzwi otworzą się i nagle przekroczysz próg.”

Jean nigdy nie chodziła do kościoła. Nigdy nie płakała na smutnym filmie. Nigdy nie przedstawiła Rudolfa komuś ze swoich znajomych.

Johnny Heath nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Nie bała się, że jej włosy zmokną na deszczu. Nigdy nie skarżyła się z racji pogody albo korków w ruchu ulicznym. Nigdy nie powiedziała: „Kocham cię.”

- Kocham cię - powiedział.

Leżeli w łóżku okryci po szyję; on trzymał dłoń na jej piersiach.

O siódmej po południu w pokoju było zupełnie ciemno. Odbyli wędrowkę po dwudziestu galeriach sztuki, lecz Rudolf nie przekroczył żadnego „progu”. Lunch zjedli w małej włoskiej restauracji, gdzie gospodarz nie miał zastrzeżeń wobec dziewcząt w czerwonych wełnianych pończochach. Przy stoliku Rudolf powiedział Jean, że następnego dnia nie może pójść z nią na mecz i wytłumaczył dlaczego. Nie przejęła się wcale, a gdy dał jej bilety, powiedziała, że zabierze tam znajomego, który w swoim czasie grywał jako obrońca w drużynie Uniwersytetu Columbia. Jadła z nie lada apetytem.

Z wędrowki po mieście wrócili przemarznięci, gdyż w grudniowe popołudnie wcześniej zrobiło się zimno. Rudolf przygotował dla obojga gorącą herbatę z rumem.

- Dobrze byłoby mieć tu ogień na kominku - powiedziała Jean, która, zrzuciwszy mokasyny, siedziała zwinięta w kłębek na kanapie.

- To już w następnym mieszkaniu, które wynajmę.

Kiedy pocałowali się, pachnieli rumem przyprawionym cytryną.

W łóżku kochali się bez pośpiechu, do ostatka.

- Tak właśnie powinno wyglądać zimowe popołudnie w Nowym Jorku - odezwała się Jean, gdy skończyli i spokojnie leżeli obok siebie. - Sztuka, spaghetti, rum i rozpusta.

Roześmiał się, bliżej przygarnął ją do siebie. Pożałował swoich lat abstynencji. Później nie miał tej pewności. Może właśnie dzięki abstynencji był gotów dla niej, wolny

dla niej?

- Kocham cię - powiedział. - Chcę się z tobą ożenić.

Przez chwilę leżała bez ruchu. Później odrzuciła koce i zaczęła ubierać się w milczeniu.

Zepsułem wszystko, pomyślał, i zapytał:

- Co się stało?

- Poruszyłeś temat, na który nigdy nie dyskutuję nago - odpowiedziała z całą powagą.

Roześmiał się znowu, lecz wcale nie był szczęśliwy. Ile razy, z jak wieloma mężczyznami dyskutowała na temat małżeństwa ta śliczna, pewna siebie dziewczyna rządząca się własnymi, tajemniczymi zasadami postępowania? Dawniej nigdy nie był zazdrosny. Uważał zazdrość za emocję nieopłacalną.

Patrzył na drobny cień poruszający się w mrocznym pokoju. Słuchał szelestu tkaniny dotykającej skóry. Jean wyszła do bawialni. To dobry znak? Czy może zły? Co on ma robić? Zostać spokojnie w łóżku, nie pójść za nią? Wcale nie zamierzał powiedzieć dzisiaj:

„Kocham cię” ani: „Chcę się z tobą ożenić”.

Zsunął się z łóżka i ubrał szybko. Jean siedziała w bawialni urządzonej cudzymi meblami, majstrowała coś przy radiu. Co chwila rozlegały się głosy spikerów - gładkie, słodkie jak miód głosy, którym nie uwierzyłby nikt, gdyby mówiły: „Kocham cię”.

- Chcę się czegoś napić - powiedziała Jean.

Nie odwróciła głowy. Nadal bawiła się tarczami radioodbiornika.

Rudolf nalał dla obydwojga krajowej whisky z wodą. Jean piła jak mężczyzna. Czy nauczył ją tego któryś z poprzednich kochanków?

- I co? - zapytał.

Stojąc przed nią odczuwał, że zajmuje niekorzystną pozycję petenta. Nie włożył trzewików ani krawata i marynarki. Zdawał sobie sprawę, że bosy i w koszuli jest ubrany niestosownie na taką okazję.

- Włosy masz w nieładzie - powiedziała. - Znacznie przystojniej wyglądasz

roztargany.

- Może i mowę mam w nieładzie? - podjął. - Czyżbyś nie zrozumiała, co powiedziałem w pokoju sypialnym?

- Owszem, rozumiałam. - Wyłączyła radio i sztywno zasiadła na krześle, trzymając szklanekę z whisky w obydwu rękach. - Chcesz się ze mną ożenić.

- Tak właśnie powiedziałem.

- Chodźmy do kina - podjęła. - Na sąsiedniej ulicy jest film, który koniecznie chcę zobaczyć...

- Nie rób uników.

- Film wyświetlają tylko do jutra, a przecież jutro po południu nie będzie cię tutaj.

- Zadałem ci pytanie.

- Czy pytanie miało być pochlebne dla mnie?

- Nie.

- Ale jest pochlebne. No to chodźmy do kina - powiedziała, lecz nie zrobiła ruchu świadczącego, że zamierza wstać z krzesła.

Siedząc tak do połowy w cieniu, gdyż jedyna włączona lampa rzuciła blask z ukosa, sprawiała wrażenie niesłychanie delikatnej, kruchej. Rudolf patrzył na nią i nie miał wątpliwości, że słusznie powiedział to, co powiedział w łóżku - że nie działał pod wpływem doraźnego impulsu, wzruszenia w chłodne popołudnie, lecz posłuchał nakazu istotnej potrzeby.

- Będę złamany, jeżeli usłyszę: nie - podjął.

- Wierzysz w to?

Spoglądała w swoją szklanekę, w której mieszała palcem whisky z wodą. Rudolf widział tylko czubek jej głowy, puszczone luźno włosy połyskujące w świetle lampy.

- Tak.

- Powiedz prawdę.

- Prawie - odrzekł. - Prawie w to wierzę. I będę prawie złamany.

- Nie wątpię, że dla kogoś będziesz uczciwym mężem. - Tym razem roześmiała się ona.

- I co? - zapytał ponownie.

Stojąc nad nią ujął Jean pod brodę, podniósł jej głowę tak, by spojrzała na niego. Oczy miała jak gdyby pełne wątpliwości i przestachu, drobną twarz bladą.

- Zadzwoń do mnie, jak następnym razem przyjedziesz do Nowego Jorku - powiedziała.

- To nie odpowiedź.

- Odpowiedź w pewnej mierze. Znaczy, że muszę mieć czas do namysłu.

- Dlaczego?

- Ponieważ robię coś, co nie pozwala mi być dumną z siebie - wyjaśniła. - Muszę zastanowić się, jak powinnam postąpić, by taką dumę odzyskać.

- Co takiego robisz? - zapytał niepewny, czy chce to wiedzieć, czy nie chce.

- Uprawiam mijankę. To, widzisz kobieca choroba. Kiedy zaczęło się z tobą, miałam romans z pewnym chłopcem i nie zerwałam z nim.

Robię coś, czego nie zamierzałam robić nigdy w życiu. Sypiam z dwoma mężczyznami na przemian. Tamten też chce się ze mną żenić.

- Szczęściarka z ciebie - rzucił z goryczą Rudolf. - Czy tamten to twoja współlokatorka?

- Nie. Współlokatorka jest autentyczną dziewczyną. Mogę okazać ci ją na żądanie.

- To powód, dla którego nie pozwalasz mi przychodzić do twojego mieszkania? On tam jest?

- Nie... Jego tam nie ma.

- Ale był, prawda?

Rudolf uprzytomnił sobie ze zdziwieniem, że został zraniony - głęboko zraniony - i co gorsza, chciałby obracać nóż w tej ranie.

- Jedną z najbardziej pociągających twoich zalet było to, że zbytnia pewność siebie powstrzymywała cię od zadawania pytań.

Jeżeli z powodu miłości masz stać się mniej pociągający, zapomnij o miłości.

- Co za piekielne popołudnie!

- To chyba kończy sprawę. - Jean wstała, bez pośpiechu odstawiała szklanę. - Nie będzie dziś kina.

Zaczęła nakładać kurtkę, a Rudolf patrząc na nią pomyślał, że nie zobaczy jej więcej, jeżeli teraz tak odejdzie. Postąpił krok, objął ją, pocałował.

- Mylisz się - powiedział. - Będzie dziś kino.

Uśmiechnęła się niepewnie, jak gdyby kosztem znacznego wysiłku.

- Ubierz się do reszty - powiedziała. - Nie cierpię spóźniać się na początek filmu.

W sypialnym pokoju uczesał włosy, zawiązał krawat, naciągnął trzewiki. Wkładając marynarkę spojrzął przelotnie na skotłowane łóżko - niedawne pole walki.

Gdy wrócił do bawialni, zobaczył, że Jean obwiesza się sprzętem fotograficznym. Usiłował protestować, lecz nic nie osiągnął.

- Byłam tu wystarczająco długo - odpowiedziała - jak na jedną sobotę.

Następnego rana Rudolf był w drodze do szkoły, w której uczył się Billy, i prowadząc wóz wśród niemrawego ruchu wczesnej pory myślał o Jean, nie o swoim siostrzeńcu. Obejrzelik film, który sprawił im zawód, zjedli kolację w restauracji przy Trzeciej Alei, tematem ich rozmów były sprawy nieważne dla obojwojga - film, który dziś widzieli, inne znane im filmy i sztuki, książki i artykuły w czasopismach, pogłoski z Waszyngtonu. Konwersacja ludzi obcych sobie. Starannie omijali małżeństwo i uprawianie mijanki z kochankami. Byli bardzo zmęczeni, jak gdyby znaczny wysiłek fizyczny wyczerpał ich uprzednio. Pili więcej niż zwykle. Gdyby to była pierwsza ich randka, wydaliby się sobie nawzajem nudziarzami.

W pustoszejącej restauracji skończyli steki i wypili po kieliszku koniaku. Następnie Rudolf doznał znacznej ulgi, gdy wsadził Jean do taksówki, a sam wrócił pieszo do domu i zamknął za sobą na klucz drzwi, chociaż jaskrawe dekoracje mieszkania i wymyślnie kanciaste meble przywodziły na myśl żywe obrazy na platformach w zeszłorocznym pochodzie karnawałowym. Łóżko wydało mu się teraz obrzydliwym dowodem niechlujstwa niedbałej pani domu, nie ciepłym schroniskiem miłości. Spał twardo, a kiedy się obudził, przypomniał sobie wczorajszy wieczór i swoje zadanie na ten dzień.

Grudniowy, brudny od sadzy deszcz za oknami uznał za pogodę akurat odpowiednią na taki weekend.

Z samego rana zatelefonował do szkoły i pozostawił wiadomość dla siostrzeńca, że będzie o pół do pierwszej i zabierze go na lunch, ale przyjechał wcześniej, niż przewidywał - niedługo po dwunastej.

Deszcz ustał wprawdzie i na południu mętne słońce wyglądało zza chmur, ale nikogo nie było widać na terenach szkolnych, nikt nie wchodził do budynków ani z nich nie wychodził. Z tego, co słyszał od Gretchen, Rudolf wnosił, że przy pięknej pogodzie i w bardziej sprzyjającej porze roku szkoła i jej otoczenie to miejsce pełne uroku. Obecnie jednak - wśród pustki pod deszczowym niebem - było coś po więziennemu odrażającego w stłoczonych zabudowaniach i grząskich trawnikach. Rudolf zajechał przed coś, co wydało mu się głównym budynkiem szkolnym, i niepewnie wysiadł z samochodu, bo absolutnie nie wiedział gdzie szukać siostrzeńca. Wtedy z odległej o jakieś sto kroków kaplicy dobiegł go chór mocnych, młodych głosów, które śpiewały hymn: „Naprzód, żołnierze Chrystusa”.

Niedziela, pomyślał. Obowiązkowy udział w nabożeństwie. W prywatnych szkołach praktykuje się jeszcze takie rzeczy. Do licha!

Kiedy ja miałem tyle lat, ile ma teraz Billy, musiałem tylko każdego rana składać hołd fladze narodowej i ślubować wierność Stanom Zjednoczonym Ameryki. To korzyść wynikająca z publicznego nauczania. Rozdział Kościoła od państwa.

Lincoln Continental podjechał i zatrzymał się przed stopniami ganku. Była to bogato wyposażona szkoła - szkoła przyszłych władców Ameryki. Rudolf, właściciel tylko Chevroleta, wyobraził sobie, co mówiono by później podczas nauczycielskich herbatek, gdyby przyjechał tutaj swoim motocyklem, który miał jeszcze, chociaż posługiwał się nim bardzo rzadko. Dżentelmen o godnym wyglądzie, ubrany w elegancki płaszcz nieprzemakalny, wysiadł z Lincolna, a swoją damę pozostawił w wozie. Rodzice w rzadkich weekendowych kontaktach z jednym z przyszłych władców Ameryki.

Zachowanie dżentelmena o godnym wyglądzie wskazywało, że jest co najmniej prezesem jakiejś spółki akcyjnej. Był rumiany, rześki, w doskonałej kondycji fizycznej.

Rudolf nauczył się już rozpoznawać typy takiego pokroju.

- Dzień dobry panu - zwrócił się doń gładko tonem, jakiego zwykł używać w rozmowach z prezesami spółek akcyjnych. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się Sillitoe Hall?

Dżentelmen uśmiechnął się szeroko, ukazując pięć tysięcy dolarów roboty dentystycznej najwyższej klasy.

- Dzień dobry, dzień dobry. Tak, oczywiście. Mój mały rezydował tam w zeszłym roku. To pod pewnymi względami najlepszy z pawilonów szkolnych. Jest tam. - Wskazał palcem budynek położony o mniej więcej czterysta jardów. - Podjedzie pan tam łatwo tą alejką, a później dookoła.

- Bardzo dziękuję - powiedział Rudolf.

W kaplicy hymn dźwięczał nadal. Ojciec nastawił ucha.

- Chłopcy chwalą Boga - powiedział. - Dobrze, bardzo dobrze. Tego nigdy nie może być za dużo.

Rudolf wsiadł do swojego Chevroleta i zajechał przed Sillitoe Hall. Wszedł do pustego budynku i po drodze spojrzął na tablicę pamiątkową porucznika Sillitoe. Czteroletnia dziewczynka w niebieskim kombinezonie jeździła na trzykołowym rowerku dookoła znajdującej się na parterze obszernej świetlicy. Duży seter zaczął go nieszkodliwie obszczekiwać. Rudolf był trochę zbity z tropu.

Nie spodziewał się czteroletniej dziewczynki w szkole dla chłopców.

Drzwi otworzyły się i do świetlicy weszła ubrana w spodnie pulchna, młoda kobieta o bardzo sympatycznej twarzy.

- Cicho, Boney! - skarciła psa i z uśmiechem zwróciła się do Rudolfa. - Jest całkiem niegroźny - powiedziała.

Jej obecność w tym miejscu również wydała się dziwna Rudolfowi.

- Jest pan ojcem? - zapytała ujmując za obrozę psa, który zaczął się dławić, lecz w przyplwywie miłości radośnie wymachiwał ogonem.

- Niezupełnie. Billy Abbott to mój siostrzeniec. Telefonowałem dziś z rana.

Jakiś dziwny wyraz pojawił się przelotnie na miłej, młodej twarzy.

Troska? Podejrzliwość? Ulga?

- A tak! Billy oczekuje pana. Jestem Mollie Fairweather; żona wychowawcy tego pawilonu.

To wyjaśniło obecność małej dziewczynki, psa, jej samej. Rudolf pomyślał, że jeżeli jego siostrzeńcowi coś dolega, to na pewno nie z winy tej tryskającej zdrowiem, sympatycznej kobiety.

- Chłopcy wrócą z kaplicy lada chwila - podjęła pani Fairweather.

- Może czekając na siostrzeńca zechce pan wstąpić do nas, napić się czegoś?

- Nie chciałbym sprawić pani kłopotu - odrzekł, ale nie protestował więcej, a ona ruchem ręki wskazała mu otwarte drzwi.

W obszernym, wygodnym pokoju meble były mocno podniszczone, książki bardzo liczne.

- Mój mąż jest również w kaplicy - wyjaśniła - ale chyba mamy trochę kseresu. - W sąsiednim pokoju zapłakało dziecko. - Moje najmłodsze daje znać o sobie. - Śpiesznie naląła kseresu gościowi i przeprosiwszy go wyszła z bawialni, by sprawdzić, czemu to jej najmłodsze daje znać o sobie.

Placz ustał niezwłocznie. Pani Fairweather wróciła do bawialni przyglądając włosy. Sobie również naląła wina.

- Zechce pan usiąść. Proszę - powiedziała.

Nastąpiła kłopotliwa pauza. Zasiadając w fotelu Rudolf uprzytomnił sobie, że ta kobieta zna Billy'ego ledwie od paru miesięcy, a przecież musi znać go znacznie lepiej niż on, który bez przygotowania i na oślep podjął się nieokreślonej misji ratowniczej. Winien był poprosić Gretchen, aby przez telefon przeczytała mu list, który tak ją zaniepokoił.

- Billy to bardzo miły chłopiec - podjęła pani Fairweather. - Przystojny, dobrze wychowany. Pośród naszych uczniów trafiają się tak niesforni, że wysoko cenimy tych, którzy wiedzą, jak się zachowywać.

Pociągnęła łyk kseresu, a Rudolf spojrział na nią i nagle doszedł do wniosku, że pani Fairweather jest człowiekiem szczęśliwym.

- Jego matka niepokoi się o niego - powiedział.

- Naprawdę?

Odpowiedź padła zbyt szybko. Widać nie tylko Gretchen zauważyła coś niedobrego.

- W tym tygodniu - ciągnął Rudolf - otrzymała list od syna i... Ma się rozumieć, matki bywają w takich razach skłonne do przesady...

I z tonu tego listu wysnuła wniosek, że Billy jest w rozpacz. - Nie widział powodu, by cel swoich odwiedzin tać wobec tej niewątpliwie rozsądnej i dobrej kobiety. - Moim zdaniem, to zbyt mocne słowo, lecz bądź co bądź jednak przyjechałem, aby zobaczyć, co się da w tej sprawie zrobić. Jego matka mieszka w Kalifornii i... - urwał, by zaraz dodać z pewnym zakłopotaniem: - I powtórnie wyszła za męż.

- Często napotykamy podobne sytuacje - powiedziała pani Fairweather i roześmiała się nagle. - Oczywiście mam na myśli powtarzalne małżeństwa rodziców, nie to, że mieszkają w Kalifornii.

- Jej mąż zmarł parę miesięcy temu - podjął Rudolf.

- Aa... Wyrazy współczucia. Może właśnie dlatego Billy... - nie dokończyła zdania.

- Czy pani również zwróciła uwagę na coś szczególnego?

Pani Fairweather odgarnęła z czoła krótkie włosy. Była wyraźnie zakłopotana.

- Wolę, by porozmawiał pan z moim mężem. To raczej jego sfera działania.

- Jestem pewien, że od pani nie usłyszę nic takiego, z czym małżonek mógłby się nie zgodzić - powiedział Rudolf przekonany, że bez męzowskiej asysty pani Fairweather będzie mniej powściągliwa, mniej dyskretna na temat szkoły, jeżeli rzeczywiście szkoła ponosi jakąś winę.

- Ma pan próżny kieliszek. - Sięgnęła po ten kieliszek, aby napełnić go ponownie.

- Chodzi o jego stopnie? - zapytał Rudolf. - A może z jakichś powodów Billy jest prześladowany przez kolegów?

- Nie. - Podała mu mały kieliszek kseresu. - Billy ma dobre stopnie i wszystko wskazuje, że łatwo utrzyma się na tym poziomie.

A na żadne prześladowania nie pozwalamy tutaj. - Wzruszyła ramionami. - To

zagadkowy chłopiec. Wiele razy rozmawiałam o nim z mężem i próbowaliśmy go wybadać. Bez powodzenia. Billy jest dziwnie... dziwnie nieobecny. Nie nawiązuje kontaktu z nikim, z żadnym kolegą, z żadnym wychowawcą. Jego współlokator poprosił o przeniesienie do innego pawilonu.

- Zdarzały się bójki między nimi?

- Nie. Tamten chłopiec mówi, że Billy nie odzywa się do niego.

Nigdy. Na żaden temat. Bez zarzutu utrzymuje w porządku swoją część pokoju, odrabia lekcje w wyznaczonych na ten cel godzinach, nie skarży się na nic, lecz ledwie odpowiada „tak” albo „nie”, jeżeli ktoś zwróci się do niego. Jest chłopcem silnym fizycznie, ale nie bierze udziału w żadnych grach sportowych. Nie grywa w piłkę ani w nic takiego, chociaż w tym roku szkolnym mamy tłumy chłopców, którzy trenują na placach przed budynkami piłkę nożną albo ręczną. A w soboty, kiedy rozgrywa się mecze z innymi szkołami i wszyscy chłopcy na boisku, on siedzi w swoim pokoju i czyta - mówiła płynnie pani Fairweather, a jej głos brzmiał nutą troski, taką jaką słyhać było w głosie Gretchen podczas rozmowy telefonicznej.

- Gdyby chodziło o dorosłego człowieka - ciągnęła - byłabym skłonna do podejrzeń, że Billy cierpi na melancholię. To niezbyt pocieszające. Wiem... - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Ale nie stawiam diagnozy, lecz usiłuję wyjaśnić sprawę. Mój mąż i ja nie potrafiliśmy odkryć nic więcej. Jeżeli pan trafi na ślad czegoś specyficznego, czegoś, z czym szkoła nie mogła sobie poradzić, będziemy nad wyraz wdzięczni.

Dzwony kaplicy zadźwięczały w oddali po przeciwległej stronie terenów szkolnych. Rudolf zobaczył pierwsze grupki chłopców wychodzące z kaplicznego portalu.

- Czy mógłbym dowiedzieć się od pani, gdzie Billy ma swój pokój? - zapytał. - Tam poczekałbym na niego.

- Kto wie? - pomyślał. - Może znajdę tam jakiś klucz do rozwiązania zagadki, który ułatwi mi spotkanie z chłopcem.

- Jego pokój, proszę pana, znajduje się na trzecim piętrze przy końcu korytarza. Ostatnie drzwi na lewo.

Podziękował pani Fairweather i zostawił ją z dwójką dzieci i seterem. Jaka to miła

kobieta, myślał wspinając się po schodach.

Nikt równie sympatyczny nie zajmował się moją edukacją. Cóż, skoro Billy i ją niepokoi, musi być w tej historii coś naprawdę niedobrego.

Drzwi, jak prawie wszystkie inne wzdłuż korytarza, były otwarte.

Niewidzialna kurtyna zdawała się rozdzielać pokój. Po jednej jej stronie łóżko otoczone stosami leżących na podłodze książek było niedbale posłane, zarzucone płytami gramofonowymi. Nad nim wisiały przypięte do ściany podobizny dziewcząt i mistrzów sportu, wydarte z jakichś czasopism. Po przeciwległej stronie łóżko było nieskazitelnie schludne, a ściana wolna od wszelkich dekoracji. Na małym biurku stały tylko dwie fotografie - Gretchen i jej drugiego męża. Gretchen siedziała na leżaku w ogrodzie kalifornijskiego domu. Burke patrzył z oficjalnej fotografii publikowanej niegdyś przez jakieś czasopismo. Willie Abbott nie miał tam swojego zdjęcia.

Na łóżku znajdowała się tylko jedna książka - otwarta, rozłożona okładkami do góry. Rudolf nachylił się, aby przeczytać tytuł.

„Dżuma” Camusa. Osobliwa lektura dla czternastoletniego chłopca i wysoce wątpliwy lek przeciwko melancholii.

Jeżeli przesadne zamięrowanie do porządku stanowi objaw młodzieńczej neurastenii, to Billy jest neurastenikiem, pomyślał Rudolf, ale przypomniał sobie, że sam w wieku siostrzeńca był niezwykle schludny i nikt nie poczytywał tego za nienormalne.

Tak czy inaczej, pokój przygnębiał go nie wiedzieć czemu, a że wolał uniknąć spotkania ze współlokatorem siostrzeńca, pośpieszył na parter, by poczekać przed wejściem do budynku. Słońce świeciło teraz jaśniej, a gromadki wystrojonych do kaplicy chłopców, nadchodzące przez tereny szkolne, odbierały temu miejscu niemiły, więzienny charakter. Chłopcy byli przeważnie postawni, znacznie wyżsi od tych, z którymi Rudolf chodził do szkoły. Młodzież amerykańska rośnie. Wszyscy uważają to za coś bardzo pomyślnego.

Czy tak jest rzeczywiście? Cóż, moi mili? Zawsze lepiej patrzeć na was z góry.

Z daleka zobaczył siostrzeńca. Billy był jedynym chłopcem idącym samotnie. Szedł powoli, naturalnie, z głową podniesioną. Nic w jego postawie nie świadczyło o

przygnębieniu. Rudolf przypomniał sobie, jak to on w tym wieku ćwiczył chód pełen wdzięku. Starał się nie poruszać ramionami, iść posuwicie, wyglądając na starszego, bardziej swobodnego niż jego koledzy. Do dziś tak chodzi, ale już z przyzwyczajenia, nie myśląc o tym.

Billy zatrzymał się przed frontowym pawilonem.

- Jak się masz, Rudi - powiedział bez uśmiechu. - Dziękuję za odwiedziny.

Podali sobie ręce. Billy uściśnął dłoń wuja mocno i szybko. Nadal nie musiał się golić, lecz jego twarz straciła już dziecięcy wygląd, a głos przechodził mutację.

- Dziś wieczór muszę być w Whitby - powiedział Rudolf - więc przy sposobności postanowiłem wstąpić tutaj, zjeść lunch z tobą. To tylko dwie godziny z drogi. Może nawet nie tyle.

Chłopiec spojrzał mu w twarz i Rudolf pomyślał: On wie, że moja wizyta nie jest aż tak przypadkowa.

- Jest tu gdzieś w pobliżu dobra restauracja? - zapytał szybko. - Umieram z głodu.

- Ojciec postawił mi lunch w zupełnie niezłym lokalu jak ostatni raz przyjechał - odpowiedział Billy.

- Kiedy to było?

- Miesiąc temu. Zeszłej niedzieli też się wybierał, ale napisał, że ktoś, kto miał mu pożyczyć wóz, musiał wyjechać z Nowego Jorku w ostatniej chwili.

Rudolf zadał sobie pytanie, czy dawniej podobizna Abbotta stała na schludnym biurczku obok zdjęć Gretchen i Colina Burke'a, a po tym liście została sprzątnięta?

- Czy masz coś do załatwienia w swoim pokoju albo musisz powiedzieć komuś, że jedziesz na lunch z wujem?

- Nie mam nic do załatwienia - padła odpowiedź - i nikomu nie muszę się opowiadać.

Rudolf uprzytomnił sobie, że stoją już dosyć długo przed pawilonem i wciąż mijają ich chłopcy, którzy śmieją się, wygłupiają, rozmawiają głośno, jednakże Billy nie odezwał się do żadnego z nich i żaden nie przystanął, by zamienić z nim bodaj słowo. Jest tak źle, jak obawia się Gretchen, pomyślał. Lub jeszcze gorzej.

Objął chłopca za ramiona, ale nie zyskał żadnego oddźwięku.

- No to jazda! - powiedział. - Będziesz mi pokazywał drogę.

Mając u boku posępnego chłopca, prowadził wóz przez piękne tereny szkolne, mijał ładne zabudowania i boiska sportowe projektowane rozumnie, z wielkim nakładem kosztów i myślą o przygotowaniu młodzieży do szczęśliwego, pożytecznego życia. Edukacją kierował starannie dobierany personel, składający się z mężczyzn i kobiet kalibru pani Fairweather. Nagle zadał sobie pytanie, jakim prawem ktokolwiek waży się podejmować próby edukowania innego człowieka?

- Ja wiem, dlaczego ten ktoś nie pożyczył ojcu wozu w zeszłą niedzielę - powiedział Billy zabierając się do steku. - Ostatnim razem po lunchu ojciec wycofywał samochód z parkingu, włądował się na drzewo i uszkodził zderzak. Przed lunchem wypił trzy martini, później butelkę wina, a na zakończenie dwa koniaki.

Surowa ocena młodości! Rudolf był rad, że nie pije nic oprócz wody.

- Może coś go gnębiło - powiedział sądząc, że jest tu nie po to, aby podważać miłość pomiędzy ojcem a synem.

- Chyba tak. On często bywa przygnębiony.

Billy jadł wytrwale. Coś mu dolegało, ale to coś nie wywierało wpływu na jego apetyt. Potrawy były ciężkie, typowo amerykańskie - steki, homar, małże, rostbef, gorące grzanki - podawane przez ładne kelnerki w bezpretensjonalnych mundurkach. W dużej, hałaśliwej sali przy stołach nakrytych obrusami w czerwoną kratę widać było liczne grupy szkolne - po pięciu, sześciu chłopców pod opieką rodziców jednego ucznia, który zaprosił przyjaciół, by skorzystali z rodzinnych odwiedzin. Rudolf zastanawiał się, czy kiedyś on będzie odwiedzał w jakiejś szkole swojego syna i z kolegami zabierał go na lunch w podobnej restauracji? Może za jakieś piętnaście lat, jeżeli Jean zgodzi się wyjść za niego. Jak on będzie wyglądał za piętnaście lat? I ona? I ten ich przyszły syn? Czy będzie przygnębiony, zamknięty w sobie, milczący, jak Billy? A może szczery, radosny, taki, jak wydają się chłopcy przy innych stolikach? Czy będą istnieć wtedy podobne szkoły i takie restauracje? Czy o drugiej po południu ojcowie będą wpadać po pijanemu na drzewa? Jakie ryzyko podejmowali zasobni ojcowie oraz ich szykowne małżonki -

rodzice posilający się z dumą w towarzystwie swoich synów - przed piętnastoma laty, kiedy wojna zaledwie dobiegła końca, a chmura atomowa dryfowała jeszcze po niebie naszej planety?

Może lepiej powiedziec Jean, pomyślał, że rozmyśliłem się, zmieniłem zdanie.

- Dobrze dają jeść w szkole? - zapytał, aby przerwać wreszcie długotrwałe milczenie.

- W porządku - odpowiedział Billy.

- A jak tam koledzy?

- W porządku. To znaczy... nie tak całkiem w porządku. Wciąż gadają i gadają, że ich ojcowie to diabelnie grube ryby. Nic, tylko bywają na lunchach u prezydenta i mówią mi, jak trzeba rządzić krajem. A chłopcy spędzają wakacje w Newport i w domu mają konie, a przyjęcia z okazji pełnoletności ich siostr kosztują po dwadzieścia tysięcy dolarów.

- A co ty mówisz w czasie takiej gadaniny? - zapytał Rudolf.

- Trzymam język za zębami. - Billy rzucił mu niechętne spojrzenie.

- Co mam mówić? Że mój ojciec mieszka w jednym pokoju i w ciągu dwu lat został wyrzucony z trzech posad? Albo mam się może chwalić, jaki to z niego kierowca po lunchu? - Billy mówił to wszystko spokojnym, beznamiętnym, niepokojąco dojrzałym tonem.

- No a twój ojczym?

- Mój ojczym? On nie żyje. No i nie wiem, czy na całą szkołę słyszało o nim chociaż sześciu chłopców. Oni wyobrażają sobie, że ludzie, którzy wystawiają sztuki i kręcą filmy, to swojego rodzaju cudaki.

- Co powiesz o nauczycielach? - zapytał Rudolf podejmując rozpaczliwy wysiłek, by znaleźć wreszcie coś, co mogłoby się podobać chłopcu.

- Mało mam z nimi do czynienia - odparł Billy i suto posmarował masłem pieczony kartofel. - Odstawiam swoją robotę i tyle.

- Co ci dolega, Billy? - podjął Rudolf.

Przyszedeł czas na bezpośredniość. Za mało znał siostrzeńca, aby sondować go

pośrednio.

Billy spojrział nań bystro, wyzywająco.

- Matka prosiła, żebyś tu przyjechał? Prawda?

- Jeżeli musisz wiedzieć, to tak.

- Przykro mi, że ją zmartwiłem. Nie trzeba było wysyłać tamtego listu.

- Trzeba było. Oczywiście. Ale co ci dolega, Billy?

- Nie wiem...

Chłopiec przestał tymczasem jeść i widać było, że z trudnością panuje nad głosem.

- Wszystko! Czuję, że umrę, jeżeli będę musiał zostać w tej szkole.

- Nie umrzesz. Bądź spokojny.

- Tak... Nie umrę. Ale czuję się tak, jak gdybym miał umrzeć. - Billy był przez chwilę pokorny, bardzo młodociany. - To całkiem co innego, prawda? Ale odczucia też mogą być prawdziwe, no nie?

- Tak. Mogą być prawdziwe - przyznał Rudolf. - Śmiało. Mów dalej.

- To nie dla mnie miejsce. Nie chcę być kształcony tak, by wyrosnąć na kogoś takiego, jak inni chłopcy. Widuję ich ojców.

Wielu z nich było w tej szkole dwadzieścia pięć lat temu. Są tacy sami jak ich synowie, tylko starsi. Radzą prezydentowi, co ma robić, nie wiedzą, że Colin Burke był wielkim człowiekiem, nie wiedzą nawet, że zmarł. Ja nie pasuję do tego miejsca, Rudi. Mój ojciec nie pasuje. Nie pasowałby też Colin Burke. Jeżeli zostanę tutaj, za cztery lata będę pasował, a tego nie chcę. Czy ja wiem... - Bezradnie pokręcił głową i kosmyk jasnych włosów osunął mu się na wysokie, odziedziczone po ojcu czoło. - Pewno myślisz, że to wszystko nie ma sensu. Wyobrażasz sobie, że ze mnie jeszcze jeden stęskniony do domu dzieciak, który grymasi, bo nie wybrano go kapitanem drużyny szkolnej albo coś podobnego...

- Nic podobnego nie wyobrażam sobie, Billy. Nie wiem, czy masz słuszość, ale z pewnością jasno sformułowałeś swoje racje.

Stęskniony do domu, pomyślał. Słowo nie godzi się tu z treścią. Do jakiego domu?

- Obowiązkowa kaplica - ciągnął Billy. - Siedem razy na tydzień muszę udawać, że jestem chrześcijaninem. Nie jestem chrześcijaninem. Mamusia nie jest chrześcijanką, mój ojciec nie jest chrześcijaninem ani nie był nim Colin Burke. Czemu ja mam odstawiać takie hece za całą rodzinę, wysłuchiwać niezliczonych kazań? Bądź prawy, czysty w myśli, słowie i uczynku, nie myśl nigdy o seksie. Nasz Pan Jezus umarł, by zgładzić nasze grzechy.

Odpowiadałoby ci, Rudi, wysiadywanie podczas takich bredni siedem razy na tydzień?

- Nie najbardziej.

Tu chłopiec trafił niewątpliwie w sedno sprawy. Ateistów też obowiązuje konsekwencja religijna wobec swoich dzieci.

- Albo pieniądze - mówił dalej Billy zniższy głos, bo kelnerka kręciła się w pobliżu stolika. - Skąd będę brać pieniądze na moją drogę, luksusową edukację teraz, kiedy Colin nie żyje?

- Nie martw się o to - podchwycił Rudolf. - Powiedziałem twojej matce, że te koszty biorę na siebie.

Chłopiec rzucił mu gniewne spojrzenie jak gdyby Rudolf wyznał, że uczestniczy w jakimś spisku przeciwko niemu.

- Nie lubię cię aż tak, wujku Rudolfie, żeby przyjmować od ciebie pieniądze.

Rudolf doznał wstrząsu, ale udało mu się zapanować nad głosem, zachować spokój. Ostatecznie Billy jest tylko czternastoletnim dzieckiem.

- Czemu nie lubisz mnie aż tak, Billy?

- Bo ty pasujesz do tej szkoły - padła odpowiedź. - Powinieneś umieścić tutaj swojego syna.

- Nie chcę dyskutować na ten temat.

- Przykro mi, że coś takiego powiedziałem, ale mówiłem serio. - Łzy zabłyśły w błękitnych, ocienionych długimi rzęsami oczach Abbotta.

- Podziwiam cię, że coś takiego powiedziałeś. Chłopcy w twoim wieku umieją już zazwyczaj cenić bogatych wujaszków.

- Co ja tu robię na drugim końcu kraju, kiedy moja matka noc po nocy jest sama w domu i płacze? - ciągnął Billy coraz prędzej, bardziej gorąco. - Zginął człowiek pokroju Colina, a ja co? Mam wiwatować na jakimś idiotycznym meczu piłki nożnej albo słuchać faceta w czarnym garniturze opowiadającego nam, że Chrystus to zbawienie. Coś ci powiem, Rudi... - Łzy ciekły mu już po twarzy i chłopiec ocierał je chusteczką do nosa, lecz nadal mówił z pasją.

- Jeżeli nie zabierzesz mnie stąd, ucieknę i dostanę się jakoś do domu matki, i będę pomagał jej tak, jak potrafię.

- Rozumiem. Możemy nie rozmawiać więcej na ten temat. Nie wiem, co będę w stanie zrobić, ale przyrzekam ci, że coś zrobię. Czy ci to wystarczy?

Billy przytaknął poruszeniem głowy, z żalną miną jeszcze raz otarł oczy i chustkę schował.

- A teraz skończymy lunch - powiedział Rudolf.

Sam zjadł niewiele, lecz Billy do czysta uprzątnął talerz, a następnie zamówił placek z jabłkami i równie szybko się z nim uporał. Czternaście lat to wiek łatwo przyjmujący wszystko - wiek, w którym łzy, śmierć, współczucie, placek z jabłkami i lody mieszają się bezwstydnie.

Po lunchu, prowadząc wóz w kierunku szkoły, Rudolf powiedział:

- Idź do swojego pokoju. Zapakuj walizę. Później zjedź i poczekaj na mnie w samochodzie.

Przez chwilę patrzył na chłopca, gdy ten - szykowny w swoim niedzielnym garniturze - wchodził do pawilonu. Później wysiadł z wozu i poszedł śladem siostrzeńca. Przed domem, na obsychającym trawniku, gra w piłkę nożną była w pełnym toku. Chłopcy krzyčili:

„Do mnie! Rzucaj do mnie!” - w jednej z setek rozgrywek, w których Billy nigdy nie uczestniczył.

Świetlica była pełna chłopców. Grali w ping-ponga, siedzieli pochyleni nad szachownicami, przeglądali czasopisma, słuchali przez radio sprawozdania z meczu, na który Rudolf nie mógł się wybrać. Z piętra dochodził ryk innego radiodbiornika - popisy

jakiegoś zespołu ludowego. Kiedy szedł przez świetlicę w kierunku mieszkania Fairweatherów i mijał stół ping-pongowy, chłopcy grzecznie ustępowali z drogi człowiekowi starszemu. Wszyscy sprawiali wrażenie udanej młodzieży: przystojnej, zdrowej, dobrze wychowanej, zadowolonej z życia, prawdziwej nadziei Ameryki. Gdyby Rudolf był ojcem, chętnie widziałby swojego syna w takim towarzystwie w takie właśnie niedzielne popołudnie. Ale jego siostrzeniec sądził, że nie pasuje do tych chłopców, miał uczucie, że umrze. Cóż? Każdy ma prawo uważać, że jest na niewłaściwym miejscu.

Rudolf zadzwonił i drzwi mieszkania Fairweatherów otworzył wysoki, przygarbiony lekko mężczyzna o czerstwej cerze, miłym, życzliwym uśmiechu i z kosmykiem włosów opadającym na czoło.

- Pan Fairweather? - zapytał Rudolf.

- Tak. Słucham? - odpowiedział tamten gościnnie i z całą swobodą.

- Bardzo mi przykro, że pana niepokoję, ale pragnąłbym porozmawiać z panem przez chwilę. Jestem wujem Billy'ego Abbotta. Byłem tu już...

- O, tak! - Fairweather wyciągnął rękę na powitanie. - Wiem od żony, że odwiedził ją pan przed lunchem. Zechce pan łaskawie wejść. Bardzo proszę.

Po zamknięciu drzwi hałas ze świetlicy ucichł w zagadkowy sposób.

Fairweather poprowadził gościa przez obłożony książkami hall do obłożonego książkami pokoju bawialnego - do sanktuarium odciętego od młodzieży dzięki książkom. Rudolf pomyślał, że być może popełnił błąd, gdy odmówił Dentonowi, kiedy ten proponował mu pracę w college'u - żyłby teraz wśród książek.

Pani Fairweather siedziała na kanapie, w ręku trzymała filiżankę kawy. Jej córeczka, oparta o kolana matki, oglądała książeczkę z obrazkami. Nieco dalej spał seter rozciągnięty na podłodze. Pani Fairweather uśmiechnęła się do Rudolfa, uniosła filiżankę na powitanie.

Oni nie mogą być aż tak szczęśliwi, pomyślał Rudolf, i nagle uświadomił sobie, że to przemówiła zazdrość.

- Proszę, proszę siadać - powiedziała pani domu. - Napije się pan kawy?

- Bardzo dziękuję - odmówił. - Dopiero co piłem. No i mogę pozostać ledwie

minutę.

Sztywno usiadł na krześle, bo czuł się niepewnie jako wuj, nie ojciec.

Fairweather zajął wygodne miejsce obok żony. Miał na sobie wełnianą koszulę sportową i poplamione trawą tenisowe pantofle. W pełni wykorzystywał niedzielne popołudnie.

- Odbył pan z siostrzeńcem pożyteczną rozmowę? - zapytał z ledwie wyczuwalnym, przyjemnie śpiwnym akcentem dżentelmena z Południa.

- Odbylem z nim rozmowę, proszę pana. A czy była pożyteczna, nie wiem. Chcę zabrać z sobą chłopca na przynajmniej kilka dni. Uważam to za absolutnie nieodzowne.

Fairweatherowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Mąż zapytał znowu:

- Czy jest aż tak źle?

- Bardzo niedobrze.

- My robiliśmy wszystko, co w naszej mocy - odrzekł Fairweather bez nuty usprawiedliwienia w tonie głosu.

- Z tego zdaję sobie sprawę. Rzecz w tym, że Billy jest specyficznym typem chłopca... Miał niedawno ciężkie przeżycia... bardzo niedawno. - Miał wątpliwości, czy Fairweatherowie wiedzą, kto to był Colin Burke, talent nieodżałowany i zgasty przedwcześnie. - Nie widzę potrzeby wgłębiania się w te sprawy.

Billy ma swoje racje. Mogą one wynikać z wyobraźni, ale jego odczucia są z pewnością realne.

- A zatem życzy pan sobie zabrać siostrzeńca? - podjął Fairweather.

- Tak.

- Kiedy?

- Za dziesięć minut.

- Naprawdę? - wtrąciła pani domu.

- Na jak długo? - zapytał spokojnie jej mąż.

- Nie wiem. Na kilka dni, na miesiąc. Może na zawsze.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Zza okna dobiegały przytłumione okrzyki grających w piłkę chłopców. Fairweather wstał i podszedłszy do stolika, na którym stał dzbanek z

kawą, nalał sobie filiżankę.

- A pan się nie napije?

Rudolf odmówił poruszeniem głowy.

- Za dwa i pół tygodnia rozpoczynają się świąteczne ferie - podjął tamten. - Za kilka dni będziemy mieli egzaminy na koniec okresu.

Nie sądzi pan, że byłoby rozsądniej poczekać do tego czasu?

- Nie sądzę, abym postąpił rozsądnie wyjeżdżając dziś bez siostrzeńca - odparł Rudolf.

- Rozmawiał pan z dyrektorem szkoły? - zapytał Fairweather.

- Nie.

- Porozumienie z nim uważam za wskazane. Zresztą ja nie czuję się upoważniony...

- Im mniej narobimy zamętu, im mniej osób będzie rozmawiać z chłopcem, tym lepiej będzie dla niego. Proszę mi wierzyć - powiedział Rudolf.

Fairweatherowie wymienili znów porozumiewawcze spojrzenia - Charles, myślę, że wyjaśnimy to jakoś dyrektorowi - zwróciła się pani Fairweather do męża, który stojąc nadal przy stoliku popijał wolno kawę.

Smuga bladego słonecznego światła wtargnęła przez okno, zarysowała wyraźnie sylwetkę pana Fairweathera na tle stojącego za nim regału z książkami. Zdrowy, zamyślony poważnie człowiek, lekarz młodych dusz.

- Tak. Myślę, że to jakoś wyjaśnimy - powiedział. - Niewątpliwie.

A pan zatelefonuje do mnie za parę dni, powie, co ostatecznie postanowiono?

- Oczywiście, proszę pana.

- W naszym spokojnym na pozór zawodzie - westchnął Fairweather - zdarza się wiele przykrych porażek. Proszę powiedzieć siostrzeńcowi, że w każdej chwili może wrócić i będzie tu mile przyjęty. Jest wystarczająco zdolny, żeby odrobić szybko wszelkie zaległości.

- Powiem mu to. I serdecznie dziękuję. Dziękuję obydwójgu państwu za wszystko.

Fairweather odprowadził gościa do hallu i na próg pełnej chłopców świetlicy, bez

uśmiechu uściskał jego rękę i zamknął za nim drzwi swojego mieszkania.

Kiedy Rudolf wyprowadził samochód z terenów szkolnych, Billy, który siedział obok niego na przodzie wozu, powiedział nagle:

- Nigdy więcej nie chcę zobaczyć tego miejsca.

Nie zapytał, dokąd jadą.

Kiedy znaleźli się w Whitby, było pół do szóstej i latarnie uliczne rozjaśniły zimową ciemność. Billy przespał znaczną część drogi. Rudolf myślał z przerażeniem o chwili, gdy matce będzie musiał zaprezentować jej wnuka. „Pomiot ladaczniczy” - to zwrot nie przekraczający bynajmniej możliwości retorycznych Mary Pease Jordach. Ale był umówiony z Calderwoodem po jego niedzielnej kolacji to znaczy wkrótce po siódmej, więc w żaden sposób nie zdołałby odwieźć chłopca do Nowego Jorku i wrócić w porę. A gdyby nawet starczyło na to czasu, komu miałby go tam przekazać? Ojcu?

Gretchen prosiła, aby w tej sprawie pominął Abbotta, postąpił tak i teraz nie powinien zmieniać frontu. No i po tym, co Billy mówił o ojcu w czasie lunchu, opieka Willie'ego nie stanowiłaby zmiany na lepsze w porównaniu z pozostaniem w szkole.

Przelotnie zastanawiał się nad ulokowaniem siostrzeńca w hotelu, lecz szybko odrzucił ten projekt jako zbyt bezwzględny. Billy nie powinien być w taką noc sam w hotelu. No i dowodziłoby to tchórzostwa. On musi przecież stawić czoło starszej pani.

Kiedy jednak zatrzymał wóz, obudził chłopca i wprowadził go do domu, odczuł ulgę stwierdziwszy, że matki nie ma w bawialni.

Spojrzał w głąb hallu i zobaczył, że drzwi jej pokoju są zamknięte. Może miała starcie z Martą i dąsa się teraz? W tej sytuacji zdoła pomówić w cztery oczy ze starszą panią, przygotować ją na pierwsze spotkanie z wnukiem.

Wszedł z siostrzeńcem do kuchni. Marta siedziała przy stole i czytała gazetę. Z piekarnika dobywał się zapach jakiejś przygotowywanej potrawy. Marta nie była spasiona, jak zjadliwie twierdziła pani Jordach, niewątpliwie jednak ta grubokoścista, kanciasta, rosla kobieta około pięćdziesiątki poznała przykrości tego świata i odplacała

innym tym, czego doznała sama.

- Marto - rozpoczął Rudolf - to mój siostrzeniec Billy. Ma zostać u nas parę dni. Jest zmęczony. Musi wykapać się i dostać do zjedzenia coś gorącego. Jak sądzisz? Mogłabyś się nim zaopiekować?

Będzie spał w gościnnym pokoju sąsiadującym z moim.

Marta wygładziła gazetę rozłożoną na kuchennym stole.

- Pani mówiła, że pan nie będzie na obiedzie.

- Nie będę. Zaraz wychodzę.

- No to starczy dla niego. Ona... - Gwałtownym ruchem głowy wskazała część domu zajmowaną przez Mary Pease Jordach. - Ona nic nie mówiła o żadnych siostrzeńcach.

- Matka nic dotąd nie wie - wyjaśnił Rudolf siląc się na pogodne brzmienie głosu, aby Billy nie zrozumiał sytuacji.

- No to będzie miała bal! - burknęła Marta. - Raptem dowie się o jakichś siostrzeńcach.

Billy stał skromnie na uboczu. Orientował się w atmosferze, która raczej nie przypadła mu do gustu.

Marta podniosła się. Wyraz twarzy miała jeszcze bardziej urażony niż zwykle, ale skąd Billy mógłby o tym wiedzieć?

- Chodź, młodzieńcze - powiedziała. - Myślę, że znajdziemy miejsce dla takiego jak ty małego chudziny.

Rudolfa zdziwił i zaskoczył ton tego - w słowniku Marty - niemal czułego zaproszenia.

- Idź z Martą, Billy - powiedział. - Niedługo zajrzę na górę, zobaczę, jak sobie radzisz.

Billy wyszedł za Martą z kuchni z pewnym wahaniem. Był teraz związany z wujem i w każdej z nim rozłące widział zapewne ryzyko.

Rudolf słuchał przez chwilę odgłosu kroków na schodach. Matka może się zaniepokoić, że w domu jest ktoś obcy. Jego chód poznawała i nieodmiennie odzywała

się, kiedy zmierzał do swojego pokoju.

Sięgnął po lód do lodówki. Po niemal abstynenckim dniu i przed spotkaniem z matką stanowczo musiał się napić. Zaniósł lód do bawialni i z przyjemnością stwierdził, że w pokoju jest ciepło.

Widocznie Brad przysłał montera i piec został naprawiony. Wynika stąd, że zimno nie będzie wzmagać zjadliwości języka matki.

Przygotował sobie krajową whisky z wodą i dużą ilością lodu, zasiadł w fotelu, nogi ułożył wysoko i z przyjemnością ją pociągać ze szklanki. Był kontent z bawialni nie przeładowanej meblami, gdzie prezentowały się dobrze nowoczesne, obite skórą krzesła i fotele, lampy o kulistych kloszach ze szkła, drewniane stoliki i bezpretensjonalne zasłony w spokojnych kolorach.

Wszystko to stanowiło starannie obmyślony kontrast z niskim, belkowanym pułapem i osiemnastowiecznymi okienkami o małych, kwadratowych szybkach. Matka utyskiwała, że ten pokój przypomina jej poczekalnię dentysty.

Wysączył whisky bez pośpiechu, bo niepilno mu było do oczekującej go sceny. Wreszcie dźwignął się z fotela, minął hall i zastukał do drzwi matki. Jej pokój sypialny mieścił się na parterze, by starsza pani nie musiała pokonywać schodów, chociaż ostatnio, po zdjęciu katarakty i operacji żyłaków, poruszała się stosunkowo swobodnie. Z narzekaniami, ale swobodnie.

- Kto tam? - zabrzmiało ostro za zamkniętymi drzwiami.

- To ja, mamó. Czy śpisz?

- Już nie śpię.

Pchnął i otworzył drzwi.

- Trudno spać, kiedy po całym domu ludzie tupią jak słonie - przemówiła z łóżka Mary Pease Jordach.

Siedziała podparta poduszkami w strojnych koronkami powłóczkach.

Miała na sobie różową lizeskę oblamowaną czymś, co sprawiało wrażenie różowawego futra. Była w okularach z grubymi szklami, które lekarz przepisał jej po operacji. Dzięki nim mogła czytać, oglądać telewizję, chodzić do kina, ale jej

powiększone upiornie oczy miały teraz tępy, przerażający, bezduszny wyraz.

Lekarze zdziałali dla niej cuda od czasu przeprowadzki do nowego domu. Uprzednio, kiedy jeszcze mieszkali nad sklepem, Rudolf nieraz zaklinał matkę, by poddała się operacjom koniecznym, jego zdaniem, zawsze jednak odmawiała stanowczo. „Nie myślę być pacjentką z niczyjej łaski - mówiła. - Nie chcę, by robili ze mną eksperymenty lekarze, którym nie powinno być wolno przystąpić z nożem nawet do psa”. Wszelkie perswazje Rudolfa trafiały wtedy w próżnię. Pokąd gnieździli się w nędznym mieszkaniu, nic nie mogło przekonać matki, że nie jest ubogą i nie spotka jej los ubogich, kiedy pójdzie do ogólnie dostępnego szpitala. Ale po przeprowadzce, gdy Marta zaczęła jej czytywać dziennikarskie wzmianki o sukcesach Rudolfa, kiedy odbyła kilka przejażdżek świeżo kupionym samochodem, śmiało poddała się operacji, upewniwszy się, że będzie pod opieką najlepszych i najbardziej kosztownych specjalistów.

Dzięki wierze w potęgę pieniądza została rzeczywiście odmłodzona, podniesiona na duchu, zawrócona znad krawędzi grobu. Rudolf sądził, że właściwa opieka lekarska umili matce ostatnie lata życia. Osiągnięto znacznie więcej. Lekarze odmienili ją w osobę prawie młodą. Z posępną Martą przy kierownicy, jeździła samochodem, ilekroć ten był wolny, odwiedzała salony kosmetyczne i fryzjerskie (włosy miała falujące, niemal błękitne), uczęszczała do wszystkich kin w mieście, telefonicznie wzywała taksówkę, bywała na mszy, dwa razy tygodniowo grywała w brydża z nowymi przyjaciółkami poznanymi w kościele, wieczorami fetowała księży, jeżeli Rudolfa nie było w domu; kupiła nowy egzemplarz „Przeminęło z wiatrem”, a także wszystkie powieści Frances Parkinson Keyes.

Wielka różnorodność ubiorów i kapeluszy na wszelkie okazje zapełniała szafę w jej pokoju, przeładowanym - niby mały sklep antykarski - meblami takimi jak pozłacane biurczka, szeslong, stolik toaletowy z dziesięcioma flakonami rozmaitych francuskich perfum. Pierwszy raz w życiu zaczęła malować mocno usta. Zdaniem Rudolfa, wyglądała upiornie ze zrobioną twarzą i w jaskrawych toaletach, bezspornie jednak była teraz nierównie bliższa życia niż dawnymi czasy. Nie należało pozbawiać jej zabawek, jeżeli za

ich sprawą nagradzała sobie straszliwe lata dzieciństwa i długotrwałą mękę w zamężnym stanie.

Rudolf zastanawiał się nieraz, czy pod opieką Marty nie ulokować jej w osobnym mieszkaniu, ale odstraszała go zawsze myśl o wyrazie twarzy matki, kiedy po raz ostatni wyprowadzi ją przez drzwi domu - o wyrazie pełnym oburzenia z powodu niewdzięczności syna, którego kochała ponad wszystko w życiu, syna, którego koszule prasowała o północy po dwunastu godzinach na nogach w piekarni, syna, dla którego poświęciła własną młodość, męża, przyjaciół, pozostałą dwójkę dzieci.

Rudolf miał zwyczaj płacić swoje długi, więc matka pozostawała nadal w jego domu.

- Kto jest na górze? Sprowadziłeś do domu jakąś kobietę! - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Nigdy nie sprowadzam do domu żadnych kobiet, jak to sformułowałaś, mamo, chociaż gdybym chciał to robić, nie wiem, czemu miałbym się krępować.

- Krew twojego ojca - powiedziała, jak gdyby stawiała synowi straszliwy zarzut.

- Na górze jest twój wnuk. Dopiero co przywiozłem go ze szkoły.

- Mam dobre uszy - obruszyła się matka. - To nie sześciolatek wchodził na schody.

- Na górze jest syn nie Toma, lecz Gretchen - wyjaśnił.

- Tego imienia nie chcę słyszeć! - zawołała podnosząc dłonie do uszu. Widać było, że ciągle oglądanie telewizji wpłynęło na jej gestykulację.

Rudolf przysiadł na brzegu łóżka, łagodnym ruchem ujął rękę matki i przytrzymał. Był opieszale, pomyślał. Taką rozmowę powinienem przeprowadzić wiele lat temu.

- Posłuchaj mamo - zaczął. - To bardzo dobry chłopiec. Ostatnio miał kłopoty, więc...

- Nie chcę widzieć w moim domu bękarta ladacznicy - przerwała.

- Gretchen nie jest ladacznicą ani jej syn bękartem - powiedział stanowczo. - I to nie twój dom, mamo.

- Oczekiwałam dnia, w którym na koniec rzucisz mi takie słowa.

Rudolf zignorował melodramatyczny okrzyk matki.

- Ma zostać u nas tylko przez kilka dni - podjął. - Bardzo mu potrzeba serdecznej życzliwości, więc dam mu ją ja, da mu ją Marta i ty dasz mu ją, mammo.

- A co ja powiem księdzu McDonnellowi? - Mary Pease Jordach zwróciła martwe, upiornie powiększone oczy w kierunku niebios, przed których wrotami teoretycznie stał ksiądz Mc Donnell.

- Powiesz księdzu McDonnellowi, że wreszcie nauczyłaś się cnoty chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Akurat ty masz prawo gadać o chrześcijańskim miłosierdziu - burknęła. - Widziałeś kiedy kościół od środka?

- Nie mam czasu na spory - powiedział Rudolf. - Calderwood oczekuje mnie za kilka minut. Mówię po prostu, jak masz się zachowywać wobec chłopca.

- Nie dopuszczę go przed swoje oblicze - zacytowała fragment jakiejś swojej ulubionej lektury. - Zamknę drzwi i Marta będzie mi przynosić posiłki na tacy.

- Możesz zachować się tak, mammo, skoro sobie życzysz - odrzekł Rudolf z całym spokojem. - Ale w takim razie zastosuję pewne represje. Nie będzie więcej samochodu ani przyjęć brydżowych, ani otwartego rachunku w domu towarowym, salonów kosmetycznych i obiadków dla księdza McDonnella. Zastanów się lepiej... Marta - ciągnął wstając z brzegu łóżka - ma dać obiad małemu. Proponuję, abyś siadła z nimi do stołu.

Usłyszał płacz, gdy zamykał drzwi pokoju matki. W paskudny sposób odniosłem się do starej kobiety, pomyślał. Ale dlaczego ona nie umarła w porę? Po prostu, z wdziękiem, nie ondulowana, bez malowanych włosów, bez różu.

Rudolf spojrzął na stojący w hallu zegar szafkowy i osądził, że zdąży porozumieć się z Gretchen, jeżeli zamówi rozmowę błyskawiczną z Kalifornią. Zamówił ją i czekając na połączenie przygotował drugą whisky z wodą. Być może Calderwood poczuje od niego zapach alkoholu, będzie zgorszony. Nie dbał o to - przekroczył już i tę granicę. Popijał wolno i przypominał sobie, co robił poprzedniego dnia o tej dokładnie porze. Na podłodze leżały pończochy z czerwonej wełny, a on był z nią w mroku, w ciepłe miękkiego łóżka. Jego oddech mieszał się z miłym, gorącym oddechem pachnącym

rumem i cytryną. Czy w zimne, grudniowe popołudnie jego matka spoczywała kiedy w objęciach kochanka, który śpieszył się, więc jej garderobę rozrzucił po całym pokoju? Obraz nie chciał się zmaterializować. Czy Jean - stara, złośliwa, skąpa - będzie kiedyś leżała w pretensjonalnym łóżku? Czy z uszmkowanymi, starczymi wargami będzie wytrzeszczać oczy za powiększającymi szklami okularów? Lepiej nie myśleć o takich rzeczach.

Telefon zadzwonił i odezwała się Gretchen. Rudolf opisał zwięźle przebieg wydarzeń, powiedział, że Billy jest bezpieczny w jego domu, że jego zdaniem najrozsądniej będzie za dwa, trzy dni wyprawić chłopca do Los Angeles samolotem, jeżeli oczywiście ona nie wolałaby przyjechać tutaj.

- Nie - odpowiedziała. - Wypraw go samolotem.

Odczuł radosny dreszczyk. Będzie miał pretekst, by we wtorek lub środę pojechać do Nowego Jorku, zobaczyć Jean.

- Nie muszę nawet mówić, Rudi, jak bardzo jestem ci wdzięczna - powiedziała Gretchen.

- Zawracanie głowy! Jeżeli będę miał syna, będę liczył na twoją opiekę nad nim. Zawiadomię cię, jakim samolotem Billy odleci. I niedługo, bardzo niedługo, pewno was odwiedzę.

Życie innych ludzi!

Calderwood otworzył mu drzwi osobiście. Był w niedzielnym ubraniu, jakkolwiek obowiązki religijne miał już za sobą - ciemny garnitur z kamizelką, biała koszula, krawat w ponurych barwach, sznurowane czarne trzewiki. W jego oszczędnie prowadzonym domu zawsze było za mało światła, więc Rudolf nie potrafiłby powiedzieć, z jakim wyrazem twarzy Calderwood zwrócił się doń nijakim tonem:

- Wejdz, Rudi. Spóźniłeś się trochę.

- Bardzo przepraszam, panie prezesie - powiedział Rudolf idąc za starszym panem, który stapał ciężko, powoli, jak gdyby wydzieliał sobie oszczędnie ilość kroków pozostałych mu do grobu.

Calderwood poprowadził gościa do ponurego pokoju o dębowych boazeriach, który nazywał swoją pracownią. Stało tam wielkie mahoniowe biurko w otoczeniu dębowych foteli krytych skórą, a oszklone szafy biblioteczne były pełne segregatorów z zapłaconymi rachunkami i dokumentów dotyczących rozmaitych transakcji sprzed lat dwudziestu. Calderwood nie miał do nikogo zaufania, więc nie chciał ulokować tych akt w podziemiu, gdzie przechowywano zwyczajne archiwum firmy, dostępne ciekawym oczom każdego biuralisty.

- Siadaj - wskazał Rudolfowi jeden z dębowych, obitych skórą foteli. - Piłeś dziś, Rudi - dodał z nutą ubolewania. - Moi zięciowie to także, niestety, pijacy.

Dwie starsze jego córki powychodziły niedawno za mąż - jedna do Chicago, druga do Arizony. Rudolf podejrzewał, że znalazły towarzyszków życia powodowane nie miłością, lecz względami geograficznymi - chciały znaleźć się możliwie najdalej od ojca.

- Ale nie po to sprowadziłem cię tutaj - podjął Calderwood. - Chcę pogadać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną, skorzystać z tego, że nie ma teraz w domu mojej żony ani Wirginii. Poszły do kina, więc możemy rozmawiać swobodnie.

Starszy pan nie zwykł pozwalać sobie na pracowite słowo wstępne.

Nie pasowało to do niego tak samo jak fakt, że najwyraźniej czuł się niepewnie. Rudolf czekał, patrzył na Calderwooda, który przesuwiał po blacie biurka rozmaite przedmioty - nóż do papieru, staroświecki kałamarz.

- Rudolfie... - nastąpiło pełne godności odchrząknięcie. - Jestem zdumiony twoim postępowaniem.

- Moim postępowaniem? - Na moment zaświtała mu w głowie szaleńcza myśl, że stary dowiedział się jakoś o jego związku z Jean.

- Tak, Rudi. To coś zupełnie nie w twoim stylu - podjął Calderwood, obecnie żalonym tonem. - Byłeś dla mnie jak gdyby synem. Czymś więcej niż synem. Byłeś ufny, szczery, godny zaufania.

Rudolf czekał znużony i zaniepokojony cokolwiek. Myślał: robi ze mnie skauta obwieszzonego odznakami sprawności.

- Nagle coś cię napadło, Rudi - ciągnął tamten. - Zacząłeś działać za moimi

plecami. Bez zrozumiałych powodów. Dobrze wiesz przecież, że mógłbyś przyjść otwarcie, zadzwonić do drzwi mojego domu, a ja przyjąłbym cię serdecznie i życzliwie.

Rudolf pomyślał, że i tu wiek podeszły daje znać o sobie.

- Panie prezesie - powiedział. - Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Mówię o uczuciach mojej córki Wirginii. Nie przecz mi, Rudi.

- Panie prezesie...

- Igrałeś z jej uczuciami. Nie wiadomo czemu. Kradłeś to, o co mogłeś poprosić jawnie. - Głos zadźwięczał teraz nutą gniewu.

- Zapewniam pana, że nigdy...

- Kłamstwo to także coś nie w twoim stylu.

- Ja nie kłamię. Nie mogę pojąć...

- A jeżeli ci powiem, że Wirginia wyznała wszystko? - zahuczał Calderwood.

- Nie ma nic do wyznawania. - Rudolf był zbity z tropu, bezradny, a jednocześnie na śmiech mu się zbierało.

- Twoja wersja nie odpowiada temu, co mówi moja córka. Wyznała matce, że jest w tobie zakochana, więc chce kształcić się na sekretarkę w Nowym Jorku, aby uniknąć widywania ciebie.

- Wielki Boże! - zawołał Rudolf.

- W tym domu, Rudi, nie wyzywamy imienia bożego nadaremno - zgromił go tamten.

- Panie prezesie! Wirginię zapraszałem czasami na lunch albo na lody, jeżeli przypadkiem napotykałem ją w domu towarowym. To wszystko, i nic więcej.

- Oczarowałaś ją - podchwycił starszy pan. - Biedna płacze z twojej przyczyny po pięć razy na tydzień. Młoda, skromna dziewczyna nie pozwala sobie na takie wybryki, jeżeli nie usidlił jej mężczyzna.

Ekspłodowało wreszcie purytańskie dziedzictwo, pomyślał Rudolf.

Ładowanie na Skale Plymouthu, wdychanie przez parę wieków ożywczego powietrza Nowej Anglii, pomyślność finansowa. I co? Nic.

Wybuchowa mieszanka. Trochę za wiele jak na jeden dzień - Billy, szkoła, matka, a teraz ta historia.

- Chcę dowiedzieć się, młody człowieku, jak zamierzasz postąpić w tej sprawie? „Młody człowieku”.

Calderwood stawał się groźny, kiedy używał tego zwrotu. Rudolf niezwłocznie zaczął roztrząsać w myślach rozmaite możliwości. Był dobrze obwarowany, to pewne, ale ostatnie słowo w sferze interesów należało nadal do prezesa. Mógł podjąć walkę, lecz na dalszą metę Calderwood dostałby go w rezultacie. Ta głupia kurwa Wirginia!

- Nie wiem, panie prezesie, jak życzyłby pan sobie, abym postąpił. - Starał się zyskać na czasie.

- To prosta sprawa - powiedział Calderwood.

Niewątpliwie medytował nad całym problemem od chwili, gdy małżonka przyszła doń z radosną nowiną o upadku córki.

- Ożenisz się z Wirginią. Tylko musisz przyrzec, że nie wyniesiesz się do Nowego Jorku. - (Stary ma bzika na punkcie Nowego Jorku, tej otchłani zła, pomyślał Rudolf.) - Zrobię cię równorzędnym ze mną współnikiem, a po mojej śmierci, i odpowiednim zabezpieczeniu pani Calderwood i naszych dwu starszych córek, odziedziczysz przeważającą część moich akcji. Zyskasz wtedy portfel kontrolny.

Nie będzie żadnych wymówek i nigdy więcej nie wrócę do tej naszej rozmowy. Krótko mówiąc, zapomnę o niej raz na zawsze. Rudi, będę najszczęśliwszy w świecie mając w rodzinie takiego jak ty chłopca.

Od lat jest to moim najgorętszym pragnieniem i obydwójce z żoną czuliśmy się nieraz zawiedzeni, gdy korzystałeś z gościny w naszym domu, ale nie przejawiałeś skłonności do żadnej z naszych córek, jakkolwiek wszystkie są ładne na swój sposób, wzorowo wychowane i, że się tak wyrażę, bogate, niezależne. Nie mam wyobrażenia, czemu byłeś zdania, że nie możesz zwrócić się bezpośrednio do mnie, skoro już raz zrobiłeś wybór.

- Nie zrobiłem żadnego wyboru - odparł swobodnie Rudolf. - Wirginia to urocza dziewczyna i jestem pewien, będzie dla kogoś najlepszą żoną. Ale nie podejrzewałem

nigdy, że ja mogę stanowić przedmiot jej zainteresowań, więc...

- Rudi! - przerwał stanowczo Calderwood. - Znam cię od dawna i uważam za jednego z najbardziej bystrych mężczyzn, jakich spotkałem w życiu. I ty masz odwagę mówić mi w oczy...

- Tak! Mam odwagę - podchwycił Rudolf i pomyślał: Niech diabli biorą interesy. - I powiem panu więcej. Będę miał odwagę siedzieć tu z panem i czekać na powrót do domu pani Calderwood i Wirginii!

Wtedy przy obydwojgu państwu zapytam ją prosto z mostu, czy kiedykolwiek robiłem jej jakieś awanse, czy chociaż próbowałem ją pocałować. (To czysta farsa, pomyślał, ale trzeba zagrać ją do końca.) - Jeżeli Wirginia odpowie twierdząco, to skłamię ale mnie już wszystko jedno. Pójdę sobie, a pan niech co chce robi ze swoim cholernym przedsiębiorstwem, z cholernymi udziałami, z cholerną córką.

- Rudi! - Głos Calderwooda zadźwięczał nutą oburzenia, lecz Rudolf zorientował się, że stary traci grunt pod nogami.

- Gdyby Wirginia miała trochę oleju w głowie i powiedziała mi dawno, że mnie kocha - ciągnął śmiało, wykorzystując powodzenie - może coś wyszłoby z tego. Bardzo ją lubię. Naprawdę. Ale już jest za późno. Wczoraj, jeżeli musi pan wiedzieć, w Nowym Jorku poprosiłem o rękę inną dziewczynę.

- W Nowym Jorku! Zawsze ten Nowy Jork!

- I co? Chce pan, żebym siedział tu, czekał, aż wrócą panie? - Rudolf skrzyżował ramiona na piersi, zrobił groźną minę.

- To, Rudi, może kosztować cię huk pieniędzy.

- Ma się rozumieć. To może kosztować mnie huk pieniędzy - rzucił stanowczym tonem, lecz poczuł niepokojący skurcz w głębi żołądka.

- A ta... ta pani z Nowego Jorku... - bąknął niepewnie Calderwood.

- Przyjęła cię?

- Nie.

- Na miłosierdzie Boże! - Nedorzecznosc miłosnych uczuć rozbieżność pożądań, niepojęta anarchia seksu, wszystko to zmogło bigoterię Calderwooda. - Za dwa miesiące

zapomnisz o niej, a wtedy może ty i Wirginia...

- Odmówiła mi na dzień wczorajszy - przerwał mu Rudolf. - Chce mieć czas do namysłu. - I co? Mam czekać na panią Calderwood i Wirginię? - Nadal siedział ze skrzyżowanymi ramionami, co nie pozwalało na drżenie dłoni.

Calderwood gniewnym gestem zepchnął kalendarz na krawędź biurka.

- Jestem pewien, Rudi - powiedział - że ty mówisz prawdę. Nie mam pojęcia, co opętało moją niemądrą córkę. Hm... Wiem, co na ten temat usłyszę od żony. Usłyszę, że to ja źle wychowałem Wirginię.

Zrobiłem z niej skromnisię hodowaną w wacie. Ach, gdybyś znał spory, jakie miewałem w tym domu z moją żoną! Za moich młodych lat działa się inaczej. Tego bądź pewien. Dziewczęta nie zwierzały się matkom z miłości do mężczyzn, którzy nawet na nie nie spojrzeli.

To te przekłete kina! Niszczą kobiece mózgi. Nie, Rudi, nie musisz czekać. Sam to załatwię. A teraz idź. Chcę się trochę uspokoić.

Gość wstał. Pan domu podniósł się również.

- Chce pan wysłuchać mojej rady? - zapytał Rudolf.

- A ty nic, tylko ciągle mi radzisz - westchnął żałośnie Calderwood. - Jeżeli coś się mi śni w nocy, to najczęściej ty. I że szepczesz mi coś do ucha. Czasami żałuję, że tamtego lata pokazałeś się w domu towarowym. Jaka to rada?

- Niech pan pozwoli, aby Wirginia pojechała do Nowego Jorku i tam kształciła się na sekretarkę. I niech pan ją zostawi w spokoju przez rok albo dwa lata.

- Świetnie! - obruszył się stary. - Łatwo ci tak gadać, bo nie masz córek. A teraz odprowadzę cię do drzwi.

W ostatniej chwili położył dłoń na ramieniu Rudolfa.

- Rudi! - westchnął smutno. - Jeżeli tamta pani z Nowego Jorku odmówi ci ostatecznie, zastanowisz się nad sobą i Wirginią, prawda? Może idiotka z niej, ale nie mogę znieść myśli, że jest nieszczęśliwa.

- Niech się pan prezes nie martwi - odrzekł dwuznacznie Rudolf i z ganku zszedł do swojego wozu.

Kiedy ruszał z miejsca, pan Calderwood stał nadal w otwartych drzwiach w smudze słabego światła z hallu.

Rudolf był głodny, lecz postanowił, że obiad w restauracji może zaczekać. Chciał wstąpić do domu, sprawdzić, jak radzi sobie Billy. Chciał mu również powiedzieć, że rozmawiał z Gretchen i za dwa, trzy dni wyprawi go do Kalifornii. Chłopiec będzie spał lepiej, kiedy to usłyszy i widmo szkoły przestanie nad nim wisieć.

Kiedy otworzył kluczem drzwi frontowe, dobiegł go z kuchni szmer głosów. Cicho minął bawialnię oraz pokój stołowy i u kuchennych drzwi zaczął nasłuchiwać.

- Jedno najbardziej podoba mi się u dorastającego chłopca - mówiła Mary Pease Jordach. - To dobry apetyt. Cieszę się, Billy, że należycie oceniasz nasze jadlo. Marto, daj mu jeszcze plasterek mięsa i trochę sałaty. Tylko nie mów, Billy, że sałaty nie jadasz.

W moim domu wszystkie dzieci jadają sałatę.

Cud boski! - pomyślał Rudolf.

- Jeszcze jedno, Billy, podoba mi się u dorastającego chłopca - ciągnęła starsza pani - chociaż jestem stara i powinnam zapomnieć o takich kobiecych słabostkach. To uroda, Billy, w połączeniu z dobrymi manierami. - Głos brzmiał zalotnie, czule. - A wiesz, kogo mi przypominasz? Nigdy nie mówiłam mu tego w oczy, bo nie chciałam go zepsuć, a nie ma nic gorszego niż próżne dziecko, ale twój wujaszek Rudolf był zawsze najprzystojniejszym w mieście chłopcem i wyrósł na najprzystojniejszego młodego mężczyznę. Właśnie jego mi przypominasz, Billy.

- Wszyscy mówią, że jestem podobny do ojca - powiedział ze szczerością swoich czternastu lat, lecz nie zaczepnie; jego głos wskazywał, że chłopiec czuje się jak w domu.

- Nie miałam zaszczytu poznać twojego ojca - podjęła matka bardziej oschłym tonem. - Niewątpliwie tu i tam muszą być jakieś cechy podobieństwa, lecz zasadniczo przypominasz moją gałąź rodziny, a szczególnie Rudolfa. Nieprawda, Marto?

- Coś tam i ja widzę - odburknęła Marta, która nie chciała dać swojej pani pełni szczęścia przy niedzielnej kolacji.

- Zwłaszcza w okolicach oczu, prawda? - podchwyciła Mary Pease Jordach. - A

także w inteligentnym wyrazie ust. Gdyby nie kolor włosów... Ale byłam zawsze zdania, że to nie włosy decydują o charakterze twarzy.

Rudolf pchnął drzwi i wszedł do kuchni. Billy siedział u końca stołu między dwiema kobietami. Po kąpieli włosy miał przygładzone i wilgotne, sprawiał wrażenie olśniewającej czystości i z uśmiechem napychał się jedzeniem. Matka ubrała się w ciemnobrązową suknię i świadomie odgrywała rolę babuni. Marta była mniej nastroszona niż zazwyczaj, usta miała jak gdyby mniej zaciśnięte - chętnie widziała w domu trochę młodości.

- Wszystko w porządku? - zapytał Rudolf siostrzeńca. - Nie skąpią ci jedzenia?

- Jedzenie jest na medal - odpowiedział chłopiec, na którego twarzy nie było śladu popołudniowego udręczenia.

- Spodziewam się, Billy - powiedziała matka, która tylko przelotnie spojrzała na stojącego w drzwiach Rudolfa - że lubisz budyń czekoladowy, który mamy na deser. Marta robi budyń czekoladowy naprawdę wspaniale.

- Aha - odrzekł Bill. - Bardzo lubię.

- Był to też ulubiony deser Rudolfa. Prawda, Rudolfie?

- Tak - przyznał, chociaż nie przypominał sobie, by częściej niż raz w roku jadał tę leguminę, a zgoła nie pamiętał żadnych swoich uwag na jej temat. Uważał jednak, że nie jest to wieczór, w którym należy hamować górne loty matczynej wyobraźni; Pani Jordach wyrzekła się nawet różu chcąc tym lepiej grać rolę babuni, za co też należały się jej pewne względy. - Billy - podjął - rozmawiałem z twoją matką.

Chłopiec spojrzał nań z powagą, jak gdyby obawiał się ciosu.

- I co powiedziała?

- Czeka na ciebie. Wyprawię cię samolotem we wtorek albo środę, najwcześniej, jak zdołam wyrwać się z tutejszego biura i pojechać z tobą do Nowego Jorku.

Wargi chłopca zadrżały, lecz nie było obawy, że może się rozplakać.

- A co więcej mówiła?

- Jest uradowana, że przyjedziesz.

- Nieszczęsna istota - westchnęła Mary Pease Jordach. - Prowadziła okropne

życie. Odbierała liczne ciosy losu.

Rudolf starał się nie patrzeć na matkę.

- To straszna szkoda, Billy - ciągnęła - że teraz, kiedy odnaleźliśmy się wreszcie, spędzisz tak mało czasu ze swoją starą babcią. Ale skoro już lody zostały przełamane, sądzę, że niedługo wybiorę się do was w odwiedziny. To wcale niezły pomysł. Prawda, Rudolfie?

- Doskonały - zgodził się Rudolf.

- Zawsze chciałam zobaczyć Kalifornię - mówiła dalej. - Tamtejszy klimat sprzyja starym kościom. No i to istny raj, jak ludzie mówią. Zanim umrę... Marto! Billy czeka na budyń czekoladowy.

- Już lecę, proszę pani. - Marta wstała od stołu.

- A ty, Rudi, nie skusisz się na porcyjkę? Nie przyłączysz się do szczęśliwego kółka rodzinnego?

- Dziękuję. Nie jestem głodny - odpowiedział.

Ostatnie, na co miał ochotę, to przyłączenie się do szczęśliwego kółka rodzinnego.

- No to idę do łóżka - oznajmiła Mary Pease Jordach i powstała z wysiłkiem. - W moim wieku, Billy, sen jest nieodzowny dla pielęgnowania urody. Ale nim pójdziesz spać na górę, musisz wstąpić do mojego pokoju, dać babci na dobranoc solidnego całusa. Dobrze, Billy?

- Dobrze, proszę pani.

- Babciu - poprawiła.

- Dobrze, babciu - powtórzył układnie chłopiec.

Zmierzyła Rudolfa ostatnim, pełnym triumfu spojrzeniem i dostojnie opuściła kuchnię. Lady Makbet, która ma morze krwi za sobą, lecz nie została zdemaskowana, więc wspaniale prowadzi zakład opiekuńczy dla rozwiniętych nad wiek dzieci w kraju cieplejszym niż Szkocja.

- Dobrej nocy, mamó. Śpij smacznie - powiedział Rudolf i dodał w myśli: Starych matek nie należy wystawiać na mróz, powinno się powystrzelać je z miejsca.

Wyszedł z domu, zjadł obiad w restauracji, a następnie połączył się z Nowym Jorkiem, by sprawdzić, jaki dzień będzie odpowiadać Jean - wtorek czy środa. Jednakże w jej mieszkaniu nikt nie podnosił słuchawki.

ROZDZIAŁ IV

Zasłaniaj okno o zachodzie słońca. Nie przesiaduj wieczorami patrząc na światła rozciągniętego w dole miasta. Colin to robił mając ciebie u boku, ponieważ mawiał, że to najpiękniejszy, najbardziej przezeń ulubiony widok świata - Ameryka w najdoskonalszych barwach nocy.

Nie ubieraj się czarno. Żałoba jest sprawą czysto osobistą.

Nie odpisuj ze wzruszeniem na listy kondolencyjne od znajomych bądź nieznajomych, którzy posługują się zwrotami takimi jak: „geniusz”, „niezapomniany”, „szlachetny”, „siła charakteru”.

Odpowiadaj szybko, uprzejmie i nic więcej.

Nie płacz w obecności swojego syna.

Nie przyjmuj zaproszeń na obiady od przyjaciół i kolegów Colina którzy nie chcą, żebyś cierpiała w samotności.

Kiedy wynika jakiś problem, nie sięgaj po słuchawkę, aby zatelefonować do biura Colina. To biuro jest zamknięte.

Zwalczaj pokusę by mówić ludziom, którzy obecnie pracują nad zakończeniem ostatniego filmu Colina, jak Colin go sobie wyobrażał.

Nie udzielaj wywiadów. Nie pisuj artykułów. Nie bądź źródłem anegdoty. Nie stań się wdową po wielkim człowieku. Nie zastanawiaj się, co zrobiłby Colin, gdyby żył.

Nie obchodź jego urodzin ani żadnych rocznic.

Unikaj retrospektywnych pokazów, festiwali, akademii ku czci Colina, na które otrzymujesz zaproszenia.

Nie bywaj na zamkniętych pokazach ani uroczystych premierach.

Kiedy samolot startuje z lotniska i huczy nisko nad tobą, nie wspominaj podróży, które odbywaliście wspólnie.

Nie pij sama ani w towarzystwie, jeżeli nawet masz wielką ochotę.

Wystrzegaj się środków nasennych. Znoś cierpienia w nieutulonym, lecz cichym żalu.

Uprzątnij z biurka w bawialni stosy książek i skryptów. Dzisiaj są tylko kłamstwem.

Grzecznie odmawiaj przyjęcia oprawnych w skórzane teczki tomów wycinków prasowych, recenzji ze sztuk i filmów reżyserowanych przez twojego zmarłego męża, które ludzie ze studio łaskawie zgromadzili. Nie czytaj pochwał, w jakich rozplywają się krytycy.

Pozostaw w domu na widocznym miejscu tylko jedno amatorskie zdjęcie twojego męża. Inne jego fotografie spakuj do pudła i ulokuj w piwnicy.

Kiedy zastanawiasz się nad jadłospisem obiadu, nie wybieraj ulubionych potraw Colina.

Kiedy ubierasz się, nie rób przeglądu wiszących w szafie toalet z myślą: „On lubił mnie w tej sukni”.

Odnóś się do swojego syna spokojnie i zwyczajnie. Nie rób scen, gdy nie powiedzie mu się w szkole albo ograbi go banda chuliganów, albo wróci do domu z rozkrwawionym nosem. Nie trzymaj się go kurczowo i nie pozwalaj, aby on trzymał się tak ciebie. Jeżeli rówieśnicy zapraszają go na basen pływacki bądź na grę w piłkę, czy do kina, mów: „Idź, oczywiście. Ja mam moc zajęć domowych i uporam się z nimi prędzej, gdy będę sama”.

Nie zastępuj mu ojca. Pozwalaj, aby twój syn załatwiał z mężczyznami sprawy, które muszą być załatwiane z mężczyznami.

Nie staraj się go bawić, ponieważ wyobrażasz sobie, że nudno mu żyć samemu z kobietą w żałobie, na szczycie wzgórza, daleko od miejsca, gdzie inni chłopcy szukają rozrywki.

Nie myśl o seksie, ale nie bądź zdziwiona, że myślisz o nim czasami.

Bądź pełna nieufności, gdy twój były mąż telefonuje i mówi ze wzruszeniem, że chciałby się z tobą ożenić powtórnie. Tam gdzie nie przetrwało małżeństwo z miłości, małżeństwo oparte na śmierci musiałyby być katastrofą.

Ani unikaj, ani poszukuj miejsc, w których razem byliście szczęśliwi.

Pielęgnuj ogród, bierz kąpiele słoneczne, zmywaj naczynia, utrzymuj dom w porządku, pomagaj synowi w odrabianiu lekcji, nie zdradzaj, że spodziewasz się od niego więcej, niż inni rodzice spodziewają się od swoich synów. Z chęcią odprowadzaj go

do skrzyżowania ulic, przy którym zatrzymuje się autokar szkolny. Z chęcią czekaj tam na niego, kiedy autokar wraca. Nigdy nie całuj chłopca zbyt gorąco.

Bądź wyrozumiała dla swojej matki, którą twój syn, jak mówi, chciałby odwiedzić podczas wakacji letnich. Odpowiadaj: „Do lata jeszcze daleko”.

Wystrzegaj się sam na sam z mężczyznami, których podziwiałeś lub Colin ich podziwiał, którzy podziwiają cię, a dawniej, jak wiadomo, podziwiali wiele kobiet w tym mieście pełnym kobiet. Po dwu lub trzech spotkaniach ich współczucie odmieni się zrećźnie w coś zupełnie innego. Spróbują zostać twoimi kochankami i uda im się to najprawdopodobniej. Wystrzegaj się też sam na sam z mężczyznami, którzy naprawdę lubili Colina, albo byli przez niego lubiani. Ich współczucie będzie niefałszowane, ale i tacy spróbują zostać twoimi kochankami i uda się im to najprawdopodobniej.

Nie buduj własnego życia na życiu syna. To najpewniejszy sposób, żeby go utracić.

Bądź wciąż zajęta. Ale czym?

- Czy na pewno szukała pani wszędzie? - zapytał pan Greenfield, adwokat, do którego agent Colina skierował Gretchen.

Właściwie był on jednym z ogromnej baterii prawników, których nazwiska widniały na drzwiach biur spółki adwokackiej, mieszczących się w wytwornym biurowcu na Beverly Hill. Wszystkie te nazwiska wydawały się równie przejęte problemami Gretchen, równie inteligentne, dobrze ubrane, gładkie, równie kosztowne i bezradne.

- Cały dom przewróciłam do góry nogami, panie mecenasie - odpowiedziała Gretchen. - Znalazłam setki scenopisów, setki rachunków po części nie zapłaconych, ale testamentu nigdzie nie było.

Pan Greenfield omal nie westchnął, lecz powstrzymał się w porę.

Był to niestary mężczyzna w sztywnym kołnierzyku na dowód, że prawo kończył na Wschodzie, oraz w jaskrawej muszce na dowód, że obecnie mieszka w Kalifornii.

- Czy wiadomo pani o jakichś bankowych kasetkach, które mógł posiadać pani małżonek?

- Nie. Wątpię, czy w ogóle miał coś takiego. Mój mąż był bardzo beztroski w

podobnych sprawach.

- Obawiam się, że był bardzo beztroski w licznych sprawach - powiedział pan Greenfield. - Niepozostawienie testamentu...

- Skąd miał wiedzieć, że umrze tak wcześnie? - przerwała Gretchen.

- Nie przechorował ani jednego dnia w życiu.

- Lepiej zabezpieczyć się na wszelkie ewentualności. - Pan Greenfield zezwolił sobie wreszcie na hamowane westchnienie, Gretchen nie wątpiła, że on sporządza testamenty od dwudziestego pierwszego roku życia. - Ze swojej strony zbadaliśmy wszystko. To nie do uwierzenia, ale pani małżonek nie zatrudniał żadnego adwokata. Swojemu agentowi pozwalał spisywać umowy i jak ów agent twierdzi, prawie nigdy ich nie czytywał. A gdy udzielał rozwodu byłej pani Burke, zgodził się, by jej adwokat spisał ugodę rozwodową.

Gretchen nigdy nie widziała byłej pani Burke, ale obecnie, po śmierci Colina, zaczynała ją poznawać wcale nieźle. Z zawodu była niegdyś stewardesą lotniczą oraz modelką. Bardzo lubiła pieniądze, sądziła jednak, że zarabianie ich to coś wysoce niekobiecego i odrażającego. W postaci alimentów otrzymywała dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie, a niedługo przed śmiercią Colina, którego dochody rosły błyskawicznie po jego osiedleniu się w Kalifornii, wszczęła starania o podwyżkę do czterdziestu tysięcy. Mieszkała z pewnym młodym człowiekiem w miejscach takich jak Nowy Jork, Palm Beach, Sun Valley (jeżeli nie odbywała podróży zamorskich), lecz przezornie nie kwapiła się do ślubu, ponieważ jedna z klauzul ugody rozwodowej, jakie Colin zdołał przeforsować, postanawiała, że alimentacja ustaje w przypadku zawarcia powtórnego związku małżeńskiego. Była pani Burke, bądź też jej adwokaci, znali wybornie prawa stanowe i federalne, toteż zaraz po pogrzebie, na którym byłej pani Burke nie było, konto bankowe Colina zostało zablokowane, a pretensje zgłoszone do masy spadkowej uniemożliwiły Gretchen sprzedaż domu.

Gretchen nie miała własnego rachunku w banku. Po prostu prosiła Colina o pieniądze, gdy były jej potrzebne, a rachunki przesyłała do uregulowania jego sekretarce. W rezultacie została bez pieniędzy i mogła liczyć jedynie na pomoc Rudolfa. Colin nie

pozostawił polisy, gdyż towarzystwa ubezpieczeniowe uważał za największych złodziei w Ameryce, a więc nie było wpływu i z tego źródła. Wypadek spowodował z własnej winy (wpadł na drzewo i władze okręgu Los Angeles zgłaszały pretensje do masy spadkowej z powodu uszkodzenia drzewa), na nikim zatem nie można było dochodzić odszkodowania.

- Panie mecenasie, ja muszę wydostać się z tego domu - powiedziała Gretchen.

Najgorsze były wieczory. Słyszała szmery w ciemnych kątach pokoi.

Prawie oczekiwała, że lada chwila otworzą się drzwi i wejdzie Colin klnąc na jakiegoś aktora lub operatora.

- Rozumiem to w pełni - odrzekł pan Greenfield, człowiek do gruntu przyzwoity. - Jeżeli jednak nie pozostanie pani w posiadaniu, w fizycznym posiadaniu domu, była pani Burke znajdzie podstawę prawną, aby się tam wprowadzić. Jej adwokaci są bardzo dobrzy, naprawdę bardzo dobrzy... - Uznanie zawodowe było pozbawione urazy. Wszystkie nazwiska na drzwiach wytwornych biur adwokackich składały należny pokłon wszystkim innym nazwiskom na drzwiach innych wytwornych biur adwokackich, mieszczących się przy sąsiedniej ulicy. - Jeżeli będzie jakaś luka, znajdą ją bez wątplenia. A w dziedzinie prawa, proszę pani, zawsze jest taka luka, jeżeli ktoś szuka jej wystarczająco długo.

- Jedynie dla mnie nie ma luki - poskarżyła się Gretchen.

- To kwestia czasu, droga pani. - Pan Greenfield skarcił grzecznie niecierpliwość osoby nieświadomej rzeczy. - Niestety, w tej sprawie nic nie rysuje się jasno. Dom został nabyty na nazwisko pani małżonka. Jest obciążony długiem hipotecznym, którego spłaty muszą być dokonywane. Wartość masy spadkowej jest nie określona i jeszcze przez wiele lat może pozostać nie określona. Pan Burke miał zastrzeżone tantiemy, wysokie tantiemy, od trzech filmów reżyserowanych przez niego. Liczą mu się też nadal stałe honoraria związane z tymi filmami, udziały z wpływów z zagranicy oraz ewentualne należności za filmowanie sztuk teatralnych, z którymi miał do czynienia. - Wyliczenie tak wspaniałych trudności do pokonania przed opatrzeniem sprawy notatką „ad acta” najwidoczniej sprawiało adwokatowi bolesną przyjemność; gdyby prawo było mniej

powikłane, poszukałby chyba jakiegoś bardziej absorbującego zajęcia. - Nieodzwonne będą opinie biegłych, oświadczenia pracowników studio, pewne dobrowolne ustępstwa pomiędzy stronami.

Nie wspomnę nawet o możliwości jakichś innych roszczeń wobec masy spadkowej. W podobnych przypadkach krewni zmarłego zwykli wyrastać niczym grzyby po deszczu.

- Mąż miał tylko brata, który, jak mi mówił, niczego nie chce - powiedziała Gretchen.

Ten brat - krzepki, młody pułkownik lotnictwa - przyjechał na kremację. W swoim czasie był pilotem myśliwskim w Korei, a następnie pomagał z chęcią we wszystkim, nawet w wekslowaniu Rudolfa na boczne tory obowiązkowej służby wojskowej. To on dopilnował, by obeszło się bez religijnego obrzędu. Ponieważ - jak mówił Gretchen - obydwaj z Colinem obiecywali sobie nawzajem spalenie zwłok bez żadnych ceregieli. Nazajutrz po kremacji brat Colina najął prywatny samolot, wystartował nad Pacyfik i fale oceanu przyprószył popiołami zmarłego. Powiedział też Gretchen, by śmiało zwracała się do niego w razie potrzeby. Ale jakiej pomocy mógłby udzielić wdowie, zaplątanej w prawnicze sieci, prostoduszny pułkownik sił lotniczych, skoro nie wchodziło w rachubę ostrzelanie z powietrza siedziby byłej pani Burke ani zbombardowanie kancelarii jej adwokatów?

- Dziękuję panu za wszystko, panie mecenasie. - Gretchen wstała. - Zająłem panu wiele czasu. Bardzo przepraszam.

- Nie ma za co, droga pani - odparł pan Greenfield z prawniczą kurtuazją. - Oczywiście, będę informował panią o dalszym rozwoju wydarzeń.

Odprowadził ją do drzwi gabinetu. Jego twarz nic wprawdzie nie wyrażała, ale pan Greenfield nie pochwałał z pewnością blad różowej sukni, którą Gretchen miała na sobie.

Ruszyła przejściem między długimi rzędami stolików, przy których nie odwracając głów, sekretarki błyskawicznie wystukiwały na maszynach tytuły własności, testamenty, skargi, wezwania, umowy, oświadczenia upadłościowe, przelewy, zobowiązania

hipoteczne, wnioski i kontrwnioski.

I tak dzień po dniu, myślała, w stukocie maszyn do pisania gubi się Colin Burke i pamięć o nim.

ROZDZIAŁ V

Zimno było na dziobie statku, ale Tom lubił stać tam samotnie, patrzeć na długie, szare fale Atlantyku. Nawet gdy nie miał wachty, przychodził tam często i bez względu na pogodę wystawał godzinami, nie odzywając się do pełniącego służbę marynarza. Po prostu milczał, spoglądał na dziób, który zanurzał się, a następnie wyłaniał z białych fałd wody. Był w zgodzie z sobą samym i świadomie nie myślał o niczym, bo nie odczuwał chęci ani potrzeby myślenia.

Statek pływał pod liberyjską banderą, lecz w czasie dwu podróży nie zbliżył się nawet do wybrzeża Liberii. Ów Pappy, zarządzający hotelem „Egejskim”, okazał się tak skory do pomocy, jak zapowiadał to Schultz. Wyposażył Toma w ubranie i worek marynarski starego Norwega zmarłego w hotelu, następnie zaś znalazł mu koję na „Eldze Andersen”, statku należącym do greckiego armatora, który w Hoboken brał ładunek do Rotterdamu, Algeciras, Genui i Pireusu. Przez cały ośmiodniowy pobyt w Nowym Jorku Tom nie opuszczał hotelowego pokoju, dokąd Pappy osobiście przynosił mu posiłki, ponieważ Tom powiedział, że nie chce widzieć nikogo ze służby i odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. W wieczór poprzedzający wyjście statku w morze, Pappy odwiózł Toma własnym samochodem do nabrzeża w Hoboken i przypilnował formalnego zamustrowania. Przysługa, jaką Schultz wyświadczył temu Grekowi, gdy podczas wojny służył w marynarce handlowej, musiała być istotnie bardzo znaczna.

Następnego dnia o świcie „Elga Andersen” odbiła od nadbrzeża i każdy, kto chciałby teraz odszukać pana Jordacha, miałby z tym bardzo poważne trudności.

„Elga Andersen” - zbudowany w 1943 roku frachtowiec typu Liberty, o wyporności dziesięciu tysięcy ton - pamiętał lepsze czasy.

Ostatnio jednak zmieniał raz po raz właścicieli, którzy dbali jedynie o szybkie zyski, a więc nikt nie robił więcej, niż było nieodzowne, dla utrzymania statku w stanie używalności. Jego kadłub obrósł muszlami, a kotły kamieniem, rdza plenila się wszędzie z powodu długoletniego niemalowania, jedzenie było pod psem, a kapitan - stary maniak religijny, który podczas sztormu klękał na mostku i odprawiał modły - podczas wojny został zwolniony z pracy jako sympatyk hitleryzmu. Oficerowie mieli papiery z dziesięciu

rozmaitych krajów, a kolejne posady tracili z powodu pijaństwa, nieudolności lub kradzieży. Załoga pochodziła z wszystkich krajów ciągnących się wzdłuż atlantyckich i śródziemnomorskich wybrzeży. Byli pośród niej Grecy, Jugosłowianie, Norwegowie, Włosi, Marokańczycy, Meksykanie, obywatele Stanów Zjednoczonych - a wszyscy legitymowali się papierami, które nie wytrzymałyby dokładniejszego wglądu. Prawie codziennie odbywały się bójki w mesie, gdzie szła nieustająca gra w pokera, ale oficerowie przezornie nie interweniowali.

Tom trzymał się z dala od pokera i bójek, zabierał głos tylko w koniecznych razach, nie odpowiadał na żadne pytania, więc był spokojny i zadowolony. Czuł, że obecnie, gdy pruje szerokie wody świata, znalazł właściwe miejsce na naszej planecie. Nie dbał o kobiety, o swoją wagę ani sikanie krwią z rana, nie szukał rozpaczliwie pieniędzy pod koniec każdego miesiąca. Kiedyś zwrócił na pewno Schultzowi półtorej setki, które dostał od niego w Las Vegas. Zwróci, i to z procentem.

Usłyszał kroki za sobą, lecz nie odwrócił głowy.

- Zapowiada się ciężka noc - powiedział ktoś, kto zjawił się na dziobie. - Idziemy prosto w sztorm.

Tom odpowiedział nieartykułowanym pomrukiem. Rozpoznał głos. To był młody chłopak ze Środkowego Zachodu, niejaki Dwyer, który nie wiedzieć czemu mówił tak, jak gdyby był homoseksualistą. Miał długie, wystające siekacze i przezywano go Królikiem.

- Nasz szyper - ciągnął Dwyer - modli się już na mostku. Znasz to powiedzonko? Spodziewaj się parszywej pogody, jeżeli masz na pokładzie osobę duchowną.

Tom nic nie odpowiedział.

- Myślę, że to nie będzie wielki sztorm - mówił dalej tamten. - Dużo takich statków typu Liberty rozpadło się w pół na burzliwym morzu. No a nasz ładunek! Widziałeś może konosamenty do portu przeznaczenia?

- Nie widziałem.

- Szkoda. Było na co patrzeć. To twój pierwszy rejs?

- Drugi.

Dwyer zamustrował w Savannah, gdzie dobiegł końca pierwszy rejs Toma.

- To straszna łajba - podjął Dwyer. - Jestem na niej tylko dlatego, że czekam na okazję.

Tom zdawał sobie sprawę, że tamten chce, aby zapytał go, jaką okazję ma na myśli. Jednakże milczał. Stał zapatrzony w ciemniejący widnokrąg.

- Bo widzisz - podjął Dwyer, gdy zrozumiał, że o nic nie będzie zapytany - ja mam papiery trzeciego oficera. Na amerykańskich statkach mógłbym czekać latami, aż otworzy się wakans. Ale na takiej łajbie, przy takiej hołocie, jaką mamy za oficerów, jeden z drugim może każdego dnia wypaść po pijanemu za burtę albo policja zgarnie którego w jakimś porcie. To będzie moja okazja. Kapujesz?

Tom odpowiedział znowu nieartykułowanym pomrukiem. Nie miał nic przeciwko temu chłopcu, ale nie czuł też do niego specjalnej sympatii.

- I ty masz zamiar starać się o oficerskie papiery? - zapytał Dwyer.

- Nigdy nie myślałem o tym - bąknął Tom.

Pogoda była coraz gorsza i piana tryskała przez burtę, więc otulił się opończą, pod którą miał grubego, granatowego sweter z golfem.

Stary Norweg zmarły w hotelu „Egejskim” musiał być roslim mężczyzną, gdyż jego odzież leżała jak ulał na Tomie.

- Rzecz jest warta zachodu - podjął Dwyer. - Skapowałem to pierwszego dnia, jak wszedłem na pokład mojego pierwszego statku.

Prosty marynarz albo nawet podoficer nigdy nie dojdzie do niczego.

Ma pieskie życie, a po pięćdziesiątce kończy się jako niedołężny starzec. Nawet na amerykańskich statkach jest nie lepiej, mimo związku zawodowego, świeżych owoców, różnych tam udogodnień.

Wielka mi rzecz świeże owoce! Plany na przyszłość, to się liczy.

Kiedy następnym razem będziemy w kraju, pojedę do Bostonu i zrobię skok na papiery drugiego oficera.

Tom spojrział nań z zaciekawieniem. Dwyer miał na sobie białą czapkę marynarską, żółtą zydwestkę i wysokie, solidne buty robocze na gumowych podeszwach. Był drobnej budowy i sprawiał wrażenie chłopca, który na zabawę kostiumową przebrał

się w nowiućką i akurat odpowiednią odzież marynarza. Twarz miał poczerwieniałą od wiatru, jednakże przypominał z tym nie ogorzałego mężczyznę, lecz dziewczynę nie przywykłą do chłódów, której nagle zrobiło się zimno. Jego czarne, łagodne oczy pod długimi, ciemnymi rzęsami spoglądały tak, jak gdyby ustawicznie o coś prosiły. Usta miał zbyt szerokie, zbyt pełne i ruchliwe.

Niespokojne ręce raz po raz wsuwał i wyciągał z kieszeni.

Cholerny świat! - pomyślał Tom - czy dlatego facet przyłaził tu, żeby ze mną pogadać, no i uśmiecha się za każdym razem, kiedy mnie mija? Lepiej z miejsca ustawić go, jak trzeba.

- Uczony gość z ciebie - rzucił szorstko - masz oficerskie papiery, to co robisz tu w kompanii takich jak my wszyscy pętaków?

Czemu w szykownym, białym mundurze oficera nie tańczysz z posażnymi pannami na pokładzie jakiegoś statku pasażerskiego?

- Ja nie strugam ważniaka, Jordach - odrzekł Dwyer. - Słowo daję.

Lubię pogadać z kimś czasami, a ty jesteś mniej więcej w moim wieku, jesteś Amerykaninem i masz swoją godność. Masz swoją godność, to od razu widać. Wszyscy inni na naszym statku to bydlaki. Ciągłe kpią ze mnie, bo nie jestem jednym z nich, mam ambicje. Nie chcę grywać z nimi w oszukańczego pokera. Musiałeś to zauważyć.

- Nic nie zauważyłem - odburknął Tom.

- Oni myślą, że ze mnie pedał albo co? I tego nie zauważyłeś?

- Nie zauważyłem.

Tom przychodził jedynie na posiłki. Poza tym unikał mesy.

- To moje przekleństwo - podjął Dwyer. - Tak jest zawsze, jak zgłaszam się dokądś w charakterze kandydata na trzeciego oficera.

Faceci przejrzą moje papiery i rekomendacje, pogadają ze mną chwilę, przypatrzą mi się jakoś dziwnie, no i mówią, że wolnego miejsca nie ma. Do licha! Takie spojrzenia poznam o milę! Ale nie jestem pedałem, Jordach. Bogu przysięgam!

- Jeżeli o mnie chodzi, możesz nic nie przysięgać - bąknął Tom.

Rozmowa wprowadzała go w zakłopotanie. Nie zamierzał wnikać w niczyje

kłopoty ani sekrety. Chciał robić swoje i od portu do portu żeglować po morzach wśród samotności.

- Jestem zaręczony, jak Boga Kocham! - zawołał Dwyer i sięgnął do tylnej kieszeni spodni, by dobyć z niej portfel, a z portfela fotografię. - Spójrz no tylko. - Podsunął zdjęcie pod nos Toma. - To moja dziewczyna i ja. Zeszłego lata w Narragansett Beach. Czy wyglądam tu na pedała? Czy ona wygląda na taką, co wyszłaby za pedała?

Bardzo ładna dziewczyna o okrągłych kształtach i jasnych włosach, ubrana w kostium kąpielowy, a obok niej Dwyer - drobny, lecz zbudowany dobrze, jak bokser koguciej wagi - w obcisłych spodenkach pływackich. Sprawiał wrażenie chłopca w formie odpowiedniej na ring, ale to oczywiście nie mogło świadczyć o niczym.

- Nie - odpowiedział Tom i dodał, gdy piana tryskająca przez burtę zmoczyła fotografię: - Lepiej schowaj to zdjęcie. Woda zniszczy papier.

Dwyer sięgnął po chustkę, wytarł zdjęcie i schował do portfela.

- Chciałem, kapujesz - podjął - żebyś wiedział, że jak czasami mam chęć pogadać z tobą, to... to nic z tych rzeczy.

- Fajno - odburknął Tom. - Teraz już wiem.

- Więc wszystko jasne, no nie? - rzucił tamten niemal zaczepnie. - Na dziś starczy. - Odwrócił się na pięcie i odszedł po prowizorycznej, drewnianej kładce rzuconej nad starymi beczkami, które stanowiły ładunek pokładowy na dziobie.

Tom pokręcił głową, otarł z twarzy pianę. Każdy ma swoje kłopoty.

Cały statek jest pełen kłopotów. Gdyby każdy na tej przeklętej łajbie chciał przychodzić i zawracać człowiekowi głowę swoimi sprawami, lepiej byłoby z miejsca wyskoczyć za burtę.

Przycupnął za burtą, aby osłonić się przed bezpośrednimi bryzgami piany. Tylko od czasu do czasu wychylał głowę i wypełniał obowiązki swojej wachty, które polegały na wypatrywaniu, co dzieje się przed dziobem „Elgi Andersen”.

Papiery oficerskie, medytował. Czemu nie, skoro człowiek ma żyć z morza? Dwyer jest pedałem albo nim nie jest, ale tak czy inaczej, można go będzie później zapytać prosto z mostu, jak zabrać się do starań o te papiery.

Znajdowali się na Morzu Śródziemnym za Gibraltarem, lecz pogoda była chyba jeszcze gorsza. W każdym razie kapitan tkwił wciąż na mostku i modlił się do Boga i Adolfa Hitlera. Żaden z oficerów nie wypadł po pijanemu za burtę i Dwyer jak dotąd nie awansował.

Obecnie był z Tomem w mieszczącej się na rufie dawnej kwaterze obsługi dział przeciwlotniczych. Siedzieli przy stalowym stole przymocowanym nitami do podłogi w mesie. Działa zostały dawno zdemontowane, ale nikt nie zatroszczył się o przystosowanie kwater obsługi do innych celów. W toalecie było co najmniej dziesięć pisuarów. Artylerzyści, myślał Tom, musieli sikać jak szaleni. Za każdym razem, gdy posłyszeli samolot w górze.

Morze było tak wzburzone, że za każdym przechylem śruba wyskakiwała z wody i cała rufa trzęsła się i huczała, a Tom i Dwyer musieli chwytać rozłożone na stole papiery, książki i mapy, które umykały im gwałtownie. Ale kwatera obsługi dział była jedynym na statku miejscem, gdzie mogli odosobnić się i pracować spokojnie. Mieli na to co najmniej dwie godziny dziennie i Tom, który w szkole nigdy o nic nie dbał, dziwił się, że tak łatwo przyswaja sobie od Dwycera wiadomości o nawigacji, o odczytywaniu sekstansu, o mapach nieba i technice lądowania - wszystko, co będzie musiał mieć w małym palcu, kiedy stanie do egzaminu na trzeciego oficera. Dziwiła go również przyjemność, jaką sprawiały mu te lekcje. Kiedy nie miał wachty, myślał często o tym leżąc na swojej koi i słuchając chrapania dwu współmieszkańców. Wydawało mu się wtedy, że rozumie, czemu nastąpiła w nim przemiana. To nie kwestia wieku. Nadal przecież nie czytywał nic - nawet gazet, nawet wiadomości sportowych. Ale mapy, fachowe broszury, rysunki maszyn, wzory matematyczne wytyczały drogę do celu. Tak! Wreszcie była to droga do celu!

Dwyer pracował w maszynowniach statków, nie tylko na pokładach, miał więc jaką taką znajomość zagadnień mechaniki, a praca w garażach ułatwiała Tomowi zrozumienie tego, co tamten mówi.

Dwyer pochodził z wybrzeży Jeziora Górnego, od dziecka żeglował na małych

łodziach, a kiedy skończył szkołę średnią, pojechał autostopem do Nowego Jorku. Tam wybrał się do Battery, by popatrzeć na wchodzące do portu i wychodzące statki i w rezultacie zamustrował na tankowiec żeglugi przybrzeżnej jako chłopiec okrętowy. Nic, co przytrafiło mu się od tamtego dnia, nie było w stanie zmniejszyć jego entuzjazmu dla morza.

Powstrzymywał się od wszelkich pytań dotyczących przeszłości Toma, który nie kwapił się z udzielaniem informacji, i wdzięczny za to, co tamten dlań robi, prawie polubił drobnego człowieczka.

- Kiedyś tam, Jordach - powiedział Dwyer chwytając mapę, która ześlizgiwała się ze stołu - my dwaj będziemy mieli własne statki.

„Kapitan Dwyer przesyła wyrazy uszanowania i zapytuje, czy kapitan Jordach zaszczyca wizytą jego pokład”.

- Aha - bąknął Tom. - Już coś takiego widzę.

- Czemu nie? Zwłaszcza jeżeli będzie wojna. Nawet nie taka wielka jak druga światowa, kiedy to każdy, kto potrafił przepłynąć na wiosłach jezioro w Parku Centralnym, zawsze mógł zostać szyprem na takim czy innym statku. Mam na myśli małą wojnę, jak w Korei. Nie wyobrażasz sobie, ile forsy przywozili stamtąd do kraju różni faceci. Mieli płacę za strefę wojenną, rozmaite dodatki, takie tam rzeczy. A ilu takich, co nie potrafiło odróżnić własnego zadka od rufy, zostało ostatecznie szyprami własnych statków! Do diabła!

Stany Zjednoczone zaczną gdzieś wkrótce wojować. Muszą! A jeżeli my będziemy gotowi, trudno przewidzieć, jak daleko możemy zajechać.

- Zaczekaj z marzeniami do koi - powiedział Tom. - Teraz wróćmy lepiej do roboty.

Obydwaj pochylili się nad mapą.

Tom wpadł na pomysł w Marsylii. Zbliżała się północ. On i Dwyer zjedli obiad w marynarskiej knajpie w Vieux Port. Tom nie zapomniał, że są na południowym wybrzeżu Francji, więc z tej okazji wypili trzy butelki vin rose, chociaż Marsylię trudno byłoby uznać za miejscowość turystyczną. Ich statek miał podnieść kotwicę o piątej rano, zatem byli w

porządku pod warunkiem, że wrócą na pokład nieco wcześniej.

Po obiedzie powłóczyli się trochę, zahaczając po drodze o kilka barów, obecnie zaś znaleźli ostatni postój w podrzędnym szynku przy Canabiere. Ryczała grajszafa, a parę tłustych dziwek, siedzących przy bufecie, czekało, żeby ktoś zaproponował im coś do wypicia. Tom nie miałby nic przeciwko dziwce, ale te kurwy były odrażające, najprawdopodobniej chore wenerycznie, no i zupełnie nie odpowiadały jego pojęciom o damie, jaką chciałby pieprzyć na południowym wybrzeżu Francji.

Popijał z wolna przy długim stole pod ścianą, patrzył na grube łydy dziewczyn, wyglądające spod jaskrawych sukien ze sztucznego jedwabiu, i wspominał najlepsze dziesięć dni swojego życia - kiedy był w Cannes z szaloną Angielką, która tak bardzo lubiła biżuterię.

- Słuchaj no - zwrócił się do Dwyera, który siedząc naprzeciw niego pił piwo. - Mam pomysł.

- Co masz?

Dwyer niepewnie przypatrywał się dziwkom. Był w strachu, że jedna z nich może przysiąc się, położyć mu dłoń na kolanie. Pod wieczór proponował, że znajdzie prostytutkę, by raz na zawsze dowieść Tomowi, że nie jest pedałem. Ale Tom był zdania, że obejdzie się bez takiej hecy, bo jemu wszystko jedno, czy Dwyer jest, czy nie jest pedałem, a zresztą stosunek z prostytutką nie dowiedzie niczego, bo wielu pedałów zadaje się też z kobietami.

- Jak to, co mam? - zapytał Tom.

- Powiedziałeś przecież, że masz pomysł.

- Aha, pomysł. Właśnie. Drapniemy z tej cholernej łajby.

- Zwariowałeś? - obruszył się Dwyer. - Co, u licha będziemy robić w Marsylii bez statku? Prędko wylądujemy w kryminale.

- Nic podobnego. Nie mówię, żeby drapnąć na dobre. Nasz następny port to Genua, no nie?

- Aha. Genua - przyznał niechętnie Dwyer.

- No to dogonimy łajbę w Genui - podchwycił Tom. - Powiemy, że zaleliśmy się i

obudzili dopiero, jak statek był w morzu, więc dopędziliśmy go w Genui. Co mogą nam zrobić? Potrącić forszę za kilka dni i tyle. Brak im rąk do pracy. A z Genui „Elga Andersen” idzie w potworny rejs prosto do Hoboken. Mam rację, prawda?

- Aha.

- Więc nie stracimy nawet zejścia na ląd w żadnym porcie. A na tej parszywej łajbie i tak nie warto dłużej pływać. W Nowym Jorku będziemy mogli rozejrzeć się za czymś lepszym.

- Ale co będziemy robić, nim w Genui wrócimy na pokład? - zaniepokoił się Dwyer.

- Urządzimy wyprawę - podchwycił Tom. - Wielką wyprawę. Kolejną pojedziemy do Cannes, schroniska milionerów, jak pisze się w gazetach. Byłem tam i nigdy nie przeżyłem nic lepszego. Będziemy wylegiwać się na plaży, poderwiemy jakieś fajne damy... Forszę za naszą pracę mamy w kieszeniach, więc...

- Ja tam oszczędzam forszę - przerwał Dwyer.

- Użyj trochę życia. Użyj, chłopie! - rzucił niecierpliwie Tom.

Nie mógł już sobie wyobrazić, że wróci na posępny statek, będzie odstawał wachty, skrobał farbę, jadł obrzydlistwa, jakie tam dają - a tu Cannes, najcudowniejsza miejscowość jest tuż pod bokiem, łatwo dostępna, oczekująca!

- Nawet nie mam przy sobie szczotki do zębów - bąknął Dwyer.

- Kupię ci szczotkę - podchwycił Tom. - Słuchaj no. Wciąż opowiadasz, jaki to wielki żeglarz z ciebie. Gadasz, że jako szczeniak przepłynąłeś płaskodennym czółnem całe Jezioro Górne.

- Co ma Jezioro Górne do Cannes?

- Marynarzyku - zabrzmiał głos jednej z dziwek przy bufecie, ubranej w jaskrawą suknię odsłaniającą możliwie najwięcej biustu.

- Nie zafundujesz miłej damie czegoś dobrego do wypicia? Nie zabawisz się z nią później? - Dziwka ukazała w uśmiechu złote zęby.

- Odczep się - rzucił Tom.

- Salaud * - odpowiedziała bez obrazy i odeszła w kierunku grającej szafy. (* Łajdak [fr.]

- Co ma Jezioro Górne do Cannes? - powtórzył Tom. - Zaraz ci to wytłumaczę, co ma Jezioro Górne do Cannes. Jesteś ostrym wodniakiem z Jeziora Górnego...

- Cóż... Ja tylko...

- Jesteś ostrym wodniakiem, czy nie jesteś?

- Jak Boga kocham, Tom, nie twierdziłem nigdy, że ze mnie Krzysztof Kolumb albo ktoś taki. Pływałem na czólnach płaskodennych i małych motorówkach, kiedy byłem dzieciakiem, więc...

- Więc - podchwycił Tom - znasz się na małych łodziach, no nie?

- Znam się, to fakt, ale wciąż nie rozumiem...

- Na plaży w Cannes, widzisz, są żaglówki do wynajęcia na godziny.

Chcę zobaczyć na własne oczy, jak sobie radzisz. Wielki cwaniak z ciebie w teorii, kiedy przychodzi do map i książek. W porządku.

Ale muszę zobaczyć jak na wodzie poprowadzisz łódź. A może i to mam przyjąć na wiarę, jak zapewnienie, że nie jesteś pedałem?

- Tommy! - Dwyer był wyraźnie dotknięty.

- Mógłbyś mnie nauczyć, Dwyer. Chcę dowiedzieć się czegoś od fachowca. Do licha! Jeżeli masz pietra i nie pojedziesz ze mną, sam pojedę do Cannes. Możesz wrócić na statek, skoro taki grzeczny chłopczyk z ciebie.

- Niech będzie - ustąpił Dwyer. - Nigdy nie robiłem takich rzeczy, ale zrobię. Niech diabli porwą statek. - Do dna wypił piwo.

- Wielka wyprawa - powiedział Tom.

Nie było aż tak dobrze, jak we wspomnieniach Toma, bo towarzyszył mu Dwyer, nie szalona dziewczyna z Londynu. Ale było całkiem nieźle i bez wątpienia znacznie lepiej niż na statku, gdzie należało odstawać wachty, jeść rozmaite paskudztwa i spać w kajucie z dwoma chrapiącymi Marokańczykami.

Znaleźli tani, lecz nie najgorszy hotelik na tyłach Rue d'Antibes i chodzili nad morze pływać, chociaż w zimnej, wiosennej wodzie wytrzymało się ledwie kilka minut. Ale białe zabudowania były te same, różowe wino było to samo, błękitne niebo było to

samo, piękne jachty zakotwiczone w porcie były te same. No i Tom nie musiał myśleć o swojej wadze ani o czekającej go po wypoczynku morderczej walce z Francuzem.

Wynajęli na godziny niewielką żaglówkę i okazało się, że Dwyer nie kłamał. Naprawdę znał się na obsługiwaniu małych jednostek pływających. W ciągu dwu dni wiele nauczył Toma, który w dziewięciu przypadkach na dziesięć zmieniał już z powodzeniem hals, przerzucając żagiel.

Jednakże większość czasu spędzali w porcie, gdzie spacerowali na nadbrzeżach podziwiając szalupy, szkunery, duże jachty, wycieczkowe motorówki - przeważnie wyciągnięte na piasek i doprowadzane do porządku przed sezonem.

- Do diabła! - wzdychał Tom. - Trudno uwierzyć, że na świecie jest tyle pieniędzy, a my nic nie mamy.

Przy Quai Saint-Pierre wypatrzyli bar uczęszczany przez szyprów i żeglarzy z jachtów spacerowych. Było pośród nich kilku Anglików, a prawie wszyscy mówili trochę po angielsku, więc Tom i Dwyer chętnie wdawali się z nimi w rozmowy. Odnosili wrażenie, że nikt z tych ludzi nie pracuje ciężko, gdyż jak dzień długi w barze nie brakowało gości. Nauczyli się pić pastis, ponieważ wszyscy to pili i trunki były tani. Dziewczyn nie znaleźli, a te, które zaczepiały ich z samochodów na Croisette bądź w okolicach portu, stawiały ceny zbyt wygórowane. Ale pierwszy raz w życiu Tom nie miał nic przeciwko obywatelom bez kobiety. Wystarczał mu port, wystarczała mu wizja życia związanego z portem - życia dorosłych mężczyzn, którzy rok po roku spędzają na pięknych jachtach. Przez dziesięć miesięcy nie mają na karku żadnego szefa, a później, w czasie lata, dumnie stają przy sterze wartego sto tysięcy dolarów jachtu, który wychodzi w morze, by dotrzeć do miejscowości takich jak Saint-Tropez, Monte Carlo, Capri i zawija do portów mając pokład udrapowany pięknymi dziewczętami w kostiumach plażowych. No i wszyscy ci ludzie mają kieszenie wyładowane pieniędzmi. Te, których nie daje im wynagrodzenie, czerpią z prowizji czy łapówek od dostawców okrętowych, właścicieli stoczni remontowych, rozmaitego pokroju rzemieślników i dostawców. Jedzą i piją po królewsku, a niektórzy starsi mężczyźni nigdy nie mogą wytrzeźwieć.

- Ci faceci - orzekł Tom po czterech dniach w Cannes - rozwiązali wszystkie

problemy naszego świata.

Zastanawiał się nawet, czy nie zwać na dobre z „Elgi Andersen” i nie poszukać pracy na jednym z jachtów wycieczkowych. Okazało się jednak, że ktoś, kto nie jest szyprem, może dostać nędznie płatne zajęcie na trzy lub cztery miesiące, a przez resztę roku musi sam dbać o siebie. Tom przepadał za Cannes, ale nie miał ochoty przymierać głodem przez osiem miesięcy w roku po to jedynie, żeby się tam znajdować.

Dwyer był tak samo olśniony jak Tom. Może nawet bardziej. Ma się rozumieć, nie był uprzednio w Cannes, ale od wczesnego dzieciństwa uwielbiał łodzie i statki i miał z nimi wiele do czynienia. To, co dla Toma stanowiło odkrycie dokonane w dojrzałym wieku, dla Dwyera było wspomnieniem największych przyjemności z lat chłopięcych.

W barze bywał stary Anglik, drobny, siwowłosy człeczyna o spalonej na brąz, śniadej twarzy, nazwiskiem Jennings. Podczas wojny służył w brytyjskiej marynarce wojennej, a obecnie był właścicielem, prawdziwym właścicielem jachtu wycieczkowego o długości sześćdziesięciu stóp i pięciu kabinach. Jacht - jak Jennings powiadał Tomowi i Dwyerowi - był stary i koślawy, ale on znał go niczym własną matkę i pływał nim jakoś po całym Morzu Śródziemnym - na Malte, Sycylię, do Grecji, wszędzie - wynajmując go turystom w ciągu sezonu letniego. W Cannes miał agenta, który za dziesięcioprocentową prowizję załatwiał kontrakty z turystami.

Dopisało mu wyjątkowe szczęście, jak mówił. Pracował na tym jachcie, którego poprzedni właściciel nienawidził swojej żony, a więc przed śmiercią jemu zapisał łajbę. Na złość! Cóż, na podobne zdarzenie nie sposób liczyć.

Jennings popijał pastis zadowolony z siebie. Jego jacht motorowy, „Gertruda II” - przysadzisty, ale czysty i prezentujący się okazale - stał przycumowany na zimę po przeciwległej stronie nadbrzeża, akurat naprzeciw baru. Dzięki temu Jennings mógł popijać i jednocześnie spoglądać czule na swoją własność, a więc miał pod ręką wszystkie dobre rzeczy.

- Cudowne życie! - mówił. - Uczciwie muszę to przyznać, jankesi.

Lepiej być tu niż wojować za parę marnych szylingów na dzień, dźwigać ładunek

w dokach Liverpoolu albo na Morzu Północnym ociekać krwawym potem w maszynowni jakiejś krypy. Nie mówiąc o klimacie i podatkach. - Szerokim gestem ręki wskazał port naprzeciw baru, gdzie łagodne promienie słońca pieściły rozchwiane maszty jachtów, które burta w burtę stały przycumowane wzdłuż nadbrzeża. - Pogoda w sam raz dla bogaczy - podjął. - Pogoda w sam raz dla bogaczy.

- Wolno, Jennings, zadać ci jedno pytanie? - odezwał się Tom, który fundował Anglikowi, więc sądził, że ma prawo zadawać mu pytania. - Ile trzeba mieć forsy, żeby kupić średni jacht, taki, powiedzmy, jak twój, a następnie rozkręcić interes?

Jennings zapalił fajkę, pyknął kilkakrotnie z zastanowieniem. Nie śpieszył się nigdy. Nie służył już w marynarce wojennej, nie pracował w dokach, nie miał nad sobą brygadzysty ani oficera, który mógłby mu nauragać. Nie brakowało mu czasu.

- Hm... - zaczął wreszcie. - Na twoje pytanie, jankesie, diablo trudno odpowiedzieć. Statki są jak kobiety: jedne drogie, inne tanie, ale cena nie wpływa na satysfakcję, jaką ci mogą dawać. - Roześmiał się z uznaniem dla własnego doświadczenia życiowego.

- Ale minimum? - natarł Tom. - Absolutne minimum?

Anglik podrapał się w głowę, wypił do dna. Tom zamówił następną kolejkę.

- To kwestia szczęścia - podjął Jennings. - Wiem o ludziach, co jak nic wykładali sto tysięcy żywą gotówką za statki projektowane przez pierwszorzędnych specjalistów, budowane w najlepszych stocznjach holenderskich albo brytyjskich, wyposażone we wszystko, o czym można zamarzyć. Stalowy kadłub, rozumiesz, pokład z tekowego drewna, a na pokładzie wszelkie najnowocześniejsze urządzenia: radar, elektrycznie oczyszczane toalety, klimatyzacja, automatyczny pilot. I co? Ci ludzie przeklinali chwilę, w której cholerna krypa została spuszczone na wodę, no i chętnie pozbywaliby się jej za cenę skrzynki whisky, ale nabywcy nie mogli znaleźć.

- My nie mamy stu tysięcy funtów - wtrącił zwięźle Tom.

- My? - obruszył się Dwyer. - Co to znaczy: my?

- Stul pysk - skarcił go Tom i zwrócił się do Jenningsa: - Twój jacht nie mógł nigdy kosztować stu tysięcy funtów.

- Pewno, że nie. Czegoś takiego nie mówiłem.

- Chodzi mi o coś w granicach rozsądku - natarł znów Tom.

- Granice rozsądku to coś, co nie da się zastosować do statków - odrzekł Anglik, który zaczynał działać Tomowi na nerwy. - To, co jednemu pasuje do granic rozsądku, dla drugiego będzie czystą fantazją. Rozumiesz, dokąd zmierzam? Jak już słyszałeś, wszystko jest kwestią szczęścia. Na przykład ktoś ma pierwsza klasa jachcik, co kosztował go dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy funtów. Ale żona tego faceta cierpi wciąż na chorobę morską albo on miał zły rok w interesach, albo wierzyciele depczą mu po piętach, albo burze w sezonie nie sprzyjały rejsom wycieczkowym, albo papiery wartościowe spadły na giełdach i wygląda na to, że komuniści mogą dojść do władzy we Włoszech czy też Francji, albo zanosi się na wojnę, albo władze podatkowe dobierają się do gościa za jakieś machlojki, może na przykład swój jacht kupił za pieniądze ulokowane cichcem w jakimś banku w Szwajcarii. I co?

Gość ma nóż na gardle, musi pozbyć się jachtu, i to czym prędzej, a tu akurat nie ma chętnych na takie rzeczy w tym tygodniu... Kapujesz, jankesie, dokąd steruję?

- Aha - odburknął Tom. - Możesz nie rysować mapy.

- Gość jest w sytuacji bez wyjścia - podjął Anglik. - Może musi mieć w poniedziałek pięć tysięcy gwinei, bo inaczej dom zawali mu się na łeb. No i ty jesteś pod ręką i masz pięć tysięcy gwinei.

- Co to jest gwinea? - zapytał Dwyer.

- Pięć tysięcy gwinei to piętnaście tysięcy dolarów - powiedział Tom i zwrócił się znów do Jenningsa: - Zgadza się?

- Mniej więcej. Z dokładnością do iluś tam szylingów. Albo dowiesz się w porę o statku wystawionym na sprzedaż, dawnej jednostce wojennej, albo takim, co został skonfiskowany za przemyt. Ma się rozumieć, taka krypa wymaga przystosowania, ale jeżeli masz ręce do roboty i nie musisz płacić rozbójnikom z tutejszej stoczni...

Nigdy nie ufaj Francuzowi z Lazurowego Wybrzeża, zwłaszcza takiemu, co żyje z morza. Facet wyciągnie ci portfel z kieszeni, ani się obejrzyś. Więc tak jedno do drugiego, jeżeli uważasz na siebie i każdego wieczoru przeliczasz pieniądze, jeżeli

dopisze ci szczęście, do tego znajdziesz ludzi, co dadzą ci na kredyt wyposażenie i prowiant, a na gotówkę zaczekają do końca sezonu, możesz być na wodzie gotowy do pierwszego rejsu kosztem nie większym niż jakieś osiem, dziesięć tysięcy funtów.

- Osiem, dziesięć tysięcy funtów - wtrącił Dwyer. - Równie dobrze mogłoby to być osiem, dziesięć milionów dolarów.

- Stul pysk! - skarcił go znowu Tom. - Są różne drogi do pieniędzy.

- Powiadasz? - rzucił Dwyer. - Jakie?

- Różne. Raz zarobiłem trzy tysiące dolarów w jeden wieczór.

Dwyer odetchnął głęboko.

- W jaki sposób?

Od czasu pożegnania z hotelem „Egejskim” Tom po raz pierwszy napomknął przy kimś o swojej przeszłości. Teraz był zły, że tak się stało.

- Mniejsza z tym - powiedział szorstko i jeszcze raz zwrócił się do Anglika: - Mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

- Każdą - odpowiedział Jennings - jeżeli, rzecz jasna, nic mnie to nie będzie kosztowało.

Roześmiał się cicho, łagodnie - on, właściciel jachtu zajmujący miejsce na samym szczycie systemu, doświadczony wychowanek Królewskiej Marynarki Wojennej, który potrafił przetrwać wojnę i nędzę, pijaczyna i stary, doświadczony cwaniak, co nie pozwoli nikomu nabić się w butelkę.

- Jeżeli usłyszysz o czymś - podjął Tom - o czymś naprawdę dobrym, ale tanim, daj mi znać. Dobrze?

- Z całą przyjemnością, jankesie. Napisz mi tylko swój adres.

Tom się zawahał. Miał jeden adres - hotel „Egejski” - i ten dał wyłącznie swojej matce. Przed bójką z Quaylesem odwiedzał ją dosyć regularnie, kiedy był pewien, że nie natknie się na Rudolfa.

Później pisywał do nich z kolejnych portów, posyłał albumiki widokówek i udawał, że powodzi mu się dużo lepiej niż w rzeczywistości. Kiedy wrócił do kraju po pierwszym rejsie, zastał w hotelu „Egejskim” cały pakiet czekających nań listów. Matka powtarzała

wciąż, że chciałaby zobaczyć wnuka, i na tym polegał jedyny kłopot z jej listami. Tom bał się nawiązania kontaktu z Teresą, nawet za cenę spotkania z synem, chociaż jedynie do niego tęsknił w Ameryce.

- Napisz mi tylko swój adres, chłopcze - powtórzył Jennings.

- Ty daj mu adres - rzucił Tom Dwyerowi, który odbierał pocztę w zarządzie głównym Związku Zawodowego Pracowników Żeglugi w Nowym Jorku; jego przecież nikt nie szukał.

- Nie lepiej byłoby dać spokój marzeniom? - zapytał Dwyer.

- Zrób tak, jak mówię.

Dwyer wzruszył ramionami, lecz adres skreślił i podał kartkę Jenningsowi. Charakter pisma miał równy, czytelny. Schludnie prowadziłby dziennik pokładowy. Trzeci oficer Dwyer. Ha! Może kiedyś dopisze mu szczęście?

Anglik wsunął kartkę do starego zniszczonego portfela z popękanej skóry.

- Oczy i uszy będę miał otwarte - powiedział.

Tom uregulował rachunek i wyszedł z Dwyerem, aby jak zwykle oglądać jachty przycumowane wzdłuż nadbrzeża. Szli wolno, w milczeniu. Tom czuł, że towarzysz spogląda nań niechętnie od czasu do czasu.

- Ile masz pieniędzy? - zapytał Dwyera, kiedy znaleźli się na krańcach portu, gdzie u nadbrzeża stały kutry rybackie ze swoimi lampami karbidowymi, a na bruku suszyły się rozpostarte sieci.

- Ile mam pieniędzy? - odburknął Dwyer. - Niecałe sto dolarów.

Akurat tyle, ile trzeba, żeby kupić jedną milionową część transatlantyku.

- Nie pytam, ile masz przy sobie. Chodzi mi o wszystko. Sam gadałeś, że robisz oszczędności.

- Jeżeli myślisz, że to starczy na taki zwariowany projekt, to...

- Ile masz pieniędzy? - przerwał Tom. - W banku?

- W banku? - powtórzył opornie tamten. - Mam dwa tysiące dwieście dolarów.

Posłuchaj, Tommy. Przestań się wygłupiać, bo przecież nigdy...

- Przyjdzie dzień - przerwał Tom znowu - kiedy my dwaj będziemy mieli własny

jacht wycieczkowy. Tutaj. W tym porcie. I będzie pogoda w sam raz dla bogaczy, jak powiedział ten stary Anglik.

Jakoś zdobędziemy pieniądze.

- Ja nie popełnię żadnego przestępstwa. - Dwyer był wyraźnie urażony. - Nie popełniłem dotąd, a teraz nie myślę zaczynać.

- A kto mówi o popełnieniu przestępstwa? - powiedział Tom, chociaż i taka myśl świtała mu w głowie.

W czasie swoich lat na ringu spotykał wielu ludzi, których Dwyer nazwałby przestępcami, ludzi w dwustudolarowych garniturach i luksusowych samochodach, w towarzystwie szykownych i kosztownych dziwek. No i wszyscy byli dla nich grzeczni, zadowoleni, że ich widzą - policjanci, politycy, ludzie interesu, gwiazdy filmowe.

Tamci byli tacy jak wszyscy, nie wyróżniali się niczym szczególnym. Przestępstwo to po prostu jeden ze sposobów robienia pieniędzy. Być może najłatwiejszy sposób. Ale Tom wolał nie płoszyć Dwyera. Na to zbyt wcześnie. Jeżeli kiedyś przyjdzie co do czego, Dwyer będzie mu niezbędny do obsługi jachtu. Sam nie dałby temu rady. Na razie. Nie jest przecież aż takim idiotą.

- Jakoś wrócę - powtarzał sobie, kiedy mijali starych Francuzów grających w kręgle na poboczu bulwaru. Za sobą mieli port, gdzie na ujętej w falochrony gładkiej tafli wodnej połyskiwały w słońcu liczne jachty wycieczkowe warte w sumie miliony dolarów. Kiedy był tu po raz pierwszy, poprzysiągł sobie, że wróci. No i wrócił!

Wrócił i wróci ponownie. Jakoś.

Następnego rana o wczesnej porze Tom z towarzyszem złapali pociąg Paryż-Genua. Postanowili wziąć sobie dodatkowy dzień urlopu, ponieważ chcieli zobaczyć, jak wygląda Monte Carlo. Liczyli też, że w kasynie los może uśmiechnie się do nich.

Gdyby wsiadali do pociągu na przeciwnym końcu peronu, Tom zobaczyłby swojego brata Rudolfa, który wysiadał z paryskiego wagonu sypialnego ze smukłą, bardzo ładną młodą dziewczyną i okazałą liczbą nowiuteńkich waliz.

ROZDZIAŁ VI

Wyszli przed dworzec i od razu zobaczyli godło agencji wynajmu samochodów Hertza.

- Jest człowiek z naszym samochodem - powiedział Rudolf.

Portier z paryskiego hotelu zajął się wszystkim, absolutnie wszystkim. Zapewnił im bilety teatralne, wycieczkę limuzyną do zamków nad Loarą, stoliki w dziesięciu restauracjach, miejsca w operze i na trybunie toru wyścigowego w Longchamps. Wreszcie Jean powiedziała:

- Każde małżeństwo winno mieć na własny użytek portiera z paryskiego hotelu.

Tragarz załadował ich bagaż do wozu, powiedział merci otrzymawszy napiwek i uśmiechnął się, jakkolwiek nie mógł mieć wątpliwości, że są ze Stanów. A według amerykańskich gazet Francuzi mieli się nie uśmiechać w tym roku do ludzi ze Stanów. Przedstawiciel biura podróży Hertza zaczął rozmowę po angielsku, lecz Rudolf - głównie aby zabawić Jean - chciał popisać się francuszczyzną, więc resztę formalności dotyczących wynajęcia kabrioletu Peugeot załatwiono w języku Racine'a. Rudolf kupił w Paryżu wydaną przez Michelina mapę departamentu Alpes-Maritimes i narada nad nią odbyła się w samochodzie z opuszczonym dachem, przy łagodnym, porannym blasku śródziemnomorskiego słońca, który służył na ich odkryte głowy.

Później pojechali przez białe miasteczko i wzdłuż wybrzeża morskiego nad zatoką Juan, gdzie w swoim czasie wylądował był Napoleon, przez Juan-les-Pins, gdzie wielkie hotele trwały jeszcze w przedsezonowym śnie, do „Hôtel du Cap” w Antibes, który - kształtny, kremowy, okazały - tkwił na łagodnym zboczu wzgórza porośniętego piniami.

- Wszystko w porządku, dziękuję panu - powiedział chłodno Rudolf, kiedy zarządzający hotelem wprowadził ich do apartamentu, z którego balkonu roztaczał się widok na lazurowe morze jaśniejące poniżej hotelowego parku.

Jednakże z największym wysiłkiem powstrzymał się od idiotycznego uśmiechu na myśl, jak doskonale zarządzający hotelem, on sam oraz Jean odgrywają rolę z jego dawnych marzeń. Tyle że wszystko prezentowało się nierównie lepiej. Apartament był większy i urządzone bardziej luksusowo, morskie powietrze pachniało rozkoszniej,

zarządzający hotelem miał wygląd zarządzającego hotelem bardziej niż można to sobie wyobrazić, on sam - bogatszy, bardziej chłodny, lepiej ubrany - różnił się od postaci z młodzieńczych snów ubogiego chłopca, Jean w skromnej paryskiej sukience była piękniejsza niż urojona dziewczyna, która w starych marzeniach wychodziła na balkon z widokiem na morze i tam całowała Rudolfa.

Zarządzający hotelem wycofał się w ukłonach, numerowi skończyli rozstawiać bagaż na składanych stołkach rozmieszczonych pod ścianami kolosalnej sypialni. Wszystko było solidne, prawdziwe, więc Rudolf zwrócił się do solidnej, prawdziwej żony:

- Teraz chodźmy na balkon.

Wyszli i tam pocałowali się w promieniach słońca.

Mało brakowało, a nie pobraliby się wcale. Jean wahała się i wahała, nie chciała odpowiedzieć ani tak, ani nie, a Rudolf był bardzo bliski postawienia kategorycznego ultimatum za każdym razem, gdy się spotykali, co zdarzało się rozpaczliwie rzadko.

Praca trzymała go w Whitby i Port Philip, kiedy zaś udawało mu się wyskoczyć do Nowego Jorku, nieraz biuro zleceń telefonicznych przekazywało mu wiadomość, że Jean wyjechała w sprawach zawodowych. Pewnego wieczora, po teatrze, zobaczył ją w restauracji z młodym mężczyzną o oczach jak paciorki, długich, niechlujnych włosach i z ciemnym zarostem nie golonym od tygodnia.

Kiedy spotkali się następnym razem, zapytał ją prosto z mostu, a ona przyznała, że to właśnie ten - jego zmiennik. Na zapytanie, czy nadal z nim sypia, odburknęła, że to jej osobista sprawa.

Był upokorzony, iż współzawodniczy z kimś o tak nieapetycznym wyglądzie, i nie najbardziej pocieszała go wiadomość, że jest to jeden z najgłośniejszych w kraju fotografików w dziedzinie mody.

Był głęboko dotknięty, więc czekał, by ona zwróciła się doń pierwsza, a gdy Jean nie telefonowała długo, nie mógł wytrzymać i sam zatelefonował do niej przysięgając sobie, że może z nią sypiać, ale nigdy, przenigdy w głowie mu nie postanie myśl o małżeństwie.

Takie traktowanie go przez Jean niszczyło wszystkie wyobrażenia Rudolfa o samym sobie, a żalose odczucia, że poniża go ta cała historia, ustępowały jedynie w łóżku, gdzie ona dawała mu zadowolenie i wydawało się, że również jest zadowolona. Liczni znajomi mężczyźni zapewniali go ustawicznie, że wszystkie spotykane przez nich dziewczyny nie robią nic, tylko nieustannie kombinują, jak złapać męża. Jakie niezwykle braki przejawiały cechy jego charakteru albo technika miłosna, albo powierzchowność, że jedyne dwie dziewczyny, z którymi chciał się ożenić, dały mu kosza?

Wirginia Calderwood nie wpływała również na poprawę sytuacji.

Stary Calderwood posłuchał rady Rudolfa, pozwolił córce przenieść się do Nowego Jorku, zamieszkać samotnie i kształcić się na wykwalifikowaną sekretarkę. Być może Wirginia brała lekcje maszynopisania i stenografii, lecz musiała to robić w bardzo dziwnych godzinach, bo za każdym przyjazdem do Nowego Jorku Rudolf widział ją w sąsiedztwie swojego mieszkania, zaczajoną w sieni domu po przeciwległej stronie ulicy albo po prostu udającą, że spaceruje. Wśród głębokiej nocy telefonowała do niego - czasami trzy albo i cztery razy - aby powiedzieć: „Rudi! Kocham cię, bardzo kocham. Chcę żebyś mnie wziął”.

Rudolf unikał jej i przyjeżdżając do Nowego Jorku zatrzymywał się w rozmaitych hotelach, lecz z jakichś pruderyjnych racji Jean nie chciała odwiedzać go w hotelu, więc został pozbawiony nawet łóżkowych rozkoszy. Nie zapraszała go nadal do swojego mieszkania, którego nie widział nigdy, podobnie jak jej współlokatorki.

Wirginia przysyłała mu wciąż długie, przerażająco dosadne listy o tym, jakie w niej budzi żądze, pisząc językiem zaczerpniętym prosto z Henry'ego Millera, którego dzieła musiała pilnie studiować.

Listy nadchodziły, nie tylko do Whitby i nowojorskiego mieszkania Rudolfa, lecz również do biura domu towarowego, więc brakowało tylko, by jakaś nieuważna kancelistka otworzyła jeden z nich, a stary Calderwood najprawdopodobniej nie odezwałby się doń słowem do końca życia.

- Diabelnie pociągający z ciebie facet, mój biedaczku! - roześmiała się Jean, gdy powiedział jej o aferze z Wirginią; a pewnej nocy, kiedy bardzo późno wracali do

mieszkania Rudolfa i zobaczyli Wirginię ukrytą w cieniu po przeciwległej stronie ulicy, zaproponowała złośliwie, że podejdzie do niej i zaprosi biedną dziewczynę na jednego.

Rudolf pracował coraz gorzej i z przykrością stwierdzał, że kilkakrotnie musi odczytywać najprostsze raporty, aby cokolwiek trafiło do jego świadomości. Sypiał też niespokojnie, budził się zmęczony i po raz pierwszy w życiu wysypały mu się pryszcze na podbródku.

Na jakimś przyjęciu w Nowym Jorku poznał blond damę o wydatnym biuście, która - chociaż przez cały wieczór krążyli dokoła niej trzej panowie - wyraźnie dawała do zrozumienia Rudolfowi, że tylko z nim jest skłonna pójść do domu. W jej apartamencie, u zbiegu jednej z Osiemdziesiątych Ulic i Piątej Alei, dowiedział się, że dama jest bogatą rozwódką, że dręczy ją samotność i nudzą mężczyźni uganiający się za nią po Nowym Jorku, natomiast on jest czarująco zmysłowy. Rudolf wolałby jakąś inną charakterystykę swojej osoby. Wypili po jednym, ale gdy przyszło co do czego, Rudolf okazał się impotentem i jak niepyszny opuścił mieszkanie przy akompaniamencie szyderczego śmiechu, który dobiegał od strony niepotrzebnego już łóżka.

- Najnieszczęśliwszy dzień w moim życiu - powiedział raz Jean - to ten, gdy przyjechałaś do Port Philip, żeby robić zdjęcia.

Ale wbrew wszystkiemu, co się działo, nie przestawał kochać jej, marzyć, że właśnie z nią jako z żoną spędzi całą resztę życia.

Jak dzień długi telefonował do niej dziesięć, dwanaście razy, lecz odpowiedzi wciąż nie było. Jeszcze raz - postanowił siedząc beznadziejnie w bawialni swojego mieszkania - spróbuję jeszcze jeden cholerny raz, a jeżeli nie zastanę jej w domu, pójdę na miasto, zaleję się, będę podrywał dziwki, wdawał się w bójki w barach, no i gdybym spotkał Wirginię Calderwood wracając do domu, zabiorę ją na górę, obrobię jak trzeba, a później wezwę ludzi z kaftanami bezpieczeństwa i powiem, żeby zabrali nas obydwoje.

Telefon dzwonił i dzwonił, i Rudolf miał już odłożyć słuchawkę, gdy usłyszał „halo” w tym dziwnie przytłumionym, dzieciennym tonie Jean.

- Twój aparat nie działał? - zapytał.

- Nie wiem. Przez cały dzień nie było mnie w domu.

- Czy nie będzie cię również przez całą noc?

Nastąpiła pauza i wreszcie Jean powiedziała:

- Nie.

- Spotkamy się?

Był gotów trzasnąć słuchawką, jeżeli usłyszy odmowę. Raz powiedział Jean, że wobec niej żywi na zmianę tylko dwa uczucia - wściekłość i zachwyty.

- A chcesz, żebyśmy się spotkali? - zapytała.

- O ósmej, dobrze? Tutaj wypijemy po jednym.

Wyrzął przez okno i nie zobaczył Wirginii Calderwood.

- Muszę wykapać się - odpowiedziała. - No i dziś nie mam ochoty na pośpiech.

Nie wybrałbyś się do mnie? I tu możemy wypić po jednym.

- Słyszę dźwięk trąb i cymbałów - powiedział.

- Przestań popisywać się erudycją - rzuciła, ale roześmiała się cicho.

- Które to piętro?

- Czwarte. I windy nie ma. Uważaj na swoje serce. - Odłożyła słuchawkę.

Poszedł do łazienki, żeby ogolić się i wziąć natrysk. Ręka mu drżała i paskudnie zaciął się w podbródek. Ranka krwawiła długo, toteż do drzwi mieszkania Jean zadzwonił dopiero pięć po ósmej.

Otworzyła mu dziewczyna w niebieskich dżinsach i swetrze, której nie widział nigdy dawniej.

- Cześć. Jestem Florence - powitała go i zawołała: - Jeanny! On przyszedł!

- Chodź, Rudi - dobiegł go głos Jean z otwartych drzwi pokoju. - Jestem właśnie zajęta makijażem.

- Dziękuję, Florence - powiedział Rudolf i wszedł do pokoju Jean.

Siedziała nago przy stole i przed małym lustrem nakładała tusz na rzęsy. Dotąd nie zwrócił uwagi, że Jean maluje rzęsy, ale nic nie powiedział na ten temat. Ani na temat jej nagości. Zbyt był zajęty rozglądaniem się po pokoju. Ściany - prawie do ostatniego cala powierzchni - były pokryte fotografiami, na których on, Rudolf, uśmiechał się,

marszczył czoło, spoglądał na coś z ukosa, robił notatki w bloczku. Niektóre zdjęcia były małe, inne kolosalnie powiększone - wszystkie pochlebne. Koniec, pomyślał z ulgą. Nareszcie koniec. Ona się zdecydowała.

- Znam skądś tego faceta - powiedział.

- Aha. Spodziewałam się, że go poznasz - uśmiechnęła się Jean i jędrna, różowa, apetyczna nakładała dalej tusz na rzęsy.

Podczas obiadu rozmawiali o ślubie. Przy deserze byli znów bliscy zerwania.

- Najbardziej odpowiada mi dziewczyna, która wie, czego chce - rzucił z goryczą Rudolf.

- Ja wiem. - Sposepniała, gdy zaczął się z nią sprzeczać. - Na przykład wiem, jak spędzę najbliższy weekend. Zostanę w domu i pozdzieram te wszystkie zdjęcia. Co do jednego. A później pobielę wapnem ściany.

Zaczęło się od tego, że ona była za ścisłą tajemnicą, on zaś chciał zawiadomić niezwłocznie wszystkich.

- Nie! - przecząco pokręciła głową. - Bez żadnych zapowiedzi.

- Ja mam siostrę i matkę - powiedział. - No i, otwarcie mówiąc, brata.

- Także pomysł! Ja znów mam ojca i brata. Obydwu ich nie znoszę.

Jeżeli zwietrzą, że ty zawiadomiłeś swoją rodzinę, a ja im nic nie powiedziałam, będziemy mieli burzę od Zachodu. Przez najbliższych dziesięć lat. A po ślubie nie chcę mieć do czynienia z twoją rodziną i nie chcę, żebyś ty miał do czynienia z moją. Rodziny wykreślamy. Rodziny i uroczyste świąteczne obiady przy starym ognisku domowym. Niech to szlag trafi!

Rudolf ustąpił bez szczególnie zaciętego oporu. W kilka zaledwie miesięcy po śmierci Colina jego ślub nie mógłby być radosnym wydarzeniem dla Gretchen. Nie nęciła go myśl o matce popłakującej i odzianej w jakieś potworne szaty, w których chodzi do kościoła.

Mógł się też obejść bez sceny, jaką niewątpliwie urządziłaby Wirginia Calderwood po otrzymaniu takiej nowiny. Natomiast Johnny Heath, Calderwood i Brad Knight musieli być uprzedzeni, bo w przeciwnym razie wyniknęłyby komplikacje w firmie; zwłaszcza że

Rudolf chciał wybrać się w podróż poślubną niezwłocznie po załatwieniu formalności. Punkty, odnośnie do których łatwo osiągnęli porozumienie, przedstawiały się jak następuje: nie będzie żadnego przyjęcia, wyjazd z Nowego Jorku nastąpi możliwie jak najprędzej, nie wezmą ślubu kościelnego, miodowy miesiąc spędzą w Europie.

Nie uzgodnili, co będą robić, kiedy powrócą z Europy. Jean nie myślała zrezygnować ze swojej pracy i nie godziła się na zamieszkanie w Whitby.

- Do licha! - powiedział Rudolf. - Nie pobraliśmy się jeszcze, a ty chcesz widzieć we mnie dochodzącego męża.

- Nie jestem zwierzęciem domowym - odpowiedziała z uporem. - Nie cierpię małych miasteczek. W Nowym Jorku idę w górę i nie myślę rzucać wszystkiego tylko z tej racji, że jakiś facet chce się ze mną ożenić.

- Jean... - wtrącił Rudolf ostrzegawczym tonem.

- Niech będzie... Z tej racji, że ja chcę się wydać za jakiegoś faceta.

- To już lepiej - powiedział.

- Sam mówiłeś, że biura firmy powinny mieścić się w Nowym Jorku.

- Ale nie mieszczą się w Nowym Jorku - powiedział.

- Będziesz mnie cenił wyżej, jeżeli nie będziemy ciągle razem.

- Nic podobnego.

- No to ja będę cenić wyżej ciebie.

I pod tym względem poddał się, ale z rezerwą.

- To moja ostatnia kapitulacja - powiedział.

- Niewątpliwie, najdroższy - zgodziła się z szyderczą pokorą, zatrzepotała malowanymi rękami i ostentacyjnie pogłaskała jego dłoń spoczywającą na stole. - Szczerze podziwiam mężczyznę, który potrafi obstawać przy swojej godności własnej.

Obydwoje parsknęli śmiechem i wszystko było znów dobrze.

- Jeden skurwysyn musi dostać zawiadomienie o naszym ślubie - powiedział Rudolf. - To ten obskurny fotograf. Jeżeli zechce przyjść na tę ceremonię, będzie mile widziany. Tylko powiedz mu, żeby się najpierw ogolił.

- Dla równowagi - podchwyciła Jean - ja mogłabym wysłać zaproszenie Wirginii

Calderwood.

Okrutni i szczęśliwi wyszli z restauracji ręka w rękę, następnie zaś odwiedzali jeden po drugim bary przy Trzeciej Alei i sekretnie, miłośnie, a na koniec po pijanemu smakowali lata rozciągające się przed nimi.

Następnego dnia kupił u Tiffany'ego pierścioneł zaręczynowy z brylantem, lecz Jean kazała mu odnieść go do jubilera.

- Nienawidzę parady bogactwa - powiedziała. - W dniu ślubu możesz zjawić się w urzędzie stanu cywilnego ze zwyczajną złotą obrączką.

W rezultacie nie sposób było nie uprzedzić z góry Calderwooda, Heatha i Brada o tym, że Rudolf wyjedzie z kraju na co najmniej miesiąc. Jean ustąpiła, ale pod warunkiem, że Rudolf zobowiąże ich do ścisłej dyskrecji - co też uczynił.

Calderwood zrobił ponurą minę. Rudolf nie wiedział, czy z powodu swojej córki, czy też dlatego, że nie odpowiadała mu wcale długa nieobecność zastępcy w firmie.

- Mam nadzieję - powiedział Calderwood - że nie zdecydowałaś się pochopnie. Przypominam sobie tę dziewczynę. Wydała mi się mało efektowna. Pewno nie ma przy duszy dziesięciu centów.

- Pracuje - powiedział Rudolf obronnym tonem.

- Nie pochwalam żon pracujących. - Calderwood pokiwał głową. - Ach, Rudi, Rudi... A łatwo mogłeś mieć wszystko.

- Wszystko! - pomyślał Rudolf. Nie wyłączając tej wariatki Wirginii Calderwood i jej pornograficznych listów.

Ani Brad, ani Johnny Heath nie okazali entuzjazmu, lecz Rudolf żenił się nie po to, żeby im sprawić przyjemność. W każdym razie - z entuzjazmem czy bez entuzjazmu - obydwaj asystowali przy ślubie w urzędzie stanu cywilnego, a następnie wraz z Florence odwieźli młodą parę na lotnisko.

Pierwszy mężowski występ Rudolfa odbył się przy odprawie bagażu, gdy zostało stwierdzone, że walizy Jean mają blisko sto funtów nadwagi.

- Na Boga! - obruszył się. - Co ty tam wiesz?

- Garderobę na zmianę - wyjaśniła. - Nie życzysz sobie chyba, by twoja małżonka

występowała nago przed frontem niezliczonych Francuzów?

- Jak na dziewczynę, która nie lubi parady luksusu - odparł wypisując czek na pokrycie nadwagi - wozisz niemało oporządzenia.

Usiłował powiedzieć to lekko, swobodnie, ale przelotnie nawiedziły go złe przeczucia. Przez długie lata ciułał cent do centa i to uczyniło zeń człowieka dbałego o pieniądze. Rozrzutne żony rujnowały mężczyzn wiele razy bogatszych od niego. Głupie obawy! - pomyślał. W razie potrzeby będę umiał ją poskromić. Tego dnia czuł, że umiałby poskromić wszystkich i wszystko. Ujął żonę za rękę i poprowadził do baru.

Przed odlotem zdążyli wypić dwie butelki szampana i Johnny Heath obiecał, że zaraz po starcie samolotu zatelefonuje do Gretchen i matki Rudolfa, by podzielić się z nimi nowiną.

Dni stawały się coraz bardziej upalne. Jean i Rudolf leniuchowali w słonecznym blasku. Opalili się, a jej włosy wybielone przez słońce i słoną wodę były teraz prawie blond. Dawała mu lekcje tenisa na hotelowych kortach i twierdziła, że jest utalentowany w tym kierunku. Była nauczycielką bardzo serio i strofowała go ostro za każde nieprawidłowe odbicie. Uczyła go również jazdy na nartach wodnych. Rudolf zdumiewał się na myśl o ilości rozmaitych rzeczy, które ona potrafi robić bardzo dobrze.

Lunch przyniesiono im do ich kabiny, mieszczącej się nad przystanią ślizgowców. Zjedli langustę, popili białym winem, a po lunchu wrócili do apartamentu, aby się kochać za opuszczonymi, przesłaniającymi słońce żaluzjami.

Po drodze Rudolf nawet nie spojrzał na liczne, prawie nagie dziewczyny leżące wokół basenu hotelowego i na skałach sąsiadujących z trampoliną, jakkolwiek pośród nich było kilka naprawdę godnych obejrzenia.

- Jesteś zwyrodniały - powiedziała doń Jean.

- Ja? Czemu to mam być zwyrodniały?

- Bo nie gapisz się na kobiety.

- Aha... Patrzę na ciebie.

- No to patrz dalej.

Odkrywali wciąż nowe knajpki i chętnie jadal bouillabaisse * (* Zupę rybną [fr.]) na tarasie restauracji „Chez Felix”, skąd przez arkadę muru obronnego widać było jachty zakotwiczone w porcie Antibes. Później, kiedy kochali się, obydwójce pachnieli czosnkiem i winem, lecz nie mieli nic przeciwko temu.

Odbywali wycieczki do miasteczek położonych w górach, zwiedzali kaplicę Matisse'a i warsztaty ceramiczne w Vallauris, zjedli lunch na tarasie „Colombe d'Or” w Saint-Paul-de-Vence, wśród trzepotu skrzydeł białych gołębi. Przy okazji dowiedzieli się z przykrością, że stadko jest wciąż białe, ponieważ gołębice przepędzają samców o innym upierzeniu, a gdy niektóre ulegają nieodpowiednim zalotnikom, właściciel restauracji zabija je osobiście.

Jean nie ruszała się nigdzie bez swoich aparatów fotograficznych i robiła niezliczone zdjęcia męża na tle masztów, starych murów obronnych, palm i fal morskich.

- Będą z tego tapety - powiedziała - do naszej przyszłej sypialni w Nowym Jorku.

Rudolf nie śpieszył się już do nakładania koszuli po wyjściu z wody. Jean mówiła, że podobają jej włosy na jego piersi i delikatny meszek na ramionach.

Projektowali wycieczkę do Włoch, gdy znudzi się im wreszcie Cap d'Antibes. Pochyleni nad mapą podkreślali miasta Mentona, San Remo, Mediolan (ze względu na Ostatnią Wieczerzę), Rapallo, Santa Margherita, Florencja (ze względu na Michała Anioła i Botticellego), Bolonia, Siena, Asyż, Rzym. Same te nazwy wydawały im się małymi dzwoneczkami, które wśród blasków słońca wygrywają kuranty. Jean była tam wszędzie. Odwiedzała Włochy podczas wakacji w poprzednich latach. Rudolf myślał, że dużo czasu upłynie, zanim dowie się o niej wszystkiego.

Nie byli jakoś znudzeni Cap d'Antibes. Pewnego dnia Rudolf wygrał z Jean seta. Trzy razy walczyła zaciekle o końcową piłkę, lecz ostatecznie on wygrał. Była wściekła. Przez dwie minuty.

Calderwooda zawiadomili depeszą, że na razie nie zamierzają wracać.

W hotelu nie rozmawiali z nikim oprócz włoskiej aktorki filmowej - tak pięknej, że niepodobna było nie odezwać się do niej. Jean poświęciła jeden ranek na jej fotografowanie i zdjęcia wysłała do „Vogue” w Nowym Jorku. Redakcja odpowiedziała

telegraficznie, iż komplet ich zamieści w numerze wrześniowym.

Nic nie mogło nie powieść się w tym miejscu.

Nie byli jeszcze znudzeni Cap d'Antibes, ale załadowali się do samochodu i wyruszyli na południe, by zwiedzać miasta zakreślone uprzednio na mapie. Nigdzie nie doznawali rozczarowań.

Na brukowanym kamieniami placu w Portofino jedli mrożoną czekoladę - najlepszą w świecie mrożoną czekoladę. Patrzyli na kobiety, które przy straganach sprzedawały turystom widokówki, koronki, haftowane obrusy. Patrzyli na jachty zakotwiczone w porcie.

Jeden z nich podobał się im szczególnie - biały jacht długości jakichś pięćdziesięciu stóp, smukły, o pięknych, naprawdę włoskich proporcjach.

- Jak widzę coś takiego - powiedział Rudolf - rozumiem czemu służy cała nowoczesna technika.

- Chciałbyś mieć ten jacht na własność? - zapytała Jean smakując mrożoną czekoladę.

- Kto by nie chciał?

- Mogę ci go kupić.

- Stokrotnie dziękuję - powiedział. - A nie dorzuciłabyś Ferrari i futra na nurkach, i czteropokojowej willi w Antibes?

- Ja mówię całkiem serio - odparła zajęta nadal mrożoną czekoladą.

- Jeżeli chcesz naprawdę, kupię ci ten jacht.

Spojrzał na nią bystro. Miała minę spokojną.

- „Vogue” nie płaci aż tyle za zdjęcia - powiedział.

- Nie jestem uzależniona od „Vogue” - podchwyciła. - Jestem obrzydliwie bogata.

Po matce odziedziczyłam nieprzyzwoicie dużo akcji i papierów wartościowych. Jej ojciec był właścicielem jednego z największych w Stanach Zjednoczonych przedsiębiorstw farmaceutycznych.

- Jaka to firma? - zapytał podejrzliwie Rudolf, a gdy Jean wymieniła nazwę, gwizdnął przez zęby i odłożył łyżeczkę.

- To wszystko znajduje się pod zarządem powierniczym kontrolowanym przez mojego ojca i brata do czasu, kiedy skończę dwadzieścia pięć lat - podjęła. - Ale i teraz moje dochody są przynajmniej trzy razy większe niż twoje. Myślę, że nie popsułam ci humoru, prawda?

Rudolf wybuchnął śmiechem.

- Cholerny świat! To się nazywa miodowy miesiąc!

Tamtego popołudnia nie obdarowała męża jachtem, lecz na otarcie łez kupiła mu jaskraworóżową koszulę w nędznym sklepiku w bliskości portu.

Później, kiedy zapytał, czemu nie powiedziała mu dawniej o swoim majątku, czemu robiła uniki, Jean odrzekła:

- Nie cierpię rozmów o pieniądzach, bo był to nieustający temat w mojej rodzinie. Już w piętnastym roku życia doszłam do wniosku, że pieniądze brukają duszę, jeżeli myśli się o nich ustawicznie. Od czasu gdy ukończyłam piętnaście lat, nie spędziłam w domu ani jednych wakacji. A po ukończeniu college'u nigdy nie wydałam centa z pieniędzy odziedziczonych po matce. Godziłam się, by ojciec i brat lokowali moje dochody w firmie. Myślę, że tak pozostanie, kiedy wygaśnie zarząd powierniczy, ale są w grubym błędzie: Okpiwaliby mnie, gdyby mogli, a ja nie chcę być okpiwaną. Szczególnie przez nich.

- A co myślisz począć z majątkiem? - zapytał Rudolf.

- Ty będziesz nim administrował dla mnie. Przepraszam! Dla nas.

Rób z pieniędzmi, co uważasz za właściwe, tylko nie mów mi nic o nich. I nie żądaj, żebyśmy prowadzili za nie bezużyteczne, nikczemnie zbyt długie życie.

- Takie jak w ciągu paru ostatnich tygodni? - zapytał.

- Teraz trwonimy twoje pieniądze, które ty zapracowałeś - powiedziała. - No i to miodowy miesiąc. Coś niezupełnie realnego.

W hotelu w Rzymie oczekiwała depesza adresowana do Rudolfa. Była od Bradforda Knighta i brzmiała jak następuje: „Twoja matka w szpitalu stop lekarz przewiduje rychły koniec stop niezwłoczny powrót wskazany”.

Rudolf podał żonie depeszę. Byli jeszcze w hallu i wręczali paszporty

funkcjonariuszowi recepcji. Jean przeczytała depeszę, zwróciła ją Rudolfowi.

- Myślę - powiedziała - że trzeba sprawdzić, czy dziś wieczór będziemy mieli samolot.

Dochodziła piąta po południu, gdy zajechali przed hotel.

- Chodźmy na górę - powiedział Rudolf.

W zatłoczonym hallu rzymskiego hotelu nie chciał zastanawiać się nad swoim zachowaniem wobec umierającej matki. Windą pojechali na piętro, gdzie w apartamencie towarzyszący im funkcjonariusz recepcji odstąpił żaluzje i wpuścił do pokoju przedwieczorne światło i zgiełk uliczny Rzymu.

- Spodziewam się, że państwo będą mieli przyjemny pobyt - powiedział recepcjonista i wyszedł.

Rudolf i Jean przypatrywali się numerowym rozstawiającym ich bagaż. Później spoglądali tępo na nie rozpakowane walizy. Liczyli dotąd, że w Rzymie spędzą co najmniej dwa tygodnie.

- Nie - odezwał się Rudolf. - Nie sprawdzimy, czy dziś wieczór będziemy mieli samolot. Wyjedziemy jutro. Chcę ofiarować jeszcze jeden dzień tobie i sobie. Zastaniemy ją przy życiu. Za skarby świata nie odmówi sobie przyjemności umierania na moich oczach.

Bierzmy się do rozpakowywania.

ROZDZIAŁ VII

Tom wrócił w Genui na pokład „Elgi Andersen” i zaraz zdał sobie sprawę, że będzie miał awanturę z Falconettim. Falconetti - wysoki tęgi mężczyzna z łapami jak balerony i z małą głową w kształcie rzepy, który siedział w więzieniu za napad rabunkowy z bronią w ręku - był postrachem całego statku. Oszukiwał w karty, ale gdy raz zarzucił mu to smarownik z maszynowni, Falconetti omal go nie udusił, nim reszta obecnych w mesie zdążyła oderwać go od gardła smarownika. Pięści miał skore do bicia i groźne. Na początku każdego rejsu zwykł wywoływać starcia z kilkoma kolejno ludźmi i bił ich brutalnie, aby nie było żadnych wątpliwości co do jego pozycji pod pokładami. Kiedy siedział w mesie, nikt nie śmiał tknąć radia i wszyscy musieli słuchać programu, jaki wybrał Falconetti - czy podobało się im to czy nie podobało. Wśród załogi był jeden Murzyn Renway, który umykał natychmiast, gdy Falconetti wchodził do mesy.

- Nie mam zwyczaju przesiadywać w jednym pokoju z czarnuchem - oznajmił Falconetti zobaczywszy go po raz pierwszy.

Renway nic nie odpowiedział, ale i nie ruszył się z miejsca.

- Hej, czarnuchu! Nie dosłyszałeś mnie, czy co? - zawołał Falconetti. Podszedł do siedzącego przy stole Murzyna, chwycił go pod pachy, wyniósł za drzwi i rzucił na gródź. Nikt nie odezwał się, nie poruszył. Na tym statku każdy winien dbać o siebie i całej reszcie zostawić podobną troskę.

Falconetti był zadłużony u połowy załogi. Teoretycznie nazywały się to pożyczki, ale nikt nie spodziewał się ich zwrotu. Jeżeli Falconetti zażądał od kogoś pięciu lub dziesięciu dolarów i spotkał się z odmową, na razie nie robił nic, ale po kilku dniach wywoływał z tym kimś bójkę, po której biedak miał podbite oczy, złamany nos albo wypluwał zęby.

Z początku Falconetti nie zaczepiał Toma, chociaż był od niego znacznie wyższy. Tom nie szukał starcia i schodził z drogi Falconettiemu, który wolał wybierać łatwiejszych przeciwników, jakkolwiek Tom był milczący, usposobiony pokojowo i zamknięty w sobie.

Ale pierwszego wieczora w Genui, gdy Tom i Dwyer weszli do mesy, zaczęła się cała historia. Falconetti, który rozdawał karty przy pokerze, cmoknął oblesnie udając

pocałunek i powiedział:

- Aha! Jest nasza parka gołąbków.

Towarzystwo przy stole roześmiało się, bo niebezpiecznie było nie wtórować śmiechem żartom pokładowego tyrana. Dwyer zarumienił się mocno, lecz Tom nalał sobie kubek kawy, sięgnął spokojnie po numer wydawanego w Rzymie dziennika „Daily American” i zaczął czytać.

- Słuchaj no, Dwyer - podjął Falconetti. - Mogę być twoim agentem.

Do kraju mamy kawał drogi, więc w obecnej sytuacji chłopcy reflektowaliby na solidny, apetyczny zadek. Reflektowalibyście chłopcy, no nie?

Przy stole rozległ się pełen zakłopotania, twierdzący pomruk.

Tom nadal czytał gazetę, popijał kawę. Czuł, że Dwyer spogląda nań błagalnie, ale wolał nie wdawać się w awanturę, dopóki sytuacja nie będzie dużo gorsza.

- Nie ma sensu, Dwyer, dawać za darmo - ciągnął Falconetti. - Możesz zbić forszę i jednocześnie być szafarzem szczęścia, jeżeli przy mojej pomocy rozkręcisz interes. Co pozostaje nam do zrobienia? Po prostu musimy ustalić cenę. Pięć, nawet dziesięć dolarów od gościa. Ja będę brał dziesięć procent, jak każdy agent z Hollywood. I co ty na to, Dwyer?

Dwyer zerwał się i uciekł. Towarzystwo przy stole wybuchnęło śmiechem. Tom czytał dalej gazetę, chociaż ręce mu drżały. Musiał panować nad sobą. Gdyby pobił draba, który od lat terroryzował załogi na rozmaitych statkach, ludzie zaczęliby kombinować, co to za facet i dlaczego jest taki sprawny - no i niebawem ktoś uprzytomniłby sobie, że zna jego nazwisko albo gdzieś kiedyś widział go przy robocie na ringu. A wszędzie po drodze, we wszystkich portach, nie brak drobnych płotek i fagasów mafii, gotowych zawiadomić z miejsca grubsze ryby, że Tomasz Jordach został wytropiony.

Czytaj tę cholerną szmatę, powiedział sobie Tom, i trzymaj język za zębami.

- I co, gołąbku od pary? - zwrócił się doń Falconetti i znowu cmoknął obleśnie. - Pozwolisz swojemu chłopczykowi, wyplakać się przed snem w samotności?

Tom metodycznie zwinął i odłożył gazetę. Niosąc kubek z kawą wolno zaczął

przemierzać mesę. Falconetti przyglądał mu się z uśmiechem.

Tom podszedł bliżej i zawartością kubka chlusnął w twarz tamtego.

Falconetti nie drgnął. Przy stole zapadło grobowe milczenie.

- Jeżeli jeszcze raz tak cmokniesz - powiedział Tom - dostaniesz po mordzie za każdym razem, kiedy stąd do Hoboken spotkam cię na tym statku.

- Naprawdę, gołąbku od pary? - Falconetti wstał i cmoknął na swój sposób.

- Czekam cię na pokładzie - rzucił Tom. - Tylko żebyś przyszedł sam.

- Mnie nie trzeba pomocy - odburknął tamten.

Tom odwrócił się i wyszedł na pokład rufowy, gdzie nie brak było miejsca do swobodnych poruszeń. Nie życzył sobie walki w ciasnocie z przeciwnikiem takiej wagi.

Morze było spokojne i przy pogodnej nocy gwiazdy świeciły jasno.

Tom westchnął ciężko. Moje przeklęte pięści, pomyślał. Wciąż te moje przeklęte pięści. Nie lękał się Falconettiego. Gruby walek tłuszczu, sterczący nad jego paskiem od spodni, był idealnym wprost celem.

Drzwi schodni skrzyknęły. W świetle, które padło na pokład, zarysował się cień. Falconetti przyjął wyzwanie i stawiał się sam.

Może ujdzie mi to jakoś, pomyślał Tom. Nikt nie będzie widział, jak się z nim rozprawię.

- Tu jestem, tłusty łachudro! - zawołał.

Chciał, żeby Falconetti rzucił się na niego. Wolał nie ryzykować ataku, bo tamten mógłby go opleść tymi swoimi długimi rękami i być może obalić techniką zapaśniczą. Tom był pewien, że Falconetti nie będzie walczył zgodnie z obowiązującym w boksie regulaminem.

- No chodź, tłuszciochu! - zawołał. - Nie myślę czekać do rana.

- Sam tego chciałeś, Jordach - powiedział Falconetti i skoczył w jego stronę wymachując pięściami po domowemu, niefachowo.

Tom uskoczył w bok i całą swoją siłę skoncentrował w jednym potężnym ciosie wymierzonym z prawej w dołek. Falconetti zachwiał się i cofnął, dobył z siebie głos taki, jak gdyby się dusił. Tom natarł i zadał drugi cios w to samo miejsce. Falconetti upadł i

zgięty w pół leżał na pokładzie. Z jego gardła dobywały się bulgocące dźwięki. Nie był znokautowany, bo oczy miał wytrzeszczone i przypatrywał się stojącemu nad nim pogromcy, lecz nie mógł wymówić słowa.

Szybka i czysta robota, pomyślał Tom zadowolony z siebie. No i na facecie nie ma żadnych śladów. Jeżeli się nie pochwali, nikt z załogi nie będzie wiedział, co zaszło na pokładzie. Ja z pewnością nie zacznę nic gadać. Falconetti dostał nauczkę; a mnie reklama niepotrzebna.

- Sprawa załatwiona, łachudro - powiedział. - Wiesz już wszystko i ten prewet swojej gęby zamkniesz na kłódkę.

Falconetti poruszył się raptownie i Tom - zanim upadł na pokład - poczuł, że wielka, mocna dłoń obejmuje jego kostkę. Coś błysnęło w drugiej ręce Falconettiego. Tom zobaczył nóż. Poderwał się i kolanami runął na twarz przeciwnika - mocno, bezlitośnie. Począł szamotać się z nim wykręcać rękę z nożem. Falconetti z trudnością chwycił oddech, szybko rozluźnił palce obejmujące nóż. Tom klęczał nadal, kolanami cisnął do pokładu ramiona Falconettiego, a gdy wyrwał mu wreszcie nóż i odrzucił, przez dwie minuty systematycznie masakrował jego twarz uderzeniami pięści.

Wreszcie wstał. Falconetti leżał bezwładnie, krew, czarna przy świetle gwiazd, plamiła pokład wokół jego głowy. Tom podniósł nóż i wyrzucił go za burtę.

Spojrzał ostatni raz na pokonanego i ruszył w stronę drzwi schodni. Oddychał ciężko, ale nie z utrudzenia walką. Był upojony.

Do diabła, myślał, sprawiło mi to frajdę. Pewno skończę jako pomyłony dziadek, który w przytułku dla starców będzie łał sanitariuszy.

Wkroczył do mesy. Gra w pokera ustała, ale tłok był tam większy niż uprzednio. Widocznie po awanturze z Falconettim gracze rozbiegli się i ściągnęli swoich kumpli, aby i oni mieli na oku rozwój akcji. Wszyscy gadali, ale zapadła cisza, gdy Tom pojawił się spokojny już, oddychający normalnie.

Podszedł do dzbanka z kawą i nalał sobie pełen kubek.

- Pół tamtego kubka zmarnowałem - oznajmił obecnym.

Zasiadł przy bocznym stole, rozwinął gazetę i wrócił do przerwanej lektury.

Tom zeszedł z trapu. W kieszeni miał zarobione pieniądze, worek marynarski po zmarłym Norwegu niósł na ramieniu. Dwyer kroczył za nim. Nikt się z nimi nie żegnał. Od czasu gdy pewnego wieczora w czasie burzy Falconetti wyskoczył za burtę, otaczało ich milczenie kolegów. A niech ich wszyscy diabli! Falconetti miał to, na co zasłużył. Nie wchodził w drogę swojemu pogromcy, ale kiedy twarz mu wydobrzała, zaczął odgrywać się na Dwyerze pod nieobecność Toma. Dwyer meldował, że Falconetti cmoka przy każdym z nim spotkaniu, a pewnej nocy, kiedy Tom schodził z wachty, usłyszał krzyki w kajucie Dwyera. Drzwi nie były zaryglowane, więc wszedł tam i zobaczył, że Dwyer leży na podłodze, a Falconetti siłą ściąga mu spodnie. Tom dał mu pięścią w nos i kopnął go w zadek, gdy tamten umykał z kajuty.

- Ostrzegałem cię - powiedział. - Nie wychylaj się, bo ile razy wpadniesz mi w oko na tym statku, oberwiesz jeszcze lepiej.

- Słowo daję, Tommy! - Dwyer miał zażawione oczy i szamotał się ze spodniami, które naciągnął śpiesznie. - Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłeś dla mnie. Nawet za milion lat, Tommy.

- Nie pleć głupstw! - odburknął Tom. - Facet nie będzie ci się więcej naprzykrzał.

Od tej pory Falconetti nie naprzykrzał się nikomu. Robił, co mógł, by omijać Toma, ale przynajmniej raz na dzień musiał go spotykać.

- Chodź no tu, łachudro - mawiał wtedy Tom i dawał mu potężną sójkę w bok, gdy Falconetti zbliżał się pokornie, skulony i z rozdygotaną twarzą.

Z reguły starał się prowokować takie sceny, gdy ktoś z załogi był w pobliżu, ale nie w obecności oficera. Po tym, co zrobił z twarzy Falconettiego, nie miał już nic do ukrywania. Wszyscy zaczęli węszyć na właściwym tropie, a marynarz pokładowy, niejaki Spinelli, powiedział raz Tomowi:

- Od czasu, jak cię zobaczyłem, głowię się i głowię, gdzie mogłem widzieć cię dawniej.

- Nigdy mnie nie widziałeś - odburknął Tom, chociaż wiedział, że to nic nie pomoże.

- Ależ tak, tak! - podchwycił Spinelli. - Sześć lat temu znokautowałeś jakiegoś czarnucha w hali sportowej Queens.

- Jak żyję, nie byłem w Queens.

- Niech będzie po twojemu. - Spinelli rozpostarł ręce pojednawczym gestem. - Nie mój interes.

Naturalnie, Spinelli puścił w ruch nowinę, że Tom Jordach był zawodowym bokserem, a przebieg jego kariery nietrudno znaleźć w „Ring Magazine”. Tom nie miał pod tym względem wątpliwości, lecz zdawał sobie sprawę, że nikt nie może mu nic zrobić, dopóki statek jest w morzu. Będzie musiał uważać dopiero po wylądowaniu, a tymczasem wolno mu nie odmawiać sobie przyjemności ścierania na proch Falconettiego. I wtedy zaczęło występować szczególne zjawisko. Załoga, tyranizowana uprzednio przez Falconettiego, lekceważyła go obecnie, zarazem jednak nienawidziła Toma za to, co robi. Zapewne wszyscy czuli się poniżeni we własnych oczach faktem, że długo ulegali roslemu, spasionemu brutalowi, a ten został pogromiony w ciągu dziesięciu minut przez mężczyznę słabszego od wielu z nich, który w ciągu dwu rejsów nigdy nie podniósł głosu.

Falconetti unikał mesy, gdy wiedział, że spotka tam Toma, ale raz, kiedy został przyłapany, Tom nie uderzył go wprawdzie, lecz rzucił ostro:

- Siedź tu, łachudro. Zapewnię ci odpowiednie towarzystwo.

Po schodni zeszedł do kajuty Renwaya. Murzyn był sam. Siedział na brzegu koi.

- Chodź ze mną, Renway - zakomenderował Tom.

Renway wystraszył się, ale pośpieszył za nim do mesy. Chciał umknąć, kiedy zobaczył tam Falconettiego, lecz Tom wepchnął go przez drzwi.

- Nie bój się, Renway - powiedział. - Posiedzimy tu sobie jak dżentelmeni obok tego dżentelmena. Posłuchamy muzyki.

Radio grało głośno.

Tom usadowił się po jednej stronie Falconettiego, Renway po drugiej. Falconetti nie drgnął nawet. Siedział z opuszczonymi oczyma, wielkie łapy trzymał przed sobą na blacie stołu. Wreszcie Tom powiedział:

- W porządku. Na dzisiaj starczy. Możesz zmiatać stąd, łachudro.

Falconetti wstał, nie spoglądając na nikogo z wpatrzonych weń ludzi, wyszedł na pokład i wyskoczył za burtę. Drugi oficer był wtedy na pokładzie i widział, co się dzieje, ale znajdował się za daleko, by samobójcę powstrzymać. Statek zawrócił i przystąpiono do poszukiwań, beznadziejnych wśród ciemnej nocy i przy sztormowej pogodzie.

Kapitan wszczął dochodzenie, ale załoga nie kwapiła się z informacjami. W raporcie dla armatora napisał: „Samobójstwo. Przyczyny nieznane”.

Tom i Dwyer złapali taksówkę niedaleko nadbrzeża i Tom rzucił kierowcy:

- Róg Broadwayu i Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy.

Podał pierwszy adres, jaki przyszedł mu na myśl, ale po drodze do tunelu uprzytomnił sobie, że to skrzyżowanie znajduje się w bliskim sąsiedztwie domu, w którym mieszkał z Teresą i z małym.

Teresy mógłby nie widzieć do końca życia - na niej mu nie zależało - lecz tęsknota za synem i podświadoma nadzieja, że go zobaczy, kazały mu zapewne pojechać w tamtą stronę.

Na Broadwayu przypomniał sobie, że Dwyer ma zatrzymać się w YMCA przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy i tam czekać na wiadomość od niego. Ma się rozumieć, nie powiedział nic Dwyerowi o hotelu „Egejskim”.

Kierowca zatrzymał wóz przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy i Tom zwrócił się do Dwyera:

- Fajno! Tutaj wysiadasz.

- Wkrótce dasz mi znać o sobie, prawda, Tommy? - zapytał niespokojnie Dwyer wysiadając z taksówki.

- To zależy.

Tom zatrzasnął drzwi wozu. Miał dosyć Dwyera i jego mazgajowatej wdzięczności.

Przy Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy poprosił kierowcę, aby zaczekał chwilę. Wysiadł z taksówki, lecz przekonał się, że w okolicy skrzyżowania są inne dzieci, ale Wesleya nie ma. Wobec tego wsiadł znowu i kazał zawieźć się do zbiegu

Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy z Park Avenue. Tam odprawił taksówkę, upewnił się, że odjechała, i zatrzymawszy następną, rzucił kierowcy:

- Róg Osiemnastej Ulicy i Czwartej Alei.

Na miejscu wysiadł, cofnął się do najbliższej przecznicy, skręcił w nią, jeszcze raz zawrócił i tym sposobem dotarł do hotelu „Egejskiego”.

Pappy siedział za ladą w recepcji, ale nic nie powiedział. Bez słowa podał Tomowi klucz. W hallu trzech marynarze sprzeczali się o coś pod palmą w donicy, stanowiącą jedyną dekorację tego pomieszczenia, które było właściwie wąskim korytarzem z wnęką przeznaczoną na biurko. Tom nie znał języka, którym posługiwali się ci marynarze. Oczywiście wolał, żeby nie mogli przyjrzeć mu się dobrze, więc minął ich szybko i na drugim piętrze otworzył drzwi pokoju, którego numerem był opatrzony klucz. Wszedł, worek rzucił na podłogę, położył się na nierównym łóżku nakrytym kapą koloru musztardy i zapatrzył się w porysowany pęknięciami sufit.

Roletę zastał opuszczoną i nie trzymał się odsłanianiem okna.

Po dziesięciu minutach ktoś zastukał do drzwi. Był to Pappy. Tom wstał z łóżka, aby go wpuścić.

- Słyszałeś coś? - zapytał.

Pappy wzruszył ramionami. Nie sposób było odczytać wyrazu jego twarzy za ciemnymi okularami, które nosił za dnia i nocą.

- Ktoś wie, że tutaj mieszkasz - powiedział - a w każdym razie bywasz, kiedy przyjeżdżasz do Nowego Jorku.

Są na tropie, pomyślał Tom i odczuł dziwną suchość w gardle.

- O czym ty gadasz, Pappy? - zapytał.

- Siedem, może osiem dni temu przyszedł do hotelu jakiś facet.

Dopytywał, czy mam cię w rejestrze gości.

- Co mu powiedziałaś?

- Że nigdy w życiu nie słyszałem o kimś takim.

- Co on na to?

- Że jest twoim bratem i wie, że się tu zatrzymujesz.

- Jak wyglądał?

- Wyższy od ciebie, szczupły, sto pięćdziesiąt pięć, może sto sześćdziesiąt funtów wagi, czarne, krótko ostrzyżone włosy, zielonawe oczy, smągła cera, opalony, dobrze ubrany, paznokcie wymanikiowane, gada tak jak facet po college'u...

- Zgadza się - podchwycił Tom. - To mój cholerny braciszek.

Widocznie adres dostał od matki. A przysięgała mi, że nie powie nikomu. Absolutnie nikomu. I tak kontent jestem, że nie rozgadała tego po całym mieście. Czego chciał mój cholerny braciszek?

- Chciał porozmawiać z tobą. Powiedziałem, że jeżeli ktoś o takim nazwisku zgłosi się tutaj, mogę mu przekazać wiadomość. Zostawił numer telefonu. W Whitby.

- To on. Zadzwoń do niego, jak przyjdzie pora. Na razie mam inne sprawy na głowie. Od niego nigdy nie miałem dobrych wiadomości.

Mógłbyś, Pappy, załatwić mi kilka spraw?

Pappy twierdząco skinął głową. Przy cenach, jakie liczył, zawsze był gotów do usług.

- Pierwsza rzecz to flacha - podjął Tom - druga rewolwer, trzecia prośba, żebyś porozumiał się z Schultzem, zapytał, czy wciąż dokoła mnie gorąco. Zapytaj też, czy jego zdaniem mogę zaryzykować spotkanie z synem. No a po czwarte, sprowadź mi dziwkę. Zrobione?

- Sto dolarów - odpowiedział Pappy.

Tom sięgnął po portfel, wręczył tamtemu dwie pięćdziesiątki.

Następnie podał mu portfel.

- Schowaj to w kasie - zadysponował, ponieważ wolał nie mieć przy sobie pieniędzy, kiedy upije się i jakaś obca dziwka będzie przetrząsać jego garderobę.

Pappy wziął portfel i wyszedł. Nigdy nie mówił więcej, niż koniecznie trzeba, i pod tym względem niewątpliwie miał słuszność.

Nosił dwa pierścienie z brylantami, półbuty ze skóry aligatora.

Tom zamknął drzwi na klucz i podniósł się z łóżka dopiero wówczas, gdy Pappy przyniósł butelkę whisky, trzy puszki piwa, talerz kanapek z szynką i brytyjski wojskowy

rewolwer marki Smith i Wesson, z wypilowanym numerem fabrycznym.

- To akurat znalazło się u mnie: - Pappy, u którego akurat znajdowało się wiele dziwnych rzeczy, podał Tomowi rewolwer. - Jeden warunek. Nie strzelaj na miejscu.

- Dobrze. Nie będę strzelał na miejscu. - Otworzył butelkę krajowej whisky i spróbował poczęstować Pappy'ego.

- Nie pijam. - Pappy pokręcił przecząco głową. - Mam delikatny żołądek.

- Ja także - powiedział Tom i pociągnął długi łyk z butelki.

- Ach. Nawet to widać - mruknął Pappy i wyszedł.

Co on wie? Co mogą wiedzieć inni?

Whisky nie pomagała, jakkolwiek raz po raz przechylał flaszkę.

Nadal pamiętał załogę, która w milczeniu stała wzdłuż burty i spoglądała nań z nienawiścią, kiedy z Dwyerem schodził po trapie z pokładu. Nie miał pretensji do tych ludzi. Przywołać do porządku pyskatego byłego więźnia - to jedna sprawa. Ale zupełnie inna dręczyć go tak, że w końcu popełnił samobójstwo. Tom odczuwał podświadomie, że człowiek, który uważa się za istotę godną tego miana, powinien wiedzieć, w jakim miejscu należy się zatrzymać, pozostawić wolną drogę drugiemu człowiekowi. Falconetti był niewątpliwie świnią i należała mu się lekcja, lecz lekcja winna znaleźć kres gdzie indziej, nie pośrodku Atlantyku.

Napił się znowu, aby zatrzeć w pamięci wyraz twarzy Falconetti'ego, kiedy rzucił mu: „Możesz zmiatać stąd, łachudro” - a Falconetti wstał od stołu i wyszedł z mesy pod obserwacją licznych par oczu.

Whisky nie skutkowała.

Był zły, gdy Rudolf nazwał go dzikim zwierzęciem, kiedy obydwoj, byli nedorostkami. A dzisiaj? Czy miałby prawo do urazy, gdyby ktoś rzucił mu podobne słowa? Naprawdę wierzył, że zostawi ludzi w spokoju, jeżeli oni dadzą mu spokój. O tym marzył. Do tego tęsknił. Był przekonany, że morze wyzwoliło go wreszcie od brutalności życia. Przyszłość, o jakiej śnił z Dwyerem, zapowiadała się jasno, nieszkodliwie, na spokojnym morzu, pośród spokojnych ludzi. I co? On - wygnaniec we własnym kraju -

kryje się uzbrojony w rewolwer w podejrzanym hotelu, a sumienie ma obarczone niedawną śmiercią człowieka. Na Boga! Jakże pragnąłby płakać, gdyby potrafił.

Butelka była w połowie opróżniona, kiedy Pappy zastukał znów do drzwi.

- Gadałem z Schultzem - oznajmił. - Dokoła ciebie wciąż gorąco.

Lepiej zamustruj na jaki statek możliwie najprędzej.

- Aha.

Tom przytaknął skinieniem głowy. Był roztkliwiony po pijacku; butelkę trzymał w ręku. Wciąż dokoła mnie gorąco, pomyślał. I tak przez całe życie. Trudno, muszą być i tacy ludzie. Chociażby dla odmiany.

- Czy Schultz mówił, że mogę zaryzykować spotkanie z synem? Ukradkiem?

- Odradza - odrzekł Pappy. - Stanowczo odradza.

- Aha. Odradza. Poczciwy, stary Schultzy. Łatwo mu, bo to nie jego dziecko. A co więcej słyszałeś o mnie?

- Dopiero co zarejestrował się w hotelu jakiś Grek z „Elgi Andersen”. Dużo gada w hallu. Opowiada, że zabiłeś faceta, co nazywał się Falconetti.

- Ha! Jak facet ma coś przeciwko innemu, nie traci czasu, żeby to roztrąbić.

- Właśnie - zgodził się Pappy. - Ten gość wie także, że byłeś zawodowym bokserem. Lepiej siedź w tym pokoju, póki nie znajdę ci miejsca na jakim statku.

- Nigdzie się nie wybieram - powiedział Tom. - A gdzie dziwka, którą zamówiłem?

- Będzie za godzinę. Powiedziałem jej, że na imię ci Bernard. O nic nie będzie pytać.

- Dlaczego Bernard? - zirytował się Tom.

- Raz miałem przyjaciela Bernarda - wyjaśnił Pappy i wyszedł stąpając lekko w swoich półbutach ze skóry aligatora.

Bernard! - pomyślał Tom. - Cudaczne imię.

Z pokoju nie wychodził przez cały tydzień. W tym czasie Pappy przyniósł mu sześć butelek whisky. Dziwek nie dostarczał więcej.

Tom stracił apetyt na kurwy. Począł zapuszczać wąsy. Cały kłopot, że rosły rude. Przy blond włosach sprawiało to wrażenie jeszcze bardziej nienaturalne niż przyprawione

wąsy. Ćwiczył ładowanie i rozładowywanie rewolweru. Usiłował nie myśleć o wyrazie twarzy Falconettiego i całymi dniami spacerował po pokoju tam i z powrotem jak więzień. Od Dwjera pożyczył jeden z jego podręczników nawigacji i poświęcał tej książce po parę godzin dziennie. Miał wrażenie, że potrafiłby już wyznaczyć kurs z Bostonu do Johannesburga. Ale nie ważył się zejść na dół po gazetę. Sam sprzątał pokój i słał łóżko, bo wolał nie leżeć w oczu pokojowej.

Pappy brał od niego dziesięć dolarów dziennie za wszystko, oczywiście bez whisky, więc pieniądze kończyły się szybko.

Wymyślał Pappy'emu za to, że nie znajduje miejsca na statku, lecz Pappy wzruszał tylko ramionami i odpowiadał, że nie sezon teraz, więc trzeba uzbroić się w cierpliwość. Pappy poruszał się swobodnie, bez ograniczeń. Takiemu łatwo o cierpliwość.

O trzeciej po południu Pappy zastukał do drzwi. Dziwna godzina!

Zazwyczaj przychodził tylko trzy razy dziennie z posiłkami.

Tom otworzył drzwi z klucza. Pappy wszedł lekko jak zawsze. Twarz za ciemnymi okularami była bez wyrazu.

- I co? - zapytał Tom. - Masz coś dla mnie?

- Kilka minut temu był znów twój brat - odparł Pappy.

- Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałem, że znam miejsce, w którym może dowiem się czegoś o tobie. Ma wrócić za pół godziny. Chcesz go widzieć?

Tom zastanawiał się przez chwilę.

- Czemu nie? - powiedział wreszcie. - Widać potrzebne to do szczęścia skurwysynowi.

Pappy skinął głową.

- Przyprawdzą go tutaj, jak wróci.

Tom zamknął za nim drzwi na klucz. Dotknął szczeciny wąsów i postanowił, że się ogoli. Przejrzał się w mętym lustrze w nędznej, ciasnej łazience. Wąsy wyglądały komicznie, oczy były przekrwione. Namydlił się i ogolił. Należało mu się ostrzyżenie.

Zaczynał łysieć od czoła, lecz włosy zwiślały mu do połowy uszu, a z tyłu opadały

na kołnierzyk koszuli. Pappy był przydatny na wiele sposobów, ale strzyc włosów nie potrafił.

Pół godziny wlokło się opieszale. Wreszcie ktoś zastukał do drzwi - inaczej niż Pappy.

- Kto tam? - zapytał szeptem Tom. Nie miał zaufania do tonu swego głosu, bo od tygodnia odzywał się jedynie do Pappy'ego, no i nie prowadził z nim długich rozmów.

- To ja, Rudi.

Tom otworzył drzwi, a gdy Rudolf wszedł do pokoju, zamknął je znowu, nim zdążył uścisnąć dłoń brata. Nie poprosił go, by zechciał usiąść. Rudolf nie łysiał i nie potrzebował na gwałt fryzjera. Z powodu upalnej pogody miał na sobie starannie wyprasowany letni garnitur w stylu dżentelmena ze wsi. Tom pomyślał, że jego rachunki z pralni muszą być jardowej długości.

Rudolf uśmiechnął się zachęcająco.

- Ten facet z dołu jest strasznie tajemniczy.

- Wie, co robi.

- Byłem tu jakieś dwa tygodnie temu.

- Aha. Wiem.

- Nie odezwałeś się do mnie.

- A nie odezwałem.

Rudolf rozejrzał się ciekawie po pokoju. Wyraz twarzy miał taki, jak gdyby nie bardzo wierzył w to, co widzi.

- Myślę, że ukrywasz się przed kimś - powiedział.

- Bez komentarzy, jak to się pisuje w gazetach - odburknął Tom.

- Mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie.

Co miał odpowiedzieć bratu? Odszukaj faceta, co nazywał się Falconetti; długość geograficzna 26,24 stopni szerokość 38, stopni, głębokość dziesięć tysięcy stóp. Albo: jedź do Las Vegas i tam powiedz jakiemuś gangsterowi, który ma broń ukrytą w bagażniku wozu, że przykro mi z powodu lania, jakie oberwał Gary Quayles, i więcej

czegoś podobnego nie zrobię.

- Cieszę się, że cię widzę, Tom - podjął Rudolf - chociaż jest to wizyta niezupełnie towarzyska.

- Tak też myślałem.

- Matka umiera. Chce cię zobaczyć.

- Gdzie jest?

- W szpitalu w Whitby. Właśnie tam jadę, więc jeżeli zechciałbyś...

- Umiera? Co to znaczy? Ma umrzeć dzisiaj czy za tydzień, czy za parę lat?

- Może to zdarzyć się w każdej chwili. Miała dwa ataki serca.

- Do diabła!

Tomowi nie postało w głowie, że jego matka może umrzeć rychło. W worku marynarskim miał nawet szal kupiony dla niej w Cannes. Szal był ozdobiony starą mapą basenu Morza Śródziemnego, odbitą w trzech kolorach. Ludzie, którym przywozi się prezenty, nie umierają zazwyczaj.

- Wiem, że odwiedzałeś ją od czasu do czasu - podjął Rudolf - i pisywałeś do niej listy. Jest teraz strasznie pobożna i widzisz, chce przed śmiercią pogodzić się z wszystkimi. Dopytywała także o Gretchen.

- Ze mną nie musi się godzić - powiedział Tom. - Nie mam nic przeciwko starej. Zalewałem jej sadła za skórę i to nie jej wina, że jestem taki, jaki jestem. No, a jeżeli chodzi o naszego cholernego ojca...

- I co? - przerwał Rudolf. - Chcesz ze mną jechać? Mój wóz czeka przed hotelem.

Tom odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy.

- Lepiej weź trochę rzeczy do jakiejś torby - ciągnął Rudolf. - Trudno przewidzieć, jak długo...

- Daj mi dziesięć minut i nie czekaj przed hotelem. Pokręć się trochę dokoła, a za dziesięć minut jedź Czwartą Aleją od Północy.

Będę szedł tamtędy tuż przy krawężniku. Jeżeli mnie nie zobaczysz, skręć w pierwszą przecznicę i wróć na tę samą drogę. Tylko żeby drzwi po prawej stronie nie były zamknięte. No i jedź wolno. Jaki masz wóz?

- Chevrolet 1960. Zielony.

Tom obrócił klucz w zamku.

- A po drodze nie gadaj z nikim - przestrzegł brata.

Jeszcze raz zamknął drzwi i kilka drobiazgów ulokował w futerale na przybory do golenia. Nie miał walizki, więc dwie koszule, nieco osobistej bielizny, skarpety, szal owinięty w bibułkę wtłoczył do torby, w której Pappy przyniósł mu dwie ostatnie butelki krajowej whisky. Dla uspokojenia nerwów pociągnął tęgi łyk, ale doszedł do wniosku, że whisky może przydać się w drodze, więc niedopitą butelkę włożył do drugiej torby.

Zawiązał krawat i przebrał się w granatowy garnitur kupiony w Marsylii. Człowiek, którego matka umiera, powinien być ubrany stosownie na taką okazję. Z szuflady w komodzie wydobył rewolwer, sprawdził bezpiecznik i wsunął broń za pasek od spodni, pod marynarkę. Później otworzył drzwi i wyjrzał ostrożnie. Na korytarzu nie było nikogo. Wyszedł, drzwi zamknął i klucz wrzucił do kieszeni.

Pappy siedział za swoim biurkiem, ale nic nie powiedział na widok Toma, który przemierzył hall niosąc futerał na przybory do golenia pod prawą pachą, a dwie wyładowane torby w lewej ręce. Tom przymknął oczy, gdy blask słońca poraził go przed hotelem. Później ruszył w stronę Czwartej Alei szybko, lecz nie tak szybko, jak gdyby przed kimś uciekał.

Ledwie zdążył minąć skrzyżowanie Czwartej Alei z pierwszą przecznicą, nadjechał zielony Chevrolet. Tom rozejrzał się ostatni raz i zwinnie wskoczył do wozu.

Kiedy wyjechali za miasto, wycieczka zaczęła sprawiać mu przyjemność. Ma się rozumieć, był zmartwiony, że matka umiera, lecz jednocześnie nie był w stanie odczuć realności tego faktu.

Chłód i ruch poza ścianami jego tymczasowego więzienia i powiewy wiejskiego powietrza cieszyły ciało. Tom dobył z torby i podał Rudolfowi flaszkę, lecz ten odmownie pokręcił głową. Rozmawiali niewiele. Rudolf powiedział mu, że Gretchen powtórnie wyszła za mąż, ale jej drugi mąż zginął w wypadku samochodowym. Powiedział mu też, że sam ożenił się niedawno. Jordachowie nigdy nie nauczą się niczego, pomyślał Tom.

Rudolf prowadził wóz szybko, całą uwagę skupiał na drodze. Tom pociągał z

butelki od czasu do czasu - nie tyle, żeby się upić, ale dosyć dla podtrzymania dobrego samopoczucia.

Jechali siedemdziesiąt mil na godzinę, gdy usłyszeli za sobą policyjną syrenę.

- Bodaj to diabli! - zaklął Rudolf i zahamował na poboczu szosy.

Policjant ze stanowej policji drogowej podszedł do wozu i powiedział:

- Dzień dobry panu.

Rudolf należał do osób, które gliny witają uprzejmym „Dzień dobry panu”.

- Proszę o prawo jazdy - podjął policjant, lecz zanim spojrzał na nie, przypatrzył się z uwagą butelce stojącej na przednim siedzeniu między Rudolfem a Tomem.

- Jechał pan siedemdziesiątką w strefie pięćdziesięciomilowej. - Policjant mierzył podejrzliwym wzrokiem Toma, który miał twarz ogorzałą, nos cokolwiek zdeformowany i ubrany był w granatowy garnitur z Marsylii.

- Niestety, muszę przyznać się do winy - powiedział Rudolf.

- No i pili panowie - podjął policjant tonem raczej stwierdzenia niż pytania.

- Nie tknąłem kropli alkoholu, a przecież ja prowadzę - odrzekł Rudolf.

- A to co za jeden? - Policjant wskazał Toma ręką, w której trzymał prawo jazdy Rudolfa.

- Mój brat - odpowiedział Rudolf.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości? - Policjant miał głos surowy, podejrzliwy, gdy zwracał się do Toma.

Tom wydobyl z kieszeni paszport, który policjant otwierał podejrzliwie, jak gdyby to była nabita broń.

- Dlaczego nosi pan przy sobie paszport? - zapytał.

- Jestem marynarzem - padła odpowiedź.

Policjant zwrócił Rudolfowi prawo jazdy, lecz paszport Toma wsunął do kieszeni.

- Zatrzymam to na razie i proszę też o tamto. - Gestem ręki wskazał na butelkę, którą Rudolf podał mu zaraz. - No i niech pan zawróci i jedzie za mną.

- Dlaczego nie wlepi mi pan mandatu za przekroczenie szybkości i nie pozwoli odjechać swoją drogą? - zapytał Rudolf. - Mamy naprawdę bardzo pilne sprawy, więc...

- Powiedziałem, niech pan zawróci i jedzie za mną - przerwał mu policjant i odmaszerował do swojego wozu, w którym drugi policjant siedział za kierownicą.

Musieli wrócić ponad dziesięć mil niedawno przebytą drogą - aż do posterunku stanowej policji drogowej. Tomowi udało się wyciągnąć rewolwer zza paska i bez zwrócenia uwagi Rudolfa wsunąć go pod poduszkę siedzenia. Jeżeli gliny zrewidują wóz, zarobi sześć miesięcy, do roku - za posiadanie bez pozwolenia i ukrywanie broni.

Policjant, który ich aresztował, wyjaśnił sierżantowi, że są winni przekroczenia szybkości, a ponadto mieli w samochodzie będącym w ruchu otwartą butelkę napoju wysokowego, i zażądał przeprowadzenia próby alkoholowej. Sierżant, na którym powierzchowność Rudolfa wywarła wrażenie, był nad wyraz uprzejmy, ale obydwu braciom kazał chuchnąć i nadmuchać baloniki, a Tom musiał też wysiusiać się do butelki.

Był zmrok, gdy wydostali się z posterunku, bez butelki, lecz z mandatem za przekroczenie szybkości. Sierżant osądził, że nie są pijani, ale Tom zauważył, że policjant, który ich aresztował, długo i pilnie oglądał zatrzymany paszport, zanim go zwrócił. Był zmartwiony, bo zdawał sobie sprawę, że mnóstwo glin ma powiązania z gangami, lecz nic na to nie mógł poradzić.

- Powinieneś się być zastanowić, nim zaprosiłeś mnie do wozu - powiedział Tom. - Bywam aresztowany nawet za oddychanie.

- Nie ma o czym gadać - odrzekł krótko Rudolf i nacisnął pedał gazu.

Tom sięgnął pod poduszkę siedzenia. Rewolwer był na miejscu. To znaczy, że nie zrewidowano wozu. Cóż, może to oznacza koniec złej passy.

W szpitalu, gdzie wylądowali po dziewiątej wieczorem, pielęgniarka zatrzymała Rudolfa i coś szeptała z nim przez chwilę.

- Dziękuję - powiedział Rudolf jakimś dziwnie nieswoim głosem i zwrócił się do Toma: - Mama umarła godzinę temu.

- Ostatnie jej słowa - mówiła Gretchen - były: „Nie wiem, gdzie jest wasz ojciec, ale powiedzcie mu, że zyskał moje przebaczenie”.

Później przyszła zapaść i już nie ustąpiła.

- Miała fioła na tym punkcie - zabrał głos Tom. - Prosiła mnie, żebym rozglądał się

za starym w Europie.

Była późna noc i rodzeństwo siedziało w bawialni domu, który przez kilka ostatnich lat Rudolf dzielił z matką. Billy spał na piętrze, a Marta oplakiwała w kuchni swoją codzienną przeciwniczkę i dręczycielkę. Billy błagał, by wolno mu było przyjechać na Wschód i ostatni raz zobaczyć babkę, więc Gretchen zabrała go z sobą, gdyż sądziła, że śmierć stanowi również część edukacji dziecka.

Matka wybaczyła i Gretchen, zanim ostatni raz ułożono ją pod namiotem tlenowym.

Rudolf załatwił wszystkie sprawy związane z pogrzebem. Rozmawiał z księdzem McDonnellem i - jak powiedział Jean podczas rozmowy telefonicznej z Nowym Jorkiem - zgodził się na całą szopę. Miały zostać odprawione egzekwie, msza, wszystko. Ustępstwa skończyły się dopiero przy żądaniu, aby okna w domu były zamknięte i żaluzje opuszczone. Mógł pójść na rękę matce, lecz tylko do pewnych granic. Jean zapytała posępnie, czy chce, by przyjechała na pogrzeb, lecz odpowiedział, że nie miałyby to sensu.

Depesza odebrana w Rzymie wytrąciła ją z równowagi.

- Rodziny - powtarzała tamtego wieczora. - Zawsze te przekłete rodziny.

Piła bardzo dużo, prawie do rana, i przez cały czas w samolocie.

Gdyby nie podtrzymał jej w porę, na pewno spadłaby ze schodów przy wysiadaniu z samolotu. Kiedy żegnał się z nią w Nowym Jorku, leżała w łóżku blada i wyczerpana. Obecnie w towarzystwie siostry i brata, w cichym domu, który dzielił ze zmarłą, Rudolf był rad, że jego żony z nim nie ma.

- Cholerny świat - odezwał się Tom. - Czyjaś matka umiera, a facet musi sikać do butelki na rozkaz gliny. - Tylko on pił, ale był zupełnie trzeźwy.

W szpitalu Gretchen ucałowała go, przygarnęła do siebie. W żałobie nie była tą zadzierającą nosa ważniaczką, którą pamiętał. Nie patrzyła na niego z góry. Była ciepła, czuła, swoja. Tom odczuwał, że teraz on i jego rodzeństwo mogą puścić w niepamięć przeszłość, pojednać się wreszcie. Na świecie ma przecież dosyć wrogów - bez nieustannej wojny podjazdowej z własną rodziną.

- Drzę na myśl o pogrzebie - odezwał się Rudolf. - Te wszystkie stare wiedźmy, z którymi matka regularnie grywała w brydża. I co, u licha, ten idiota McDonnell będzie miał do powiedzenia?

- Że złamana przez ubóstwo i niedostatek miłości, była oddana całym sercem Bogu - podpowiedziała Gretchen.

- Ba! Żeby zdołał przyhamować tylko na tym - westchnął Rudolf.

- Przepraszam na chwilę. - Tom wyszedł i pośpieszył do gościnnego pokoju, w którym zostali ulokowani on i Billy. Gretchen zajmowała drugi pokój gościnny. Nikt dotąd nie przestąpił progu sypialni matki.

- Zmienił się, prawda? - powiedziała Gretchen, gdy zostali we dwoje z Rudolfem.

- Aha.

- Spokorniał jakoś. Jest przygnębiony.

- W każdym razie to pewna poprawa - powiedział Rudolf i rozmowa się urwała, gdyż na schodach zadudniły znów kroki.

Tom wszedł do bawialni, niosąc w ręku coś owiniętego w bibułkę.

- Masz - powiedział wręczając pakiecik siostrze. - To dla ciebie.

Gretchen rozpakowała prezent, rozpostarła szal ozdobiony starą mapą basenu Morza Śródziemnego, odbitą w trzech kolorach.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Jakie to śliczne.

Wstała i obdarzyła brata pocałunkiem, który, nie wiedzieć czemu, wytrącił go z równowagi. Tom miał wrażenie, że jest gotów zrobić coś szalonego - załamać się i wybuchnąć płaczem, rozbijać meble, pójść na górę po swój rewolwer i przez okno strzelać do księżyca.

- Szal kupiłem w Cannes - powiedział. - Dla mamy.

- W Cannes? - podchwycił Rudolf. - Kiedy tam byłeś?

Tom powiedział mu, kiedy był w Cannes, skąd wynikało, że przynajmniej jeden dzień musieli tam spędzić w tym samym czasie.

- To straszne - podjął Rudolf. - Bracia mijają się w taki sposób!

Teraz, Tom, musimy być w stałym kontakcie.

- Właśnie! - Tom chciał widywać Gretchen, ale Rudolf to inna sprawa; z jego powodu wycierpiał zbyt wiele. - Właśnie! - powtórzył. - Na przyszłość zapowiem swojemu sekretarzowi, żeby zawsze wysyłał ci kopię mojej marszruty. - Wstał szybko. - Idę do łóżka. Mam za sobą bardzo długi dzień.

Poszedł na piętro, jakkolwiek nie był zanadto zmęczony. Po prostu nie chciał znajdować się w jednym pokoju z bratem. Gdyby znał adres kościoła lub domu przedpogrzebowego, wymknąłby się cichaczem i całą noc przesiedział przy zwłokach matki.

Nie chciał obudzić syna Gretchen, który w niebieskiej pidżamie spał na drugim łóżku, więc nie zapalił lampy i rozbierał się przy uchylonych drzwiach na korytarz, skąd dobywało się tyle światła, ile potrzebował, aby widzieć, co robi. Nie miał pidżamy i zastanawiał się, czy z rana chłopiec będzie zdziwiony, że on sypia w krótkich kalesonach. Najprawdopodobniej nie będzie. Robi sympatyczne wrażenie, a kiepską opinię o wuju ma zapewne ugruntowaną. Teraz pachnie czystością i mydłem, a w szpitalu usiłował pocieszać matkę, obejmował ją i obydwójce płakali. Tom nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tulił się do swojej matki.

Widok tego chłopca obudził w nim myśli o własnym synu. Musi zobaczyć Wesleya, zająć się nim w jakiś sposób. Nie może pozwolić, by przez całe życie wychowywała go taka zdzira jak Teresa.

Zamknął drzwi i wsunął się do czystego, miękkiego łóżka. W podobnym łóżku Rudolf sypia noc po nocy, jak rok długi.

Na pogrzeb przybył Teddy Boylan. Teddy Boylan i bardzo wiele innych osób. Gazety z Whitby i Port Philip uznały zgon matki czołowego obywatela za wydarzenie dosyć ważne, by wzmianki o nim wydrukować na poczesnym miejscu. Mało było do powiedzenia o Mary Jordach, więc dziennikarze nagrodzili to sobie wyliczając zaszczyty i osiągnięcia Rudolfa. Naczelnny dyrektor znanej powszechnie firmy „De-Ce, Spółka Akcyjna”, wiceprezes Izby Handlowej miasta Whitby, absolwent cum laude Uniwersytetu Whitby, członek Rady Powierniczej tegoż uniwersytetu, członek Komitetów Planowania

Miejskiego zarówno w Whitby, jak i w Port Philip, śmiały, dalekowzroczny organizator handlu i obrotu nieruchomościami. Nie pominięto nawet wiadomości, że Rudolf Jordach reprezentował Port Philip w biegu na dwieście dwadzieścia jardów przez płotki i w połowie lat czterdziestych grywał na trąbce w amatorskim zespole muzycznym, który nosił nazwę „Piątka znad Rzeki”.

Biedna mamusia, myślał Rudolf obejmując spojrzeniem przepelnione wnętrze kościoła, cieszyłaby się, że tylu ludzi przyszło dla uczczenia jej pamięci na ceremonię pogrzebową.

Ksiądz McDonnel mówił dłużej i gorzej, niż obawiał się Rudolf, który usiłował nie słuchać kłamstw wypowiedzianych nad tonącą w kwiatach trumną. Miał nadzieję, że Gretchen nie cierpi zbyt, wspominając inną trumnę i kalifornijskie krematorium. Spojrzał na siostrę. Wyraz jej twarzy nie świadczył, że wspomina cokolwiek.

Na cmentarnych drzewach śpiewały ptaki zadowolone z nadejścia lata. Nad otwartym grobem, gdy przy akompaniamencie szlochów partnerek od brydża opuszczano trumnę, Rudolf, Tom i Gretchen stali ramię w ramię - Gretchen trzymała za rękę syna.

Boylan dogonił ich w drodze od grobu ku rzędowi oczekujących czarnych limuzyn.

- Nie chciałbym być natrętem - rozpoczął, gdy przystanęli. - Gretchen... Rudolfie... Pragnę tylko powiedzieć, jak szczerze wam współczuję. Taka młoda kobieta.

Rudolf zmieszał się w pierwszej chwili. Matka wydawała mu się staruszką - była staruszką. Zestarzała się około trzydziestki, a umierać zaczęła znacznie wcześniej. Po raz pierwszy uprzytomnił sobie jej prawdziwy wiek i to wywarło na nim silne wrażenie.

Pięćdziesiąt sześć lat. Tyle mniej więcej, ile ma Boylan. Nic dziwnego, że Boylan powiedział: „Taka młoda kobieta”.

- Dziękuję, Teddy - odrzekł podając mu rękę.

Boylan nie sprawiał wrażenia człowieka nad grobem. Włosy miał tego samego co dawniej koloru, twarz ogorzałą i wolną od zmarszczek, trzewiki wyczyszczone nie mniej starannie.

- Jak ci się wiedzie, Gretchen? - zapytał Boylan.

Żałobnicy przystanęli za czołową grupą, bo nie chcieli potrącać jej na wąskiej, zwirowatej ścieżce pomiędzy nagrobkami. Boylan, jak zwykle, przyjął do wiadomości fakt, że inni czekają, gdy jemu to dogadza.

- Doskonale. Dziękuję ci, Teddy - odpowiedziała Gretchen.

- Domyślam się, że to twój syn - podjął Boylan i uśmiechnął się do chłopca spoglądającego nań z uwagą.

- Billy - podjęła Gretchen - to jest pan Boylan, stary przyjaciel.

- Jak się masz, Billy - Boylan uściśnął dłoń chłopca. - Mam nadzieję, że spotkamy się znowu przy mniej smutnej okazji.

Billy nic nie odpowiedział. Tom przypatrywał się Boylanowi spod półprzymkniętych powiek, ukrywając w zmrużonych oczach coś, co zdaniem Rudolfa, mogło być tylko rozbawieniem. Czy Tom wspomina noc, kiedy to podpatrywał Boylana, który paradował po domu nago, przygotowywał whisky, aby zanieść ją Gretchen czekającej w łóżku na piętrze? Oto cmentarne myśli!

- Pozwól, Teddy - powiedział Rudolf. - Mój brat Tomasz.

- Aa... Twój brat Tomasz. - Boylan nie wyciągnął ręki i zwrócił się do Rudolfa: - Jeżeli, Rudi, znajdziesz nieco czasu pośród tak wielu różnorodnych czynności, dzwoń do mnie, to może niekiedy moglibyśmy zjeść razem obiad. Muszę przyznać, że w kwestii wyboru przyszłości dla ciebie myliłem się, ty miałaś słuszność. Aha!

Bardzo cię proszę, przyprowadź na nasze spotkanie Gretchen, jeżeli naturalnie będzie osiągalna.

- Ja odlatuję do Kalifornii - powiedziała Gretchen.

- Jaka szkoda! Cóż, nie śmiem zatrzymać was dłużej. - Boylan skłonił się lekko i wycofał.

Smukły, konserwowany na rozmaite kosztowne sposoby był - nawet w czarnym garniturze - rażąco nie na miejscu w tym obskurnym kondukcje małomiasteczkowych żałobników.

Zmierzając w stronę pierwszej limuzyny do której Rudolf z całą stanowczością nie dopuścił księdza McDonnella, Gretchen doznała nie lada wstrząsu na myśl, jak bardzo

Rudolf i Boylan są podobni.

Oczywiście nie chodzi o powierzchowność ani - miała nadzieję - charakter, lecz o postawę, sposób mówienia, gestykulację, styl ubierania się, ruchy. Próbowwała odgadnąć, czy Rudolf zdaje sobie sprawę, ile zawdzięcza tamtemu, i czy byłby kontent, gdyby ona zwróciła mu na to uwagę.

W drodze do domu Rudolfa myślała o Boylanie. Sądziła, że powinna raczej myśleć o matce, której trumnę grabarze zasypują właśnie ziemią na cmentarzu rozslonecznionym i pełnym letnich śpiewów ptactwa. Ale myślała o Boylanie. W jej myślach nie było miłości lub pożądania, ale nie było także odrazy, nienawiści, pragnienia zemsty. Odniosła wrażenie, jak gdyby w zapomnianym kufrze znalazła starą zabawkę - ulubioną lalkę z lat dziecinnych - że ogląda ją ciekawie, usiłuje przypomnieć sobie, jakim darzyła ją uczuciem, kiedy lalka miała dla niej znaczenie, że nie udaje się jej to, więc postanawia zabawkę wyrzucić czy też oddać jakiemuś dziecku z sąsiedztwa. Pierwsza miłość. Ty zostaniesz moją Walentynką.

W domu Rudolfa wszyscy orzekli, że nieodzownie muszą się napić.

Billy, blady i przemęczony, poskarżył się na ból głowy i poszedł na piętro do łóżka. Marta - nadal cała we łzach - pośpieszyła do kuchni, aby zająć się zimnym lunchem.

Rudolf przygotował coctaille martini dla siostry i siebie, a bratu nalał na lód krajowej whisky. Tom zdjął marynarkę niewygodną, bo zbyt ciasno opinającą jego potężne bary, rozpiął kołnierzyk koszuli i siedział pochylony do przodu na twardym, drewnianym krześle. Łokcie wsparł o uda, dłonie zwiesił pomiędzy kolanami.

Wszystko, na czym ten siada, wygląda jak stołek w kącie ringu, pomyślał Rudolf wręczając bratu whisky.

W milczeniu podnieśli szklanki. Nie wymienili imienia matki.

Uzgodnili, że zaraz po lunchu pojedą do Nowego Jorku, aby nie być w domu i nie przyjmować kondolencyjnych wizyt lub telefonów. Różni ludzie przysłali moc kwiatów, lecz Rudolf kazał Marcie odesłać wszystkie do szpitala, w którym umarła matka - wszystkie, z wyjątkiem jednej wiązanki. Ta wiązanka, żonkile, stanowiła teraz wspaniałe żółtą plamę na niskim stoliku stojącym przed kanapą.

Przez otwarte okna płynęły do bawialni strumienie słonecznego blasku i zapach rozgrzanej trawy z trawnika przed domem.

Osiemnastowieczny pokój o niskim, belkowanym pułapie był ładny, w miarę skromny i utrzymany w stylu - ani przeładowany meblami, ani natrętnie nowoczesny. Odpowiadał upodobaniom gospodarza.

- Co teraz myślisz zrobić z tym domem? - zapytała Gretchen.

Rudolf wzruszył ramionami.

- Chyba go zatrzymam. Tak czy inaczej, muszę spędzać w Whitby wiele czasu. Ma się rozumieć, dom jest dla mnie o wiele za duży, ale... Może ty, Gretchen, chciałabyś przenieść się tutaj, zamieszkać u mnie?

Przecząco pokręciła głową.

- Ja jestem skazana na Kalifornię.

Jej utarczki z prawnikami wlokły się i wlokły w nieskończoność.

- A ty? - Rudolf zwrócił się do brata.

- Ja? - zdumiał się Tom. - A cóż, u diabła mógłbym tu robić?

- Znajdziesz jakieś zajęcie. - Rudolf był ostrożny, w porę uniknął słów: „Ja znajdę ci jakieś zajęcie”. Zadowolony z siebie pociągnął łyk martini. - Musisz przyznać, że to lokum lepsze niż ten twój nowojorski hotel.

- Nie myślę zostać tam długo. No i tak czy inaczej, to nie dla mnie lokum. Ludzie gapią się tu na mnie, jak gdybym był zwierzęciem w zoo.

- Przesadzasz chyba - powiedział Rudolf.

- Twój przyjaciel Boylan nie podał mi ręki na cmentarzu. Kapujesz?

Gdzie można podać rękę komuś, komu odmówiło się jej na cmentarzu?

- Ach, to był wyjątkowy przypadek.

- Z całą pewnością! - Tom zaczął się śmiać nie głośno, lecz w dziwny sposób budzący niepokój.

Gretchen spojrzała nań ze zdziwieniem. Rudolf zapytał:

- Z czego się śmiejesz?

- Jak następnym razem zobaczysz tego faceta - odrzekł Tom - powiedz mu, że

miął słuszną, kiedy mi nie podał ręki.

- O czym ty mówisz, Tom?

- Zapytaj go, czy przypomina sobie Dzień Zwycięstwa, tę noc, kiedy ktoś spalił krzyż na jego gruntach, a później wybuchnął pożar?

- Co ty gadasz? - zapytał ostro Rudolf. - Ty byłeś sprawcą?

- Aha. Ja i mój kumpel. - Tom wstał i przy kredensie napełnił swoją szklankę.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała Gretchen.

- Taka była moja szczeniacka fantazja. Przecież dopiero co wygraliśmy wojnę.

- Ale czemu wybrałeś Boylana? - zapytała znowu.

Tom stał nadal przy kredensie, tyłem do siostry. Obracał w palcach szklankę, pobrażkiwał kostkami lodu.

- Bo widzisz - powiedział - on miał wtedy romans z jedną moją znajomą, a mnie się to nie podobało. Czy wymienić z imienia i nazwiska tę młodą damę?

- Nie ma potrzeby - rzuciła śpiesznie Gretchen.

- A ten twój kumpel? Któż to taki?

- Nieważna sprawa.

- To był Claude... Claude, jakże mu tam, z którym wówczas włóczyłeś się wszędzie. Trafnie odgadłem, prawda?

Tom uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Wsparty o kredens, stojąc popijał whisky.

- Zniknął po tej całej historii - podjął Rudolf. - Teraz przypominam sobie.

- Aha, zniknął. I ja zniknąłem wkrótce po nim. Czy i to przypominasz sobie?

- Ktoś wiedział, że to była wasza robota - podjął Rudolf.

- Właśnie! Ktoś wiedział - rzucił ironicznie Tom.

- Dopisało wam szczęście - odezwała się Gretchen - że nie trafiliście do więzienia.

- Aha. Takiego zdania był tata, kiedy kopniakiem wyrzucał mnie z Port Philip. Nie ma to jak pogrzeb. Dopiero wtedy gładko wspomina się dawne dobre czasy, no nie?

- Tom - powiedziała Gretchen. - Ale teraz już nie jesteś taki. Nie jesteś, prawda?

Tom podszedł do siedzącej na kanapie siostry, schylił się, pocałował ją w czoło.

- Mam nadzieję, że nie jestem taki. - Wyprostował się i podjął szybko: - Pójdę na górę, zobaczę, co porabia mały. Spodobał mi się. Myślę, że lepiej, jeśli nie będzie sam.

Wziął swoją szklankę i poszedł na piętro.

Rudolf przygotował dwa następne martini - dla siebie i siostry.

Był rad, że ma zajęte ręce. Tom w tym samym pokoju wyprowadzał go z równowagi, a nawet gdy wychodził, pozostawiał za sobą atmosferę napięcia i niepokoju.

- Na Boga! - odezwała się wreszcie Gretchen. - Trudno uwierzyć, że wszyscy troje mamy te same geny.

- Karłowaty pomiot - podchwycił Rudolf. - Kto właściwie? Ty? Ja? On?

- Ty, Rudi, i ja byliśmy okropni.

Rudolf wzruszył ramionami.

- Nasza matka była okropna. Ojciec był okropny. Wiedziałaś dlaczego, a w każdym razie sądziłaś, że wiesz. Ale to nic nie zmienia. Ja starałem się nie być okropny.

- Uratował cię uśmiech szczęścia - powiedziała.

- Pracowałem ciężko.

- Tak samo Colin. Cała różnica w tym, że ty nigdy nie zderzysz się z drzewem.

- Bardzo przepraszam, Gretchen, że dotąd żyję. - Nie potrafił stłumić w brzmieniu głosu nuty urazy.

- Źle mnie zrozumiałaś, Rudi - podchwyciła. - Cieszę się, że w rodzinie jest ktoś, kto nigdy nie zderzy się z drzewem. To nie Tom. I nie ja, z całą pewnością. Ja jestem chyba najgorsza.

Zabrałam uśmiechy szczęścia przeznaczone dla całej rodziny. Gdybym jednej soboty około południa nie znalazła się przy pewnej drodze w sąsiedztwie Port Philip, życie nas wszystkich mogłoby wyglądać całkiem inaczej. Wiedziałaś o tym?

- O czym ty mówisz?

- O Boylanie - odpowiedziała rzeczowym tonem. - Poderwał mnie wtedy i jestem dzisiaj taka, jaka jestem, głównie za jego sprawą. Z powodu Boylana sypiałam z mężczyznami, z którymi sypiałam. Z powodu Boylana uciekłam do Nowego Jorku. Z powodu Boylana spotkałam Abbotta i w rezultacie odrzuciłam go, ponieważ za mało

różnił się od Boylana, a Colina pokochałam dlatego, że stanowił oczywiste przeciwieństwo Boylana. Wszystkie zjadliwe artykuły, które pisywałam, a wszyscy uważali za zgrabne, stanowiły ataki na Amerykę za to, że produkuje ludzi pokroju Boylana i takim ludziom ułatwia życie.

- To obsesja... Uśmiechy szczęścia przeznaczone dla całej rodziny!

Powinnaś odbyć naradę z Cygankami, nosić jakiś amulet i całą sprawę tak skwitować.

- Nie trzeba mi żadnych Cyganek - podjęła Gretchen. - Czy sądzisz, że Tom spaliłby krzyż na tamtym wzgórzu, gdybym ja nie spotkała Boylana i nie została jego kochanką? Czy sądzisz, że zostałby wygnany jak zbrodniarz, gdyby nie istniał Teddy Boylan? Czy sądzisz, że byłby taki, jaki jest dzisiaj, gdyby pozostał w Port Philip z całą rodziną?

- Może i nie - przyznał Rudolf. - Tyle że musiałyby zdarzyć się coś innego.

- Ale się nie zdarzyło - podchwyciła. - Zdarzył się Teddy Boylan, który obrabiał jego siostrę. A jeżeli chodzi o ciebie...

- O sobie wiem wszystko - przerwał.

- Naprawdę? Myślisz, że poszedłbyś do college'u, gdyby nie Teddy Boylan i jego pieniądze? Myślisz, że bez niego ubierałbyś się tak, jak jesteś ubrany, że najszybszą, najprostszą drogą dążyłbyś tak uparcie do sukcesów i majątku. Myślisz, że ktoś inny upatrzyłby sobie ciebie, prowadził cię na koncerty, przepychał przez studia, natchnął cię wielkopańską pewnością siebie? Któż by to mógł być, jeżeli nie Teddy Boylan? - Wypiła do dna drugi martini.

- Niech będzie. Wystawię pomnik ku jego chwale.

- Należałoby mu się słusznie. A teraz stać cię na to dzięki pieniądzom żony.

- Uderzenie poniżej pasa - obruszył się Rudolf. - Wiesz doskonale, że nie miałem zielonego pojęcia...

- Właśnie! - przerwała. - Uśmiech szczęścia odmienił twoje jordachowskie okropieństwo w coś zupełnie innego.

- A co powiesz o własnym jordachowskim okropieństwie?

Gretchen zmieniła ton kompletnie. Jej głos utracił szorstkość, twarz złagodniała dziwnie, jak gdyby odmłodziła.

- Z Colinem nie byłam okropna.

- Nie byłaś - przyznał.

- Ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek znalazła drugiego Colina.

Rudolf wyciągnął rękę, pogłaskał dłoń siostry, której trwała żałoba stępiła jego urazę.

- Pewno mi nie uwierzysz - szepnął - kiedy ci powiem, że moim zdaniem, znajdziesz.

- Nie.

- I co myślisz robić? Siedzieć i do końca życia oplakiwać zmarłego męża?

- Nie.

- Więc jakie masz plany?

- Wrócę do szkoły!

- Do szkoły? - powtórzył z niedowierzaniem. - W twoim wieku?

- Mam na myśli - wyjaśniła - studium zaoczne przy Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. W ten sposób będę studiować, mieszkać w domu, opiekować się Billym, wszystko jednocześnie.

Byłam tam już i rozmawiałam z właściwymi ludźmi, którzy zgodzili się mnie przyjąć.

- A co chcesz studiować?

- Będziesz się śmiać.

- Nieskłonny dziś jestem do śmiechu z czegokolwiek - odpowiedział.

- Pomysł nasunął mi ojciec chłopca, z którym Billy jest w jednej klasie. Ten pan to psychiatra.

- Do diabła! - zawołał Rudolf.

- To jeszcze jeden dowód, że znalazłeś swój uśmiech szczęścia.

Stać cię, by krzyknąć: „Do diabła!”, na sam dźwięk słowa psychiatra.

- Bardzo przepraszam.

- Mój psychiatra - ciągnęła Gretchen - pracuje w klinice z ludźmi, którzy nie posiadają lekarskich dyplomów, ale studiowali psychoanalizę, sami się jej poddawali i mają prawo leczenia przypadków nie wymagających głębokiej psychoanalizy. Chodzi tu o terapię grupową, o inteligentne dzieci, które nie chcą uczyć się czytania i pisanie albo mają skłonności do złośliwego niszczenia, o dzieci z rozbitych rodzin, które zamknęły się w sobie, o młode kobiety spaczony przez bigoterię bądź jakieś przedwczesne urazy na tle seksualnym, zrywające bez powodu z mężami, o małych Meksykańczyków i Murzynów, co idą do szkoły cofnięci w rozwoju, nigdy nie mogą doścignąć kolegów i ostatecznie zatracają poczucie własnej osobowości...

- Rozumiem - przerwał Rudolf, który słuchał ze zniecierpliwieniem.

- Uzbrojona w papierek z Kalifornijskiego Uniwersytetu w Los Angeles, myślisz na własny sposób rozwikłać problem murzyński, problem meksykański, problem religijny.

- Spróbuję rozwikłać jeden problem - podchwyciła - może dwa, może nawet sto problemów. A przy okazji uporam się z własnym problemem, będę zajęta, będę robić coś pożytecznego.

- W przeciwieństwie do twojego brata - wtrącił urażony znów Rudolf. - Czy to miałaś na myśli?

- Nic podobnego. Ty robisz coś pożytecznego na swój sposób, pozwól więc, abym na swój sposób robiła to samo.

- Jak długo ma trwać ta nauka? - zapytał.

- Minimum dwa lata do uzyskania świadectwa. Później, jak skończę praktykę psychoanalityczną...

- Nigdy jej nie skończysz. Spotkasz jakiegoś mężczyznę i...

- Być może - przerwała. - Wątpię, ale być może.

Weszła Marta z zaczerwienionymi oczyma, aby powiedzieć, że lunch gotowy na dole w jadalni. Gretchen pośpieszyła na górę po syna i Toma, a gdy wrócili stamtąd, cała rodzina zasiadła do posiłku i wszyscy byli dla wszystkich nad wyraz uprzejmi. Mówili:

- Bardzo proszę o musztardę.

- Dziękuję, kochanie.

- Nie trudź się. Mam już dosyć.

Po lunchu załadowali się do samochodu i z Whitby pojechali w kierunku Nowego Jorku, zostawiwszy za sobą drogą zmarłą.

Przed hotel „Algonquin” zajechali wkrótce po siódmej. Gretchen i Billy mieli się tam zatrzymać, ponieważ nie było dla nich miejsca w małym mieszkaniu Rudolfa, gdzie oczekiwała go Jean. Rudolf zaproponował siostrze wspólny obiad z nią i jej synem, odpowiedziała jednak, że to dzień nieodpowiedni do zawierania znajomości z nową bratową. Tom odmówił również i siedząc obok brata w samochodzie oznajmił zwięźle:

- Mam umówione spotkanie.

Kiedy Billy wysiadł z samochodu, Tom wysiadł również i objął ramieniem chłopca.

- Ja też mam syna, Billy - powiedział - dużo młodszego od ciebie.

Jeżeli wyrośnie na takiego jak ty chłopca, będę z niego dumny.

Billy uśmiechnął się - pierwszy raz od trzech dni.

- Tom - zagadnęła brata Gretchen przy wejściu do hotelu. - Zobaczę cię kiedyś?

- Ma się rozumieć. Wiem, gdzie cię szukać. Odezwę się na pewno.

Gretchen i jej syn weszli do hotelu. Numerowy poniósł za nimi dwie walizki.

- Wezmę taksówkę, Rudi - powiedział Tom. - Tobie musi być pilno do żony.

- Mam chęć na jednego. Wstąpimy tu do baru i...

- Dziękuję. Mnie się śpieszy. - Tom spoglądał przez ramię brata na ruch wzdłuż Szóstej Alei.

- Tom! Muszę z tobą pogadać.

- Myślę, że obgadaliśmy wszystko. - Tom spróbował zatrzymać taksówkę, lecz kierowca zjeżdżał do garażu. - Więcej nie masz mi nic do powiedzenia.

- Nie mam? Naprawdę? A gdybyś usłyszał, że według dzisiejszych notowań giełdowych jesteś wart jakieś sześćdziesiąt tysięcy? Nie zmienisz wtedy zdania?

- Stary kawalarz z ciebie. Prawda, Rudi?

- Nie. Mówię serio. Chodź do baru.

Tom posłusznie ruszył za bratem, a gdy kelner podał im dwie whisky, rzucił:

- No i co? Słucham.

- Pamiętasz te cholerne pięć tysięcy, które mi dałeś? - zapytał Rudolf.

- Wredny okup! Pewno, że pamiętam.

- Powiedziałeś wtedy, że mogę z nimi zrobić, co chcę. Chyba potrafię zacytować cię dosłownie. „Wysikaj się na nie. Roztrwoń je z dziwkami. Oddaj na jakiś cel dobroczynny”.

- To coś w moim stylu - uśmiechnął się Tom.

- A wiesz, co ja zrobiłem? Odpowiednio ulokowałem te pieniądze.

- Zawsze miałeś głowę do interesów. Nawet jako szczeniak.

- Ulokowałem, Tom - ciągnął spokojnie Rudolf - na twoje imię w akcjach spółki, na której czele stoję. Dywidendy niewiele dotąd przynosiły, ale co przynosiły, lokowałem dalej, no i w tym czasie były cztery nowe emisje, a kurs giełdowy wciąż zwyżkował. Jak powiedziałem, jesteś teraz właścicielem akcji wartych sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Tom wypił do dna whisky, opuścił powieki i przycisnął palcami gałki oczne.

- Przez ostatnie dwa lata - mówił dalej Rudolf - raz po raz próbowałem skomunikować się z tobą. Ale w biurze numerów informowano mnie, że twój telefon został wyłączony, a listy wysyłane na dawny adres wracały z adnotacją „Adresat nieznany”.

Matka była dyskretna. Dopiero w szpitalu powiedziała mi, że jest w kontakcie z tobą. Ba! Przeglądałem nawet kolumny sportowe w gazetach, lecz wyglądało na to, że zniknęłaś z widnokręgu.

- Odbywałem kampanię na Zachodzie. - Tom otworzył oczy; salka baru wydała mu się zamglona.

- Prawdę mówiąc, cieszyłem się, że nie mogę cię odnaleźć - ciągnął Rudolf - bo wiedziałem, że te akcje muszą pójść w górę, a ty zapewne uległbyś pokusie i sprzedał je przedwcześnie. Moim zdaniem i teraz nie powinieneś się śpieszyć.

- Zaraz, zaraz! Powiadasz, że jutro mogę pójść dokądś, powiedzieć komuś o akcjach na sprzedaż i ten ktoś wybuli mi sześćdziesiąt tysięcy dolarów? Żywą gotówką?

- Jak powiedziałem, nie radziłbym...

- Rudi! - przerwał mu brat. - Wspaniały z ciebie facet i chyba odwołam znaczną część tego, co przez tyle lat myślałem o tobie, ale dziś nie będę słuchał twoich rad. Chcę tylko, żebyś dał mi adres, pod którym ten ktoś czeka i z miejsca mi wybuli sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Żywą gotówką!

Rudolf skapitulował. Napisał adres kantoru Johna Heatha i kartkę podał bratu.

- Pójdź tam jutro. Zatelefonuję do Heatha i w porę go uprzedzę.

Będzie czekał na ciebie. Tylko błagam cię, Tommy, bądź rozsądny.

- Spokojna głowa, Rudi! - podchwycił Tom. - Od tej chwili będę taki rozsądny, że nawet ty mnie nie poznasz.

Tom chciał zamówić następną kolejkę, ale gdy podniósł rękę, by skinąć na kelnera, marynarka zsunęła mu się z ramienia i Rudolf zobaczył tkwiący za paskiem rewolwer. Zobaczył, ale nic nie powiedział. Zrobił dla brata wszystko, co w jego mocy. Więcej już nie mógł.

- Zaczekaj tu chwilę - powiedział Tom. - Muszę załatwić pilny telefon.

Wyszedł do hallu i tam, w kabinie automatu, znalazł numer linii powietrznych TWA. Wykręcił ten numer i zapytał o loty do Paryża w dniu następnym. Kobięcy głos powiedział, że samolot startuje o ósmej wieczorem, a następnie zapytał, czy ma dokonać rezerwacji.

- Nie. Dziękuję - odpowiedział Tom i odłożył słuchawkę, a potem połączył się z YMCA i do aparatu poprosił Dwyera. Długo nie było odpowiedzi, więc Tom zamierzał przerwać połączenie i o Dwyerze zapomnieć raz na zawsze, kiedy usłyszał wreszcie:

- Halo? Kto mówi?

- Tom. Słuchaj teraz...

- Tom! - zawołał radośnie Dwyer. - Siedziałem tu wciąż i siedziałem, czekałem na znak życia od ciebie. Mój Boże! Strasznie się niepokoiłem. Myślałem, że może już nie żyjesz albo...

- Stul pysk i słuchaj, dobrze? - przerwał mu Tom. - Jutro o ósmej wieczorem startuje z Idlewild samolot do Paryża. Samolot TWA. Bądź tam w biurze rezerwacji o pół do siódmej. Spakowany!

- Co ty mówisz! Masz zarezerwowane miejsca w samolocie?

- Nie mam. - Tom był zły, że Dwyer aż tak się podnieca. - Miejsca zarezerwujemy na lotnisku. Nie chcę, żeby moje nazwisko figurowało przez cały dzień na jakiejś liście.

- Aha. Rozumiem, Tom. Naturalnie.

- Bądź tam. Punktualnie.

- Nie martw się. Będę.

Tom odłożył słuchawkę, wrócił do baru i uparł się, że ureguluje rachunek. Przed hotelem, kiedy taksówka zahamowała przy krawężniku, bracia uścisnęli sobie ręce.

- Słuchaj, Tom - powiedział Rudolf. - W tym tygodniu musimy razem zjeść obiad. Chciałbym przedstawić cię żonie.

- Świetny pomysł! - uśmiechnął się Tom. - Zadzwoń do ciebie w piątek.

Wsiadł do taksówki i rzucił kierowcy:

- Róg Czwartej Alei i Osiemnastej Ulicy.

Rozsiadł się wygodnie, piastując w rękach papierową torbę ze swoim dobytkiem. Takiego, co ma sześćdziesiąt tysięcy dolarów, wszyscy gotowi zapraszać na obiad, pomyślał. Nawet rodzony brat.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ I

Kiedy zajechała przed dom, padał deszcz - ulewny, tropikalny deszcz kalifornijski, który rozpląszcza kwiaty, odbija się od dachówek niby rykoszetujące srebrne pociski, zryte spychaczami stoki wzgórz osuwa na ogrody i baseny pływakie sąsiadów. Colin umarł trzy lata temu, lecz odruchowo zajrzała do otwartego garażu, by sprawdzić, czy jest tam jego samochód.

Książki zostawiła w swoim Fordzie, model 1959, i skoczyła ku drzwiom frontowym. Jej włosy ociekały wodą, chociaż do pokonania miała ledwie kilka kroków. Kiedy znalazła się pod dachem, zrzuciła płaszcz i otrząsnęła krople deszczu z przemoczonych włosów. Była zaledwie czwarta trzydzieści po południu, ale dom tonął w ciemnościach, więc włączyła światła w hallu. Billy wybrał się w góry Sierra Nevada na weekendowy camping z kolegami. Miała nadzieję, że wysoko w górach pogoda jest lepsza niż nad morzem.

Sięgnęła do skrzynki na listy i znalazła jakieś rachunki, prospekty reklamowe oraz adresowany pismem Rudolfa list z Wenecji.

W bawialni również włączyła światła, zrzuciła przemiękłe pantofle i przyrządziła sobie szkocką whisky z wodą sodową. Później - zadowolona z ciepłego, jasno oświetlonego pokoju - podeszła do kanapy i zasiadła z nogami podwiniętymi pod siebie. W cienistych kątach nie słyszała już szeptów. Wygrała wojnę z byłą żoną Colina i dom zajmowała legalnie. Ponadto sędzia przyznał jej doraźne - do czasu ostatecznego zakończenia sprawy - zapomogi z masy spadkowej, więc nie musiała liczyć na dobrą wolę brata.

Otworzyła list od Rudolfa. Był długi. W Ameryce jej brat wolał telefonować, lecz teraz, gdy odbywał długą podróż po Europie, chętnie korzystał z usług poczty. Najwidoczniej nie brakowało mu wolnego czasu, gdyż pisywał bardzo często. Miała od niego listy z Londynu, Dublinu, Edynburga, Paryża, Saint-Jean-de-Luz, Amsterdamu, Kopenhagi, Genewy, Florencji, Rzymu, Ischii, Aten i z rozmaitych małych miasteczek, w których nocował z Jean w oberżach, a o których ona nigdy nie słyszała.

„Kochana Gretchen - zaczęła czytać - w Wenecji pada. Jean poszła na miasto robić zdjęcia. Powiada, że to najlepsza sposobność, by uwidocznic prawdziwy charakter tego miasta: wodę na wodzie. Mnie umiłowanie sztuki nie wypędza w deszcz, więc miło mi w przytulnym hotelu. Jean lubi też robić zdjęcia ludzi w najbardziej opłakanych warunkach, przeznaczone do serii jej fotogramów. Nędza lub wiek, jak powiada, a jeszcze lepiej jedno z drugim, mówią o narodzie i kraju więcej, niż mogłoby powiedzieć cokolwiek innego. Nie usiłuję z nią dyskutować. Osobiście wolę młodych ludzi w słonecznym blasku, ale jestem tylko filisterskim mężem artystki.

W najwyższej mierze delektuję się owocami lenistwa. Po latach nieustającej harówki odkryłem w sobie szczęśliwego wałkonía.

Chętnie oglądam po dwa arcydzieła dziennie, zatracam się w cudzoziemskich miastach, godzinami przesiaduję przy kawiarnianym stoliku, niby jakiś Francuz albo Włoch, udaję, że wiem co nieco o sztuce i po galeriach wyławiam dzieła nie znanych nikomu malarzy, które- gdy wrócę wreszcie do Whitby - odmienią moją bawialnię w komnatę okropności.

Może to dziwne, ale mimo całej naszej turystyki i na przekór faktowi, że ojciec pochodził z Niemiec i zapewne miał w sobie tyle Niemca, ile Amerykanina, nie mam ochoty odwiedzić jego ojczyzny.

Jean była tam, ale nie kwapi się do powtórnej wizyty. Mówi, że Niemcy we wszystkich zasadniczych cechach są zbyt podobne do Ameryki. Gotów jestem podzielić jej zdanie na ten temat.

To najukochańsza kobieta pod słońcem, a ja stałem się zapamiętałym żonkosiem i rad dźwigam sprzęt fotograficzny, aby nie tracić ni chwili z jej towarzystwa. Tylko nie wtedy, gdy pada deszcz. Jean ma czujne, spostrzegawcze oczy, więc dzięki niej w ciągu sześciu miesięcy zobaczyłem i zrozumiałem więcej Europy, niż sam zdołałbym przez sześćdziesiąt lat. Jest kompletnie pozbawiona zmysłu literackiego, nie czytuje nawet gazet, a teatr ją nudzi, wobec czego ja wypełniam ten odcinek naszego wspólnego życia. Ma jeszcze jedną zaletę: doskonale prowadzi naszego małego Volkswagena, więc mam

sposobność gapić się, oglądać krajobrazy, podziwiać Alpy czy też dolinę Rodanu, bez ryzyka zjechania na pobocze szosy. Mamy umowę w tym zakresie. Ona prowadzi wóz od rana i przy lunchu wypija butelkę wina, ja, całkiem trzeźwy, siadam do kierownicy po południu.

Nie zatrzymujemy się w szykowanych, modnych miejscowościach, jak to było podczas miodowego miesiąca, ponieważ Jean twierdzi, że tym razem podróżujemy na serio. Nie odczuwamy braku z tej racji, Jean swobodnie wdaje się w rozmowy, z kim popadnie, toteż przy moim francuskim, jej włoskim i powszechnej znajomości angielskiego naszymi znajomymi stają się dziwni i najbardziej różnorodni ludzie - właściciel winnicy z Burgundii, masażysta z plaży w Biarritz, gracz w rugby z Lourdes, abstrakcyjny malarz, mnóstwo osób duchownych, rybacy, aktor grywający epizody w francuskich filmach, stare Angielki na autokarowej wycieczce, byli komandosi z armii brytyjskiej, nasi żołnierze osiadli w Europie, członek paryskiej Izby Deputowanych, który powiada, że jedyną nadzieją świata jest John Fitzgerald Kennedy. Aha! Gdybyś przypadkiem spotkała Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, nie omieszkaj napomknąć mu o tym.

Naród, którego nie sposób nie kochać, to Anglicy. Niechęć budzą jedynie w swoich rodakach, lecz ci stanowią wyjątek. Anglicy są oszołomieni, ale o tym nie należy im mówić. Nie wiedzieć czemu, wszystkie ich koła napędowe zawiodły i po wojnie wygranej dzięki ostatniej uncji krwi i ostatniej uncji męstwa, wszystko, co mieli, oddali Niemcom. Nie jestem zwolennikiem zagłodzenia Niemców ani żadnej innej nacji, ale gdy umilkły działa, Anglicy winni mieć chyba prawo do życia w świecie przynajmniej tak zasobnym, jak świat ich dawnego wroga. Obawiam się, że w tym zakresie możesz zanotować jeden punkt na naszą niekorzyść.

Rób, co chcesz, ale postaraj się, by Billy dostał silny zastrzyk Europy, nim dobiegnie dwudziestki, i pokąd Europa jest sobą, nie Park Avenue, Uniwersytetem Południowej Kalifornii i Scarsdale, i Harlemem, i Pentagonem. Wszystko to, lub przynajmniej część wszystkiego, może być dobre dla nas, jednak smutno byłoby oglądać podobne rzeczy w Rzymie, Paryżu lub Atenach.

Zwiedzałem Louvre, Rijks w Amsterdamie i Prado, widziałem lwy w Delos i złotą maskę w ateńskim muzeum, a gdybym nawet nie zobaczył nic więcej, gdybym był głuchy, niemy i niekochany, samo to byłoby warte więcej niż sześć miesięcy mojego życia poza krajem.”

Zabrzączał telefon. Gretchen odłożyła list i sięgnęła po słuchawkę. Dzwonił Sam Córrey, stary montażysta, który współpracował z Colinem przy trzech jego filmach. Sam telefonował do niej wiernie, przynajmniej trzy razy na tydzień, a od czasu do czasu zapraszał Gretchen do studio na pokazy nowych filmów, mogących ją interesować. Towarzystwo tego pięćdziesięcioletniego, solidnego, żonatego mężczyzny krzepiło i dodawało otuchy. Tylko z nim spośród całego dawnego otoczenia Colina podtrzymywała kontakty.

- Gretchen - zaczął Sam - puszczamy film nowej fali, który wczoraj wieczorem przyszedł z Paryża. Po seansie moglibyśmy pójść dokądś na obiad.

- Bardzo żałuję, Sam - odpowiedziała - ale ktoś z moich kolegów ma przyjść i będziemy razem pracowali.

- Ha! Szkolne lata, szkolne lata - podchwycił. - Złote dni pod panowaniem nauczycielskiej linijki.

Sam rozstał się ze szkołą po dziewięciu latach i wyższe studia nie robiły na nim wrażenia.

- Powetujemy to sobie kiedy indziej. Prawda, Sam?

- Na pewno! A deszcz nie zmył jeszcze ze wzgórza twojego domu?

- Prawie.

- Ach, ta nasza Kalifornia.

- W Wenecji także pada - powiedziała Gretchen.

- Skąd otrzymujesz takie ściśle tajne informacje?

- Czytam właśnie list od mojego brata Rudolfa. On jest w Wenecji.

Pisze, że tam leje.

Rudolf i Jean byli przez tydzień u Gretchen i wtedy poznał ich Sam. Później mówił, że Rudolf jest dżentelmenem, ale naprawdę oczarowała go Jean.

- Jak będziesz pisać do brata - powiedział - zapytaj, czy nie ulokowałby pięciu milionów w skromnym, niedrogim filmie, który reżyserowałbym z chęcią.

Sam obracał się długo wśród bogaczy z Hollywood i sądził, że ktoś, kto ma w banku więcej niż sto tysięcy dolarów, istnieje wyłącznie po to, by być strzyżonym. Jeżeli oczywiście nie był to człowiek utalentowany w jedynym uznawanym przez Sama kierunku - w dziedzinie robienia filmów.

- Na pewno będzie zachwycony - odpowiedziała Gretchen.

- No to chroń się przed wilgocią, mała - zakończył Sam i przerwał połączenie.

Gretchen nie знаła bardziej spokojnego człowieka. Wśród burz temperamentów, jakie przez długie lata przeżywał w rozmaitych studiach, Sam potrafi zachować wzniosłą pogodę ducha i dobrze wiedział to, co wiedział. Przez swoje ręce przepuścił setki tysięcy mil taśmy, wycinał błędy, prostował cudze potknięcia, nigdy nie był pochlebcą i możliwie najwięcej wyciskał z dostarczanego mu materiału. Po trosze artysta, po trosze rzemieślnik, porzucał pracę przy filmach, których producentów uważał za nieznośnych, ale skrupulatnie stosował się do jednego po drugim z obowiązujących stylów. Był lojalny wobec nielicznych reżyserów, którzy mogli mieć pewne niepowodzenia, lecz jego zdaniem należeli do czołowych twórców, oddanych swojej sztuce, pracowitych, bliskich doskonałości. Sam widział sztuki wystawione przez Colina, a gdy Colin zawitał do Hollywood, zgłosił się doń i oznajmił, że chętnie podjąłby z nim pracę. Był skromny, lecz wystarczająco pewny siebie, by nie wątpić, że nowy reżyser zyska na jego długoletnim doświadczeniu i współdziałanie ich wyda owoce.

Po śmierci Colina Sam odbył długą rozmowę z Gretchen i ostrzegł ją, że będzie nieszczęśliwa, jeżeli zamierza pozostać w Hollywood, nie robić nic i być tylko wdową. W trakcie produkcji trzech filmów widywał ją często z Colinem, więc zdawał sobie sprawę, że nie bez racji Colin wysoko ceni zdanie żony. Zaproponował zatem, że przyjmie ją na praktykę i nauczy wszystkiego, co wie o swoim fachu.

- Dla samotnej kobiety w tym mieście - powiedział wtedy - stół montażowy to najlepsze miejsce. Jest samodzielna, nie obnosi swego seksu, nie naprzykrza się ludziom, ma do roboty coś metodycznego i praktycznego, jak gdyby dzień po dniu piekła

ciasto.

Gretchen odmówiła uprzejmie, bo nawet w tak skromny sposób nie chciała wykorzystywać sławy Colina, i wybrała dalszą naukę. Ale za każdym razem, gdy rozmawiała z Samem, zastanawiała się, czy jej odmowa nie była zbyt pochopna. Koledzy ze studiów byli za młodzi, poruszali się za szybko, przejawiali zainteresowania sprawami niedorzecznymi, w ciągu godzin wchłaniali olbrzymie porcje wiadomości, chociaż opanowanie tego samego materiału ją kosztowało tygodnie ciężkiej pracy.

Wróciła na kanapę i sięgnęła po list Rudolfa. Wenecja, pomyślała.

Wenecja i piękna, młoda żona, która przypadkiem okazała się bogaczką. Uśmiech szczęścia dla Rudolfa.

„Z Whitby dobiegają pomruki niezadowolenia - zaczęła czytać dalej.

- Stary Calderwood odnosi się bardzo nieżyczliwie do mojej rozszerzonej wersji „wielkiej tury”, a nawet Johnny, który ma purytańskie sumienie pod gładką maską cynika, napomyka delikatnie, że urządziłem sobie zbyt długie wakacje. Prawdę mówiąc, nie uważam tego za wakacje, jakkolwiek nic i nigdy nie sprawiało mi większej przyjemności. To raczej uzupełnienie mojego wykształcenia - uzupełnienie, na które nie stać mnie było, kiedy ukończyłem college i z miejsca musiałem iść do pracy w pełnym wymiarze godzin.

Po powrocie będę miał do rozwiązania wiele spraw, które z wolna roztrząsam w myślach nawet teraz, kiedy podziwiam Tycjana w Pałacu Dożów albo piję kawę espresso przy kawiarnianym stoliku na Placu Świętego Marka. Nie chcę, by to zabrzmiało patetycznie, ale pierwszym nasuwającym mi się pytaniem jest to, co robić dalej z własnym życiem? Mam trzydzieści pięć lat i pieniędzy zarówno w kapitale, jak i rocznym dochodzie tyle, że do końca moich dni mógłbym żyć nad wyraz dostatnio. Nawet gdybym miał wyjątkowo ekstrawaganckie upodobania i gdyby Jean była biedna, choć jedno i drugie nie odpowiada prawdzie. Skoro raz ktoś dorobi się w Ameryce, wtórne ubóstwo jest możliwe, tylko przy szczególnych zdolnościach albo przesłaniającej wszystko, nadmiernej chciwości.

Mierzi mnie myśl o poświęceniu reszty życia kupowaniu i sprzedawaniu,

pomnażaniu bogactwa, które i tak jest aż nazbyt wystarczające. Mój instynkt posiadania został stępiony przez posiadanie. Minimalną satysfakcję mógłbym czerpać z uruchamiania w całym kraju wciąż nowych ośrodków handlowych pod szyldem Calderwooda, z gromadzenia portfeli kontrolnych coraz większej ilości spółek. Imperia handlowe, urzekające ludzi takich jak Johnny Heath i Bradford Knight, dla mnie mają niewiele uroku, a zawiadywanie jednym z nich poczytuję za najsmutniejszą pod słońcem nudę i harówkę. Lubię podróże i byłbym niepokieszony, gdyby mi powiedziano, że nie wrócę tu nigdy więcej. Ale nie mogę upodobnić się do postaci z Henry'ego Jamesa, które, według słów E.M.

Forstera, lądują w Europie, gapią się na dzieła sztuki, gapią się jedno na drugie, i na tym koniec.

Jak widzisz, „świeżo odkryte” leniuchowanie poświęcam również jakiej takiej lekturze.

Oczywiście mógłbym zostać filantropem i obdarowywać okazałymi sumami zasługujących na wsparcie ubogich albo zasługujących na wsparcie artystów, albo zasługujących na wsparcie uczonych i naukowców. Mam nadzieję, że nie skąpiłbym pieniędzy na rozmaite dobre sprawy, ale nie mogę sobie wyobrazić siebie jako arbitra w podobnych kwestiach. Nie byłyby to prawdziwe wakacje - w każdym razie nie dla mnie.

Musi wydać Ci się śmieszne, jak i mnie się wydaje, że ktoś z rodziny Jordachów biada dlatego, że ma pieniądze, ale kręte koleje amerykańskiego życia są tak dziwaczne, że właśnie ja to robię.

Następna komplikacja. Lubię mój dom w Whitby i lubię samo Whitby... Otwarcie mówiąc, nie chciałbym mieszkać stale nigdzie indziej. Niedawno Jean też wyznała, że bardzo jej się tam podoba, a gdyby kiedyś miała dzieci, wolałaby je wychowywać w małym, nie w wielkim mieście. Otóż postaram się, by miała do wychowania dzieci lub chociaż jedno dziecko. Naturalnie moglibyśmy zachować mały apartament w Nowym Jorku na wypadek, gdy zapragniemy wielkomięjskich uciech albo gdy Jean będzie tam miała pracę.

Jednakże w Whitby nie znajdziesz nikogo, kto absolutnie nic nie robi. W takim

przypadku sąsiedzi uznaliby mnie niezwłocznie za cudaka i miasto stałoby się dla mnie mniej niż obecnie pociągające. No i nie chcę, żeby zrobił się ze mnie drugi Teddy Boylan.

Być może po powrocie do Ameryki kupię numer „Timesa” i zacznę wertować rubrykę „Pracownicy poszukiwani”.

Właśnie wróciła Jean przemoczona do nitki, szczęśliwa i cokolwiek pod gazem. Ulewa zapędziła ją do kawiarni, gdzie dwaj weneccy dżentelmeni fundowali jej wino. Załącza moc serdeczności dla Ciebie.

Mój list jest długi i bardzo egoistyczny. Równie długiego i nie mniej egoistycznego oczekuję od Ciebie. Adresuj na American Express w Paryżu. Nie wiem dokładnie, kiedy będę w Paryżu, ale z pewnością nie później niż za dwa tygodnie, więc list zaczeka tam na mnie. Ucałowania dla ciebie i Billy'ego. Rudolf. PS. Wiesz coś o Tomie? Ja nie miałem od niego znaku życia od dnia pogrzebu mamy.”

Gretchen odłożyła cienkie arkusiki lotniczego papieru, pokryte szczerze równym, ładnym pismem brata. Dopiła whisky i postanowiła odmówić sobie drugiej szklanki. Wstała i podeszła do okna. Deszcz lał nadal. Strumienie wody przesłaniały położone w dole miasto.

Zaczęła medytować nad listem Rudolfa. W korespondencji byli lepszymi przyjaciółmi niż podczas osobistych spotkań. Na piśmie Rudolf przejawiał wahania, brak pewności siebie, zaufanie - cechy ujmujące, lecz ukrywane jakoś w innych okolicznościach. Natomiast ona ulegała chwilami pokusie, by go ranić, ma się rozumieć wówczas, gdy byli razem. Listy Rudolfa świadczyły o wielkoduszności i chęci wybaczenia, tym miłszych, że milczących, ponieważ nie zdradzał nigdy, że jego zdaniem jest coś do wybaczenia. Billy powiedział matce o swojej utarczce z Rudolfem w szkole, ale Rudolf nie napomknął o tym słowem i przy spotkaniach z chłopcem był zawsze serdeczny i troskliwy. No i swoje listy kończył zawsze zwrotami: „Ucałowania dla Ciebie i Billy'ego.”

Ja również muszę nauczyć się szlachetnej wyrozumiałości, pomyślała zapatrzona w ulewę.

Nie wiedziała, jak odnieść się do sprawy Toma. Nie pisywał do niej często, lecz od czasu do czasu przysyłał wiadomości o sobie. Ale podobnie jak matkę, zobowiązał ją do dyskrecji wobec Rudolfa. A teraz, w tym dniu właśnie, był również we Włoszech. Po przeciwległej stronie półwyspu - to prawda - i dalej na południe, lecz bądź co bądź we Włoszech. Przed kilkoma dniami dostała od niego list z miejscowości Porto Santo Stefano, położonej nad Morzem Śródziemnym, nieco na północ od Rzymu. Tom i jego przyjaciel - jakiś Dwyer - znaleźli wreszcie jacht taki, jakiego szukali, i za cenę, na którą było ich stać. Przez całą jesień i zimę pracowali na nim w miejscowej stoczni, aby pierwszego czerwca był gotów do żeglugi. Tom miał szeroki, uczniowski charakter pisma i posługiwał się papierem w linię.

„Wszystko robimy sami. Rozebraliśmy diesle część po części, a później złożyliśmy je znowu, też część po części, i teraz są jak nowe. Zmieniliśmy przewody elektryczne na całym jachcie; uszczelniliśmy i oskrobaliśmy kadłub, wyregulowaliśmy śruby, pomalowaliśmy kadłub i kabiny, kupiliśmy mnóstwo używanych mebli i te odnowiliśmy także. Dwyer okazał się dekoratorem wewnątrz pierwsza klasa i chciałbym, żebyś ty mogła zobaczyć, co zrobił z salonu i kabin. Mieliśmy czternastogodzinny dzień pracy przez siedem dni w tygodniu, ale na pewno się to opłaciło. Mieszkamy na jachcie, chociaż jest zablokowany na stałym lądzie, bo oszczędzamy pieniądze. Ani Dwyer, ani ja nie potrafimy gotować, ale głodem nie przymieramy. Przed wyjściem w morze będziemy musieli znaleźć kogoś do kuchni. Myślę, że w trójkę damy sobie radę. Jeżeli Billy chciałby przyjechać tu na lato, znajdzie się dla niego miejsce na pokładzie i huk roboty. Kiedy widziałem go, wyglądał tak, że ciężka praca w lecie, na świeżym powietrzu, powinny dobrze mu zrobić.

Za dziesięć dni myślimy spuścić łajbę na wodę. Nie wybraliśmy jeszcze nazwy. Kiedy kupiliśmy jacht, nazywał się „Penelopa II”, ale to trochę zanadto wyszukane dla takiego jak ja, byłego pięściarza. Jeżeli już o pięściach mowa, to wiedz, że tutaj nikt nie bije się z nikim. Włosi klóć się wciąż, a w każdym razie gadają głośno, ale ręce trzymają przy sobie. To miło siedzieć w barze i mieć pewność, że nie trzeba będzie torować sobie

siłą drogi do wyjścia. Podobno inaczej bywa na południe od Neapolu, ale tego nie znam z doświadczenia.

Właściciel tutejszej stoczni to porządny facet i wygląda na to, że traktuje nas całkiem przyzwoicie. Znalazł nam już nawet dwu czarterujących. Jednego na czerwiec, drugiego na lipiec. Powiada zresztą, że później będą inni. W Stanach miałem rozmaite draki z Włochami, ale tutejsi Włosi są zupełnie inni. Sympatyczni ludzie, Nauczyłem się kilku słów po włosku, ale nie żądaj, żebym wygłaszał mowy w tym języku.

Kiedy pójdziemy w rejs, mój przyjaciel Dwyer będzie szyprem, mimo że łajba została zakupiona za moją forszę. On ma papiery trzeciego oficera i zna się na rzeczy. Ale mnie uczy. W dniu, kiedy wejdę do portu i nie właduję się na nic, ja zostanę szyprem. Oprócz wydatków dzielimy się wszystkim, bo to przecież mój kumpel i bez niego nie poradziłbym sobie.

Jeszcze raz przypominam moją prośbę, żebyś nic nie mówiła Rudolfowi. Szlag by go trafił, gdyby dowiedział się, że za forszę, którą dla mnie zarobił, popełniłem szaleństwo, kupując nad Morzem Śródziemnym starą, dziurawą łajbę. W jego pojęciu pieniądze to coś co przechowuje się w banku. Cóż, każdy wie swoje. Kiedy rozkręcę interes i stanę na pewnych nogach, napiszę do niego i poproszę, żeby razem z żoną odbył rejs wycieczkowy na moim jachcie. Za darmo. Wtedy sam się przekona, że jego brat to nie tępak.

Nie pisujesz do mnie często, ale i tak z twoich listów wnoszę, że nie wiedzie Ci się najlepiej. Nie wiem, co robisz, może jednak powinnaś to rzucić i zająć się czymś innym. Gdyby mój przyjaciel Dwyer nie wyglądał tak bardzo na pedzia, zaproponowałbym, żebyś wydała się za niego i została u nas kucharką. To żart.

Jeżeli masz jakich bogatych znajomych, którym podobałby się letni rejs wycieczkowy po Morzu Śródziemnym, powiedz im o mnie. To nie żart.

Może Tobie i Rudolfowi brat w roli kapitana jachtu wyda się nedorzeczną figurą, ale to chyba mam we krwi. Ostatecznie nasz tata pływał po Hudsonie we własnej łodzi. Pływał o jeden raz za dużo. To także nie żart.

Jacht jest pomalowany na białą, z niebieskim szlakiem. Moglibyśmy go sprzedać

dzisiaj i jak powiada właściciel stoczni, zyskać dziesięć tysięcy dolarów. Ale o sprzedaży nie myślimy.

Gdybyś przypadkiem wybrała się na Wschód, mogłabyś wyświadczyć mi wielką przysługę. Spróbuj dowiedzieć się, gdzie jest moja żona co robi i jak wiedzie się małemu. Nie tęsknię do amerykańskiej flagi ani do amerykańskich jasnych światła, ale z pewnością odczuwam brak jego.

Piszę tak długi list, ponieważ leje tu jak z cebra i nie możemy dokończyć powtórnego malowania nadbudówki (na niebiesko). Nie wierz nikomu, kto ci będzie gadał, że nad Morzem Śródziemnym nie padają deszcze.

Dwyer gotuje coś i woła, żebym przyszedł jeść. Nie masz pojęcia, jak to okropnie śmierdzi. Wiele serdeczności i ucałowań. Tom.”

Deszcz w Porto Santo Stefano, deszcz w Wenecji, deszcz w Kalifornii. Jordachowie nie mają szczęścia do pogody. Ale dwu z nich szczęście dopisuje pod każdym innym względem - przynajmniej w tym jednym sezonie.

- Piąta po południu to parszywa pora dnia - powiedziała Gretchen na głos.

Aby przemóc współczucie dla samej siebie, zasłoniła okna i naląła drugą whisky.

Kiedy wsiadła o siódmej wieczorem do wozu i pojechała na Wilshire Boulevard, gdzie miał czekać na nią Kosi Krumah, deszcz padał nadal. Z góry prowadziła samochód wolno, ostrożnie, w głębokiej na sześć cali wodzie, która płynęła wartko, bulgotała omywając opony.

Beverly Hills - miasto tysiąca rzek.

Kosi przygotowywał pracę dyplomową z socjologii i razem z nią studiował dwa przedmioty, więc nieraz uczyli się razem przed egzaminami. Upřednio studiował w Oksfordzie, był starszy od reszty studentów i - zdaniem Gretchen - inteligentniejszy.

Pochodził z Ghany i miał stypendium. Stypendium nie było duże, więc Gretchen pamiętała, by poczęstować go w domu obiadem za każdym razem, kiedy mieli pracować razem. Podejrzewała, że Kosi nie dojada, chociaż nigdy nie mówił nic na ten temat. Nie chciała bywać z nim w restauracjach - zwłaszcza odległych od uniwersytetu - bo trudno

przewidzieć, jak kierownik sali może się odnieść do białej kobiety w towarzystwie czarnego, jeżeli nawet ten czarny jest ubrany bez zarzutu i mówi po angielsku z najczystszymszym oksfordzkim akcentem. Na uczelni Kosi nie miał żadnych trudności z racji barwy skóry, a nawet paru profesorów odnosiło się doń z przesadnym szacunkiem, kiedy zaczynał mówić. Gretchen traktował uprzejmie i nieodmiennie na dystans - niemal tak, jak gdyby on był nauczycielem, a ona uczennicą. Nie widział żadnego filmu Colina.

Nie miał czasu na chodzenie do kina, jak powiadał. Gretchen podejrzewała, że po prostu nie miał pieniędzy. Nigdy nie widziała go z żadną dziewczyną i Kosi nie przyjaźnił się z nikim oprócz niej. Jeżeli ich stosunek można było nazwać przyjaźnią.

Zazwyczaj przyjeżdżała po niego do zbiegu Rodeo i Wilshire w Beverly Hills. Kosi nie miał samochodu, ale mógł korzystać z autobusu, którym przez Wilshire dojeżdżał z Westwood, gdzie mieszkał w bliskim sąsiedztwie miasteczka uniwersyteckiego.

Zbliżając się do umówionego miejsca, Gretchen rozglądała się pilnie przez zapryskaną szybę, wśród deszczu tak rzęsiatego, że wycieraczki nic nie pomagały. Zobaczyła go. Bez nieprzemakalnego płaszcza stał u skrzyżowania ulic i nie postawił nawet kołnierza marynarki. Głowę miał podniesioną i przez zaszle mgłą szkła okularów obserwował strumień ruchu ulicznego tak, jak gdyby patrzył na defiladę.

Gretchen zahamowała i otworzyła drzwi, a on bez pośpiechu wsiadł do samochodu. Woda ociekająca z ubrania utworzyła w jednej chwili kałużę na podłodze dokoła jego butów.

- Kosi! - powiedziała Gretchen. - Przemokłeś do nitki. Czemu nie czekałeś na mnie chociaż w sieni jakiegoś domu?

- Moja droga - odpowiedział. - Mężczyźni z mojego plemienia nie uciekają przed kilkoma kroplami wody.

Była wściekła na niego.

- „Mężczyźni z mojego plemienia” - powtórzyła naśladując jego głos. - W moim plemieniu białych niedorajdów mężczyźni mają dosyć oleju w głowie, by chronić się przed deszczem. Ty... ty... - poszukała w myśli stosownego epitetu. - Ty koczowniku!

Na chwilę zapadła grobowa cisza. Później Kosi roześmiał się głośno, więc

musiała mu zawtórować.

- Skoro już o deszczu mowa - powiedziała - mógłbyś, mężczyzno ze swojego plemienia, przetrzeć okulary.

Kosi posłusznie osuszył szkła okularów.

W domu skłoniła go, żeby zdjął marynarkę i koszulę i dała mu jeden ze swetrów Colina. Kosi był drobny, mniej więcej wzrostu Colina, więc sweter pasował dobrze. Gretchen nie bardzo wiedziała, co zrobić z garderobą Colina, więc wszystko leżało w szufladach i wisiało w szafach tak, jak za jego życia. Od czasu do czasu mówiła sobie, że trzeba posłać te rzeczy do Czerwonego Krzyża lub jakiejś innej organizacji, ale nigdy nie dochodziło do realizacji tego zamierzenia.

Obiad jedli w kuchni. Smażona kura z zielonym groszkiem i sałatą, sery, lody, czarna kawa. Gretchen otworzyła butelkę wina, gdyż Kosi powiedział jej raz, że w Oksfordzie nauczył się pić wino przy posiłkach.

Z reguły udawał, że nie jest głodny, a ona robi sobie bez potrzeby kłopot. Zauważyła jednak, że Kosi sprząta z talerzy wszystko do ostatniego kęsa, jakkolwiek kiepska z niej kucharka i przyrządzane przez nią potrawy mogą być w najlepszym razie znośne. Różnica w ich zachowaniu się przy stole polegała jedynie na tym, że Kosi trzymał widelec w lewej ręce, czego również się nauczył w Oksfordzie. I tam korzystał ze stypendium. Jego ojciec miał w Akrze mały sklepik z wyrobami bawełnianymi, więc nigdy nie byłoby go stać na edukację uzdolnionego syna. Kosi nie był w swoim kraju przez sześć lat, ale zamierzał wrócić tam zaraz po uzyskaniu dyplomu, osiąść w Akrze i objąć jakąś posadę rządową.

Kosi zapytał, gdzie jest Billy, a gdy usłyszał od Gretchen, że Billy wyjechał na weekend, powiedział z żalem:

- Szkoda. Brak mi małego dżentelmena.

Billy był wyższy niż Kosi, lecz Gretchen zdążyła już przywyknąć do jego sposobu mówienia - do zwrotów takich jak „moja droga” lub „mały dżentelmen”.

Za oknem deszcz bębnił o kamienne płyty patio. Marudzili przy obiedzie i Gretchen odkorkowała drugą butelkę wina.

- Prawdę mówiąc - powiedziała - nie jestem dziś usposobiona do pracy.

- Nic z tego! - skarcił ją Kosi. - Okropną podróż wśród powodzi odbyłem nie tylko dlatego, żeby się najeść.

Wypili resztę wina i zabrali się do sprząwania. Gretchen zmywała naczynia, Kosi wycierał. Automat popsuł się przed sześcioma miesiącami, ale nie odczuwało się jego braku, bo do stołu nie siadało nigdy więcej niż trzy osoby, toteż mniej kłopotliwe od majstrowania przy maszynie było zmywanie ręczne.

Gretchen zaniósła do bawialni dzbanek z kawą i nad zadaniami tego tygodnia wypili po dwie filiżanki. Kosi miał umysł bystry, dobrze wyćwiczony, więc irytowała go powolność Gretchen.

- Moja droga - powiedział - nie koncentrujesz się na temacie.

Przestać wreszcie być dyletantką.

Gwałtownym ruchem zamknęła książkę. Od czasu gdy ramię w ramię zasiedli przy biurku, trzeci lub czwarty raz dostała burę. Gada jak... jak guwernantka, pomyślała, opasła, czarna bona udająca guwernantkę. Przerabiali kurs statystyki, a statystyka nudziła ją śmiertelnie.

- Nie każdy może być taki jak ty diabelnie zmyślny - powiedziała. - Ja nie byłam najbardziej błyskotliwym studentem w Akrze, nie uzyskałam stypendium do...

- Moja droga Gretchen - przerwał szybko najwyraźniej urażony. - Nie chwalilem się nigdy, że byłem najbardziej błyskotliwym studentem w Akrze czy nie w Akrze, więc...

- Nie chwalilem się! Nie chwalilem się! - zawołała i pomyślała z rozpaczą, że zaczyna krzyczeć piskliwie. - Wcale nie musisz się chwalić. Po prostu siedzisz tu z wyniosłą miną albo... Albo niby jakiś idiotyczny plemienny totem stoisz na deszczu i patrzysz z góry na marnych, lękliwych białych ludzi, którzy przemykają w swoich dekadenskich Cadillacach.

Kosi wstał, odstąpił krok. Zdjął okulary i schował do kieszeni.

- Przykro mi - przemówił - ale wygląda na to, że nasza kooperacja zawodzi...

- Kooperacja! - podchwyciła. - Gdzie nauczyłeś się tak mówić?

- Dobrej nocy, Gretchen. - Stał wyprostowany z zaciśniętymi ustami. - Pozwolisz

łaskawie, że przebiorę się we własną marynarkę i koszulę? To zajmie ledwie minutę.

Wyszedł do łazienki. Gretchen słuchała dobiegających stamtąd szmerów. Wypiła resztę kawy zimnej - za słodkiej. Objęła głowę dłońmi, łokcie wsparła na blacie biurka i pochyliła się nad książkami w nieładzie. Wstyd jej było samej siebie. Zachowałam się tak, myślała, z powodu dzisiejszego listu Rudolfa i z powodu swetra Colina. W grę nie wchodziło nic, co ma cokolwiek wspólnego z tym ubogim, młodym człowiekiem o oksfordzkim akcencie.

Stojąc oczekiwała go, gdy Kosi wrócił we własnej koszuli i marynarce wilgotnej jeszcze i zmiętej. Bez okularów, jego głowa o krótko ostrzyżonych włosach prezentowała się pięknie. Czoło szerokie, powieki ciężkie, nos kształtny, wargi pełne, zaokrąglone, uszy małe, płasko przylegające do czaszki - wszystko jak gdyby wykute w czarnym kamieniu bez skazy, ale na jakiś sposób żalosne i godne współczucia.

- Teraz pożegnam się, moja droga.

- Odwiozę cię samochodem - bąknęła pokornie.

- Wolę się przejść. Dziękuję.

- Wciąż jeszcze leje - powiedziała.

- My, koczownicy - odrzekł ponuro - nie zwracamy uwagi na byle jaki deszcz.

Spróbowała się roześmiać, lecz nie znalazła właściwego oddźwięku.

Kosi ruszył w kierunku drzwi. Doścignęła go, chwyciła za rękaw.

- Kosi! Nie możesz tak odejść. Proszę.

Zatrzymał się, zwrócił w jej stronę.

- Proszę! - powtórzyła.

Lekko otoczyła go ramionami i pocałowała w policzek. Jego ręce uniosły się z wolna, dłonie ujęły jej głowę. Pocałował ją delikatnie. Później mniej delikatnie. Gretchen poczuła dłonie błędzące po jej ciele. Czemu by nie? - pomyślała i mocniej przygarnęła go do siebie. Spróbował wyrwać się, pociągnąć Gretchen w stronę sypialni, ale upadła na kanapę. Nie! Nie w łóżku, w którym kochała się z Colinem.

Kosi stanął pochylony nad nią.

- Rozbierz się - rzucił.

- A ty zgaś światło.

Podszedł do wyłącznika umieszczonego na ścianie i w pokoju zrobiło się ciemno. Zrzucając z siebie wszystko Gretchen słyszała, że i on się rozbiera. Trzęsła się, kiedy podszedł do niej. Omal nie powiedziała: „Omyliłam się. Proszę cię, idź do domu” - ale znów wstyd się jej zrobiło samej siebie.

Była sucha, nie przygotowana, a on zaatakował ją raptownie, boleśnie. Jęknęła, ale nie był to jęk rozkoszy. Miała wrażenie, że jest rozdzierana na dwoje. Kosi był brutalny, mocny, więc leżała bez ruchu i wchłaniała mękę.

Wszystko dobiegło kresu rychło, bez słowa. On wstał. Ona usłyszała, że po omacku szuka drogi do wyłącznika. Zerwała się, uciekła do łazienki i drzwi za sobą zamknęła na klucz. Długo obmywała twarz zimną wodą, a następnie zapatrzyła się w swoją twarz odbitą w lustrze nad umywalką. Starła to, co pozostało ze szminki rozmazanej dokoła ust. Chętnie wzięłaby gorący natrysk, ale nie chciała, by on usłyszał, że to robi. Narzuciła płaszcz kąpielowy i czekała możliwie najdłużej. Spodziewała się, że jego już nie będzie, kiedy ona wyjdzie z łazienki. Był jednak. Stał pośrodku bawialni, ubrany, beznamiętny. Zdobyła się na uśmiech.

Nie miała pojęcia, jak właściwie doszło do tego wszystkiego.

- Drugim razem, moja droga, nie potraktuj tak nikogo - powiedział.

- W każdym razie nie mnie. Nie chcę być tolerowany. Nie chcę, by ktoś zniżał się do mnie. Nie chcę być narzędziem czyjś programu integracji rasowej.

Stała z pochyloną głową. Nie była w stanie dobyć z siebie słowa.

- Kiedy ukończysz studia - ciągnął Kosi chłodno, złośliwie - będziesz mogła grać rolę dobrej pani wobec biednych bękartów z dobroczynnych sierocińców. Zostaniesz piękną, bogatą białą damą, która dowodzi małym czarnuchom i małym Meksykańczykom, że ten cudowny kraj jest naprawdę demokratyczny, naprawdę szczodry, a piękne, wykształcone białe damy potrafią być po chrześcijańsku miłosierne i kochające, zwłaszcza jeżeli przypadkiem nie mają męża. Nie pozostanę tu, by to podziwiać. Wrócę do Afryki i tam będę się modlił, aby wdzięczne, małe czarnuchy i wdzięczne, małe Meksykanięta przygotowały się jak trzeba do poderżnięcia ci gardła.

Kosi wyszedł tak cicho, że Gretchen ledwie dosłyszała szelest frontowych drzwi, gdy zamykał je za sobą.

Po chwili doprowadziła do porządku biurko, przy którym pracowali.

Książki ułożyła w stos po jednej stronie blatu, a filiżanki, spodki i dzbanek po kawie wyniosła do kuchennego zlewu. Za stara jestem, by wertować podręczniki, pomyślała. Nie sprostam temu.

Później, poruszając się z trudnością, wyszła do hallu i zamknęła na klucz drzwi domu. Arnoldzie Simms w brązowym szlafroku szpitalnym, myślała dalej gasząc światła, bądź zadowolony i spokojny. Dziś zapłaciłam za twoją krzywdę.

Rano postanowiła, że daruje sobie dwa sobotnie wykłady.

Zatelefonowała do studio, a gdy odezwał się Sam Corey, zapytała, czy może przyjść odbyć z nim rozmowę.

ROZDZIAŁ II

Mimo ciąży Jean schodziła codziennie na parter i jadła śniadanie z Rudolfem.

- Pod wieczór wolę być możliwie najbardziej zmęczona mówiła. - Nie chcę być jedną z tych amerykańskich żon, które wylegują się po całych dniach, a potem, gdy mężowie wracają z pracy, ciągną biedaków dokądś wieczór w wieczór, bo roznosi je nadmiar wigoru.

Dwa razy więcej małżeństw rozbija nie cudzołóstwo, lecz nierówne zasoby energii.

Była bliska rozwiązania i brzydkie zniekształcenie jej figury rysowało się wyraźnie nawet pod koszulą nocną i szlafrokiem, które nosiła z rana. Spoglądając na nią Rudolf czuł się winowajcą.

Dawniej chodziła lekko, ze swobodnym wdziękiem, obecnie zaś musiała utrzymywać równowagę i ostrożnie, z brzuchem podanym do przodu, przesuwać się z pokoju do pokoju. Natura, myślał Rudolf, obdarzyła kobiety porcją obłędu wystarczającą, by odczuwały pęd do wydawania na świat dzieci.

Siedzieli przy jadalnym stole, w bladym świetle kwietniowego słońca zalewającym pokój przez otwarte okna, gdy Marta przyniosła świeżo naparzoną kawę. Marta przeobraziła się zadziwiająco po śmierci Mary Pease Jordach. Chociaż jadła nie więcej niż uprzednio, przytyła i była teraz pogodna i macierzyńska. Ostre rysy jej twarzy złagodniały, a na ustach - dawniej stale zaciśniętych z opuszczonymi kącikami - pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. I śmierć ma swoje dobre strony, pomyślał Rudolf, patrząc na Martę, która ostrożnie stawiała filiżankę przed Jean. Dawnymi czasy zrobiłaby to z łoskotem, który stanowił jej codzienny protest przeciwko złemu losowi.

Obecnie - w ciąży - Jean miała twarz bardziej okrągłą i nie wyglądała już na uczennicę zdecydowaną stanowczo, że będzie mieć oceny najlepsze w całej klasie. Jej twarz spokojna i kobieca połyskiwała łagodnie w słonecznym blasku.

- Wyglądasz dzisiaj świątobliwie - odezwał się Rudolf.

- Ty też wyglądałbyś świątobliwie - odpowiedziała - gdybyś przez dwa miesiące musiał obywać się bez seksu.

- Myślę, że mały będzie wart tego wszystkiego.

- Mam nadzieję.

- Jak się dziś miewa?

- Dobrze. Maszeruje w spadochroniarskich butach tam i z powrotem. Ale poza tym dobrze.

- A jak to będzie córka?

- Nauczę ją, by nie stosowała mijanki - powiedziała Jean i roześmieli się obydwójce.

- Co będziesz robić przed południem? - zapytał.

- Ma przyjść pielęgniarka niemowląt na rozmowę ze mną i przysłać mebelki do dzieciennego pokoju, więc poustawiamy je z Martą jak trzeba. Muszę też zważyć się i wziąć witaminy. Będę miała pełne ręce roboty. A ty?

- Muszę być w uniwersytecie na posiedzeniu rady powierniczej.

Później zajrzę do biura i...

- Nie pozwolisz - przerwała - żeby ten stary potwór Calderwood zanudził cię znowu. Nie pozwolisz, prawda?

Od czasu gdy Rudolf oznajmił, że w czerwcu zamierza wycofać się z interesów, Calderwood próbował mu to wyperswadować przy prawie każdym spotkaniu.

- Kto, na miłosierdzie boże, wycofuje się w trzydziestym szóstym roku życia? - powtarzał ustawicznie.

- Ja - odpowiedział Rudolf pewnego razu, ale szef nie chciał mu wierzyć. Podejrzliwy, jak zawsze, sądził, że to manewr zmierzający do uzyskania tym większych wpływów w firmie a nawet napomykał, że coś dałoby się zrobić, gdyby Rudolf powiedział, że zostanie.

Calderwood mówił nawet o przeniesieniu centrali firmy do Nowego Jorku, lecz w odpowiedzi usłyszał, że Rudolf nie chce już tam mieszkać. Jean zdążyła polubić starą farmę w Whitby i z architektem ślęczała nad planami jej rozbudowy.

- Nie przejmuj się Calderwoodem - odpowiedział żonie. - Na lunch przyjadę do domu.

- Świetnie - zawołała. - Mąż, który przyjeżdża na lunch do domu, to coś w moim guście. Po lunchu będziemy się kochać, co?

- Nic z tych rzeczy - odpowiedział i nachyliwszy się ucałował jej twarz kochaną i uśmiechniętą.

Było wcześniej, więc wóz prowadził wolno i cieszył się widokiem miasta. Małe dzieci w kolorowych kurteczkach jeździły po chodnikach na trzykołowych rowerkach albo bawiły się na trawnikach pożółkłych, ale zieleniejących już świeżą runią trawy. Wśród blasków słońca młoda kobieta w spodniach popychała przed sobą dziecinny wózek. Stary pies drzemał na schodkach biało malowanego domku jak z piernika. Listonosz Hawkins pozdrowił Rudolfa ruchem ręki, a on odpowiedział mu tak samo. Ukłonił mu się Slattery, który stał przy swoim samochodzie i rozmawiał z ogrodnikiem, a dwaj profesorowie z wydziału biologii, zmierzający pieszo w stronę uniwersytetu i zajęci rozmową, podnieśli wzrok, aby uśmiechnąć się doń życzliwie. Ta część miasta - stare drzewa, duże drewniane domy, ciche uliczki - miała naiwną, dobrosąsiedzką, dziewiętnastowieczną atmosferę z czasów poprzedzających wojny, okresy wielkiej koniunktury i kryzysy. Rudolf dziwił się, że niegdyś zależało mu, aby to miasto, gdzie ludzie co krok poznają go i pozdrawiają, zamienić na bezimienną niepewność i kamienną niechęć Nowego Jorku.

Po drodze do administracyjnego budynku Uniwersytetu Whitby musiał minąć boiska sportowe i zobaczył, że Quentin McGovern kłusuje wzdłuż bieżni. Zatrzymał wóz i wysiadł, a Quentin - wysoki i poważny młody mężczyzna o skórze lśniącej potem po treningu - żywo podszedł do niego. Podali sobie ręce.

- Pierwszy wykład mam dopiero o jedenastej - wyjaśnił Quentin. - A to przecież miło pobiegać trochę po całej zimie pod dachem.

Z rana nie biegali już razem. Po zawarciu małżeństwa Rudolf zajął się tenisem przez wzgląd na Jean. Ale nie tylko z tej przyczyny.

Każdego rana, bez względu na pogodę, zmuszać się do wstawania o siódmej z małżeńskiego łóża, a następnie biegać przez trzy kwadransy dotrzymując tempa młodemu sportowcowi u szczytu formy - to byłby czyn zanadto spartański. No i Rudolf

czułby się stary w takich razach. A na to miał jeszcze czas.

- Co słyhać, Quentin? - zapytał.

- Nieźle. Dwieście dwadzieścia jardów robię w dwadzieścia dwie minuty i osiem sekund - trener mówi, że zacznij puszczać mnie na czterysta czterdzieści jardów i wyniki będą dobre.

- Co powiada teraz twoja matka?

Quentin uśmiechnął się wspominając chłodne, zimowe poranki.

- Ostrzega, żeby mi się nie przewróciło w głowie. Matki są zawsze takie same.

- A jak tam studia?

- Ktoś musiał omylić się w dziekanacie. Trafiłem na listę stypendialną dziekana.

- I co twoja matka na to?

- Mówi, że tak się stało, bo jestem kolorowy, a tam chcą pokazać, jacy są liberalni.

- Quentin uśmiechnął się blado.

- Jeżeli będziesz miał inne kłopoty z matką, powiedz jej, żeby się do mnie zwróciła.

- Powiem jej. Oczywiście.

- No, muszę jechać dalej. Pozdrów ode mnie swojego ojca.

- Ojciec nie żyje - odpowiedział spokojnie Quentin.

- Oo... Bardzo przepraszam...

Rudolf z pośpiechem wsiadł do samochodu. Do diabła! - pomyślał.

Ojciec Quentina pracował u Calderwooda co najmniej dwadzieścia pięć lat. Ktoś powinien mieć dosyć rozsądku, by zawiadomić wszystkich o jego śmierci.

Ranek nie był już taki miły i pełen czaru, jak przed spotkaniem z Quentinem.

Wszystkie miejsca na parkingu przed budynkiem administracyjnym były zajęte, więc Rudolf musiał postawić wóz o jakieś pięćset kroków dalej. Wszystko zmienia się w jeden plac parkingowy, pomyślał rozdrażniony, gdy zamykał drzwi na klucz. Robił to zawsze - nawet jeżeli odchodził na pięć minut - od czasu gdy w Nowym Jorku ukradziono mu radio z samochodu. Na ten temat miewał łagodne sprzeczki z Jean, która za nic nie chciała zamykać swojego samochodu, a drzwi domu często zostawiała otwarte. Mówił

jej, że można kochać bliźnich, ale nie wolno lekceważyć złodziejskich skłonności utajonych w ich sercach.

Sprawdzał, czy drzwi są zamknięte, gdy ktoś zawołał go po nazwisku.

- Hej! Jordach!

Był to Leon Harrison - również członek rady powierniczej - w drodze na to samo posiedzenie. Ten wysoki i tęgi, sześćdziesięcioletni mężczyzna miał senatorską, białą czuprynę oraz sposób bycia rubaszny i serdeczny na pozór. Był wydawcą lokalnej gazety, którą odziedziczył po ojcu wraz ze znaczną liczbą nieruchomości położonych w Whitby i okolicy. Gazeta prosperowała kiepsko, o czym Rudolf wiedział i wcale nie martwił się z tej racji. Prowadził ją fatalnie mały i nisko opłacany zespół wykolejeńców i pijaków, wyrzuconych uprzednio z rozmaitych innych czasopism w całym kraju. Rudolf z zasady nie wierzył niczemu, co wyczytał w gazecie Harrisona - nawet komunikatom o stanie pogody.

- Jak się miewasz, chłopcze? - zapytał Harrison, otoczył ręką jego ramiona i tak szedł z nim w kierunku budynku administracyjnego. - I co? Wszystko gotowe, żeby dziś podłożyć ogień pod starych ramoli? - Roześmiał się głośno na znak, że w tym, co mówi, nie ma złośliwości.

Rudolf miewał częste kontakty z Harrisonem - nie zawsze przyjemne - w sprawach ogłoszeń domu towarowego Calderwooda. Harrison z początku zwracał się doń „chłopcze”, później „Rudi”, jeszcze później „Jordach”. Obecnie „chłopcze” wraca na tapetę, zanotował w myśli Rudolf.

- Wciąż te same sugestie - powiedział. - To tak, jak gdyby mówić o podłożeniu ognia pod pawilon wydziału nauk przyrodniczych, aby pozbyć się profesora Fredericksa.

Profesor Fredericks był dziekanem wspomnianego wydziału, a zarazem przyjacielem Harrisona. W jego gazecie często zamieszczał artykuły naukowe, których poziom kazał Rudolfowi rumienić się za uniwersytet. Przynajmniej trzy razy do roku na czołową stronę „Sentinela” trafiała wiadomość o zachwalanej przez Fredericksa nowej i skutecznej metodzie leczenia raka.

- Wy, ludzie interesu - zagrzemiał Harrison - zupełnie nie umiecie ocenić roli czystej

wiedzy. Chcecie, by zawsze wkłady przynosiły zyski co pół roku. Liczycie, że dolary popłyną z każdej retorty doświadczalnej.

W razie potrzeby Harrison - właściciel pokaźnej liczby doskonałych aktrów i solidnego konta w banku - potrafił być twardym człowiekiem interesu. Kiedy indziej - w roli skapanego w tuszu drukarskim dziennikarza - stawał się intelektualistą i wówczas opłakiwał zniesienie łaciny jako przedmiotu obowiązkowego dla uzyskania dyplomu albo ciskał gromy na nowo ustalony rejestr obowiązujących lektur z literatury angielskiej, który zawiera za mało dzieł Karola Dickensa.

Zamaszyście uklonił się asystentce z wydziału psychologii, która mijala ich na alejce. Harrison hołdował staroświeckim manierom i bardzo nowoczesnym nienawiściom. Taki już był.

- Słyszałem - podjął - że w „De-Ce” zanosi się na coś interesującego.

- W „De-Ce” zawsze zanosi się na coś interesującego - odrzekł Rudolf.

- Ale tym razem ma to być coś całkiem specjalnego. Krążą pogłoski, że zamierzasz się wycofać.

- Ja nie wycofuję się nigdy - odpowiedział Rudolf i wnet przykro zrobiło mu się z powodu własnych słów; cóż, ten facet wyzwał zawsze jego najgorsze instynkty.

- Gdybyś się jednak wycofał, kto będzie następny w kolejce?

Knight?

- Sprawa nie dojrzała jeszcze - odpowiedział.

Prawdę mówiąc, sprawa dojrzała między nim a Calderwoodem, chociaż ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły. Rudolf nie lubił kłamać, ale niekłamanie wobec człowieka pokroju Harrisona stanowiłoby podstawę do kanonizacji.

- „De-Ce” wiele znaczy dla naszego miasta - podjął Harrison - i to głównie dzięki tobie. Nie jestem skłonny do rzucania pochlebstw, ale widzisz, moi czytelnicy mają prawo wiedzieć, co dzieje się nawet za sceną.

Były to słowa banalne, niejadowite, lecz mieściły w sobie pogroźkę, z czego obydwaj panowie dobrze zdawali sobie sprawę.

- Jeżeli coś się zdarzy - powiedział Rudolf - twoi czytelnicy pierwsi będą o tym

wiedzieli.

Wstępując w asyście Harrisona na schody budynku administracyjnego odczuwał coraz wyraźniej, że ranek pogarsza się błyskawicznie.

Nowy rektor Uniwersytetu Whitby - dość młody jeszcze, pełen energii wychowanek Harvardu - nie myślał tolerować żadnych niedorzeczności rady powierniczej. Nazywał się Dorlacker i utrzymywał przyjazne stosunki z Rudolfem, w którego domu bywał czasami z żoną głównie po to, by radzić nad sposobami pozbycia się większości powierników. Harrisona nienawidził serdecznie.

Posiedzenie przebiegało normalnym, utartym trybem. Przewodniczący komisji finansowej oznajmił, że dochody fundacji i dary rosną, co prawda, lecz koszty rosną jeszcze szybciej, a zatem należałoby podnieść wysokość opłat za naukę i zamrozić niektóre stypendia.

Wniosek został odesłany do komisji celem dalszego przeanalizowania.

Ktoś przypomniał radzie, że przed początkiem semestru jesiennego będzie gotów nowy pawilon biblioteczny, a dotychczas nie ustalono jego nazwy. Z protokołu ostatniego posiedzenia wynika, że pan Jordach zaproponował, aby pawilon ten nazwać Pawilonem Kennedy'ego lub, jeszcze lepiej, cały zespół biblioteczny, zwany obecnie Biblioteką-Pomnikiem, przemianować na Bibliotekę Kennedy'ego.

Harrison sprzeciwił się tej propozycji. Powiedział, że nieboszczyk prezydent był osobistością kontrowersyjną i reprezentował tylko połowę narodu, a tereny uniwersyteckie nie są miejscem właściwym do prowadzenia sporów politycznych. W rezultacie głosowania postanowiono nazwać nowy pawilon Pawilonem Kennedy'ego, a całemu zespołowi pozostawić dotychczasową nazwę. Rektor poprosił pana Harrisona suchym i zjadliwym tonem, by zechciał sprawdzić, kogo lub co miał niegdyś uczcić ów pomnik w postaci biblioteki.

Inny członek rady, który też musiał zaparkować wóz w pewnej odległości od budynku administracyjnego, postawił wniosek, by z całą stanowczością zakazać studentom posiadania samochodów.

Dorlacker zaopiniował, że byłoby to zarządzanie niemożliwe do wprowadzenia w życie, a zatem nierozsądne. Należałoby raczej pomyśleć o urządzeniu nowego placu parkingowego.

Z kolei Harrison dał wyraz zaniepokojeniu z powodu zamieszczonego w studenckiej gazetce artykułu nawołującego do demonstracji przeciwko bombie atomowej. Redaktor gazetki winien ponieść karę dyscyplinarną za wprowadzanie polityki do uczelni oraz brak szacunku dla rządu Stanów Zjednoczonych. Dorlacker wyjaśnił, że amerykański uniwersytet nie powinien być miejscem, w którym ogranicza się wolność słowa. W wyniku głosowania postanowiono, że redaktor gazetki studenckiej nie zostanie ukarany.

- Rada powiernicza uchyla się od wykonywania swoich obowiązków - warknął Harrison.

Rudolf był najmłodszy wśród członków rady, więc zwykł przemawiać ostrożnie i z umiarem. Ale ze względu na sojusz z Dorlackerem i częste uzyskiwanie darów od byłych wychowanków uniwersytetu i rozmaitych innych fundacji (nawet z Calderwooda zdołał wydusić pięćdziesiąt tysięcy na budowę nowego pawilonu bibliotecznego), a także dlatego, że wybornie znał miasto i jego powiązania z uniwersytetem - był też najbardziej wpływowym członkiem rady i dobrze zdawał sobie z tego sprawę. To, co rozpoczynał jako niemal hobby nieszkodliwe i lekko dlań pochlebne, stało się z biegiem czasu głównym zainteresowaniem w jego życiu. Z całą przyjemnością dominował nad radą powierniczą i torpedował jeden po drugim wnioski wysuwane przez zakute łby pokroju Harrisona. Nowy pawilon biblieczny, rozwój wydziału socjologii i spraw międzynarodowych, zaangażowanie artysty malarza i rozbudowa wydziału sztuk pięknych, współpraca z teatrem „De-Ce” i dwutygodniowe występy dla słuchaczy katedry teatrologii - wszystko to były jego pomysły. Rudolf dobrze pamiętał drwiny Boylana i postanowił, że przed upływem jego kadencji nikt - nawet człowiek pokroju Boylana - nie ośmieli się nazwać Uniwersytetu Whitby szkołą rolniczą.

Dodatkową satysfakcję sprawiał Rudolfowi fakt, że pod koniec każdego roku mógł zmniejszyć opłacany podatek dochodowy o pokaźną część kosztów swoich podróży,

zarówno krajowych, jak zagranicznych, pod pretekstem, że wszędzie, gdzie bywa, odwiedza szkoły i uniwersytety, pełniąc w ten sposób obowiązki członka rady powierniczej. Robił to niemal automatycznie dzięki wykszoleniu, jakie dał mu Johnny Heath, który podobne igraszki z władzami skarbowymi nazywał grą sportową bogaczy.

- Jak panom wiadomo - mówił Dorlacker - dzisiejsze posiedzenie ma rozważyć mianowania profesorów na przyszły rok akademicki. Wakuje stanowisko dziekana wydziału ekonomicznego. Starannie zbadałem grunt i przeprowadziłem rozmowy z członkami rady wydziałowej, i w rezultacie pozwolę sobie prosić panów o aprobowanie kandydata.

Jest to były dziekan połączonego niegdyś wydziału ekonomii i historii na naszej uczelni, człowiek, który w ciągu kilku ostatnich lat zebrał cenne doświadczenia w Europie, profesor Lawrence Denton.

Wymówiwszy to nazwisko Dorlacker spojrzął przelotnie na Rudolfa.

Spojrzał z wyraźnym przymrużeniem oka. Rudolf korespondował ze swoim dawnym profesorem i wiedział, że Denton chętnie wróciłby do Ameryki. Nie został stworzony na człowieka bez ojczyzny, jak pisał, a jego żona wciąż cierpi z powodu nostalgii.

Rudolf opowiedział o nim Dorlackerowi i ten okazał żywe zainteresowanie i współczucie. Ponadto Denton sam pomógł swojej sprawie, gdyż korzystając z pobytu w Europie wydał książkę „O odbudowie gospodarczej Niemiec” - książkę, która zyskała nader przychylne recenzje. Rudolf myślał, że zmartwychwstanie Dentona będzie miało w sobie coś z poetycznego dokonania się sprawiedliwości. Nie świadczył na korzyść starego przyjaciela wówczas, gdy mogłoby to mieć jakieś znaczenie. Ale gdyby był świadczył, najprawdopodobniej nie zostałby wybrany do rady powierniczej i obecnie nie mógłby prowadzić polityki zmierzającej do powrotu Dentona. Taka sytuacja była przyjemnie ironiczna, toteż Rudolf uśmiechał się do siebie w czasie wystąpienia Dorlackera.

Wiedział, że wraz z rektorem z góry zapewnili sobie liczbę głosów wystarczającą, by Dentona przepchnąć, więc siedział spokojnie i nie zabierając głosu pozwalał

Dorlackerowi robić właściwe posunięcia.

- Denton - powiedział Harrison. - Przypominam sobie to nazwisko.

Został wyrzucony z uniwersytetu jako czerwony.

- Skrupulatnie przestudiowałem akta personalne profesora Dentona - zabrał znów głos Dorlacker - i stwierdziłem, że nigdy nie było formalnego oskarżenia ani też śledztwa przeciwko niemu. Profesor Denton zrezygnował z zajmowanego stanowiska, by podjąć pracę w Europie.

- Ale był czerwony! - rzucił z uporem Harrison. - W naszej uczelni mamy dosyć nieodpowiedzialnych ludzi. Obejdzie się bez importowania nowych.

- W tamtych latach - podjął Dorlacker - chmura McCarthy'ego wisiała nad krajem i liczni godni szacunku ludzie cierpieli bezpodstawnie. Na szczęście mamy to już daleko poza sobą i wolno nam obecnie szacować uczonych jedynie według zasług i umiejętności.

Osobiście będę szczęśliwy, jeżeli dowiedziemy, że Uniwersytet Whitby powoduje się jedynie względami czysto naukowymi.

- Jeżeli ten człowiek tu wróci - zawołał Harrison - moja gazeta będzie miała wiele do powiedzenia.

- Pańskie słowa, panie redaktorze, uważam za niewłaściwe - odparował cios Dorlacker - i jestem przekonany, że po zastanowieniu zechce pan zmienić zdanie. Jeżeli nikt więcej nie zamierza zabrać głosu, sądzę, że kandydaturę należy oddać pod głosowanie.

- Jordach, ty chyba nie maczałeś w tym palców? - zapytał Harrison.

- Owszem, maczałem w tym palce - odrzekł Rudolf. - Kiedy studiowałem na tej uczelni, profesora Dentona cenilem najwyżej wśród wykładowców, a jego ostatnią książkę uważam za dzieło wysoce wartościowe.

- Głosujmy! Głosujmy! - zawołał Harrison. - Nie wiem doprawdy, w imię czego marnuję czas przychodząc na te posiedzenia.

Przeciwko Dentonowi padł tylko jeden głos. Rudolf pomyślał, że gdy skończy się posiedzenie, natychmiast wyśle depezę do wygnańca w Genewie. W tej chwili ktoś

zastukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał Dorlacker.

Weszła jego sekretarka.

- Bardzo mi przykro, panie rektorze, że przeszkadzam - zwróciła się do Dorlackera - ale jest telefon do pana Jordacha. Powiedziałam, że nie może wyjść z posiedzenia, jednak...

Rudolf zerwał się z fotela, podbiegł do telefonu znajdującego się w pokoju sekretarki.

- Rudi - usłyszał spokojny, radosny głos Jean. - Myślę, że musisz przyjechać do domu. Prędko! Zaczynają się bóle.

- Już jadę - odpowiedział i zwrócił się do sekretarki: - Zechce pani usprawiedliwić mnie wobec pana rektora i kolegów z rady.

Muszę natychmiast przewieźć żonę do szpitala. Proszę także o zatelefonowanie do szpitala. Niech porozumieją się z doktorem Levine'em, uprzedzą go, że pani Jordach będzie tam za pół godziny.

Wybiegł z sekretariatu i również biegiem odbył całą drogę do zaparkowanego samochodu. Nie mógł uporać się z zamkiem, toteż przeklinał złodzieja, który ukradł mu radio w Nowym Jorku, a w przystępie rozpaczy zajrzał do sąsiedniego wozu, by sprawdzić, czy klucze tkwią w stacyjce. Nie tkwiły, więc wrócił do własnego wozu.

Tym razem poradził sobie z zamkiem, jednym susem skoczył za kierownicę i z nadmierną szybkością pomknął najpierw przez tereny uczelniane, później zaś spokojnymi uliczkami miasta w kierunku domu.

Rudolf czekał przez cały długi dzień, trzymał za rękę żonę i nie mógł pojąć, jak ona to wytrzyma. Doktor Levine był spokojny.

Mówił, że jak na pierwszy poród wszystko przebiega normalnie. Jego spokój wyprowadzał Rudolfa z równowagi. W ciągu dnia doktor Levine wpadał od czasu do czasu, jak gdyby to były zdawkowe wizyty towarzyskie. Pod wieczór zaproponował nawet, że Rudolf powinien pójść do szpitalnego bufetu i zjeść coś na kolację. Rudolf był

zgorzony. Jak można namawiać go, by pozostawił żonę w męce, a sam poszedł się obżerać!

- Jestem ojcem - powiedział - nie akuszerem.

- Ojcowie też powinni jadać - roześmiał się lekarz. - Dla podtrzymania sił.

Pełen lekceważenia materialista, pomyślał Rudolf. Jeżeli w przystępie szaleństwa zdecydujemy się na drugie dziecko, zaangażujemy kogoś, kto nie jest tylko maszyną.

Dziecko urodziło się krótko przed północą. Dziewczynka. Doktor Levine wyszedł na chwilę z sali porodowej, by zakomunikować Rudolfowi, że matka oraz dziecko czują się dobrze. Wtedy Rudolf miał ochotę powiedzieć położnikowi, że go szczerze kocha.

Później szedł obok wózka, którym przewożono Jean do jej pokoju.

Była rozgorączkowana, wyczerpana i sprawiała wrażenie bardzo małej, a gdy spróbowała uśmiechnąć się do męża, okazało się to zbyt wielkim wysiłkiem.

- Teraz będzie spała - powiedział doktor Levine - a pan z całym spokojem może wracać do domu.

Ale zanim zdążył wyjść z pokoju, Jean odezwała się zadziwiająco mocnym głosem:

- Proszę cię, Rudi, przynieś jutro moją Leicę. Muszę mieć sprawozdanie z jej pierwszego dnia.

Doktor Levine chciał pokazać mu córkę, więc zaprowadził go do pokoju, gdzie za oszklonym przepierzeniem spała wraz z piątką innych noworodków.

- To ona - wskazał ruchem ręki.

Sześcioro całkiem takich samych dzieci! W ciągu jednej doby!

Ginekolodzy muszą być największymi pod słońcem cynikami.

Noc była bardzo zimna. Rano, kiedy wychodził z domu, było ciepło, więc nie wziął żadnego okrycia. Teraz dygotał z zimna śpiesząc do samochodu. Tym razem nie pamiętał o zamknięciu drzwi na klucz, lecz nowe radio zastał na miejscu.

Wiedział, że nie zaśnie, bo jest zbyt podniecony, więc chętnie odwiedziłby kogoś, żeby oblać swoje świeże ojcostwo. Ale minęła pierwsza i o tej porze nie mógł budzić nikogo.

Włączył ogrzewanie i nim zahamował wóz na podjeździe przed domem, zrobiło mu się ciepło. Marta nie wyłączyła świateł, żeby łatwiej mógł trafić do domu. Ruszył przez trawnik i nagle zauważył, że jakaś postać rusza się wśród mroków ganku.

- Kto tam? - zapytał ostro.

Postać wyszła powoli na oświetloną przestrzeń. Wirginia Calderwood! W chusteczce na głowie i w szarym płaszczu lamowanym futrem.

- Na Boga, Wirginio! - zawołał. - Co ty tu robisz?

- Wiem wszystko. - Podeszła do Rudolfa i stanęła bardzo blisko; zwróciła ku niemu bladą, szczupłą, bardzo ładną twarz i te swoje ciemne, ogromne oczy. - Raz po raz dzwoniłam do szpitala, pytałam o nowiny. Mówiłam, że jestem twoją siostrą. Wiem wszystko. Ona urodziła dziecko. Moje dziecko!

- Idź do domu, Wirginio. - Rudolf cofnął się trochę, aby nie mogła go dotknąć. - Jeżeli ojciec dowie się, że przyszłaś tutaj, to...

- A niech się dowie - przerwała - ojciec czy ktokolwiek inny. Mnie nie wstyd.

Rudolf uważał, że z obłędem Wirginii musi radzić sobie jej rodzina. W każdym razie nie on. I nie w taką właśnie noc.

- Wirginio - zaczął - odwiozę cię do domu. Powinnaś wyspać się porządnie, a wtedy...

- Ja nie mam domu - przerwała znowu. - Mój dom to twoje ramiona.

Ojciec nie wie nawet że przyjechałam do Whitby. Jestem tutaj, przy tobie, na moim właściwym miejscu.

- To nie twoje właściwe miejsce, Wirginio. - Rudolf, człowiek absolutnie normalny, był bezradny w obliczu szaleństwa. - Ja mieszkam tutaj z żoną.

- Ona ukradła mi ciebie - powiedziała Wirginia. - Wtargnęła pomiędzy moją prawdziwą miłość a twoją. Dziś modliłam się, żeby w tym szpitalu umarła.

- Wirginio! - Wszystko, co Wirginia mówiła lub robiła uprzednio, nie wywierało nań głębszego wrażenia. Irytowało go, śmieszyło albo budziło współczucie, lecz jej ostatnie słowa przekraczały granice irytacji, śmiechu, współczucia. Pierwszy raz przyszło mu do głowy, że ta szalona dziewczyna może być groźna. Postanowił, że gdy wejdzie do domu,

natychmiast zatelefonuje do szpitala, zapowie, by pod żadnym pozorem nie dopuszczać Wirginii Calderwood do pokoju Jean ani salki, w której znajdują się noworodki.

- Wiesz co, Wirginio - podjął łagodnie, pojednawczo. - Teraz wsiądziesz do mojego samochodu i pozwolisz odwieźć się do domu.

- Przestań traktować mnie jak dziecko! - wybuchnęła. - Nie jestem dzieckiem. I mam własny samochód zaparkowany o kilka kroków stąd.

Nikt nie musi mnie nigdzie odwozić.

- Wirginio - podjął - jestem straszliwie zmęczony i naprawdę potrzebuję snu. Jeżeli rzeczywiście masz mi coś do powiedzenia, zatelefonuj z rana.

- Chcę ci się oddać! - Wirginia Calderwood, normalna na pozór, tuzinkowa, poprawnie ubrana, stała przed Rudolfem zapatrzona w jego twarz, ręce trzymała w kieszeniach płaszcza. - Chcę ci się oddać. Tej nocy. Zaraz. Wiem, że chcesz tego. Od początku czytam to w twoich oczach - mówiła szybko zdławionym szeptem. - Ale nie masz odwagi. Jak wszyscy inni boisz się mojego ojca. Śmiało, Rudi!

Warto spróbować. Ty widzisz we mnie wciąż małą dziewczynkę, taką, jaką pierwszy raz zobaczyłeś w domu mojego ojca. Nie martw się!

Nie jestem już małą dziewczynką. Mam trochę doświadczenia. Może nie tyle, ile twoja szacowna małżonka z tym jej przyjacielem fotografem... Co? Dziwisz się, że wiem? Ja postanowiłam wiedzieć wszystko, a jeżeli chcesz, mogę powiedzieć ci wiele więcej.

Rudolf zdążył tymczasem otworzyć i zatrzasnąć za sobą drzwi domu.

Później zaryglował je, a na ganku zostawił Wirginię, która bredziła nadal i szturmowała drzwi pięściami. Uporawszy się z tym, obszedł wszystkie drzwi wejściowe i okna na parterze, aby upewnić się, że są dokładnie pozamykane. Kiedy wrócił do hallu, kołatanie małymi, kobiecymi pięściami ustało. Na szczęście Marta przespała całe zajście. Rudolf wyłączył od wewnętrznej strony światło na ganku, zatelefonował do szpitala i poczłapał ciężko do małżeńskiej sypialni swojej i Jean.

Szczęśliwych narodzin, córeczko, w tym spokojnym, godnym szacunku mieście, pomyślał tuż przed zaśnięciem.

W sobotę wczesnym popołudniem było pusto w barze zamiejskiego klubu wypoczynkowego, gdyż członkowie znajdowali się przeważnie na terenach golfowych lub kortach tenisowych. Rudolf popijał piwo i miał cały bar dla siebie. Jean nie przyszła jeszcze z garderoby dla pań, gdzie przebierała się po grze w tenisa. Szpital opuściła przed ledwie pięcioma tygodniami, lecz tego dnia rozgromiła męża w dwu krótkich setach. Rudolf uśmiechnął się na myśl, jak rozradowana schodziła z kortu po tym zwycięstwie.

Siedziba klubu - niska, drewniana budowla bez żadnego stylu - była w opłakanym stanie. Klub stał zawsze u progu bankructwa, więc przyjmowano każdego, kto chciał wpłacić niewysokie wpisowe i wprowadzone sezonowe karty członkowskie dla osób przyjeżdżających tylko na lato. Salkę barową zdobiły wyblakłe fotografie panów w długich białych spodniach - zwycięzców klubowych zawodów tenisowych sprzed lat trzydziestu - oraz upstrzone przez muchy zdjęcia Billa Tildena i Vincenta Richardsa, którzy niegdyś rozegrali mecz pokazowy na kortach klubu.

Czekając na Jean, Rudolf sięgnął po weekendowy numer „Sentinela” - pisma wydawanego przez Harrisona - i natychmiast pożalował, że to zrobił. Na pierwszej stronie był artykuł, który traktował o zaangażowaniu przez Uniwersytet Whitby profesora Dentona i zawierał wszystkie dawne insynuacje oraz wątpliwe cytaty z bliżej nie znanych źródeł. Artykuł wyrażał też troskę z powodu złych wpływów, na jakie zostanie narażona wrażliwa młodzież akademicka.

- To ten skurwysyn, Harrison - mruknął do siebie Rudolf.

- Można czymś służyć szanownemu panu? - zapytał bufetowy, który u przeciwnego końca lady czytał jakiś tygodnik.

- Tak. Proszę o drugie piwo, Hank - odpowiedział Rudolf.

Odrzucił gazetę i w tejże chwili zdecydował, że gdyby się to udało, wykupi „Sentinela” z rąk Harrisona. Nie mógłby zrobić nic lepszego dla miasta, no i sprawa powinna być niezbyt trudna do załatwienia. Harrison nie wykazuje zysków od co najmniej trzech lat, więc jeżeli nie będzie wiedział, że on jest reflektantem, zgodzi się na przystępną cenę. Rudolf postanowił, że w najbliższy poniedziałek omówi z Johnnym

Heathem całą technikę transakcji.

Z wolna popijał piwo i starał się zapomnieć o Harrisonie do poniedziałku, gdy do baru wszedł Brad Knight z trójką panów - cały zespół golfowego meczu w dwie pary. Rudolf skrzywił się na widok pomarańczowych spodni, które Brad miał na sobie.

- Przystąpiłeś do zawodów o puchar honorowy dla pań? - zapytał, kiedy tamci podeszli do bufetu i Brad klepnął go przyjaźnie po plecach.

- W naturze upierzenie samca jest zawsze więcej barwne niż samiczki - roześmiał się Brad. - Podczas weekendów bywam człowiekiem natury. Moja kolejka, Hank - zwrócił się do bufetowego. - Jestem dziś wielkim zwycięzcą.

Panowie zamówili trunki i poczęli studiować karty wyników. Okazało się, że Brad i jego partner zgarną blisko trzysta dolarów. Brad był jednym z najlepszych klubowych graczy w golfa i często stosował podstępna taktykę; zaczynał słabo, aby tym łatwiej skłonić przeciwnika do podwojenia stawki. To jego sprawa, pomyślał Rudolf. Jeżeli ktoś przegrywa w sobotnie popołudnie prawie sto pięćdziesiąt dolarów, widać może sobie na to pozwolić. Ale przykro mu było słuchać ludzi, którzy o tak poważnej stracie mówili całkiem lekko. Był pozbawiony żyłki hazardzisty.

- Widziałem Jean z tobą na korcie - powiedział Brad. - Wygląda kwitnąco.

- Pochodzi z rodu krzepkich ludzi - uśmiechnął się Rudolf. - Aha!

Dziękuję ci serdecznie za prezent dla Enid.

Matka Jean miała na imię Enid, a jej panieńskie nazwisko brzmiało Cunningham, więc Jean gdy odzyskała siły o tyle, że mogła mówić zupełnie przytomnie, zapytała, czy Rudolf nie ma nic przeciwko nazwaniu małej Enid na pamiątkę jej matki.

- Cóż, my, Jordachowie, awansujemy w świecie - odrzekł. - Wkraczamy do sfery, w której obowiązują imiona dziedziczone po przodkach.

Nie było i nie miało być obrzędu chrzcin. Jean podzielała ateizm męża bądź jego agnostycyzm, jak sam wolał się wyrażać. Po prostu Rudolf wpisał do świadectwa urodzenia imiona córki, myśląc przy tej sposobności, że Enid Cunningham Jordach to ciężki balast liter przy rozpoczynaniu życia przez niemowlę, które waży siedem funtów.

Otóż Brad przysłał w upominku dla małej srebrną miseczkę do płatków owsianych

z odpowiednim spodkiem i łyżką. W domu mieli już osiem podobnych kompletów, więc Brad nie zdobył się na oryginalny pomysł. Ponadto jednak otworzył w banku rachunek oszczędnościowy na imię Enid, z wpłatą pięciuset dolarów.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział Brad, gdy Rudolf protestował przeciw tak hojnemu darowi - kiedy dziewczyna będzie musiała płacić za skrobankę. I to szybko.

Obecnie jeden z partnerów Brada - Eryk Sunderlin, który był przewodniczącym klubowej komisji terenów zielonych - mówił o swoim faworytnym projekcie znacznego powiększenia boisk golfowych. Spora parcela porzuconej farmy oraz lasek przylegały do tych boisk i Sunderlin puszczał w ruch petycję, aby te grunty, po zaciągnięciu pożyczki, nabyć.

- Wtedy - mówił właśnie - zaczęłyby się dla nas złote czasy. Ba!

Moglibyśmy wepchnąć się do krajowych mistrzostw w golfie.

Moglibyśmy podwoić składki członkowskie.

Wszystko w Ameryce, pomyślał z niechęcią Rudolf, zdradza przemożne tendencje do podwajania się i rozpoczynania złotych czasów. Sam nie grywał w golfa, ale był kontent, że rozmowa w barze ma za temat golfa, nie artykuł w „Sentinelu”.

- A ty, Rudi? - zapytał Sunderlin pociągawszy ostatni łyk - podpiszesz tę petycję wraz z nami wszystkimi?

- Nie miałem czasu zastanowić się nad tą kwestią - odpowiedział Rudolf. - Daj mi dwa tygodnie do namysłu.

- Nad czym się tu namyślać? - rzucił bojowo tamten.

- Stary, pocziwy Rudi jest przeciwnikiem nagłych decyzji - wtrącił Brad. - Przed ostrzyżeniem się potrzebuje dwu tygodni do namysłu.

- Pomoże nam poparcie człowieka twojej miary - podjął Sunderlin. - Już ja mam nosa!

- O tak, Eryku - powiedział Rudolf. - Ty masz nosa niezawodnego.

Sunderlin roześmiał się z tego wyrazu uznania dla siebie i wraz z dwoma innymi panami ruszył w kierunku kabin natryskowych. Ich podkute buty golfowe hałasowały głośno na podłodze z desek.

Regulamin klubu zakazywał noszenia podkutych butów w barze, restauracji oraz pokoju karcianym, lecz był to zakaz, na który nikt nie zwracał uwagi. Jeżeli zaczęły się te złote czasy, pomyślał Rudolf, będziecie musieli zmieniać obuwie.

Brad został w barze i ponownie zamówił coś do wypicia. Twarz miał zawsze rumianą, lecz niepodobna było rozstrzygnąć czy od słońca, czy od alkoholu.

- Człowiek twojej miary - powiedział. - W tym mieście wszyscy mówią o tobie tak, jak gdybyś miał dziesięć stóp wzrostu.

- To właśnie powód, dla którego tkwię w tym mieście - podchwycił Rudolf.

- Myślisz tkwić w Whitby również po wycofaniu się z interesów?

Zadając to pytanie Brad nie patrzył na Rudolfa. Skinieniem głowy podziękował Hankowi, gdy ten postawił przed nim szklanekę.

- Kto mówi o moim wycofaniu się z interesów?

Rudolf nie zwierzał się Bradowi ze swoich planów.

- Krążą takie pogłoski.

- A tobie kto powiedział?

- Aha! Więc to prawda?

- A tobie kto powiedział? - powtórzył Rudolf.

- Wirginia Calderwood.

- Oo...

- Podśluchała rozmowę swoich rodziców.

Wirginia Calderwood! Szpiegówka zbierająca informacje, wariatka, co cichaczem włóczy się po nocach i podsłuchuje wśród mroków!

- Od dwu miesięcy często ją widuję - wyjaśnił Brad. - To bardzo przyjemna dziewczyna.

Znawca ludzkich charakterów z tego Bradforda Knighta, pochodzącego z rozległych płaszczyzn Oklahomy, gdzie wszystko jest tym, na co wygląda!

- Aha - bąknął Rudolf.

- Dyskutowałeś ze starym, kto ma przyjść na twoje miejsce?

- Tak. Rozmawialiśmy na ten temat.

- I co?

- Ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła.

- Cóż... - Bradford uśmiechnął się, lecz poczerwieniał jeszcze bardziej. - Przed formalnym ogłoszeniem tej decyzji dasz chyba cynk staremu kumplowi? - Chociażby dziesięć minut wcześniej?

- Oczywiście. I co więcej mówiła ci panna Calderwood?

- Nic szczególnego - rzucił niedbałym tonem. - Że kocha mnie.

Takie rzeczy. Widziałeś ją ostatnio?

- Nie.

Rudolf nie widział Wirginii od dnia narodzin Enid. Sześć tygodni to przecież nie „ostatnio”.

- Świetnie bawimy się razem - ciągnął Brad. - Pozory często mylą, no nie? To dziewczyna z humorem. Śmieszka.

Oto nowe aspekty charakteru młodej damy. Śmieszka. Dziewczyna z humorem. Świetna zabawa o północy na ganku domu.

- Otwarcie mówiąc - podjął Brad. - Chcę się z nią żenić.

- Dlaczego? - zapytał Rudolf, chociaż doskonale wiedział dlaczego.

- Mam dosyć kurwiarstwa - odrzekł Brad. - Dobijam, widzisz, czterdziestki, a takie rzeczy są męczące.

To niepełna odpowiedź, przyjacielu, pomyślał Rudolf. Z całą pewnością niepełna.

- No i może zachęcił mnie twój przykład. Skoro małżeństwo jest dobre dla człowieka twojej miary... - Brad zająknął się, uśmiechnął nieporadnie i znowu poczerwieniał - powinno być dobre również dla człowieka mojej miary. Szczęście ogniska domowego, rozumiesz?

- Poprzednim razem mało zaznałeś tego szczęścia.

- To prawda - przyznał Brad, którego małżeństwo z córką pewnego nafciarza trwało nie dłużej niż pół roku. - Ale wtedy byłem młodszy. I nie ożeniłem się z taką porządną dziewczyną jak Wirginia. No i może pech mnie opuścił.

Rudolf wziął głęboki oddech i powiedział spokojnie:

- Pech nie opuścił cię, Brad.

Później zaczął mówić o Wirginii Calderwood, o listach, napastowaniu przez telefon, czatach przed nowojorskim mieszkaniem, o ostatniej szaleńczej scenie sprzed sześciu tygodni. Brad słuchał bez słowa, a na zakończenie powiedział tylko:

- To coś wspaniałego być aż tak pożądanym jak ty, mój chłopcze.

W tej chwili weszła do baru Jean odświeżona po natrysku, w mokasynach na opalonych nogach bez pończoch, z włosami związanymi czarną aksamitką w koński ogon.

- Cześć, młoda mamusiu! - zawołał Brad i zsunął się z barowego stołka, żeby ją pocałować. - Niechże wam postawię po jednym.

Rozmawiali o małej Enid, golfie, tenisie i sztuce, którą teatr z Whitby za tydzień otworzy nowy sezon. Nazwisko Wirginii Calderwood nie padło ani razu.

- Wreszcie i ja muszę iść pod natrysk - powiedział Brad, gdy do dna opróżnił szklanekę.

Podpisał rachunek i wolno odszedł od bufetu - nudny, starzejący się mężczyzna w pomarańczowych spodenkach i drogich butach golfowych, których gwoździe stuknęły głośno o porysowaną podłogę z desek.

W dwa tygodnie później poranna poczta przyniosła zaproszenie na ślub oraz wesele panny Wirginii Calderwood z panem Bradfordem Knightem.

Organy uderzyły marszem weselnym i Wirginia, wsparta na ramieniu ojca, przeszła wzdłuż nawy. W bieli panny młodej była śliczna, delikatna, drobna, opanowana. Mijając Rudolfa nie spojrzała na niego, chociaż wraz z Jean stał w pierwszej ławce. U ołtarza czekali Bradford Knight - oblubieniec spocony i czerwony na twarzy od czerwcowego upału - a obok niego starszy druhna, Johnny Heath.

Obydwaj mieli na sobie żakiety i sztuczne spodnie. Ludzie byli zaskoczeni, że nie Rudolf został starszym druhną, ale on sam nie był zaskoczony.

To moja robota, myślał słuchając obrzędowych słów jednym uchem. Ja ściągnąłem go z Oklahomy, ja przyjąłem go do pracy, ja odtrąciłem jego pannę młodą. To

moja robota, ale czy jestem winowajcą?

Lunch weselny wydawano w wiejskim klubie wypoczynkowym. Długi bufet był umieszczony pod markizą, a wielobarwne parasole ocieniały stoliki rozstawione wzdłuż i wszerz trawnika. Orkiestra grała na tarasie, gdzie oblubieńcy, już w podróżnych strojach, rozpoczynali pierwszy taniec - walca. Rudolf dziwił się, że Brad - mężczyzna raczej pozbawiony wdzięku - tańczy aż tak dobrze.

Zgodnie z obyczajem Rudolf pocałował pannę młodą. Wirginia uśmiechnęła się doń zupełnie tak samo, jak uśmiechała się do wszystkich innych. Być może, pomyślał, już po wszystkich i ona będzie zachowywać się przyzwoicie.

Jean koniecznie chciała z nim zatańczyć, jakkolwiek był stanowczo temu przeciwny.

- Kto tańczy w samo południe? - powiedział.

- Uwielbiam wesela. Cudze - odrzekła z uśmiechem i zaraz dodała złośliwie: - Czy ty nie powinieneś wystąpić z toastem? Mógłbyś napomknąć, jak wierną miałaś w niej przyjaciółkę, która noc po nocy stróżowała pod twoimi drzwiami bacząc, żebyś bezpiecznie wrócił do domu, telefonowała do ciebie o fantastycznych porach, chcąc upewnić się, czy nie strach ci ciemności, proponowała, że dotrzyma ci kompanii w samotnym, smutnym łóżku.

- Ciszej... - szepnął Rudolf i lękliwie rozejrzał się dokoła; nigdy nie wspomniał jej słowem o nocnej przygodzie po powrocie ze szpitala.

- Wirginia wygląda ślicznie - podjęła. - Czy jesteś pewien, że zrobiłeś słuszny wybór?

- Dzisiaj jestem w rozpacz - odpowiedział. - Ale zajmijmy się lepiej tańcem.

Orkiestra składająca się ze studentów z college'u grała tak dobrze, że Rudolfowi zrobiło się przykro. Wspomniał swoje dni z trąbką, kiedy był mniej więcej w ich wieku. Młodzież robi dziś wszystko znacznie lepiej. Na bieżniach w Port Philip chłopcy biegają dwieście jardów - jego dawny dystans - w czasie o co najmniej dwie sekundy lepszym od jego szczytowych wyników.

- Zejdźmy z tego głupiego parkietu - zwrócił się do żony. - Straszny tu ścisk.

Wrócił pod markizę, aby wypić po kieliszku szampana, i tam natknęli się na ojca Brada, który przyjechał z Tulsy na tę uroczystą okazję. Starszy pan miał na głowie szerokoskrzydły kapelusz Stetsona, był ogorzały, szczupły, a jego kark zdobiły głębokie, spieczone słońcem bruzdy. Nie wyglądał na kogoś, kto robił i tracił fortuny. Przypominał raczej podrzędnego aktorzyne angażowanego dorywczo do roli szeryfa w westernie.

- Ma się rozumieć, proszę pana szanownego - mówił stary Knight zwracając się do Rudolfa - Brad wiele mi opowiadał o panu szanownym. I o pańskiej pięknej małżonce.
- Szarmancko uniósł kieliszek w stronę Jean, która zdjęła kapelusz i wyglądała obecnie bardziej na chłopczycę niż na piękną małżonkę. - Tak, proszę pana szanownego! Mój syn Brad jest na wieki pańskim dłużnikiem i zdaje sobie z tego sprawę. Może pan szanowny być pewien. W Oklahomie kręcił się i wiercił na wszystkie strony i nie bardzo wiedział kiedy i za co zje następny przyzwoity obiad, aż tu nagle przyszło wezwanie od pana szanownego. Nie będę skrywał, proszę pana szanownego, że ze mną też było wtedy piekielnie krucho. Tak krucho, że nie mogłem znikąd wydusić gotówki tyle, ile wart złamany świder wiertniczy, żeby pomóc jakoś biednemu chłopcu.

Teraz, mogę powiedzieć z dumą, stoję znów pewnie na nogach, ale wtedy naprawdę wyglądało tak, jak gdyby nieszczęśliwy, stary Pete Knight był już gotów do trumny. Obydwaj z Bradem mieszkaliśmy w jednym pokoju i trzy razy dziennie jadaliliśmy paprykę, żeby jakoś utrzymać się przy życiu, gdy nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość, którą nadesłał jego przyjaciel Rudi. Otóż, proszę pana szanownego, kiedy Brad wrócił do domu z wojska zaraz mu poradziłem, żeby przyjął propozycję rządu Stanów Zjednoczonych i poszedł do college'u na zasadzie dekretu, czy jak tam, o prawach byłych kombatanów. Bo, mówiłem mu wtedy, od tej pory facet, który nie ma za sobą college'u będzie wart w tym kraju tyle, ile jedno splunięcie. Brad to dobry chłopiec. Miał w głowie oleju dosyć, żeby posłuchać starego taty no i, proszę pana szanownego, warto teraz na niego popatrzeć. - Starszy pan zwrócił promienne spojrzenie ku grupie młodszych gości, wśród których jego syn, Wirginia i Johnny Heath pili szampana. - Chłopak jest ubrany jak lalka, popija szampana, przyszłość ma przed sobą, ożenił się z

piękną i posażną panną. A jeżeli kiedykolwiek powie, że dał mu to wszystko ktoś inny, nie jego przyjaciel Rudi, stary tata pierwszy nazwie go łgarzem.

Państwo młodzi, a z nimi Johnny, zbliżyli się, by okazać względy starszemu panu, który zaraz poprosił do tańca Wirginię. Natomiast Brad odszedł na parkiet z Jean.

- I co, Rudi? - zapytał Johnny. - Nie bardzo radujesz się dzisiaj?

Nie sposób nic ukryć przed tymi zaspanymi na pozór oczami w okrągłej, gładko wygolonej twarzy!

- Panna młoda jest śliczna, szampan się leje, słońce świeci, mój przyjaciel myśli, że urządził się pięknie do końca życia - odpowiedział Rudolf. - Czemu nie miałbym się radować?

- Właśnie! Czemu nie miałbyś się radować.

- Mam próżny kieliszek. Chodź, postaramy się o więcej wina - powiedział Rudolf i ruszył w stronę przeciwnego końca długiego stołu pod markizą, gdzie szafowano trunki.

- W poniedziałek - podjął Johnny - dostaniemy ostateczną odpowiedź od Harrisona. Myślę, że się zgodzi. Będziesz miał, Rudi, swoją zabawkę.

Rudolf z uśmiechem przytaknął skinieniem głowy, chociaż zirytował się trochę, że Johnny, który nie wyobrażał sobie, jak coś takiego może przynieść realne zyski, nazwał „Sentinela” zabawką. W każdym razie, bez względu na osobiste poglądy w tej kwestii, Johnny, jak zawsze, stanął na wysokości zadania. Wynalazł niejakiego Hamlina, który - manipulując całym łańcuszkiem małomiasteczkowych gazet - przystał na rolę formalnego nabywcy. Ma się rozumieć, zobowiązano go umową od odstąpienia swoich praw Rudolfowi po upływie trzech miesięcy. Hamlin był twardy w interesach i za swoją usługę zażądał trzech procent ceny kupna, lecz wytargował od Harrisona tak wiele, że w rezultacie opłaciło się przyjęcie jego warunków.

Przy bufecie klepnął Rudolfa po plecach Sid Grossett - do ostatnich wyborów burmistrz Whitby - który regularnie co cztery lata bywał wysyłany na konferencję partii republikańskiej. Ten energiczny, dobroduszny prawnik z zawodu potrafił z powodzeniem stłumić pogłoski o łapówkach, jakie brał podczas swojej kadencji, ale w ostatnich

wyborach nie kandydował. Rozumnie, jak powiadali ludzie. Aktualny burmistrz, demokrata, stał u przeciwległego końca długiego stołu i również pił szampana na koszt Calderwooda. Na weselne przyjęcie stawili się wszyscy.

- Cześć, młodzieńcze! - rozpoczął Grossett. - Ostatnio słyszałem coś o tobie.

- Dobrze czy źle? - zapytał Rudolf.

- Nikt i nigdy nie słyszał nic złego o Rudolffie Jordachu - odrzekł Grossett, który nie na darmo był politykiem.

- Święte słowa - wtrącił Johnny Heath.

- Cześć, Johnny! - Uścisk dłoni dla każdego; zawsze trzeba liczyć się z przyszłymi wyborami. - Tym razem nowinę szepnął mi do ucha mały ptaszek.

- A kto był małym ptaszkiem?

- Sam pan Duncan Calderwood.

- Wzruszenia dnia musiały uderzyć do głowy biednemu staruszkowi - powiedział Rudolf.

Nie chciał rozmawiać z Grossettem o swoich sprawach ani odpowiadać na pytania dotyczące planów na przyszłość. Sądził, że na to będzie moc czasu. Później.

- Jeżeli wzruszenia jakiegokolwiek dnia uderzą do głowy Duncanowi Calderwoodowi, daj mi znać, Rudi. Z pewnością przybędę biegiem - podjął Grossett. - Mówił mi, że nie zna twoich planów na przyszłość i w gruncie rzeczy nie wie, czy masz jakie plany. Gdyby jednak interesowały cię pewne sugestie... - rozejrzał się bystro, wietrząc możliwą bliskość jakichś demokratów. - Moglibyśmy, pogadać za parę dni. Czy w przyszłym tygodniu nie zajrzałybyś do mojej kancelarii?

- W przyszłym tygodniu będę w Nowym Jorku.

- No to nie warto owijać sprawy w bawełnę. Myślałeś kiedy o zajęciu się polityką?

- Jak miałem dwadzieścia lat. Teraz jestem stary i roztropny, więc...

- Nie gadaj takich rzeczy! - przerwał szorstko Grossett. - Każdy myśli o zajęciu się polityką. Szczególnie facet twojego pokroju.

Bogaty, popularny facet, który ma za sobą nie lada sukcesy i piękną żonę, może więc szukać nowych światów do podboju.

- Nie powiedz tylko, że teraz, po śmierci Kennedy'ego, chcesz wystawić moją kandydaturę na prezydenta - uśmiechnął się Rudolf.

- Żartujesz, Rudi - odparł swobodnie Grossett. - Ale kto wie, czy za dziesięć, dwanaście lat będą to również żarty? Nie! Karierę polityczną musisz rozpocząć od prowincjonalnego szczebla, a właśnie tu, w tym mieście, jesteś beniaminkiem wszystkich. Nie myślę się? Prawda, Johnny? - zwrócił się do pierwszego drużby.

- Tak. On jest beniaminkiem wszystkich - zgodził się Johnny.

- Wyszedł z nizin - podchwycił Grossett - studiował na naszej uczelni, jest ujmujący, wykształcony, ma społecznego ducha.

- Zawsze sądziłem, że mam czysto prywatnego ducha - podchwycił Rudolf, aby uciąć te pochwały.

- Słusznie! Trzeba też myśleć o sobie. Ale w jak wielu jesteś rozmaitych komitetach, co? I na całym świecie nie masz ani jednego wroga.

- Nie obrażaj mnie, Sid.

Rudolf z przyjemnością docinał natrętowi, lecz słuchał go z uwagą znacznie większą, niż mogłoby się wydawać na pozór.

- Ja wiem, co mówię.

- Nie wiesz nawet, czy jestem demokratą, czy republikaninem. A jeżeli zapytasz Leona Harrisona, dowiesz się, że komunista ze mnie.

- Leon Harrison to stary pierdzioch - obruszył się Grossett. - Gdyby to zależało ode mnie, urządziłbym subskrypcję na wykupienie z jego rąk „Sentinela”.

Rudolf nie mógł powstrzymać się od rzucenia Heathowi filuternego spojrzenia.

- Wiem, czym i kim jesteś - brnął dalej Grossett. - Jesteś demokratą pokroju Kennedy'ego. To typ zwycięzcy. Takich ludzi potrzeba naszej starej partii.

- Teraz, Sid, kiedy zostałem już nadziany na szpilkę, możesz zasuszyć mnie i ulokować w oszklonej gablocie. - Rudolf nie lubił, gdy go klasyfikowano: bez względu na przypisywaną mu kategorię.

- Wiesz, gdzie naprawdę myślę cię ulokować? - podchwycił tamten. - Na ratuszu Whitby. Jako burmistrza. To powiedzie się z pewnością.

No i później po szczeblach drabiny coraz wyżej i wyżej. Pewno nie chciałbyś zostać senatorem, senatorem ze stanu Nowy Jork? Pewno nie odpowiadałoby ci coś takiego, prawda?

- Sid - podjął łagodnie Rudolf. - Przekomarzałem się z tobą.

Naprawdę to, co mówisz, jest interesujące i pochlebne dla mnie. W przyszłym tygodniu odwiedzę cię. Przyrzekam. A teraz musimy pamiętać, że to weselne przyjęcie, nie pełen dymu pokój hotelowy, w którym odbywa się narada polityczna. Muszę zatańczyć z panną młodą.

Odstawił kieliszek, przyjaźnie klepnął Grossetta po ramieniu i wybrał się na poszukiwanie Wirginii. Nie tańczył dotąd z panną młodą, a gdyby chociaż raz nie pokazał się z nią na parkiecie, niewątpliwie wyniknęłyby plotki. Whitby to przecież mała miejscina pełna jadowitych spojrzeń i jadowitych języków.

Dobry republikanin, potencjalny senator, zbliżył się do panny młodej, która - skromna i wesoła - stała pod markizą wspierając czule rękę o ramię męża.

- Wolno prosić o taniec? - zapytał.

- Wszystko, co do mnie należy, jest twoje - odpowiedział Brad. - O tym wiesz dobrze.

Rudolf poprowadził Wirginię na parkiet. Tańczyła jak przystało pannie młodej. Jej chłodna dłoń ledwie dotykała jego dłoni, druga spoczywała na jego ramieniu lekka jak piórko. Głowa była odchylna do tyłu, podniesiona dumnie, gdyż Wirginia zdawała sobie sprawę, że jest pod obserwacją dziewcząt, które chciałyby dzisiaj znajdować się na jej miejscu, a także mężczyzn, którzy chcieliby dzisiaj znajdować się na miejscu jej męża.

- Wszystkiego najlepszego! - powiedział Rudolf. - Długich, bardzo długich lat szczęścia.

Roześmiała się cicho. Udem przylgnęła do jego uda.

- Będę szczęśliwa - powiedziała. - Nie ma strachu. Brada będę miała za męża, ciebie za kochanka.

- Do diabła!

Koniuszkiem palca dotknęła jego warg, aby zmusić go do milczenia, i tak

zakończyli taniec. Odprowadzając ją do miejsca, na którym Brad stał nadal, Rudolf nie wątpił już, że całą historię traktował zbyt optymistycznie. Sprawy pomiędzy nimi nie ułożą się zupełnie gładko. Nigdy. Nawet za milion lat.

Rudolf nie rzucał ryżu wraz z innymi gośćmi, gdy nowożeńcy odjeżdżali samochodem Brada, aby rozpocząć miesiąc miodowy. Stał na frontowych schodach klubu obok Calderwooda. Calderwood też nie rzucał ryżu. Czoło miał zmarszczone, lecz nie sposób było orzec, czy z powodu jakichś własnych myśli, czy też słonecznego blasku.

Kiedy goście wracali do bufetu na ostatni kieliszek szampana, Calderwood stał wciąż na miejscu zapatrzony w rozjaśnioną popołudniowym słońcem przestrzeń, co pochłonęła jego ostatnią córkę z mężem. Uprzednio powiedział Rudolfowi, że chce z nim pomówić, więc Rudolf rzucił żonie porozumiewawcze spojrzenie i Jean odeszła pozostawiając sam na sam obu panów.

- I co ty na to? - odezwał się wreszcie Calderwood.

- Wesele było znakomite.

- Nie w tym rzecz.

Rudolf wzruszył ramionami.

- Nikt nie zdoła przewidzieć, jak ułoży się to czy każde inne małżeństwo.

- On teraz liczy na stanowisko po tobie.

- To całkiem normalne.

- Bardzo żałuję, że to nie ty odjechałeś dziś z nią do Nowego Jorku.

- Życie nie zawsze ułada się gładko - powiedział Rudolf.

- A nie zawsze, nie zawsze - zgodził się starszy pan i podjął zaraz: - Nie mam do niego absolutnego zaufania. Nie mogę przemóc tego w sobie, chociaż przykro mi mówić to o kimś, kto długie lata współpracował ze mną lojalnie, a teraz poślubił moją córkę.

- Odkąd tu przybył, nie zrobił ani jednego fałszywego kroku - powiedział Rudolf.

Owszem, zrobił jeden, pomyślał. Nie uwierzył w to, co mówiłem mu o Wirginii lub, jeszcze gorzej, uwierzył i ożenił się z nią mimo wszystko. Ale o tym nie mógł przecież

napomknąć staremu.

- Wiem, wiem - podjął Calderwood. - To twój przyjaciel i chłopak przebiegły jak lis, i ty miałeś do niego dosyć zaufania, żeby sprowadzić go tu i dać mu bardzo odpowiedzialną pracę. Ale coś z nim nie tak... - Calderwood pokiwał dużą, naznaczoną już przez śmierć twarzą o ziemistej cerze. - Pijaczyna, dziwkarz... Nie przecz mi, wiem, co mówię... Hazardzista, no i pochodzi z Oklahomy.

Rudolf parsknął śmiechem.

- Cóż, jestem stary i mam swoje uprzedzenia - ciągnął Calderwood.

- Tak bywa. Może to ty, Rudi, zepsuleś mnie trochę. Jak żyję, nie miałem do czynienia z nikim, nie znałem nikogo, komu mógłbym zawierzyć tak jak tobie. Jeżeli nawet namawiałeś mnie do czegoś niezgodnego z moim własnym zdaniem... A często się tak działo, zadziwiająco często... Nawet wtedy byłem zawsze pewien, że nie zrobisz nic przeciwko moim interesom, nic dwulicowego, nic, co mogłoby uchybić mojej dobrej sławie.

- Dziękuję, panie prezesie - wtrącił Rudolf.

- Panie prezesie! Panie prezesie! - obruszył się starszy pan. - Czy wciąż będziesz mnie nazywał panem prezesem? Do mojej śmierci?

- Dziękuję, Duncanie... - powiedział Rudolf, lecz ten „Duncan” wymagał nie lada wysiłku.

- Przekazać cały kram takiemu człowiekowi. - Głos Calderwooda brzmiał nutką starczej, żalostnej skargi. - Przekazać mu wszystko, nawet po mojej śmierci... Nie. Wcale mi się to nie podoba. Ale skoro ty powiesz, że tak trzeba... - Głos przycichł.

Rudolf westchnął. Zawsze znajdzie się ktoś, kogo trzeba zdradzić, pomyślał.

- Nie powiem, że tak trzeba - odrzekł spokojnie. - W naszym biurze radców prawnych jest zatrudniony młody człowiek. Nazywa się Mathers...

- Wiem. Znam go! - przerwał Calderwood. - Blondyn o jasnej cerze.

W okularach. Ma dwoje dzieci. Pochodzi z Filadelfii.

- Przed prawem w Harvardzie ukończył wydział ekonomiczno-handlowy w Wharton. Pracuje u nas cztery lata z górą. Zna na wskroś wszystkie działy. Zawsze

zadaje właściwe pytania. Z moim biurem miał bardzo wiele do czynienia. W niejednej z nowojorskich spółek adwokackich mógłby zarabiać znacznie więcej niż u nas, ale lubi Whitby i chętnie tutaj mieszka.

- Dobrze. Powiedz mu jutro - podchwycił Calderwood.

- Wolałbym, żebyś ty mu o tym powiedział, Duncanie.

Drugi „Duncan” w życiu!

- Jak zawsze! - podjął Calderwood. - Nierad zrobię to, do czego mnie nakłaniasz, ale wiem, że masz rację. Powiem mu. A teraz chodźmy na jednego. Dostyc zapłaciłem za szampana, więc, na Boga, wolno mi się go napić.

O świeżej nominacji zawiadomiono w przeddzień powrotu nowożeńców z miesiąca miodowego.

Brad przyjął tę wiadomość spokojnie jak dżentelmen i nigdy nie zapytał Rudolfa, czyja to była decyzja. Ale po trzech miesiącach zrezygnował ze stanowiska i wraz z Wirginią wyjechał do Tulsy, gdzie jego ojciec przygotował dlań miejsce w swoim przedsiębiorstwie naftowym. W pierwszą rocznicę narodzin Enid przysłał na jej rachunek oszczędnościowy czek opiewający na pięćset dolarów.

Brad przysyłał regularnie pogodne, pełne życzliwości listy. Pisał, że powodzi mu się doskonale i robi takie pieniądze jak nigdy dotąd. Czuje się dobrze w Tulsie, gdzie stawki golfowe są duże, na miarę Zachodu, toteż w trzy kolejne niedziele wygrał po tysiąc dolarów z górą. Wirginia jest ogólnie lubiana i ma już dziesiątki przyjaciół. Nabrała też zamiłowania do golfa. Brad zachęcał Rudolfa do lokowania pieniędzy w jego przedsiębiorstwie. „To tak, jak gdybyś z drzewa zrywał forszę” - brzmiało jego sformułowanie.

Twierdził, że chce zrewanżować się jakoś Rudolfowi za wszystko, co dla niego zrobił, a innego sposobu nie widzi.

Rudolf nie mógł zapomnieć rozmowy z Duncanem Calderwoodem na tarasie klubu, więc z poczucia winy zaczął interesować się finansowo szybami naftowymi, które Brad odkrywał, wiercił i eksploatował. Ponadto Johnny Heath był zdania, że

dwudziestosiedmioprocentowa zniżka podatku, z jakiej korzysta przemysł naftowy, jest nie do pogardzenia dla kogoś w skali podatkowej Rudolfa. Johnny zbadał też możliwości kredytowe firmy „Peter Knight i Syn”, przekonał się, że są pierwszorzędne, i lokatami przyjaciela jął administrować tak, że przynosiły dolar za dolara.

ROZDZIAŁ III

Tom siedział w kucki na przednim pokładzie i pogwizdując fałszywie polerował mosiężną szpulę windy kotwicy. Było ciepło, początek czerwca, i pracował bosy, nagi do pasa. Tors miał brązowy od słońca, ciemny jak skóra najsmaglejszych Greków lub Włochów na którym bądź ze statków w porcie Antibes. Jego ciało nie było tak jędrne jak w czasach, gdy występował na ringu. Mięśnie nie odznaczały się jak wtedy bryłowato, ale były gładkie, smuklejsze.

Gdy miał tak jak teraz zakrytą łysinkę, wyglądał młodziej niż przed dwoma laty. Nasunął sobie na oczy białą czapkę marynarską którą nosił z rondem opuszczonym zupełnie na oczy, aby się uchronić przed blaskiem słońca odbitym od wody.

Z maszynowni w dole dolatywał odgłos kucia młotkiem.

Świnka-Kimball był tam z Dwyerem, naprawiali pompę. Pierwszy tegoroczny czarter zaczynał się nazajutrz, a jeden z silników przegrzewał się w próbnym rejsie. Świnka, który był mechanikiem na jachcie „Vega”, największym w całym porcie, zaofiarował się, że przyjedzie i rzuci okiem na silnik. Dwyer i Tom radzili sobie z prostymi naprawami sami, ale gdy sprawa była naprawdę skomplikowana, musieli prosić o pomoc. Na szczęście Tom zaprzyjaźnił się zimą z Kimballem i Kimball pomagał im, kiedy doprowadzali „Klotyldę” do formy na lato. Tom nie tłumaczył Dwyerowi, dlaczego postanowił nazwać jacht „Klotyldą”, gdy przemianowali go z „Penelopy” w Porto Santo Stefano. Według niego jacht należało nazwać kobiecym imieniem, więc czemu nie Klotyldą?

Na pewno nie nazwałby go Teresą.

Był szczęśliwy na „Klotyldzie”, chociaż nawet w jego oczach nie była to najładniejsza jednostka pływająca na Morzu Śródziemnym.

Wiedział, że nadbudówki są nieco przeciążone i stawiają zbyt wielki opór wiatrowi, toteż największa szybkość jachtu wynosiła dwanaście węzłów podróżna dziesięć, a niektóre fale wywoływały niebezpieczne kołysanie. Ale wszystko, co dwaj zdecydowani mężczyźni mogli zrobić, harując miesiąc po miesiącu, z łuszczącego się wraka, który kupili przed dwu i pół laty w Porto Santo Stefano, zostało już zrobione. Mieli za sobą dwa

dobrze sezony i chociaż nie wzbogacili się na tym jachcie, odłożyli obaj trochę pieniędzy do banku na czarną godzinę.

Wydawało się, że sezon nadciągający okaże się jeszcze lepszy niż dotychczasowe i Tom odczuwał przyjemność polerując mosiężną szpulę, w której odbijał się blask słońca. Zanim związał się z morzem, nigdy by mu nie przyszło do głowy, że tak prosta, bezmyślna czynność jak polerowanie kawałka metalu może mu sprawić przyjemność.

Tak samo było ze wszystkimi rzeczami na statku. Bardzo lubił przechadzać się od rufy do dzioba i z powrotem, dotykając ręką relingu, ciesząc się widokiem lin zwiniętych w równiutkie spirale na uszczelnionym, jasnym tekowym pokładzie, podziwiając wypolerowane mosiężne szprychy staromodnego koła sterowego w kabinie sternika, schludnie ułożone w przegródkach mapy i zwinięte ciasno flagi sygnałowe. On, który nigdy w życiu nie umył ani jednego talerza, spędzał długie godziny w kuchni na pucowaniu garnków, żeby aż świeciły, i pilnie dbał, aby lodówka była nieskazitelnie czysta i pachniała świeżością, a płyta kuchenna i piecyk wyszorowane. Kiedy mieli pasażerów na pokładzie, obaj z Dwyerem i kucharz, jakiego na dany rejs angażowali, nosili brunatne, drelichowe szorty i nieskazitelnie białe koszulki bawełniane z krótkimi rękawami i niebieskim napisem „Klotylda” na piersi. Wieczorami albo w chłodne dni ubierali się w identyczne, grube granatowe swetry żeglarskie.

Tom nauczył się przygotowywać najrozmaitsze cocktaile i podawać je w odpowiednim szkle, chłodne i oszronione, a wśród klientów byli tacy - grupa Amerykanów - którzy się zaklinali, że wynajmowali jacht tylko dla „Bloody Mary” Toma. Jacht spacerowy na Morzu Śródziemnym, kursujący od kraju do kraju, mógł stanowić tanie wakacje dla pijaka, bo alkohol można było kupować w strefie wolnocłowej skrzynkami. Butelka dżinu lub whisky kosztowała około półtora dolara. Sam rzadko pijał cokolwiek prócz odrobiny pastisu, a od czasu do czasu piwa. Gdy na pokładzie byli pasażerowie, nosił kapitańską czapkę z daszkiem, ze złożoną kotwicą i łańcuchem.

Nauczył się dość francuskich, włoskich i hiszpańskich słów, aby móc załatwić formalności z komendantem portu lub zrobić zakupy, ale za mało, żeby wdać się w

klótnię. Dwyer uczył się języków szybko i mógł trajkotać jak nakręcony.

Tom posłał Gretchen fotografię „Klotyldy” przecinającej z bryzgiem fale, a Gretchen odpisała, że postawiła ją na półce nad kominkiem w bawialni. Kiedyś, pisała, przyjedzie i popłynie z nim w rejs.

Teraz ma jakieś zajęcie w studio. Dotrzymała obietnicy, pisała i nie powiedziała Rudolfowi, gdzie Tom jest i co robi. Gretchen była jego jedyną więzią z Ameryką i kiedy czuł się samotny lub tęsknił za synem, pisał do niej. Poprosił Dwyera, aby napisał do dziewczyny, którą ten wciąż jakoby zamierzał poślubić, do Bostonu, aby w wolnej chwili pojechała do hotelu „Egejskiego” i spróbowała porozmawiać z Pappym, ale dziewczyna jeszcze nie odpowiedziała. W najbliższych latach, nie zważając na nic, pojedzie sam do Nowego Jorku i odszuka syna.

Od walki z Falconettim nie bił się z nikim. Falconetti wciąż mu się śnił. Tom nie rozczulał się nad nim, ale żał mu było Falconettego, a czas nie zatarł poczucia winy, że to przez niego Falconetti wyskoczył za burtę.

Skończył polerować szpulę i wstał. Czuł pod bosymi stopami obiecujące ciepło pokładu. Gdy szedł ku rufie, przesuwając dłońmi po nowo lakierowanym relingu w kolorze mahoni, stukot młotka w dole ustał i ukazała się płomiennoruda głowa Kimballa, wychodzącego z salonu na pokład. Żeby się dostać do maszynowni, trzeba było przejść przez klapę w podłodze salonu. Za Kimballem ukazał się Dwyer. Obaj mieli na sobie poplamione olejem zielone kombinezony, bo nie można się było nie pobrudzić w ciasnej maszynowni. Kimball wytarł ręce kawałkiem papieru, który wyrzucił za burtę.

- To mu powinno wystarczyć, bracie - rzekł. - Zrobimy próbę?

Tom wszedł do kabiny sternika i włączył silniki, a Dwyer i Świnka odcumowali jacht i wdrapali się na przedni pokład, żeby podnieść kotwicę. Dwyer wybierał łańcuch obmywając go jednocześnie gumowym węzłem z portowego brudu. Dla stateczności wypuścili dużo łańcucha i „Klotylda” była prawie na środku przystani, gdy Świnka dał znak, że kotwica klar, i pomógł Dwyerowi harpunem wyciągnąć ją na pokład.

Tom zdążył się już nauczyć manewrować jachtem i tylko gdy wpływał do bardzo zatłoczonej przystani i przy niepomysłnym wietrze, oddawał koło sterowe Dwyerowi.

Dzisiaj skierował dziób jachtu ku wejściu do przystani i płynąc wolno, póki nie znalazł się na otwartym morzu, przeturkotał obok rybaków z wędkami u końca wału i opłynął boję, zanim zwiększył szybkość kierując się ku Cap d'Antibes i zostawiając warownię Vieux Carre na wzgórzu za sobą.

Patrzył na wskaźniki obu silników i z ulgą stwierdził, że żaden się nie grzeje. Poczciwy stary Świnka. Przez tę zimę zaoszczędził im co najmniej tysiąc dolarów. Jacht, na którym pracował, „Vega”, był tak nowy i tak wychuchany, że w porcie Świnka nie miał na nim nic do roboty. Nudził się i rad dłużej w ciasnej, rozgrzanej maszynowni „Klotyldy”.

Kimball był kościstym Anglikiem, którego piegowata twarz nigdy się nie opalała i całe lato pozostawała różowa. Miał problemy z piciem, jak się wyraził. Kiedy pił, stawał się wojowniczy i zaczepiał ludzi w barze. Kłócił się z armatorami i rzadko pozostawał na jachcie dłużej niż rok, ale był tak dobrym fachowcem, że nie miał nigdy trudności ze znalezieniem innej posady. Pracował wyłącznie na bardzo dużych jachtach, bo na mniejszych marnowałby tylko swoje umiejętności. Wychował się w Plymouth i całe życie przebywał na wodzie. Był zdumiony, że ktoś taki jak Tom został w końcu właścicielem i szyprem takiego jachtu jak „Klotylda” w porcie Antibes i zarabiał nim na życie.

- Ci jankesi - mawiał potrząsając głową - są kurewsko zdolni do wszystkiego. Nic dziwnego, że świat należy do nich.

On i Tom byli nastawieni do siebie przyjaźnie od początku.

Pozdrawiali się wzajem na molo i stawiali sobie piwo w małym barze u wejścia do portu. Kimball odgadł, że Tom występował na ringu, i Tom opowiedział mu o niektórych walkach, i jak to było, kiedy zwyciężył w Londynie, i o późniejszych dwóch laniach, które oberwał a nawet o tej ostatniej walce, w hotelu, z Quaylesem w Las Vegas, która szczególnie przypadła wojowniczemu Kimballowi do serca. Nie opowiedział mu o Falconettim, a Dwyer był na tyle mądry, by trzymać język za zębami.

- Rany boskie, Tom - powiedział Kimball - gdybym umiał tak walczyć, oczyściłbym wszystkie bary od Gibraltaru do Pireusu.

- I zarobił nożem między żebra - rzekł Tom.

- Z pewnością masz rację - zgodził się Kimball. - Ale co za frajdę miałbym

przedtem!

Gdy bywał bardzo pijany i spostrzegał Toma, walił pięścią w ladę i krzyczał:

- Widzicie tego faceta? Gdyby nie był moim przyjacielem, tobym go znokautował. -

A potem zamaszystym ruchem wytatuowanego ramienia obejmował go czule za szyję.

Ich przyjaźń została scementowana pewnego wieczoru w barze w Nicei. Nie wybrali się tam razem, tylko Dwyer i Tom przypadkiem weszli do tego baru nie opodal portu. Wokół baru była pusta przestrzeń i Kimball perorował coś głośno w grupie mężczyzn, wśród których znajdowało się kilku francuskich marynarzy i krzykliwie ubranych, lecz niebezpiecznie wyglądających młodych ludzi typu, jaki Tom nauczył się poznawać i unikać - drobni opryszkowie i szantażyści wykonujący różne zleczone zadania dla szefów tego milieu, operujących na terenie Marsylii. Instynkt podszeptał mu, że są prawdopodobnie uzbrojeni, jeśli nie w broń palną, to z pewnością w noże.

Świnka-Kimbal posługiwał się własną odmianą francuskiego i Tom nie mógł go zrozumieć, ale domyślał się z tonu jego głosu i ponurych min innych klientów baru, że Kimball ich obraża. Kimball miał kiepskie zdanie o Francuzach, kiedy był pijany. Kiedy upijał się we Włoszech, miał kiepskie zdanie o Włochach. Gdy upijał się w Hiszpanii, miał kiepskie zdanie o Hiszpanach. Nie umiał także rachować, kiedy wypił za wiele, a fakt, że w pojedynkę stawał przeciw co najmniej pięciu, skłaniał go tylko do tym bardziej pogardliwych wypowiedzi.

- Jeszcze trochę, a go tu zabiją - szepnął Dwyer, który zrozumiał większość okrzyków Kimballa. - I nas też, jeśli się połapią, że jesteśmy jego przyjaciółmi.

Tom chwycił Dwiera za ramię i podprowadził do stojącego przy barze Kimballa.

- Cześć, Świnka - rzekł pogodnie.

Świnka obrócił się gwałtownie, myśląc, że nadeszli nowi wrogowie.

- Ach, to wy - powiedział. - Cieszę się, że jesteście. Właśnie mówię tym maguereaux * kilka gorzkich prawd dla ich własnego dobra. (* stręczycielom [fr.]

- Daj spokój, Świnka - rzekł Tom, a potem zwrócił się do Dwiera. - Powiem teraz kilka słów tym panom. Chcę, żebyś je przetłumaczył.

Wyraźnie i grzecznie. - Uśmiechnął się serdecznie do ludzi w barze, stojących

teraz złowróbnym półkolem. - Jak panowie widzicie, ten Anglik jest moim przyjacielem. Odczekał, póki zdenerwowany Dwyer nie przetłumaczył. Wyraz otaczających go twarzy nie zmienił się ani trochę. - Jest też pijany - ciągnął Tom. - Oczywiście, nie lubimy patrzeć, jak ktoś krzywdzi naszego przyjaciela, trzeźwego czy pijanego. Spróbuję zapobiec, aby już nie wygłaszał więcej mów, ale bez względu na to, co powie albo już powiedział, nie będzie tu dzisiaj żadnych awantur. Dzisiaj ja jestem w tym barze policjantem i pilnuję spokoju. Przetłumacz, proszę - rzekł do Dwyera.

Gdy Dwyer tłumaczył, jękając się, Świnka powiedział z niesmakiem:

- Gówniana sprawa, bracie, zwijasz banderę.

- Ponadto - ciągnął Tom - stawiam wszystkim kolejkę. Barman. - Uśmiechał się mówiąc te słowa, ale czuł, jak mięśnie prężą mu się w ramionach i w każdej chwili był gotów się rzucić na największego ze zgrai, Korsykanina o wydatnych szczękach, ubranego w czarną skórzaną kurtkę.

Mężczyźni spojrzeli na siebie niepewnie. Nie przyszli jednak do baru, żeby się bić, i trochę pomrukując podchodzili jeden po drugim i przyjmowali poczęstunek Toma.

- Też mi bokser - drwił Świnka. - U ciebie każdy dzień jest dniem zawieszenia broni, jankesie. - Ale w dziesięć minut później pozwolił się bezpiecznie wyprowadzić z baru. Kiedy nazajutrz przyszedł na „Klotyldę”, przyniósł ze sobą butelkę pastisu i powiedział: - Dziękuję ci, Tom. Gdyby nie ty, za chwilę skopaliby mnie na śmierć. Nie wiem, co mnie nachodzi, ile razy krzywkę sobie wypiję. I nigdy nie wychodzę z tego zwycięsko. Mam pełno blizn na całym ciele na dowód mej odwagi. - Roześmiał się.

- Jeśli już musisz walczyć - rzekł Tom wspominając czasy, kiedy czuł, że musi się bić wszystko jedno z kim i o co - walcz na trzeźwo. Z jednym przeciwnikiem na raz: I nie bierz mnie ze sobą.

Ja już z tym skończyłem.

- A co byś, bracie, zrobił - spytał Świnka - gdyby się na mnie rzucili?

- Wywołałbym zamieszanie - odparł Tom - żeby Dwyer zdążył cię wyprowadzić z knajpy, a wtedy sam wziąłbym nogi za pas.

- Zamieszanie! - powiedział Świnka. - Zapłaciłbym sporo szylingów, żeby móc

zobaczyć to zamieszanie.

Tom nie wiedział, co w życiu Świnki-Kimballa sprawiło, że kiedy wypił parę kolejek zmieniał się z przyjaznego, miłego, choć używającego plugawych słów człowieka w napastliwe zwierzę o samobójczych instynktach. Być może kiedyś Świnka mu się wywnętrzy.

Świnka wszedł do kabiny sterowniczej, popatrzył na wskaźniki, posłuchał krytycznie odgłosów pracy diesli.

- Jesteś gotów do sezonu, chłopcze - rzekł. - Na własnym jachcie.

Zazdroszczę ci.

- Niezupełnie gotów - odparł Tom. - Brak nam jednego w załodze.

- Co? - zdziwił się Świnka. - A gdzie ten Hiszpan, którego nająłeś w zeszłym tygodniu.

Ów Hiszpan przyszedł z dobrymi referencjami na kucharza i stewarda i nie zażądał wygórowanej płacy. Któregoś jednak wieczoru, kiedy wybierał się na ląd, Tom zobaczył, jak wkłada nóż za cholewkę buta pod nogawką spodni.

- Po co to? - spytał Tom.

- Żeby wzbudzić respekt - odparł Hiszpan.

Następnego dnia Tom go wyrzucił. Nie chciał mieć na pokładzie kogoś, kto musi chodzić z nożem za cholewką buta, żeby wzbudzać respekt. A teraz brakowało mu kucharza.

- Wysadziłem go na ląd - rzekł do Świnki, gdy przepływali u ujścia zatoki La Garoupe. Wytłumaczył czemu. - Ciągle potrzebuję kucharza-stewarda. Przez najbliższe dwa tygodnie będę mógł się bez niego obyć. Moi klienci potrzebują jachtu tylko za dnia i zabierają na pokład własne jedzenie. Ale na lato będzie mi ktoś potrzebny.

- Czy myślałeś kiedykolwiek, żeby nająć kobietę? - spytał Świnka.

Tom skrzywił się.

- Tu oprócz gotowania jest kupa ciężkiej roboty - rzekł - Silną kobietę.

- Większość kłopotów w życiu - powiedział Tom - miałem z powodu kobiet: Słabych i silnych.

- A ile dni marnujesz w różnych zakazanych dziurach - spytał Świnka - słuchając narzekań klientów, że tracą swój cenny czas, bo muszą czekać, aż bielizna zostanie wyprana i wyprasowana?

- To rzeczywiście utrapienie - zgodził się Tom. - Masz kogoś na myśli?

- Tak jest - rzekł Świnka. - Jest stewardesą na moim jachcie i rzygać jej się chce, bo ma fiola na punkcie morza, a przez całe lato widzi tylko wnętrze pralni.

- No dobra - powiedział Tom niechętnie. - Porozmawiam z nią. I powiedz jej, niech zostawi swoje noże w domu.

Nie potrzebował na jachcie kobiety jako kobiety. W portach było mnóstwo różnych ochoczych dziewcząt. Człowiek zabawiał się z nimi, wydawał kilka dolców na kolację albo dancing i parę kieliszków, a potem wyruszał do następnego portu bez żadnych komplikacji. Tom nie wiedział, jak Dwyer urządza się pod tym względem, i uznał, że lepiej nie pytać.

Zawrócił „Klotyldę” z powrotem do portu. Wszystko grało. Nie było sensu marnować paliwa. Czarter zaczynał się dopiero jutro, dziś Tom płacił za paliwo z własnej kieszeni.

O szóstej zobaczył Świnkę idącego po molo z kobietą. Kobieta była niska, nieco przysadzista i miała włosy splecione w dwa warkocze po obu stronach głowy. Ubrana była w drelichowe spodnie, granatowy sweter i płótniaki. Zrzuciła je z nóg przed wejściem na trap na rufie jachtu. W portach śródziemnomorskich trzeba było przeważnie cumować rufą do mola, chyba że było miejsce, żeby stanąć burta, co rzadko się udawało.

- To jest Kate - rzekł Świnka. - Mówiłem ci o niej.

- Jak się masz, Kate. - Tom uścisnął jej dłoń. Miała miękkie dłonie jak na dziewczynę, która pracuje w pralni i potrafi wykonywać grubsze prace na pokładzie. Była podobnie jak Świnka Angielką, pochodziła z Southampton i wyglądała na dwadzieścia pięć lat. Jej głos brzmiał cicho, kiedy mówiła o sobie. Twierdziła, że umie gotować, a także prać i w ogóle być pomocna na pokładzie; zna francuski i włoski niezbyt wspaniale,

rzekła z uśmiechem, ale dość, żeby rozumieć meteo przez radio w obu tych językach, a także potrafi trzymać jacht na wyznaczonym kursie, pełnić wachtę i prowadzić samochód, o ile to kiedyś okazałoby się potrzebne.

Gotowa była pracować za taką samą płacę, co tamten Hiszpan z nożem. Nie była naprawdę ładna, ale jej drobne, smagłe ciało tryskało zdrowiem i siłą i miała zwyczaj patrzeć w oczy temu, do kogo się zwracała. Zimą jeśli ją zwalniano, wracała do Londynu i brała pracę kelnerki. Nie była zamężna, ani zaręczona i chciała, żeby ją traktowano jak resztę załogi - ani gorzej, ani lepiej.

- Ona jest dziką angielską różyczką - rzekł Świnka. - Prawda, Kate?

- Nie żartuj, Świnka - powiedziała dziewczyna. - Ja naprawdę chcę tutaj pracować. Znudziło mi się pływanie z jednego końca Morza Śródziemnego w drugi w mundurku i białych pończochach bawełnianych, niczym pielęgniarka, którą wołają Miss albo Mademoiselle. Przyglądałam się twemu jachtowi nieraz, Tom, ilekroć przechodziłam, i bardzo mi się spodobał. Nie taki wielki, aby wyglądał na wielkopański z British Royal Yacht Club. Jest ładny, czysty i sprawia poczciwe wrażenie. I jedno jest zupełnie pewne, że nie będzie na nim wielkich dam, które by w jakieś upalne popołudnie w Monte Carlo wszystkie naraz zażądały, żeby im wyprasować suknie na bal w książęcym pałacu.

- No cóż - rzekł Tom broniąc elegancji swojej klienteli - naszych gości też trudno nazwać biedakami.

- Wiesz, co mam na myśli - odparła dziewczyna. - Powiem ci coś.

Nie chcę, żebyś kupował kota w worku. Jedliście już obiad?

- Nie. - Dwyer był na dole w kuchni i biedził się, zatroskany, z rybami, które kupił tego ranka, lecz sądząc z odgłosów dochodzących stamtąd, niczego poważnego jeszcze nie osiągnął.

- To ugotuję wam - powiedziała dziewczyna. - Teraz, zaraz. Jeżeli będzie ci smakował, przyjmiesz mnie do pracy, a ja jeszcze dziś pójde na „Vege”, spakuję się i przeniosę tutaj. Jeżeli nie, to co tracisz? Restauracje w mieście są otwarte do późna. A ty Świnka, możesz zostać i zjeść z nami.

- Zgoda - odparł Tom. Zszedł na dół i powiedział Dwyerowi, żeby wylazł z kuchni,

bo mają doskonałą kucharkę przynajmniej na ten wieczór. Dziewczyna rozejrzała się po kuchni, pokiwała głową z aprobatą, otworzyła lodówkę, zajrzała do szuflad i szafek, żeby wiedzieć, gdzie co jest, przyjrzała się rybom, które Dwyer kupił, i powiedziała, że on nie umie kupować dobrych ryb, ale ostatecznie mogą być i takie. Następnie kazała obu się wynosić - zawoła ich, gdy obiad będzie gotowy. Prosiła tylko, żeby ktoś poszedł do Antibes i przyniósł świeże pieczywo i dwa dojrzałe serki camembert.

Jedli na rufie za kabiną sterowniczą, a nie w małej alkwie przed salonem, z której by korzystali, gdyby mieli klientów na jachcie.

Kate nakryła do stołu, który wyglądał jakoś inaczej niż wtedy, gdy robił to Dwyer. Włożyła dwie odkorkowane butelki wina do wiaderka z lodem i postawiła wiaderko na krześle.

Udusiła rybę z ziemniakami, czosnkiem, cebulą, pomidorami, tymiankiem, mnóstwem soli kamiennej i pieprzu, odrobiną białego wina i pokrajanym w kostkę bekonem. Było jeszcze jasno, gdy zasiedli do stołu i słońce właśnie zachodziło na bezchmurnym, niebieskozielonym niebie. Trzej mężczyźni umyli się, ogolili, włożyli świeże ubrania i wypili po dwie szklaneczki pastisu, siedząc na pokładzie i wachając aromaty napływające z kuchni. W przystani panowała cisza i słychać było tylko chłupot drobniutkiej fali o kadłuby jachtów.

Kate wniosła wielką wazę z duszoną rybą. Chleb i masło stały już na stole przy misce z sałatą. Nałożywszy ryby na talerze, usiadła niespiesznie i spokojnie razem z nimi. Tom jako kapitan nalał wina do kieliszków.

Tom włożył pierwszy kęs do ust i żuł w zamyśleniu. Kate, ze spuszczoną głową, również zaczęła jeść.

- Świnka - rzekł Tom - prawdziwy z ciebie przyjaciel. Uknuleś spisek, żeby mnie utuczyć. Kate, jesteś przyjęta.

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się. Wzniesli toast za nowego członka załogi.

Nawet kawa smakowała jak kawa.

Po kolacji, gdy Kate zmywała naczynia, trzej mężczyźni siedzieli w ciszy wieczoru,

palili cygara, które przyniósł Świnka, i patrzyli, jak nad bladofioletowymi wyniosłościami Alp Nadmorskich wschodzi księżyc.

- Króliczku - rzekł Tom rozpierając się w krzesło i wyciągając nogi przed siebie - nic dodać, nic ująć.

Dwyer nie zaprzeczył.

Później Tom poszedł z Kate i Świnką do miejsca, gdzie stała przycumowana „Vega”. Było ciemno i prócz kilku świateł na jachcie panowały zupełne ciemności, ale Tom zaczekał nie opodal, póki Kate nie spakuje swoich rzeczy. Nie chciał się wdawać w kłótnię z szyprem, gdyby się okazało, że jeszcze nie śpi i nie jest zadowolony z utraty członka załogi z pięciominutowym wypowiedzeniem.

W kwadrans później Tom zobaczył Kate schodzącą bezgłośnie z walizką w ręku po trapie. Szli razem wzdłuż murów twierdzy, koło jachtów zacumowanych jeden przy drugim, do miejsca, gdzie stała „Klotylda”. Kate zatrzymała się na chwilę, spojrzała z powagą na biało-niebieski jacht skrzypiący cumami, które naprężyły się pod naporem wody.

- Będę pamiętała ten wieczór - powiedziała, a potem zrzuciła z nóg płótniaki i trzymając je w ręku, weszła bosą po trapie.

Dwyer czekał na nich. Pościelił sobie na dodatkowej koi w kajucie Toma i położył czystą pościel w kajucie, którą dotychczas sam zajmował. Tom chrapał z powodu złamanego nosa, ale Dwyer będzie musiał do tego przywyknąć. Przynajmniej na jakiś czas.

W tydzień później Dwyer przeprowadził się z powrotem do swojej kajuty, ponieważ Kate przeniosła się do kajuty Toma. Jej nie przeszkadzało chrapanie.

Goodhartowie byli starszym już małżeństwem, które spędzało w „Hôtel du Cap” każdy czerwiec. Pan Goodhart posiadał przędzalnię bawełny w Północnej Karolinie, ale oddał ją w zarząd synowi. Był wysokim, prostym, powolnym w ruchach mężczyzną z gęstą szpakowatą czupryną, przypominającym emerytowanego pułkownika. Pani

Goodhart była nieco od niego młodsza, o puszystych siwych włosach. Miała dość dobrą figurę, by móc chodzić w obcisłych spodniach. W zeszłym roku Goodhartowie wynajęli „Klotyldę” na dwa tygodnie i tak im się spodobała, że jeszcze na początku zimy załatwili z Tomem listownie podobny czarter na ten rok.

Byli najmniej wymagającymi z klientów. Co ranka o dziesiątej Tom kotwiczył, jak tylko najbliżej się dało, naprzeciwko rzędu hotelowych kabin kąpielowych i Goodhartowie podpływali ślizgaczem.

Przybywali z kosztami jedzenia przygotowanego w hotelowej kuchni, a także koszykami pełnymi butelek wina owiniętych w serwetki. Oboje mieli ponad sześćdziesiąt lat i jeśli morze było nieco wzburzone, przejście z motorówki na jacht mogło być dla nich niebezpieczne. W takie dni kazali się szoferowi wieźć do przystani w Antibes, gdzie stała „Klotylda”. Czasem przywozili z sobą jakieś inne małżeństwo, zawsze stare, albo mówili Tomowi, że chcą zabrać jakichś przyjaciół z Cannes. Potem płynęli w cieśniny między Isles de Lerins, leżące o jakieś trzy kilometry od brzegu, i rzucali kotwicę na cały dzień. Tam niemal zawsze było spokojnie i woda miała zaledwie cztery metry głębokości, a przy tym była tak przejrzysta, że widziało się trawę morską falującą na dnie.

Goodhartowie przebierali się w stroje kąpielowe i leżeli w słońcu na materacach, drzemiąc lub czytając, a od czasu do czasu skakali do wody, żeby popływać.

Pan Goodhart powiedział, że byłby spokojniejszy o żonę, gdyby Tom lub Dwyer pływali koło niej. Pani Goodhart, która była krzepką kobietą o pełnych ramionach i młodych, silnych nogach, pływała znakomicie i Tom wiedział, że Goodhart chce mu w ten sposób dać do zrozumienia, by każdy, kto jest na jachcie, korzystał z chłodnej, przejrzystej wody wśród wysp, ilekroć przyjdzie mu na to ochota.

Czasem jeśli mieli gości, Tom kładł im koc na tylnym pokładzie i rozgrywali kilka robrów. Oboje Goodhartowie mówili cicho i byli ogromnie grzeczni dla siebie wzajem i dla wszystkich innych.

Równo o wpół do drugiej każdego dnia byli gotowi do pierwszego drinka, nieodmiennie „Bloody Mary”, który im przygotowywał Tom.

Potem Dwyer rozpinał płócienny dach i zasiadali w cieniu do jedzenia, które

przywieźli z sobą z hotelu. Na stole stała zimna langusta, zimna pieczeń wołowa, sałatka rybna lub zimny loup de mer z zielonym sosem, melon z szynką, sery i owoce. Zawsze przywozili z sobą tyle jedzenia, nawet gdy nie zapraszali przyjaciół, że zostawało go mnóstwo dla załogi, i to nie tylko na obiad, ale i na kolację. Przy jedzeniu każde z nich wypijało po butelce białego wina.

Jedyne, o co Tom musiał się martwić, to kawa, ale teraz, gdy na jacht przyszła Kate, i ten problem znikł. Kiedy pierwszy raz wyszła z kuchni ubrana w białe szorty i białą koszulkę z krótkimi rękawami, z napisem „Klotylda” mocno rozciągniętym na bujnych piersiach, i Tom ją przedstawił, pan Goodhart pokiwał głową z aprobatą i rzekł:

- Ten jacht staje się z roku na rok coraz lepszy, kapitanie.

Po obiedzie Goodhartowie schodzili na dół, aby odbyć sjęstę.

Często wówczas Tom słyszał stłumione odgłosy, które mogły oznaczać tylko jedno. Goodhartowie mówili Tomowi, że są od ponad trzydziestu pięciu lat po ślubie i Tom dziwił się, że wciąż to robią i wciąż z wyraźnym upodobaniem. Goodhartowie podważyli całą jego koncepcję małżeństwa.

Około czwartej pojawiali się znów na pokładzie, poważni i ceremonialni jak zwykle, w strojach kąpielowych i spędzali z pół godzinki na pływaniu, a Tom lub Dwyer im w tym towarzyszył. Dwyer pływał kiepsko i parę razy, gdy pani Goodhart znajdowała się o jakieś dwieście metrów od „Klotyldy”, Tom sądził, że będzie miała okazję przyholować Dwycera do jachtu.

Równy o piątęj, umyty pod prysznicem, uczesany i ubrany w płócienny spodnie, białą koszulkę i granatową kurtkę, Goodhart wychodził z dołu na pokład i mówił:

- Nie sądzi pan, że pora na drinka, kapitanie? - a jeśli nie było na pokładzie gości:
- Byłbym zaszczycony, gdyby pan zechciał mi towarzyszyć.

Tom przygotowywał wówczas dwie szkockie whisky z wodą sodową i dawał znak Dwycerowi, który zapuszczał silnik i chwycił koło sterowe. Z Kate przy windzie kotwicznej na dziobie, ruszali w powrotny kurs do „Hôtel du Cap”. Siedząc na tylnym pokładzie pan Goodhart i Tom popijali sobie whisky, a jacht wychodził z cieśnin i opływał wyspę, mając różowobiałe wieże Cannes po lewej burcie.

W któreś z takich popołudni pan Goodhart zapytał:

- Kapitanie, czy w tej części świata jest wielu Jordachów?

- O ile wiem to nie - odparł Tom. - A czemu pan pyta?

- Wspomniałem wczoraj o panu wicedyrektorowi hotelu - rzekł pan Goodhart - a oni mi na to, że państwo Rudolfostwo Jordachowie są w hotelu częstymi gośćmi.

Tom pociągnął łyczek whisky.

- To mój brat - powiedział. Czuł, że Goodhart spogląda na niego ciekawie i odgadywał, co myśli. - Nasze drogi się rozeszły - rzekł krótko. - On był ten sprytniejszy.

- Nie jestem taki pewien. - Pan Goodhart zatoczył szklanką krąg obejmujący jacht, słońce, wodę pieniącą się przy burtach, zielone, brunatnożółte wzgórza wybrzeża. - Może to pan był ten sprytniejszy. Pracowałem całe życie i dopiero na starość, po przejściu na emeryturę, mam czas robić coś takiego dwa tygodnie w roku. - Zachichotał smutnie. - A uchodziłem w swojej rodzinie właśnie za sprytniejszego.

Przyszła pani Goodhart, wyglądająca młodzieńczo w obcisłych spodniach, luźnym swetrze, więc Tom dopił drinka i poszedł po whisky dla niej. Dzień w dzień piła z nim na równi.

Pan Goodhart płacił za najem jachtu dwieście pięćdziesiąt dolarów dziennie, plus paliwo, i po tysiąc dwieście starych franków na jedzenie dla każdego z załogi. W minionym roku żegnając się dał Tomowi jeszcze pięćset dolarów na dodatek. Tom i Dwyer usiłowali wyliczyć, jak bogatym trzeba być, żeby móc sobie pozwolić na dwa tygodnie w tej cenie, płacąc jednocześnie za apartament w hotelu, który uchodzi za jeden z najdroższych na świecie. Dali sobie jednak spokój.

- Trzeba być bogatym, i tyle - rzekł Dwyer. - Chryste, czy wyobrażasz sobie, ile godzin tysiące biednych skurwysynów musi przepracować przy maszynach w tych jego przędzalniach w Północnej Karolinie, wypluwając płuca żeby on mógł sobie codziennie popływać. - Stosunek Dwyera do kapitalistów został ukształtowany jeszcze w dzieciństwie przez ojca, który pracował w fabryce.

Wszyscy robotnicy, w pojęciu Dwyera, wypluwają płuca, bez względu na rodzaj wykonywanej pracy.

Aż do poznania Goodhartów stosunek Toma do ludzi posiadających mnóstwo pieniędzy, choć niezupełnie tak nieugięty jak Dwyera stanowił mieszaninę zazdrości, nieufności i podejrzania, że człowiek bogaty przy byle okazji postara się skrzywdzić każdego, kogo zdoła. Swoje skrępowanie wobec brata, które powstało w dzieciństwie z całkiem innych przyczyn, złożył na kark tego, że Rudolf się wzbogacił. Ale Goodhartowie podkopali te dawne dogmaty.

Kazali mu się na nowo zastanowić nie tylko nad małżeństwem, ale i nad ludźmi starymi, a także bogatymi, nawet Amerykanami w ogóle.

Szkoda, że Goodhartowie przyjeżdżali tak wcześnie, bo później, aż do października, nie było czym się cieszyć. Niektórzy klienci, których mieli później, usprawiedliwiali choćby najsurowsze zdanie Dwyera na temat klas rządzących.

Ostatniego dnia pobytu Goodhartów na pokładzie wyruszyli w powrotną drogę do hotelu wcześniej niż zwykle, ponieważ zerwał się wiatr i na morzu za wyspami pełno było grzywaczy. Nawet w cieśninie „Klotylda” chwiała się i szarpała łańcuch. Pan Goodhart wypił więcej niż zwykle i ani on, ani jego żona nie zeszła pod pokład na poobiednią sjęstę. Gdy Dwyer podniósł kotwicę, byli wciąż w kostiumach kąpielowych i swetrach, wystawieni na pył wodny. Pozostali jednak na pokładzie, jak dzieci na przyjęciu, które ma się zaraz skończyć, a one nie chcą się z tym pogodzić.

Pan Goodhart zachował się nawet nieco szorstko wobec Toma, gdy ten spóźnił się trochę z popołudniowymi drinkami.

Gdy wypłynęli z osłony wysp, morze stało się zbyt burzliwe, aby mogli skorzystać z leżaków i musieli trzymać się relingu pijąc whisky z wodą sodową.

- Myślę, że nie zdołamy wpłynąć szalupą do hotelowej przystani - rzekł Tom. - Powiem Dwyerowi, żeby okrążył cypel i skierował się do Antibes.

Pan Goodhart wyciągnął rękę i chwycił Toma za ramię, gdy ten chciał wejść do sterówki.

- Popatrzmy tylko - rzekł. Oczy miał lekko przekrwione. - Czasami lubię taką burzliwą pogodę.

- Jak pan sobie życzy - odparł Tom. - Pójdę powiedzieć Dwyerowi.

W kabinie sterowej Dwyer już teraz mocował się z kołem. Kate siedziała na ławce stojącej przy tylnej ścianie kabiny i jadła kanapkę z pieczoną wołowiną. Miała wspaniały apetyt i nie chorowała na morzu przy największej nawet fali.

- Idzie sztorm - rzekł Dwyer. - Płynę za cypel.

- Płyn do hotelu - powiedział Tom.

Kate spojrzała na niego ze zdziwieniem znad kanapki.

- Zwariowałaś? - odparł Dwyer. - Wszystkie ślizgacze są przy tym wietrze na pewno już dawno w przystani. A nigdy nie zdołamy podpłynąć tam szalupą.

- Wiem - rzekł Tom. - Ale oni chcą popatrzeć.

- To tylko strata czasu - narzekał Dwyer.

Rano rozpoczynali w St. Tropez nowy czarter i planowali, że wyruszą tam zaraz po wysadzeniu Goodhartów na ląd. Nawet przy spokojnym morzu i bez wiatru było to trudne zadanie, a mieli jeszcze w drodze przygotować jacht na przyjęcie nowych klientów. Wiatr dał z północy, mistral, i będą musieli szukać osłony przy brzegu, co znacznie przedłuży podróż. Będą musieli również płynąć ze zmniejszoną szybkością, żeby nie nadwerężyć jachtu. I nie ma mowy, żeby przy tej pogodzie mogli zrobić cokolwiek w drodze.

- To tylko kilka minut - rzekł Tom uspokajająco. - Zobaczą, że to niemożliwe, i popłyniemy do Antibes.

- Ty jesteś kapitanem - rzekł Dwyer. Nacisnął ze złością na koło sterowe w chwili, gdy fala uderzyła jacht w lewą burtę i „Klotylda” aż się zatoczyła.

Tom pozostał w kabinie sterowej, żeby nie zmoknąć. Goodhartowie stali na pokładzie, lekko zroszeni pyłem wodnym, ale wyglądało, że to im sprawia radość. Nie było chmur i popołudniowe słońce świeciło jasno, a gdy pył wodny przelatował nad pokładem, postacie dwojga starszych ludzi migotały w krótkotrwałej tęczy.

Kiedy mijali Golfe Juan, daleko z lewej, z podskakującymi na falach łodziami, które stały na kotwicy w maleńkiej przystani, pan Goodhart dał znak Tomowi, że oboje z panią Goodhart chcą jeszcze po jednym drinku.

Zbliżyli się już na jakieś pięćset jardów do palisady, na której stały kabiny

kąpielowe i wtedy zobaczyli, że fale przelatują ponad małym betonowym dokiem, gdzie zwykle stały przycumowane ślizgacze.

Ślizgaczy, jak przewidywał Dwyer, nie było. Przy kąpielisku, nieco dalej wzdłuż urwiska, na maszcie powiewała czerwona flaga, a żelazna drabinka pod restauracją „Eden Roc” była zamknięta łańcuchem. Fale rozbijały się wysoko ponad nią, potem ustępowały, spienione i zielono-białe, odsłaniając drabinkę aż do najniższego szczebla, zanim nie nadleciał z rykiem nowy bałwan.

Tom wyszedł spod osłony kabiny sterowej na pokład.

- Obawiam się, że miałem rację - rzekł do Goodharta. - Nie da się dobić szalupą do brzegu przy takiej fali. Będziemy musieli płynąć do portu.

- Wy popłyniecie do portu - powiedział Goodhart spokojnie - a my z żoną do brzegu. Niech pan tylko podpłyń, jak można najbliżej, nie narażając jachtu.

- Czerwona flaga na maszcie - zwrócił uwagę Tom. - Nikt się nie kąpie.

- Ci Francuzi - rzekł pan Goodhart. - My z żoną pływaliśmy przy dwakroć większej fali w Newport, prawda, kochanie? Przyślemy później do portu samochód po nasze rzeczy, kapitanie.

- To nie jest Newport, proszę pana - uczynił ostatnią próbę Tom. - Nie ma tu piaszczystej plaży. Rzuci pana na skały, jeśli pan...

- Jak wszystko we Francji - powiedział pan Goodhart - wygląda to gorzej, niż jest w istocie. Niech pan tylko podpłyń jak najbliżej brzegu, a my zrobimy resztę. Oboje mamy ochotę na kąpiel.

- Jak pan sobie życzy - odparł Tom. Wrócił do kabiny sterowej, gdzie Dwyer obracał koło, włączając to jeden, to drugi silnik, żeby zataczać ciasne kółka, które przybliżyły jacht na jakieś trzysta jardów do drabinki. - Zbliź się jeszcze o sto jardów - powiedział Tom. - Oni popłyną do brzegu wplaw.

- Chcą się potopić? - spytał Dwyer.

- To ich sprawa - odparł Tom, a potem do Kate: - Włóż kostium kąpielowy. - On sam miał na sobie kąpielówkę i sweter.

Kate bez słowa zeszła na dół po kostium.

- Jak tylko wskoczmy do wody - powiedział Tom do Dwyera - natychmiast odpływaj. Trzymaj się jak najdalej skał. Gdy zobaczysz, że dopłynęliśmy, wal do portu. Przyjedziemy samochodem.

Wystarczy, że popłyniemy w tamtą stronę. Nie chcę wracać na jacht wplaw.

Po dwóch minutach Kate wróciła w starym, spłowiałym, niebieskim kostiumie. Była doświadczoną pływaczką. Tom zdjął sweter i oboje wyszli na pokład. Goodhartowie byli już bez swetrów i czekali na nich. W swych długich kąpielówkach w kwiatki, opalony po wakacjach, pan Goodhart wyglądał niemal atletycznie. Musiał być naprawdę silny za młodu. Na kształtnych nogach pani Goodhart widniały drobne zmarszczki, zapowiedź starości.

Tratwa pływacka, zakotwiczona w połowie drogi między „Klotyldą” a drabinką, tańczyła na falach. Gdy uderzała ją jakaś szczególnie duża fala, tratwa stawiała dęba, utrzymując się przez kilka chwil niemal pionowo.

- Proponuję, żebyśmy najpierw dopłynęli do tratwy - rzekł Tom - i odetchnęli przed wyruszeniem w dalszą drogę.

- My? - spytał pan Goodhart. - Co to znaczy: my? - Był wyraźnie pijany. Pani Goodhart też.

- Doszliśmy z Kate do wniosku, że chętnie popływalibyśmy - odparł Tom.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie. - Przelazł przez reling i skoczył do wody. Pani Goodhart za nim. Ich głowy, siwa i szpakowata wylaniały się, to znów zanurzały w ciemnozieloną spienioną wodę.

- Ty się trzymaj blisko niej - powiedział Tom do Kate. - Ja będę płynął przy starym.

Skoczył za burtę i usłyszał, że Kate skacze za nim. Dotarcie do tratwy nie było zbyt trudne. Pan Goodhart płynął przestarzałą odmianą kraula, trzymając głowę przeważnie nad wodą. Pani Goodhart płynęła kraulem klasycznym i spojrzawszy na nią Tom zobaczył, że się zachłystuje i z trudem oddycha. Kate jednak była cały czas tuż przy niej. Pan Goodhart i Tom wspięli się na tratwę, ale za bardzo nią rzucało, żeby mogli na niej stanąć, toteż na klęcząco pomogli wciągnąć panią Goodhart. Dyszała i wyglądała, jakby ją mdliło.

- Chyba powinniśmy poczekać tutaj trochę - powiedziała usiłując utrzymać równowagę na mokrej macie podnoszącej się i opadającej tratwy. - Póki się trochę nie uspokoi.

- Jeszcze się pogorszy, proszę pani - rzekł Tom. - Za kilka minut nie będzie żadnych szans na dopłynięcie do brzegu.

Dwyer, zaniepokojony bliskością lądu, odpłynął o jakieś pięćset jardów dalej i krążył w miejscu. Tak czy owak, nie było szans, żeby pani Goodhart mogła się dostać bez szwanku na rozkołysany przy tej fali jacht.

- Będzie pani musiała płynąć z nami zaraz - powiedział Tom do pani Goodhart.

Pan Goodhart nie odezwał się ani słowem. Był już trzeźwy.

- Nathaniel - rzekła do męża pani Goodhart - powiedz mu, że ja tu zostanę, póki morze się trochę nie uspokoi.

- Słyszałaś, co powiedział - odparł pan Goodhart. - Chciałaś płynąć do brzegu, to płyń. - Skoczył do wody.

Do tej pory zdołało się już zebrać ponad dwudziestu ludzi, którzy stojąc na skałach w bezpiecznej odległości od bryzgów wody, przypatrywali się czworgu na tratwie.

Tom wziął panią Goodhart za rękę i powiedział:

- Skaczemy. Razem. - Stał na niepewnych nogach, pomógł jej wstać i wskoczyli do wody trzymając się za ręce. Znalazszy się w wodzie pani Goodhart przestała się bać i popłynęli obok siebie ku drabince. Zbliżywszy się do skał, czuli, jak fala rzuca ich ku brzegowi, a potem ciągnie z powrotem, kiedy rozbita o skały ustępowała. Tom zagarniał rękami wodę i krzyczał, żeby go było słychać ponad rykiem fal: - Ja płynę pierwszy. Po mnie pani Goodhart. Patrzcie, jak to będę robił. Popłynę na grzbiecie fali i chwycę się drabinki. Potem dam znak, kiedy ma płynąć pani Goodhart. Płynicie ile sił. Ja was będę łapał, jak dopłyniecie do drabinki. Tylko trzymajcie się mnie. Wszystko będzie dobrze. - Wcale nie był tego pewien, ale musiał coś powiedzieć.

Czekał patrząc przez ramię na nadciągające fale. Wypatrzył większą od innych, mocno pracując ramionami popłynął na jej grzbiecie, uderzył o stalową drabinkę, chwycił poręcz i oparł się potężnemu szarpnięciu w tył. Potem wstał, spojrzał na morze.

- Teraz! - krzyknął do pani Goodhart.

Zbliżała się szybko, przez chwilę wysoko ponad nim, a potem odsunęła się w dół. Uchwycił ją mocno wpół, żeby mu się nie wysliznęła. Pchnął ją śpiesznie w górę po drabinie. Potknęła się, ale wydostała bezpiecznie na kamienną platformę, zanim uderzyła następna fala.

Pan Goodhart był tak ciężki, że Tom nie mógł się utrzymać poręczą i już myślał, iż fala zmyje ich obu. Ale stary był silny. Okręcił się w wodzie i chwycił drugą poręcz, nie puszczając jednocześnie Toma. Nie potrzebował żadnej pomocy, żeby się wspiąć na drabinkę, a zrobił to z dostojną miną, spoglądając chłodno na milczącą grupę gapiów w górze, jakby ich przyłapał na wścibianiu nosa w jakieś swoje bardzo osobiste sprawy.

Nadpłynęła swobodnie Kate i oboje z Tomem wspięli się na drabinkę.

Wzięli ręczniki od szatniarza i się wytarli, ale musieli zostać w mokrych kostiumach.

Pan Goodhart zadzwonił do hotelu po samochód i powiedział tylko: - Świetna robota, kapitanie - kiedy samochód przyjechał po Toma i Kate. Pożyczył szlafrok dla siebie i pani Goodhart i zamówił dla wszystkich napoje, gdy Kate i Tom wycierali się do sucha. Kiedy tak stał w długim jak toga szlafroku, nikt by nie przypuszczał, że pił całe popołudnie, a przed kwadransom omal ich wszystkich nie potopił.

Przytrzymał drzwiczki samochodu, żeby Kate i Tom mogli wsiąść. Gdy Tom znalazł się w środku, pan Goodhart powiedział:

- Musimy się rozliczyć, kapitanie. Czy będzie pan w porcie po kolacji?

Tom zamierzał wyruszyć do St. Tropez przed zachodem słońca, ale odrzekł:

- Tak proszę pana. Będziemy cały wieczór.

- Doskonale, kapitanie. Wypijemy na pokładzie coś na pożegnanie. - Pan Goodhart zatrasnął drzwiczki samochodu i odjechali drogą obsadzoną sosnami, które młóciły gałęziami na wzrastającym wietrze.

Wysiadłszy na molo z samochodu, Tom i Kate pozostawili na siedzeniu mokre plamy. „Klotylda” jeszcze nie przyплыnęła, siedzieli więc owinięci ręcznikami na przewróconej do góry dnem szalupie, i dygotali z zimna.

W piętnaście minut później do portu wpłynęła „Klotylda”. Chwycili liny, które im rzucił Dwyer, przycumowali jacht, wskoczyli na pokład i pobiegli włożyć suche ubrania. Kate ugotowała dzbanek kawy i kiedy pili ją w sterówce, przy świetle wichru w olinowaniu, Dwyer powiedział:

- Bogacze. Zawsze znają jakiś sposób, żebyś zapłacił. - Potem wyciągnął węża, podłączył go do hydrantu na molo i wszyscy troje zaczęli szorować jacht. Wszystko było pokryte skorupą soli.

Po kolacji, którą Kate przyrządziła z resztek jedła pozostałego z obiadu Goodhartów, poszła z Dwyerem do Antibes z prześcieradłami, powłoczkami i ręcznikami z całego tygodnia. Wszystkie rzeczy osobiste prała sama, ale większe pranie musiało być robione na ładzie. Wiatr zamarł równie szybko, jak się zerwał, i chociaż fale wciąż łomotały o falochrony, w samym porcie było spokojnie i obojnicie „Klotyldy” tylko od czasu do czasu trącały lekko jachty stojące po obu jej stronach.

Był pogodny, ciepły wieczór i Tom siedział na tylnym pokładzie paląc fajkę, podziwiając gwiazdy i czekając na pana Goodharta.

Sporządził rachunek i położył go w kopercie w kabinie sterowej.

Nie był bardzo wysoki - tylko za paliwo, pranie, kilka butelek whisky i wódki, lód i tysiąc dwieście franków dziennie na jedzenie dla niego i dwojga pozostałych. Za sam czarter pan Goodhart dał Tomowi czek zaraz pierwszego dnia, który spędził na pokładzie.

Przed zejściem na ląd Kate spakowała rzeczy Goodhartów, zapasowe stroje kąpielowe, ubrania, buty i książki do dwóch hotelowych koszy. Kosze te stały teraz na pokładzie przy tylnym relingu.

Tom zobaczył na molo zbliżające się światła samochodu pana Goodharta. Wstał, gdy samochód się zatrzymał i pan Goodhart wysiadł i wszedł po trapie na pokład. Był ubrany wieczorowo, w szary garnitur, białą koszulę i ciemny jedwabny krawat. Wyglądał czemuś starzej i wątlej w miejskim ubraniu.

- Mogę zaproponować panu coś do picia? - spytał Tom.

- Whisky, kapitanie - odparł pan Goodhart. Był teraz absolutnie trzeźwy. - O ile pan się też napije. - Usiadł na jednym z płóciennych leżaków, a Tom poszedł do salonu po napoje. Wracając zaszedł do sterówki i wziął kopertę z rachunkiem.

- Żona ma lekkie dreszcze - rzekł pan Goodhart, gdy Tom podał mu szklanę. - Położyła się do łóżka. Specjalnie mnie prosiła, żebym powiedział panu, jak bardzo jej było miło przez te dwa tygodnie.

- To bardzo uprzejmie ze strony pani Goodhart - odparł Tom. - Miło nam było ją gościć. - Skoro pan Goodhart nie wspomina o popołudniowym wydarzeniu, on również nie wspomni o nim ani słowem.

- Sporządziłem rachunek, proszę pana. - Podał kopertę panu Goodhartowi. - Proszę sprawdzić i...

Pan Goodhart machnął niedbale kopertą.

- Na pewno jest w porządku - rzekł. Wyjął rachunek i spojrzał nań z ukosa w świetle latarni na molo. Miał przy sobie książeczkę czekową i wypisał czek, po czym podał go Tomowi. - Będzie tam coś ekstra dla pana i załogi, kapitanie - powiedział.

Tom rzucił okiem na czek. Pięćset dolarów ponad żądaną sumę.

- Jest pan bardzo hojny. - O, żeby całe lato mieć tylko takich Goodhartów!

Pan Goodhart skwitował wyrazy wdzięczności machnięciem dłoni.

- W przyszłym roku - rzekł - może uda nam się spędzić tutaj cały miesiąc. Nie ma takiego prawa, które by mówiło, że musimy spędzać całe lato w swoim domu w Newport, prawda? - wytłumaczył, że od dzieciństwa spędzał lipiec i sierpień w rodzinnym domu w Newport, a teraz wraz z nim i jego żoną spędzają tam wakacje ich żonaty syn i zamężne córki z dziećmi. - Moglibyśmy oddać dom młodszemu pokoleniu - ciągnął pan Goodhart, jakby próbując przekonać samego siebie. - Niechby sobie urządzali orgie, czy co tam takiego młodzi urządzają, gdy nie ma nas w pobliżu. Może udałoby się nam ukraść kilkoro wnucząt i wyruszyć w prawdziwy rejs z panem. - Rozsiadł się wygodnie na leżaku i popijając ze szklanki bawił się tą nową myślą. - A gdybyśmy mieli miesiąc, dokąd moglibyśmy popłynąć?

- No cóż - rzekł Tom - towarzystwo, które zabieramy jutro z St. Tropez, dwa

małżeństwa francuskie, wynajmuje jacht tylko na trzy tygodnie i przy sprzyjającej pogodzie będziemy mogli popłynąć wzdłuż wybrzeża hiszpańskiego, Costa Brava, Cadaques, Rosas, Barcelona, a potem na Baleary. Stamtąd wracamy tutaj i zabieramy pewną rodzinę angielską, która chce płynąć na południe, to znów trzytygodniowy rejs na wybrzeże liguryjskie, do Portofino, Portovenere, Elby, Porto Ercole, na Korsykę, Sycylię, Ischię, Capri...

Pan Goodhart zachichotał.

- Pan sprawia, że Newport brzmi jak Coney Island, kapitanie. Był pan w tych wszystkich miejscach?

- Uhm.

- I ludzie panu za to płacą?

- Większość z nich każe człowiekowi ciężko na to zapracować - rzekł Tom. - Nie każdy jest taki jak pan i pani Goodhart.

- Może to starość wpłynęła, że jesteśmy tacy - powiedział pan Goodhart powoli. - Pod niektórymi względami. Czy sądzi pan, kapitanie, że mogę się jeszcze napić?

- O ile nie zamierza pan jeszcze dzisiaj pływać - odparł Tom wstając i biorąc szklankę pana Goodharta.

Pan Goodhart zachichotał.

- To był idiotyzm w taki dzień jak dzisiaj.

- Tak, to nie było mądre. - Tom zdziwił się słysząc tak mocne określenie z ust pana Goodharta. Zszedł na dół i przygotował jeszcze dwa napoje. Gdy wrócił na pokład, pan Goodhart leżał wyciągnięty na leżaku, ze skrzyżowanymi długimi nogami i głową odchyloną w tył i patrzył na gwiazdy. Wziął szklankę z ręki Toma, nie zmieniając pozycji.

- Kapitanie - rzekł - postanowiłem sobie dogodzić. I swojej żonie.

Zawrę już teraz z panem wiążącą umowę. W przyszłym roku, poczynając od pierwszego czerwca, wynajmujemy „Klotyldę” na sześć tygodni i może popłyniemy na południe zobaczyć te wszystkie miejscowości, których piękne nazwy pan wyrecytował. Jeszcze dziś wypłacę panu zaliczkę. A gdy pan powie, że nie ma pływania, nikt nie będzie pływał. Jak to panu odpowiada?

- Mnie bardzo, ale... - Tom zawahał się.

- Ale co?

- „Klotylda” jest dla pana w sam raz, gdy używa jej pan za dnia tak jak teraz, żeby pływać na wyspy... ale sześć tygodni mieszkać w kajucie... nie wiem. Niektórym to odpowiada, ale dla innych, przyzwyczajonych do luksusu...

- Chce pan powiedzieć, że dla takich zepsutych ramoli jak żona i ja - wtrącił Goodhart - nie jest dość dobra, tak?

- No cóż - powiedział Tom z zażenowaniem - nie chciałbym, żeby państwo później żalowali. „Klotylda” mocno huśta w sztormowej pogodzie i jest dosyć duszno na dole, kiedy płyniemy, bo musimy zamykać wszystkie iluminatory, a poza tym nie ma tu przyzwoitej łazienki tylko prysznic i...

- To nam dobrze robi. Za łatwe mieliśmy życie. Och, to śmieszne, kapitanie. - Pan Goodhart siadł prosto. - Pan mnie zawstydzą. Bo sądzi pan, że pływanie po Morzu Śródziemnym takim ładnym jachtem to dla mnie i dla mojej żony narażanie się na wielkie niewygody.

Boże, ciarki mi chodzą po plecach, kiedy pomyślę, jakie zdanie muszą mieć o nas ludzie.

- Ludzie przyzwyczajają się do życia na różne sposoby - rzekł Tom.

- Pan nie miał łatwego, co? - spytał pan Goodhart.

- Nie gorsze niż wielu innych.

- Nie wydaje się, aby pan na tym stracił - powiedział pan Goodhart. - Prawdę mówiąc, byłbym bardziej zadowolony z mego syna, niż jestem, gdyby stał się taki jak pan. Znacznie bardziej zadowolony.

- Nie jestem taki pewny - rzekł Tom bezstronnie. Gdybyś wiedział o Port Philip, pomyślał, o spaleniu krzyża w Dzień Zwycięstwa w Europie, o tym, że uderzyłem ojca i brałem pieniądze za pieprzenie mężatek w Elysium, w stanie Ohio, gdybyś wiedział, że szantażowałem Sinclaira w Bostonie i celowo przegrywałem walki, gdybyś wiedział o Quaylesie i żonie Quaylesa w Las Vegas, i o Pappym, i o Teresie, i o Falconettim, może nie siedziałbyś tutaj tak przyjaźnie do mnie nastawiony, ze szklanką w dłoni, i nie

pragnąłbyś, żeby twój syn był podobny do mnie. - Mam na koncie wiele spraw, z których wcale nie jestem tak cholernie dumny - powiedział.

- Jak wszyscy z nas, kapitanie - rzekł Goodhart spokojnie. - A skoro jesteśmy przy temacie... niech mi pan wybaczy dzisiejsze popołudnie. Byłem pijany i przez dwa tygodnie patrzyłem, jak troje wspaniałych, młodych ludzi pracuje sobie razem poruszając się z wdziękiem jak zwierzęta, i poczułem się stary, a że nie chciałem czuć się stary, zapragnąłem udowodnić, że wcale nie jestem taki stary, i naraziłem na niebezpieczeństwo nas wszystkich. Świadomie, kapitanie, świadomie. Bo byłem pewien, że pan nie pozwoli płynąć nam samym.

- Lepiej nie mówmy o tym, proszę pana. Tak czy owak, nic złego się nie stało.

- Starość jest aberracją, Tom - powiedział pan Goodhart z goryczą.

- Straszliwym zwyrodnieniem. - Wstał i postawił ostrożnie szklanę. - Lepiej wróć już do hotelu zobaczyć, jak się czuje żona - rzekł. Wyciągnął rękę i uścisnęli sobie z Tomem dłonie. - Do przyszłego czerwca - powiedział i zszedł po trapie niosąc dwa kosze hotelowe.

Kiedy Kate i Dwyer wrócili ze świeżo upraną bielizną pościelową, Tom powiedział im tylko, że pan Goodhart już był i że mają pierwszy czarter sześciotygodniowy na przyszły rok.

Dwyer otrzymał list od swojej dziewczyny. Jeździła do hotelu „Egejskiego”, ale nie ma żadnych wiadomości dla Toma, pisała, bo Pappy nie żyje. Znalaziono go zadźganego nożem, z kneblem w ustach, w jego własnym pokoju, jak jej powiedział nowy pracownik w recepcji. Trzy miesiące temu.

Tom wysłuchał tych wieści bez zdziwienia. Prowadząc tego rodzaju interesy, Pappy musiał w ten sposób skończyć.

W liście było coś jeszcze, co najwyraźniej gnębiło Dwyera, ale choć nie mówił, co to było, Tom się domyślał. Dziewczyna Dwyera nie chciała dłużej czekać i nie chciała też opuszczać Bostonu, toteż jeśli Dwyer zamierzał się z nią żenić, musiał wracać do Ameryki. Nie pytał jeszcze Toma o radę, ale gdyby to uczynił, Tom powiedziałby mu, że

żadna damulka nie jest tego warta.

Wcześniej poszli spać, ponieważ musieli wyruszyć do St. Tropez o czwartej rano, zanim zerwie się wiatr.

Kate przygotowała dla siebie i Toma wielkie łóżce w kajucie kapitańskiej, ponieważ nie mieli klientów na pokładzie. Była to pierwsza okazja, by mogli się kochać wygodnie, i Kate nie zamierzała jej zaprzepaścić. W swojej kajucie na dziobie mieli dwie wąskie koje jedna nad drugą.

Krępe, mocne i o pełnych piersiach ciało Kate nie było stworzone do obnoszenia sukien, dziewczyna miała jednak cudownie miękką skórę i zachowywała się w łóżku z łagodną zachłannością, toteż gdy Tom leżał później trzymając ją w ramionach w tym wielkim łóżku, cieszył się, że nie jest stary, że jego dziewczyna nie jest w Bostonie i że dał się namówić Śwince, by wziąć kobietę na jacht.

Przed zaśnięciem Kate powiedziała:

- Dziś wieczorem Dwyer mówił mi, że gdy kupiłeś jacht, zmieniłeś jego nazwę. Kim była Klotyllda?

- To była królowa francuska - odparł Tom. Przyciągnął ją bliżej do siebie. - Była kimś, kogo znałem w dzieciństwie. I pachniała jak ty.

Rejs do Hiszpanii okazał się niezły, choć natrafili na nie pogodę opodal przylądka Cruz i musieli spędzić pięć dni w porcie. Owe francuskie pary składały się z dwóch brzuchatych paryskich przedsiębiorców i dwóch młodych kobiet, które zdecydowanie nie były ich żonami. W kajutach na rufie wyprawiali różne dziwne rzeczy, ale Tom nie przyjechał na Morze Śródziemne, żeby uczyć francuskich przedsiębiorców, jak się mają zachowywać. Póki płacili rachunki i wstrzymywali swoje panie od chodzenia w szpilkach i robienia dziur w pokładzie, nie miał zamiaru przeszkadzać im w zabawie. Panie zwykły również leżeć na pokładzie bez góry od bikini. Kate patrzyła na to krzywym okiem, ale jedna z dam miała naprawdę sensacyjne cycki i choć to nie przeszkadzało bardzo w nawigacji, gdyby na kursie były jakieś rafy, kiedy przy sterze stał Dwyer, najprawdopodobniej jacht by się rozbił. Owa dama dała Tomowi do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko temu, aby się wykraść na pokład w środku nocy i spróbować z

nim, kiedy jej Jules będzie chrapał na dole. Tom jednak odparł, że to nie było przewidziane w umowie. Dość miał komplikacji z klientami i bez tego.

Z powodu zwłoki wywołanej sztormem Francuzi wysiedli w Marsylii, żeby złapać pociąg do Paryża. Dwaj przedsiębiorcy musieli się spotkać tam z żonami, by na resztę lata pojechać do Deauville.

Płacąc Tomowi w doku naprzeciw mairie we Vieux Port, dwaj Francuzi dali mu pięćdziesiąt tysięcy napiwku, co nie było źle, zważywszy, że byli Francuzami. Kiedy odeszli, Tom zabrał Kate i Dwyera do tej samej restauracji, w której kiedyś jadł z Dwyerem, gdy pierwszy raz przyплыли do Marsylii na „Eldze Andersen”. Żalowali, że akurat nie ma „Elgi Andersen” w porcie. Cóż to byłaby za satysfakcja przepłynąć pod jej zardzewiałym dziobem lśniąca biało-niebieską „Klotyldą” i zasałutować flagą staremu kapitanowi naziście.

Mieli trzy dni czasu do zabrania następnych klientów w Antibes i Kate znowu posłała wielkie łóżko w kajucie kapitańskiej dla siebie i Toma. Cały wieczór trzymała iluminatory i drzwi szeroko otwarte, żeby wywietrzyć zapach perfum.

- Ta kokota... - powiedziała, kiedy leżeli w ciemnościach. - Paradowała po jachcie nago. Całe trzy tygodnie miała stercza.

Tom się zaśmiał. Czasami Kate wyrażała się jak marynarz.

- Nie podoba mi się twój śmiech - rzekła Kate. - Ostrzegam cię... jeżeli kiedykolwiek cię przyłapię, że podmacujesz taką, zejdziesz na ląd i pójdziesz do wyra z pierwszym lepszym mężczyzną.

- Istnieje jeden pewny sposób - odparł Tom - żebym cię nie zdradzał.

Wówczas Kate zastosowała ten sposób, aby jej nie zdradził.

Przynajmniej tej nocy. Kiedy leżała w jego ramionach, szepnęła:

- Kate, za każdym razem, kiedy jestem z tobą w łóżku, opada ze mnie jakaś część zła, które tkwiło we mnie. - W chwilę potem poczuł jej lzy na swoim ramieniu.

Nazajutrz spali sobie rozkosznie do późna, a kiedy wypłynęli z przystani w blask słońca, pozwolili sobie nawet na zwiedzanie.

Popłynęli zobaczyć Chateau d'If, pochodzili po twierdzy i obejrzeni loch, w którym jakoby siedział przykuty hrabia Monte Christo. Kate czytała o nim książkę, a Tom oglądał film. Kate przetłumaczyła napisy mówiące o tym, jak wielu protestantów więziono tam przed zesłaniem na galery.

- Zawsze ktoś siedzi na czyimś grzbiecie - rzekł Dwyer. - Jeśli nie protestanci na grzbietach katolików, to katolicy na grzbietach protestantów.

- Zamknij się, ty komunisto - powiedział Tom. - Czy jesteś protestantką? - spytał Kate.

- Tak.

- To będziesz uwięziona na mojej galerze.

Zanim wrócili na „Klotyldę” i wyruszyli na wschód, resztki zapachu perfum znikły z kajuty kapitańskiej.

Płynęli bez zatrzymywania się i Dwyer stał pełnych osiem godzin w nocy przy kole sterowym, żeby Kate i Tom mogli spać. Do Antibes przyплыnęli przed południem. Na Toma czekały dwa listy, jeden od brata, a drugi zaadresowany jakimś nieznanym charakterem pisma.

Otworzył najpierw list Rudolfa.

Drogi Tomie - czytał - otrzymałem wreszcie wiadomość o Tobie po tak długim czasie i wygląda na to, że nieźle sobie radzisz. Kilka dni temu miałem w biurze wizytę niejakiego pana Goodharta, który powiedział mi, że był na twojej łodzi czy jachcie. Okazuje się, że prowadziliśmy jakieś interesy z jego firmą i pewnie zaciekawilo go, jak Twój brat może wyglądać. Zaprosił Jean i mnie do siebie na drinka i oboje z żoną okazali się uroczymi staruszkami, o czym z pewnością wiesz. Wyrażali się z ogromnym entuzjazmem o Tobie, o Twoim jachcie i życiu, jakie wiesz. Być może zrobiłeś inwestycję stulecia lokując w ten sposób pieniądze zarobione na „De-Ce”. Gdybym nie był tak zajęty (wygląda na to, że dam się namówić, aby kandydować na burmistrza Whitby tej jesieni!), zaraz wsiałdłbym z Jean w samolot i przyjechał, aby pożeglować z Tobą po błękitnych wodach. Może mi się uda w przyszłym roku. Tymczasem pozwoliłem

sobie podsunąć pomysł wynajęcia „Klotyldy” (jak widzisz, Goodhartowie niczego nie ukrywali) mojemu przyjacielowi, który się żeni i chciałby spędzić miesiąc miodowy nad Morzem Śródziemnym. Może go pamiętasz... to Johnny Heath. Jeśli będzie cię zanudzał, wsadź go na tratwę i spław.

Ale poważnie, bardzo się cieszę, że tak się urządziłeś, i chciałbym, żebyś do mnie napisał, a jeśli mogę Ci w czymś pomóc, nie wahaj się o tym donieść. Twój kochający Rudolf.”

Tom skrzywił się czytając list. Nie spodobało mu się przypomnienie, że to dzięki Rudolfowi ma teraz „Klotyldę”. A mimo to list był tak przyjazny, pogoda taka piękna, a lato tak udane, że głupio byłoby psuć wszystko wspomnieniem dawnych uraz. Złożył list starannie i wsunął do kieszeni. Drugi list był od Rudolfowego przyjaciela, który zapytywał, czy mógłby wynająć „Klotyldę” od piętnastego do trzydziestego września. Był to koniec sezonu i nie mieli nic w planie, więc ten czarter to dla nich jakby znalezione pieniądze. Heath pisał, że chce pływać wzdłuż brzegu, pomiędzy Monte Carlo a St. Tropez, a przy dwojgu ludziach na pokładzie i tak niewielkich odległościach do pokonania zakończą sezon nie przepracowując się zbytnio.

Tom usiadł i odpisał Heathowi, że wyjedzie po niego na lotnisko w Nicei albo na stację w Antibes piętnastego września.

Powiedział Kate o tym nowym czarterze i że uzyskał go dzięki bratu, a ona kazała mu napisać do Rudolfa list z podziękowaniem.

Podpisał się i już chciał zakleić kopertę, gdy przypomniał sobie, że Rudolf ofiarował się zrobić wszystko, o co Tom go poprosi. No cóż, czemu nie, pomyślał. Nikomu to nie zaszkodzi. W PS dopisał:

„Jest pewna rzecz, którą mógłbyś dla mnie zrobić. Z rozmaitych przyczyn nie mogłem do tej pory przyjechać do Nowego Jorku, ale może te przyczyny już nie istnieją. Od lat nie miałem wiadomości o swoim chłopaku i nie wiem, gdzie on jest i czy jestem jeszcze żonaty, czy nie. Chciałbym przyjechać, zobaczyć się z nim i jeśli to możliwe, zabrać go tutaj na jakiś czas. Może pamiętasz, że owego wieczora, kiedy oboje z

Gretchen przyszlście do mnie po mojej walce w Queens, był tam mój manager, którego wam przedstawiłem jako Schultz'ego. W rzeczywistości nazywa się Herman Schultz. Ostatnio mieszkał w hotelu „Bristol” przy Ósmej Alei, ale może już się wyprowadził. Jeśli zapytasz kogoś w biurach Madison Square Garden, czy wiedzą, gdzie można złapać Schultz'ego, na pewno Ci powiedzą, o ile jeszcze żyje i jest w mieście. Prawdopodobnie wie coś o Teresie i chłopaku. Na razie nie mów mu, gdzie jestem. Ale zapytaj, czy dokoła mnie wciąż gorąco.

On zrozumie. Napisz mi, czy go znalazłeś i co powiedział. To będzie ogromna przysługa i będę Ci naprawdę wdzięczny.”

Wysłał oba listy pocztą lotniczą z Antibes, a potem wrócił na jacht, żeby poczynić przygotowania na przyjęcie Anglików.

ROZDZIAŁ IV

Nikt nie pamiętał Hermana Schultza w hotelu „Bristol”, ale w dziale reklamy w Madison Square Garden ktoś wreszcie wynalazł adres domu z pokojami umeblowanymi przy Pięćdziesiątej Trzeciej Zachodniej. Rudolf zdołał już poznać tę ulicę. Był tam trzykrotnie w ciągu ostatnich trzech tygodni sierpnia, za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Nowego Jorku. Tak, mówił zarządca domu z umeblowanymi pokojami, pan Schultz mieszka tam, ilekroć bywa w Nowym Jorku, ale teraz jest poza miastem. Nie wiedział, gdzie poza miastem. Rudolf zostawił mu swój telefon, ale Schultz nie zadzwonił. Rudolf musiał tłumić odruch niechęci, ilekroć naciskał guzik dzwonka. Był to murszejący budynek w ginącej dzielnicy, zamieszkałej, jak odnosiło się wrażenie, tylko przez dogorywających starców i młodych wykolejeńców.

Powłóczący nogami pochylony starzec z przekrzywioną peruką otworzył łuszczące się z farby drzwi koloru zaschłej krwi.

Wytrzeszczył z mroku korytarza krótkowzroczne oczy na Rudolfa, stojącego na ganku w upalnym, wrześnieowym słońcu. Nawet z daleka Rudolf czuł jego zapach - pleśń i uryna.

- Czy zastałem pana Schultzy'ego? - spytał Rudolf.

- Czwarte piętro od podwórza - odparł starzec. Odstąpił w bok, żeby Rudolf mógł przejść.

Wspinając się po schodach Rudolf zdał sobie sprawę, że to nie tylko starzec tak pachnie, ale cały dom. Z radia dolatywała hiszpańska muzyka, jakiś tłuścioch nagi do pasa siedział u szczytu drugiej kondygnacji z głową w dłoniach. Nie uniósł wzroku, gdy Rudolf przeciskał się koło niego.

Na czwartym piętrze drzwi do pokoju od podwórza były otwarte. Tu, pod samym dachem, było bardzo duszno. Rudolf poznał człowieka, którego mu przedstawiono w Queens jako Schultzy'ego. Schultzy siedział na skraju nie pościelonego łóżka z szarawymi prześcieradłami i patrzył w przeciwległą ścianę o niecały metr przed sobą.

Rudolf zapukał w ramę drzwi. Schultzy powoli, z wysiłkiem zwrócił ku niemu twarz.

- Czego pan chce? - zapytał. Głos brzmiał skrzekliwie, wrogo.

Rudolf wszedł do środka.

- Jestem bratem Toma Jordacha. - Wyciągnął rękę.

Schultz schował prawą dłoń za siebie. Miał na sobie podkoszulek z plamami od potu, pod którym nadal rysował się brzuch, jak piłka do koszykówki. Poruszał ustami niespokojnie, jakby miał źle dopasowane, sztuczne szczęki. Był jakiś klajstrowaty i zupełnie łysy.

- Nie podaję ręki - rzekł. - To z powodu artretyzmu. - Nie prosił, aby Rudolf usiadł. Zresztą i tak nie było na czym, chyba że na łóżku.

- Skurwysyn - powiedział Schultz. - Nie chcę słyszeć jego imienia.

Rudolf wyjął z portfela dwa banknoty dwudziestodolarowe.

- Prosił, żebym to panu dał.

- Niech pan położy na łóżku. - Wyraz twarzy Schultza, chytry i wściekły, nie zmienił się. - Jest mi winien sto pięćdziesiąt.

- Każę mu przysłać resztę jutro - rzekł Rudolf.

- Najwyższy czas. Czego tym razem chce? Znowu się komuś naraził?

- Nie - odparł Rudolf - nie jest w tarapatach.

- Ogromnie żałuję - powiedział Schultz.

- Prosił mnie, żebym zapytał, czy wokół niego wciąż gorąco. - Słowa te zabrzmiały dziwnie w jego ustach.

Twarz Schultza zrobiła się chytra, tajemnicza, spojrział z ukosa na Rudolfa.

- Na pewno odda mi resztę pieniędzy jutro?

- Z całą pewnością - uspokoił go Rudolf.

- Nie - powiedział Schultz. - Już nie jest gorąco. I nie będzie.

Ten łachudra Quayles nie miał już nigdy dobrego występu, odkąd pana zasrany braciszek sprawił mu lanie. Jedyna szansa, jaką miałem w życiu, żeby zrobić prawdziwe pieniądze. Nie dlatego, żeby mi dawali dużą część, italce. A to przecież ja odkryłem Quaylesa i przywiozłem z sobą. Nie, już nie jest gorąco. Wszyscy są na tamtym świecie albo w pudle. Nikt nie pamięta imienia pana cholernego braciszka. Może sobie iść Piątą

Aleją choćby na czele pochodu w Dzień Kolumba i nikt nie kiwnie palcem. Niech mu pan to powie.

Niech mu pan powie, że taka wiadomość jest warta więcej niż sto pięćdziesiąt.

- Powiem, panie Schultz - obiecał Rudolf usiłując mówić, jakby wiedział, co stary ma na myśli. - I jest jeszcze jedna sprawa...

- Dużo chciałby wiedzieć za swoje pieniądze, no nie?

- Chciałby się czegoś dowiedzieć o swojej żonie.

Schultz zachichotał.

- O tej kurwie - rzekł akcentując obie sylaby. - Było jej zdjęcie w gazetach. W „Daily News”. Dwa razy. Zatrzymali ją za zaczepianie mężczyzn w barach. Podała, że się nazywa Teresa Laval. Francuzka.

Ale poznałem sukę, Francuzka! Wszystkie baby to kurwy, wszystkie, bez wyjątku. Panie, ja mógłbym panu opowiedzieć...

- Wie pan, gdzie ona mieszka? - Rudolfa nie zachwyciła perspektywa spędzenia popołudnia w upalnym, cuchnącym pokoju na wysłuchiwanie opinii Schultza o kobietach.

- I gdzie jest chłopak?

Schultz pokręcił głową.

- Kto by się tym zajmował! Nie wiem nawet, gdzie sam mieszkam.

Teresa Laval. Francuzka. - Znowu zachichotał. - Ładna mi Francuzka.

- Dziękuję panu bardzo, panie Schultz - powiedział Rudolf. - Przepraszam za kłopot.

- Żaden kłopot. Miło było porozmawiać. Na pewno przyśle jutro tę forszę?

- Gwarantowane.

- Ma pan przyzwoite ubranie - rzekł Schultz. - Ale to żadna gwarancja.

Rudolf zostawił go siedzącego na łożku, z kiwającą się w upale głową. Szybko zszedł po schodach. Nawet widok Pięćdziesiątej Trzeciej Zachodniej sprawił mu przyjemność, kiedy wyostał się z tego domu z umeblowanymi pokojami.

Miał w kieszeni telegram Rudolfa, kiedy wysiadł z samolotu na lotnisku

Kennedy'ego i wraz z setkami innych pasażerów załatwiał formalności wymagane przez władze imigracyjne i ochrony zdrowia.

Kiedy ostatnio był na tym lotnisku, nazywało się jeszcze Idlewild.

Kula w głowę to zbyt wygórowana cena, aby mieć lotnisko nazwane swoim imieniem.

Wielki Irlandczyk ze znaczkiem Urzędu Imigracyjnego spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby myśl wpuszczenia Toma do kraju niezbyt mu się podobała. Przewracał karty wielkiej, czarnej księgi pełnej nazwisk, szukając w niej Jordacha, i zdawał się zawiedziony, że nie znalazł.

Tom udał się do odprawy celnej i czekał na swoją walizkę.

Wyglądało, jakby cała ludność Ameryki wracała z wakacji w Europie.

Skąd oni mają tyle pieniędzy?

Spojrzał w górę na oszklony balkon, gdzie ludzie tłoczyli się w kilku rzędach, wymachując rękami do krewnych na dole, którym wyszli na spotkanie. Telegrafował do Rudolfa podając mu numer lotu i godzinę przyjazdu, ale nie dostrzegł go w tłumie za szklaną szybą. Zirykowało go to na chwilę. Nie chciał włączyć się po Nowym Jorku szukając swojego braciszka.

Telegram czekał już od tygodnia, gdy Tom wrócił do Antibes po odejście Heatha i jego żony. „Drogi Tomie - donosił mu brat - wszystko w porządku stop wkrótce będę miał adres chłopca stop ucałowania Rudolf”.

Wreszcie dojrzał swoją walizkę, więc chwycił ją i stanął w kolejce do odprawy. Jakiś idiota z Syracuse pocił się i opowiadał celnikowi długą historię o tym, gdzie zdobył dwie haftowane spódnice tyrolskie i dla kogo były przeznaczone. Gdy przyszła kolej na Toma, celnik kazał mu otworzyć walizkę i przejrzał jej zawartość. Tom nie miał prezentów dla nikogo w Ameryce i celnik przepuścił go bez trudu.

Zrezygnował z usług bagażowego, który chciał wziąć jego walizkę i poniósł ją sam do wyjścia. Stojący z odkrytą głową wśród tłumu i bardziej spokojny od innych, w obcisłych spodniach i lekkiej marynarce, Rudolf pomachał do niego ręką. Uścisnęli sobie dłonie i Rudolf chciał wziąć walizkę Toma, ale Tom nie pozwolił.

- Miałeś dobrą podróż? - spytał Rudolf, kiedy wychodzili z budynku.

- Tak.

- Zaparkowałem tu w pobliżu samochód - rzekł Rudolf. - Poczekaj.

Zaraz tu podjadę.

Gdy Rudolf szedł po samochód, Tom zauważył, że brat wciąż chodzi, jakby sunął po ziemi, nie poruszając ramionami.

Rozpiął kołnierzyk i rozluźnił krawat. Choć to początek października, było bardzo gorąco - wilgotny, mglisty upał zalatujący spalinami. Tom zdążył już zapomnieć o klimacie nowojorskim. Jak tu w ogóle można żyć?

W pięć minut później Rudolf zajechał błękitnym Buickiem. Tom rzucił walizkę na tylne siedzenie i wsiadł. Samochód miał klimatyzację, co sprawiało ulgę. Rudolf ledwie, ledwie trzymał się dozwolonej prędkości i Tom przypomniał sobie, jak ich zatrzymała policja stanowa, kiedy jechali z butelką whisky i rewolwerem Smith and Wesson w samochodzie do umierającej matki. Czasy się zmieniły.

Na lepsze.

- No więc? - zagadnął Tom.

- Znalazłem Schultza - rzekł Rudolf. - Wtedy jak posłałem ci telegram. Powiedział, że wokół ciebie już nie jest gorąco. Wszyscy są na tamtym świecie albo w więzieniu, powiedział. Nie pytałem, co to znaczy.

- A co z Teresą i chłopakiem?

Rudolf ze zmarszczonymi brwiami, zajął się dźwigienkami klimatyzacji.

- Trochę trudno mi zacząć.

- Wal śmiało. Nie jestem dzieciakiem.

- Schultz nie wie, gdzie oni są. Ale powiedział, że widział zdjęcie twojej żony w prasie. Dwa razy.

- Z jakiej okazji? - Tom przez chwilę był skonsternowany. Może tej zwariowanej babie udało się wreszcie zabłysnąć na scenie w kabarecie.

- Zatrzymano ją za zaczepianie mężczyzn w barze. Dwa razy - powiedział Rudolf.

- Cholernie mi przykro, że właśnie ode mnie musiałeś się tego dowiedzieć, Tom.

- Zapomnij o tym - odparł Tom szorstko. - To było do przewidzenia.

- Schultz mówił, że podała inne nazwisko, ale on ją poznał - rzekł Rudolf. - Sprawdziłem. To ona. Policja dała mi jej adres.

- Jeżeli stać mnie na zapłacenie ceny, jakiej żąda - powiedział Tom - to może pójde ją wypieprzyć. Może już się nauczyła, jak się to robi. - Ujrzał zbolaty wyraz twarzy Rudolfa, ale nie przyjechał tu zza oceanu, żeby być grzeczny. - A co z chłopakiem?

- Jest w jakiejś szkole wojskowej koło Poughkeepsie - odparł Rudolf. - Dowiedziałem się dopiero przedwczoraj.

- W szkole wojskowej - mówił Tom. - Chryste. A na manewrach oficerowie pieprzą jego matkę?

Rudolf siedział za kierownicą bez słowa, pozwalając Tomowi wylać całą gorycz.

- Tego właśnie najbardziej pragnąłem - ciągnął Tom - żeby mój syn był żołnierzem. Jak uzyskałeś te wszystkie wspaniałe wieści?

- Przez prywatnego detektywa.

- Czy on rozmawiał z tą kurwą?

- Nie.

- Więc nikt nie wie, że tu jestem?

- Nikt - odrzekł Rudolf. - Oprócz mnie. Zrobiłem jeszcze coś. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe.

- Co?

- Rozmawiałem z jednym prawnikiem, moim przyjacielem. Nie wymieniając żadnych nazwisk. Możesz bez kłopotu dostać rozwód i opiekę nad dzieckiem. Z powodu tych dwóch wyroków.

- Mam nadzieję, że zamknęli ją, a klucz wyrzucili.

- Za każdym razem tylko na jedną noc. Plus grzywna.

- Mają w tym mieście trochę dobrych adwokatów, co? - Przypomniał sobie, jak siedział w więzieniu w Elysium. Po dwóch w każdej rodzinie.

- Słuchaj - rzekł Rudolf. - Ja muszę wracać do Whitby dziś wieczorem. Możesz jechać ze mną, jeżeli chcesz. Albo zostać w moim nowojorskim mieszkaniu. Jest puste.

Codziennie rano przychodzi służąca, żeby posprzątać.

- Dziękuję ci. Skorzystam z tego mieszkania. Jutro z samego rana chcę się zobaczyć z tym prawnikiem, z którym rozmawiałeś. Możesz mi to załatwić?

- Mogę.

- Masz jej adres, nazwę szkoły i tak dalej?

Rudolf skinął głową.

- Więcej mi nie trzeba - rzekł Tom.

- Jak długo zamierzasz zostać w Nowym Jorku?

- Tyle, żeby upewnić się co do rozwodu i pojechać po chłopaka.

Chcę go zabrać z sobą do Antibes.

Przez chwilę Rudolf się nie odzywał i Tom patrzył przez okno po prawej stronie na łodzie zakotwiczone w zatoce Flushing. Był rad, że „Klotylda” stoi w przystani Antibes, a nie w zatoce! Flushing.

- Johnny Heath pisał, że mu się cudownie pływało - powiedział Rudolf. - Jego żona była zachwycona.

- Nie wiem, kiedy znalazła czas, żeby się czymkolwiek zachwycać - odparł Tom. - Co pięć minut schodziła na dół; żeby się przebrać.

Miała z sobą ze trzydzieści waliz. Szczęście, że byli tylko we dwoje. Zapełniliśmy dwie puste kajuty jej bagażem.

Rudolf się uśmiechnął.

- Jest z bardzo bogatej rodziny.

- To z niej wychodzi wszystkimi porami. Ale on wygląda na przyzwoitego faceta. Twój przyjaciel. Nie przeszkadzała mu sztormowa pogoda i do końca rejsu zadał tyle pytań, że mógłby sam pływać na „Klotyldzie” choćby do Tunisu. Mówił, że poprosi ciebie i twoją żonę, żebyście za rok przyjechali z nim popływać.

- Jeżeli będę miał czas - rzekł Rudolf szybko.

- A co z twoim kandydowaniem na burmistrza tego jednokonnego miasteczka? - spytał Tom.

- To już wcale nie jest jednokonne miasteczko - odparł Rudolf. - Nie sądzisz, że to

dobra myśl?

- Nie wytarłbym butów o najlepszego polityka w tym kraju - rzekł Tom.

- Może dzięki mnie zmienisz zdanie - odparł Rudolf.

- Mieli jednego przyzwoitego człowieka - powiedział Tom - więc oczywiście musieli go zastrzelić.

- Nie mogą zastrzelić wszystkich przyzwoitych.

- Ale mogą spróbować - odrzekł Tom. Pochylił się i włączył radio.

Wnętrze samochodu wypełnił ryk tłumu, a potem głos sprawozdawcy: „czyste wybiecie na środek pola, biegnący mija drugą bazę, będzie gorąco, gorąco... rzuca się do ucieczki. Uciek! Uciek!” Tom wyłączył radio.

- Mistrzostwa świata - powiedział Rudolf.

- Wiem. Dostaję paryską „Herald Tribune”.

- Tom - zagadnął Rudolf - czy nigdy nie tęsknisz za Ameryką?

- A co Ameryka dla mnie zrobiła? - odparł Tom. Nie martwiłbym się, gdybym po tym pobycie miał jej nigdy nie zobaczyć.

- Nie lubię, gdy tak mówisz.

- Jeden patriota w rodzinie wystarczy - powiedział Tom.

- A co będzie z twoim synem?

- A co ma być?

- Jak długo myślisz go trzymać w Europie?

- Do końca życia - odparł Tom. - Chyba że ty zostaniesz prezydentem, zrobisz porządek w tym kraju i pozamykasz do mamra wszystkich kanciarzy, generałów, policjantów, kongresmanów i drogich adwokatów. Wtedy przyślę go tu w odwiedziny, jeśli cię przedtem nie zastrzelą.

- A co z jego wykształceniem? - upierał się Rudolf.

- W Antibes też są szkoły. Lepsza niż ta idiotyczna akademia wojskowa.

- Ale on jest Amerykaninem.

- Dlaczego? - spytał Tom.

- No, nie jest Francuzem.

- Francuzem też nie - rzekł Tom. - Po prostu Wesleyem Jordachem.

- Nie będzie wiedział, gdzie jest jego miejsce.

- A gdzie jest moje miejsce? Tutaj? - Tom roześmiał się. - Miejsce mojego syna będzie na jachcie na Morzu Śródziemnym, jachcie, który pływa od jednego kraju produkującego wino i oliwę do drugiego.

Wówczas Rudolf dał spokój. Resztę drogi do domu przy Park Avenue, gdzie Rudolf wynajmował mieszkanie, przejechali w milczeniu. Kiedy powiedział, że przyjechał tylko na kilka minut, portier zaparkował jego samochód nie przy krawężniku, ale obok innego, który już tam stał. Obrzucił przy tym zdziwionym spojrzeniem Toma, jego rozpięty kołnierzyk, rozluźniony krawat, granatowe ubranie z szerokimi spodniami i zielony filcowy kapelusz z brązową wstążką, który Tom kupił w Genui.

- Twój portier nie pochwała mojego ubioru - rzekł Tom, kiedy jechali windą. - Powiedz mu, że kupuję ubrania w Marsylii, a wszyscy wiedzą, że Marsylia jest największym ośrodkiem męskiej haute couture w Europie.

- Nie przejmuj się portierem - odrzekł Rudolf wprowadzając Toma do mieszkania.

- Masz tu wcale niezłe mieszkanie - powiedział Tom, stojąc pośrodku dużego salonu z kominkiem i długą kanapą koloru słomkowego, z dwoma takimi samymi fotelami klubowymi po obu stronach. W wazonach na stolikach stały świeże kwiaty, podłoga była wyłożona jasnobieżowym dywanem, a na ciemnozielonych ścianach wisiały jasne obrazy reprezentujące malarstwo abstrakcyjne. Okna wychodziły na zachód i popołudniowe słońce sączyło się zza firanek do pokoju. Klimatyzacja pracowała szumiąc cicho i w pokoju panował miły chłodek.

- Nie przyjeżdżamy tu tak często, jak byśmy chcieli - rzekł Rudolf. - Jean jest znów w ciąży i przechodzi teraz trudne miesiące: - Otworzył kredens. - Tu jest bar - powiedział.

- Łód w lodówce. Gdybyś chciał jadać tutaj, powiedz służącej, jak przyjdzie jutro rano. Jest niezłą kucharką. - Zaprowadził Toma do gościnnego pokoju, który Jean urządziła dokładnie tak samo jak pokój gościnny w ich dworku w Whitby, po wiejsku i skromnie.

Rudolf nie mógł nie spostrzec, jak bardzo jego brat nie pasuje do tego schludnego, kobiecego pokoju z dwoma łóżkami z baldachimem i pstrokatymi kołdrami.

Tom cisnął swoją wyświechtaną walizę, marynarkę i kapelusz na jedno z łóżek - Rudolf postarał się ukryć niezadowolenie. Johnny Heath pisał, że Tom był na swoim jachcie pedantem na punkcie czystości. Najwyraźniej na łodzi wyzywał się swoich morskich zwyczajów.

Wróciwszy do salonu Rudolf nalał whisky z wodą sodową dla Toma i siebie, a kiedy pili, wyjął papiery, które otrzymał w komisariacie policji, oraz raport prywatnego detektywa i dał Tomowi. Zadzwoił do adwokata i umówił Toma na jutro na dziesiątą.

- No dobra - rzekł, kiedy wypili - potrzebujesz czegoś jeszcze?

Chcesz, żebym pojechał z tobą do tej szkoły?

- Sam załatwię sprawę szkoły - odparł Tom. - Nie przejmuj się.

- Jak stoisz z pieniędzmi?

- Leżę na forsie - powiedział Tom. - Dziękuję.

- Jakbyś czegoś potrzebował - rzekł Rudolf - zadzwoń do mnie.

- Tak jest, panie burmistrzu.

Uścisnęli sobie dłonie i Rudolf zostawił brata stojącego przy stoliku, na którym leżały raporty z komisariatu policji i od detektywa. Gdy Rudolf zamykał za sobą drzwi, Tom już trzymał owe papiery w ręku.

„Teresa Jordach, czytał Tom w aktach policji, alias Teresa Laval.”

Tomasz uśmiechnął się. Czuł pokusę, żeby zadzwonić do niej i zaprosić do siebie. Zmieniłby głos: „Mieszkanie 14B, panno Laval.

To jest przy Park Avenue, pomiędzy Pięćdziesiątą Siódmą a Pięćdziesiątą Ósmą Ulicą”. Nawet najbardziej podejrzliwej kurwie nie przyszłoby na myśl, że będzie miała jakiegokolwiek kłopoty pod takim adresem. Bardzo by chciał widzieć jej minę, kiedy zadzwoni do jego drzwi. Już był prawie przy telefonie, żeby wykręcić jej aktualny numer, który wywęszył detektyw, ale powstrzymał się. Na pewno nie obesłoby się bez sprawienia jej lania, na jakie zasłużyła, a on nie po to przyjechał do Ameryki.

Ogolił się, wziął prysznic używając pachnącego mydła, które znalazł w łazience, nalał sobie jeszcze jednego drinka, włożył czystą koszulę i granatowe ubranie z Marsylii,

a potem zjechał windą na dół i w zapadającym zmierzchu skierował się ku Piątej Alei. W którejś z bocznych ulic dostrzegł restaurację, więc wszedł i zamówił befsztyk, pół butelki wina i szarlotkę a la mode, aby uczcić przyjazd do rodzinnego kraju. Później przeszedł się po Broadwayu. Broadway był okropniejszy niż kiedykolwiek, z wrzawą dolatującą ze sklepów muzycznych oraz większymi i brzydszymi, niż pamiętał, neonami i tłumami pchających się ludzi o chorowitym wyglądem, ale jemu to nie przeszkadzało. Mógł iść, gdzie chciał, do jakiegokolwiek baru, na jaki bądź film.

Wszyscy są na tamtym świecie albo w więzieniu. Muzyka.

Hilltop Military Academy mieściła się, zgodnie z nazwą, na wierzchołku wzgórza. Otaczał ją, jak więzienie, wysoki szary mur kamienny i gdy Tom wjechał wynajętym samochodem w bramę, ujrzał chłopców w szaroniebieskich mundurach ćwiczących musztrę na zakurzonym placu. Ochłodziło się troszeczkę i niektóre drzewa na terenie szkoły zaczęły już zmieniać kolory. Droga wiodła obok placu ćwiczeń. Tom zatrzymał samochód i patrzył. W różnych częściach placu cztery oddzielne grupy ćwiczyły zwroty i krok marszowy. Najbliższa grupa składała się z około trzydziestu chłopców od dwunastu do czternastu lat, mniej więcej w wieku Wesleya. Kiedy go mijali, wypatrywał pilnie syna, ale jeśli nawet Wesley był wśród nich, Tom go nie poznał.

Włączył silnik i zjechał przed kamienną budowlę, która wyglądała jak niewielki zamek. Otaczające ją tereny były dobrze utrzymane, z kwietnikami i strzyżonymi trawnikami, a pozostałe budynki duże i solidne, z tego samego kamienia co zameczek.

Teresa musi dostawać niezłe pieniądze za swoje usługi, myślał Tom, skoro może sobie pozwolić na taką szkołę dla syna.

Wysiadł z samochodu i wszedł do budynku. Granitowy hall był ciemny i chłodny. Na ścianach wisiały sztandary, szable, skrzyżowane karabiny i wykute w marmurze listy absolwentów, którzy polegli w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, ekspedycji meksykańskiej, pierwszej wojnie światowej, drugiej wojnie światowej i wojnie koreańskiej. Wyglądał jak główna siedziba towarzystwa z wystawą reklamującą jego produkt. Jakiś chłopiec o krótko ostrzyżonych włosach i mnóstwie różnokolorowych szewronów na

rękawie schodził ze schodów i Tom go zapytał:

- Gdzie tu jest główna kancelaria, synu?

Chłopiec stanął na baczność, jakby Tom był generałem MacArthurem, i rzekł:

- Proszę tędy, proszę pana.

W Hilltop Military Academy wyraźnie uczono szacunku dla starszych.

Może dlatego Teresa przysłała tu chłopca. Ona zasłużyła sobie na największy szacunek, jakim tylko można kogoś obdarzyć.

Chłopiec otworzył drzwi wielkiego pokoju. Za barierką siedziały przy biurkach dwie kobiety.

- To tu, proszę pana - rzekł chłopiec trzaskając obcasami, nim wrócił z powrotem do sieni. Tom podszedł do bliższego biurka.

Kobieta podniosła wzrok znad papierów, na których stawiała znaczki, i spytała: - czym mogę panu służyć? - Nie była w mundurze i nie trzasnęła obcasami.

- Mam syna w tej szkole - powiedział Tom. - Nazywam się Jordach.

Czy mógłbym porozmawiać z dyrektorem?

Kobieta obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, jakby nazwisko Toma oznaczało dla niej coś nieszczególnie miłego. Wstała.

- Powiem pułkownikowi Bainbridge, że pan tu jest. Proszę, niech pan usiądzie. - Wskazała ławę stojącą pod ścianą i poszła kołysząc się w biodrach w stronę drzwi po drugiej stronie pokoju. Była tęga mniej więcej pięćdziesięcioletnia, i miała przekrzywione pończochy. W Hilltop Military Academy młodzi żołnierze nie mieli zbyt wiele pokus seksualnych.

Po krótkiej chwili wróciła, otworzyła furtkę w barierce i powiedziała:

- Pułkownik Bainbridge prosi pana. Dziękuję, że pan zechciał czekać. - Zaprowadziła Toma w głąb pokoju i kiedy wszedł do gabinetu pułkownika Bainbridge'a, zamknęła za nim drzwi. Tutaj też były flagi a także fotografie generała Pattona, generała Eisenhowera i pułkownika Bainbridge'a, który wyglądał groźnie w mundurze polowym, hełmie, z pistoletem i lornetką na szyi. Zdjęcia pochodziły z czasów drugiej wojny światowej: Sam pułkownik Bainbridge w mundurze armii Stanów Zjednoczonych, stał za

biurkiem. Był chudszy niż na fotografii, prawie bez włosów, w okularach w srebrnej oprawie, bez broni i lornetki i wyglądał jak aktor w jakiejś wojennej sztuce.

- Witamy w Hilltop, panie Jordach - rzekł pułkownik. Nie stał na baczność, ale odnosiło się wrażenie, że stoi. - Proszę siadać. - On również miał dziwny wyraz twarzy, jak portier w domu Rudolfa.

Gdybym miał zostać w Ameryce na dłużej, myślał Tom siadając, musiałbym chyba zmienić krawca.

- Nie chcę panu zabierać wiele czasu, pułkowniku - powiedział Tom.

- Przyjechałem tylko zobaczyć swego syna, Wesleya.

- Tak, oczywiście, rozumiem - odparł Bainbridge. Trochę jakby się zająknął na tych słowach. - Zaraz zaczyna się rekreacja i poślemy po niego. - Odchrząknął na znak zakłopotania. - Miło nam, że ktoś z rodziny młodego człowieka wreszcie odwiedził naszą szkołę. Czy mam rację, że jest pan jego ojcem?

- Tak właśnie powiedziałem tej pani za drzwiami - rzekł Tom.

- Ufam, że mi pan wybaczy to pytanie, panie... panie Jordach - powiedział Bainbridge patrząc w roztargnieniu na generała Eisenhowera na ścianie - ale w podaniu o przyjęcie Wesleya do szkoły było wyraźnie stwierdzone, że jego ojciec nie żyje.

Kurwa, pomyślał Tom, nędzna, śmierdząca kurwa.

- A jednak żyję.

- Widzę to - rzekł Bainbridge ze zdenerwowaniem. - Widzę oczywiście. Pewnie nastąpiła jakaś pomyłka czy co, choć trudno zrozumieć, jak...

- Nie było mnie kilka lat w kraju - odparł Tom. - Nie jesteśmy z żoną w dobrych stosunkach.

- Mimo wszystko... - Bainbridge zamachał dłonią nad mosiężnym modelem armatki na biurku. - Oczywiście, nie należy się wtrącać w sprawy rodzinne... Nigdy nie miałem zaszczytu poznać pani Jordach.

Porozumiewaliśmy się wyłącznie listownie. Chodzi o tę samą panią Jordach, prawda? - zapytał zdezorientowany Bainbridge. - Z nowojorskiej firmy prowadzącej handel antykami?

- Być może zajmuje się jakimiś antykami - odparł Tom. - Ja nic o tym nie wiem. A teraz chciałbym zobaczyć się z synem.

- Za pięć minut kończy się musztra - powiedział Bainbridge. - Jestem pewien, że ucieszy się, jak pana zobaczy. Bardzo się ucieszy. Spotkanie z ojcem w tej szczególnej chwili może jest tym, czego potrzebuje najbardziej.

- Czemu? Co z nim jest?

- To trochę trudny chłopiec, panie Jordach, bardzo trudny. Mamy z nim problemy.

- Jakie problemy?

- Jest niezwykle... hm... wojowniczy. - Bainbridge wydawał się szczęśliwy, że znalazł odpowiednie słowo. - Ciągłe wdaje się w bójkę. Ze wszystkimi. Ktokolwiek by to był. W zeszłym okresie przy jakiejś okazji uderzył nawet jednego z instruktorów. Od przedmiotów ogólnych. Instruktor nie mógł wyklądać cały tydzień.

Chłopiec jest bardzo... nazwijmy to... biegły w używaniu pięści.

Oczywiście w tego rodzaju szkole dobrze jest, gdy chłopiec przejawia normalną dozę agresywności, ale Wesley... - Bainbridge westchnął. - Jego utarczki nie są zwykłymi szkolnymi bójkami.

Mieliśmy chłopców których trzeba było kurować w szpitalu, chłopców z wyższych klas... Mówiąc zupełnie otwarcie, jest w tym chłopcu coś w rodzaju dorosłej, tak, to jedyne możliwe określenie dorosłej złośliwości, którą my, nauczyciele, uważamy za bardzo niebezpieczną.

Krew Jordachów, myślał Tom z goryczą, pierdolona krew Jordachów.

- Obawiam się, że muszę panu powiedzieć, panie Jordach, że Wesley jest na ten okres reprobowany, pozbawiony wszelkich przywilejów.

- No cóż, pułkownik - rzekł Tom - mam dla pana dobre wieści.

Postaram się sam coś zrobić z Wesleyem i jego problemami.

- Miło mi o tym słyszeć, że pan zamierza wziąć sprawę w swoje ręce, proszę pana - powiedział Bainbridge. - Napisaliśmy niezliczoną ilość listów do pani Jordach, ale widocznie jest zbyt zajęta, by chociaż odpisać.

- Zamierzam zabrać chłopca ze szkoły dzisiaj po południu - rzekł Tom. - Więc

może się pan przestać martwić.

Oparta o mosiężną armatkę na biurku dłoń pułkownika drżała leciutko.

- Nie sugerowałem czegoś aż tak drastycznego, proszę pana - powiedział. Głos drżał mu lekko. Pola bitewne Normandii i dorzecze Renu miał już daleko za sobą i był po prostu starym człowiekiem przebrany za żołnierza.

- Nie, ja to sugeruję, pułkowniku.

Bainbridge podniósł się zza biurka.

- Obawiam się, że jest to wysoce... wysoce niezwykle - rzekł. - Będziemy musieli uzyskać na to pisemną zgodę matki. Ostatecznie wszystkie sprawy załatwiliśmy dotychczas z nią. Zapłaciła za cały rok nauki. Będziemy musieli zbadać autentyczność pokrewieństwa pana z chłopcem.

Tom sięgnął do kieszeni po portfel, wyjął z niego paszport i położył na biurku przed Bainbridge'em.

- Czy to jestem ja? - spytał.

Bainbridge otworzył zieloną książeczkę.

- Oczywiście - rzekł - nazywa się pan Jordach. Ale poza tym... Naprawdę proszę pana, muszę skomunikować się z matką chłopca...

- Nie chcę zabierać panu więcej czasu, pułkowniku - powiedział Tom. Jeszcze raz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej raport policyjny dotyczący Teresy Jordach, alias Teresy Laval. - Proszę to przeczytać - rzekł podając papier pułkownikowi.

Bainbridge przejrzał raport, potem zdjął okulary i przetarł ze znużeniem oczy.

- Boże drogi - rzekł. Oddał papier Tomowi, jakby się bał, że jeśli potrzyma raport jeszcze chwilę w ręce, zostanie on na stałe w aktach szkoły.

- Czy nadal pragnie pan zatrzymać chłopca? - spytał Tom brutalnie.

- Oczywiście to zmienia całą sprawę - odparł Bainbridge. - Radykalnie.

W pół godziny później wyjechali z bramy Hilltop Military Academy.

Kuferek Wesleya leżał na tylnym siedzeniu, a sam Wesley, wciąż w mundurze, siedział obok Toma. Duży jak na swój wiek, z wypryskami na ziemistej skórze, z

ponurych oczu, szerokich, zaciśniętych ust przypominał Aksela Jordacha, jakby był jego synem. Nie zachowywał się zbyt wylewnie, kiedy przyprawiono go do ojca, i nie okazał ani radości, ani smutku, gdy mu powiedziano, że opuszcza szkołę; nie spytał też, dokąd go Tom zabiera.

- Jutro - rzekł Tom, gdy szkoła zniknęła za nimi - dostaniesz przyzwoite ubranie. I odtąd nie będzie już żadnych bójk.

Chłopiec milczał.

- Słyszałeś?

- Tak, proszę pana.

- Nie mów do mnie: proszę pana. Jestem twoim ojcem - powiedział Tom.

ROZDZIAŁ V

Raz po raz podczas pracy Gretchen zapominała na kilka minut, że to jej czterdzieste urodziny. Siedziała na wysokim, metalowym stołku przed stołem montażowym, poruszając dźwignie i pilnie wpatrując się w szklany ekran. Puszczala jednocześnie taśmę obrazu i dźwięku - na rękach miała brudne białe rękawiczki bawełniane, poplamione emulsją. Ślady filmu. Stawiała szybkie znaczki miękkim czerwonym ołówkiem, podając taśmy asystentce do sklejenia i włączenia do rejestru. Z przyległych pokoi montażowych na tym samym piętrze domu przy Broadwayu, gdzie wynajmowały pokoje inne wytwórnie filmowe, dochodziły urywki głosów, piski, wybuchy, fragmenty nagrań orkiestrowych i przenikliwy trajkot cofanej z wielką szybkością taśmy dźwięku. Pochłonięta własną pracą ledwie zauważała te hałasy. Stanowiły one jakby część umeblowania pokoju montażowego, tak samo jak klekoczące maszyny, zniekształcone dźwięki, okrągłe pudełka blaszane na filmy złożone na półkach.

To był jej trzeci film na stanowisku głównego montażysty. Sam Corey dobrze ją wykształcił jako swoją asystentkę, a potem wychwalając ją przed reżyserami i producentami sprawił, że się usamodzielniała i objęła pierwszą niezależną posadę. Jako dobry i obdarzony wyobraźnią fachowiec, a przy tym bez ambicji, aby zostać reżyserem - co mogłoby wzbudzić zazdrość - cieszyła się dużym wzięciem i przebierała w proponowanych jej zajęciach.

Film, nad którym obecnie pracowała, właśnie kręcono w Nowym Jorku i bezosobowy charakter tego miasta działał na nią ożywczo po mętnie-jowialnej z natury, wielkorodzinnej atmosferze Hollywood, gdzie każdy siedzi u kogoś w kieszeni. W wolnych godzinach próbowała kontynuować działalność polityczną, która po śmierci Colina tak bardzo ją pochłaniała w Los Angeles. Chodziła ze swoją asystentką Idą Cohen na rozmaite zebrania, gdzie ludzie wygłaszali przemówienia na temat wojny w Wietnamie i problemów rasowych w szkolnictwie. Podpisywała dziesiątki petycji i próbowała skłonić co ważniejsze osobistości z filmu, żeby je również podpisywały.

Wszystko to pomagało jej złagodzić poczucie winy, że porzuciła studia w Kalifornii. Poza tym Billy był w wieku poborowym, a myśli, że jej jedyny syn może zostać

zabity w Wietnamie, była dla niej nie do zniesienia. Ida nie miała synów, ale przejmowała się zebraniami, demonstracjami i petycjami jeszcze bardziej niż Gretchen. Obie nosiły przy bluzkach i płaszczach znaczki: „Precz z bombą.”

Kiedy wieczorami nie szła na zebrania, starała się jak najczęściej odwiedzać teatry z odnowionym, po latach niebytności w Nowym Jorku, zapalem. Czasami chodziła z Idą - małą, zaniedbaną, bystrą kobietą w mniej więcej swoim wieku - z którą trwale się zaprzyjaźniła, kiedy indziej z reżyserem filmu, Evansem Kinsellą, z którym miała romans, czasem z Rudolfem i Jean, gdy byli w mieście, a czasem z którymś z aktorów poznanych na miejscu kręcenia filmu.

Na szklanym ekranie przesuwaly się przed nią obrazy i Gretchen skrzywiła się z niesmakiem. Sposób, w jaki Kinsella kręcił ten film, sprawiał, że trudno było wydobyć ton, jakiego w jej odczuciu sekwencja wymagała. Jeśli w jakiś sposób nie zdoła jej poprawić pomysłowymi cięciami albo jeśli sam Kinsella nie wystąpi z jakimś pomysłem, wiedziała, że całą scenę trzeba będzie w końcu nakręcić na nowo.

Zrobiła przerwę na papierosa. Błaznane pudełka na filmy, których ona i Ida używały jako popielniczek, były zawsze wypełnione po brzegi niedopałkami. Tu i ówdzie stały tekturowe kubki po kawie, umazane szminką.

Czterdzieści lat, myślała zaciągając się papierosem.

Nikt jeszcze dzisiaj nie złożył jej życzeń. I słusznie. Chociaż zaglądała do swojej przegródki w recepcji hotelu, czy nie ma jakiegoś telegramu, przynajmniej od syna. Nie mówiła o urodzinach Idzie nawijającej teraz na szpulę długie odcinki taśmy filmowej z dużego, płóciennego kosza. Ida była sama po czterdziestce, po co jej to przypominać? A już na pewno nie powiedziała by Evansowi. On miał trzydzieści dwa lata. Kobieta czterdziestoletnia nie przypomina trzydziestoletniemu kochankowi o swoich urodzinach.

Myślała o nieżyjącej matce, jaka była przed czterdziestu laty.

Zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna, która urodziła dziewczynkę, swoje pierwsze dziecko. Gdyby Mary Pease Jordach wiedziała tego dnia, jakie w przyszłości zamieni słowa z nowo narodzonym dzieckiem, które ma w ramionach, ileż łez by uрониła... A Billy...

Drzwi otworzyły się i wszedł Evans Kinsella. Miał na sobie biały deszczowiec z paskiem, włożony na sztruksowe spodnie, czerwoną koszulkę polo i kaszmirowy sweter. Nie zdobył się na żadne ustępstwa pod względem ubioru dla Nowego Jorku. Jego deszczowiec był mokry. Od kilku godzin nie spojrzęła za okno i nie wiedziała, że pada.

- Witajcie, dziewczęta - rzekł Evans. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o zmierzwionej, czarnej czuprynie i granatowym odcieniu skóry na brodzie, co sprawiało, że zawsze wyglądał jak nie ogolony. Jego wrogowie mówili, że przypomina wilka. Gretchen raz wydawał się drapieżnie przystojny, a kiedy indziej semicko brzydki, chociaż nie był Żydem. Kinsella to jego prawdziwe nazwisko. Zrobił już sześć filmów, z których trzy cieszyły się wielkim powodzeniem. Był próżniakiem. Gdy tylko wchodził do pokoju, zaraz opierał się o coś lub siadał na biurku, a jak dostrzegał jakąś kanapę, kładł się i zadzierał nogi do góry. Nosił miękkie, zamszowe kamasze.

Pocałował w policzek Idę, potem Gretchen. Nakręcił jeden film w Paryżu i tam się nauczył wszystkich całować. Film był fatalny.

- Paskudny dzień - powiedział. Wskoczył na jedną z wysokich, metalowych ław montażowych. Dbał, aby wyglądało, że wszędzie się czuje swobodnie. - Zabraliśmy się rano do dwóch łatwiutkich scenek, a tu jak nie lunie! Ale dobrze się stało. Hazen upił się w południe. - Richard Hazen był gwiazdorem filmu. Zawsze upijał się w południe. - A jak wam tu idzie? - spytał Evans. - Możemy puszczać?

- Prawie - odparła Gretchen. Martwiła się, że nie zdawała sobie sprawy, jak już późno. Zrobiłaby coś z włosami i poprawiła makijaż przed przyjściem Evansa. - Ida - zwróciła się do przyjaciółki - weź tę ostatnią sekwencję i powiedz Freddy'emu, żeby ją puścił zaraz po pierwszej kopii.

Przeszli przez hall do małej kabiny projekcyjnej na końcu korytarza. Evans ścisnął ukradkiem jej ramię.

- Gretchen - rzekł - piękna pracownica winnic.

Usiedli w zaciemnionej kabinie projekcyjnej i obejrzeli pierwsze kopie z poprzedniego dnia, rozmaite ujęcia tej samej sceny, które po jakimś czasie, mieli nadzieję, ułożą się w jedną harmonijną całość i będą pokazywane na wielkich ekranach

kin całego świata.

Patrząc na film Gretchen myślała znowu, jak z każdego metra taśmy prześwituje kapryśny i spaczony talent Evansa. Zastanawiała się też, jak dokona pierwszych cięć tego materiału. Spostrzegła, że Richard Hazen wczoraj przed południem był także pijany. Za dwa lata nikt nie da mu pracy.

- Co o tym sądzisz? - spytał Evans, gdy światła się zapaliły.

- Możesz codziennie kończyć zdjęcia o pierwszej - powiedziała - jeżeli pracujesz z Hazenem.

- To widać, co? - Evans siedział zsunięty na krześle, z nogami na oparciu sąsiedniego krzesła.

- Widać - przyznała Gretchen.

- Porozmawiam z jego agentem.

- Spróbuj lepiej porozmawiać z jego barmanem.

- Alkohol - rzekł Evans - to przekleństwo Kinselli. Kiedy piją go inni, a nie on.

Światła znowu zgasły i obejrzeni sekwencję, nad którą Gretchen pracowała cały dzień. Wyświetlona w kabinie projekcyjnej wydała się Gretchen jeszcze gorsza niż na ekranie stołu montażowego. Gdy się jednak skończyła i światła znowu zabłyśły, Evans powiedział:

- Dobra, podoba mi się.

Gretchen знаła Evansa dwa lata i nakręciła z nim już jeden film, wiedziała więc, że zbyt łatwo zadowalała go własna praca. Analizując swoje postępowanie doszedł w jakimś punkcie do wniosku, że arogancja dobrze wpływa na jego ja i niebezpiecznie było otwarcie go krytykować.

- Nie jestem tego pewna - rzekła Gretchen. - Chciałabym jeszcze trochę nad tym popracować.

- Strata czasu - powiedział Evans. - Mówię ci, że sekwencja jest dobra.

W przeciwieństwie do większości reżyserów niecierpliwił się pracując nad montażem i nie dbał o szczegóły.

- Nie wiem - odparła Gretchen. - Wydaje mi się, że zbyt rozwlekła.

- Właśnie tego chciałem - dowodził Evans. - Chciałem, żeby była rozwlekła. - Klócił się jak uparte dziecko.

- Ci ludzie wchodzący i wychodzący z drzwi - obstawała Gretchen przy swoim - z tymi złowróżbnymi cieniami, gdy nic złowróżbnego w końcu się nie dzieje...

- Przestań ze mnie robić Colina Burke'a. - Evans wstał nagle. - Ja jestem Evans Kinsella, jeśli o tym zapomniałaś, i taki pozostanę.

Zapamiętaj to, proszę.

- Och, nie bądźże dzieckiem - warknęła na niego. Czasami dwie role, jakie odgrywała wobec Evansa mieszały się ze sobą.

- Gdzie jest mój płaszcz? Gdzie zostawiłem ten cholerny płaszcz? - wykrzyknął głośno.

- W pokoju montażowym.

Wrócili razem do pokoju montażowego - pozwolił jej samej nieść blaszane pudełka z filmami, które wzięła od operatora. Potem wciągnął gwałtownymi ruchami płaszcz. Ida zarejestrowała odcinek filmu, nad którym dzisiaj pracowały. Evans ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, wrócił do Gretchen.

- Chciałem poprosić, żebyś zjadła ze mną obiad, a potem poszlibyśmy do kina - powiedział. - Znajdziesz na to czas? - Uśmiechnął się pojednawczo. Bał się myśli, że ktoś mógłby go choćby na chwilę znieubić.

- Żałuję - odparła Gretchen - ale zaraz przyjeżdża po mnie brat. Mam jechać do niego na weekend.

Evans zasmucił się. Nastrój zmieniał mu się sześćdziesiąt razy na minutę.

- Jestem wolny jak ptak w ten weekend. Sądziłem, że... - Spojrzał w stronę Idy, jakby chciał, żeby wyszła z pokoju. Ida pracowała dalej obojętnie.

- Wrócę w niedzielę wieczorem w samą porę na obiad.

- Dobra - rzekł Evans. - Chyba będę się musiał z tym pogodzić. Pozdrów swojego brata. I pogratuluj mu ode mnie.

- Czego mu mam gratulować?

- Czyżbyś nie widziała jego fotografii w „Look”? Jest sławny w całej Ameryce. W

tym tygodniu.

- Ach to - powiedziała Gretchen. Magazyn „Look” zamieścił artykuł pod tytułem „Dziesięciu obiecujących polityków poniżej czterdziestki” i były w nim dwie fotografie Rudolfa, jedna z Jean w salonie ich domu, druga przy biurku w ratuszu. „Szybko wznoszący się w kręgach republikańskich - mówił artykuł o młodym burmistrzu z piękną, bogatą, młodą żoną - umiarkowanie liberalny myśliciel, energiczny administrator. Nie jeszcze jeden teoretyk, ale człowiek, który całe życie zarabiał na swoje utrzymanie.

Unowocześnił zarząd miejski, wskazał na doniosłość kwestii mieszkaniowej, nałożył kary za zanieczyszczenia przemysłowe, zamknął w więzieniu byłego szefa i trzech funkcjonariuszy policji za branie łapówek, wypuścił obligacje na budowę nowych szkół. Jako wpływowy członek zarządu Uniwersytetu Whitby przyczynił się w sposób istotny do uczynienia zeń instytucji koedukacyjnej. Jako dalekowzroczny urbanista prowadził eksperymenty z zamknięciem centrum miasta dla ruchu kołowego w sobotnie popołudnia i wieczory, aby robiąc zakupy ludzie mogli sobie spokojnie spacerować po ulicach. Wykorzystał miejscowego „Sentinela”, którego jest wydawcą, jako platformę dla mocnych i celnych wypowiedzi na temat uczciwych rządów zarówno lokalnych, jak i krajowych, i zdobył niejedną nagrodę przydzieloną czasopismom wychodzącym w miastach o liczbie ludności do pięćdziesięciu tysięcy. Wygłosił efektowne przemówienie na zjeździe burmistrzów w Atlantic City - przemówienie przyjęte owacyjnie. Był zaproszony do Białego Domu, gdzie wraz z wybranym komitetem burmistrzów spędził trzydzieści minut.”

- Czytając ten artykuł - powiedziała Gretchen - odnosi się wrażenie, że z wyjątkiem wskrzeszania umarłych potrafi zrobić w Whitby wszystko. Na pewno napisała to jakaś zakochana w nim po uszy dziennikarka. Mój braciszek potrafi czarować.

Evans zaśmiał się.

- Nie pozwalasz, aby więzy uczuciowe wpływały na twoją opinię o bliskich i drogich, prawda?

- Po prostu mam nadzieję, że moi bliscy i drodzy nie wierzą w bzdury, które ludzie o nich wypisują.

- Poczulem tę szpileczkę, kochanie - rzekł Evans. - Pójdę teraz do domu popalić wszystkie albumy z wycinkami. - Pocałował najpierw Idę, potem Gretchen i powiedział: - Przyjadę po ciebie do hotelu o siódmej wieczorem w niedzielę.

- Będę czekała - odparła Gretchen.

- Naprzód w samotną noc - rzekł Evans wychodząc i zaciskając pasek swego białego deszczowca wokół szczupłej talii, niczym młody agent działający na dwie strony, który prowadzi swoją niebezpieczną grę w niedostatecznie dofinansowanym filmie.

Gretchen wiedziała coś niecoś o tej samotności, jaka mu w ten weekend groziła. Miał dwie inne kochanki w Nowym Jorku o których wiedziała.

- Nigdy nie mogę zdecydować - powiedziała Ida - czy jest wariatem, czy geniuszem.

- Ani jednym, ani drugim - odparła Gretchen i zaczęła z powrotem zakładać na stół montażowy sekwencję, która jej się nie podobała, aby zobaczyć, co się da z nią zrobić.

Rudolf przyszedł do pokoju montażowego o szóstej trzydzieści i wyglądał na obiecującego polityka w granatowym płaszczu i beżowym kapeluszu od deszczu. W sąsiednim pokoju na taśmie dźwiękowej jechał pociąg po moście, a jeszcze dalej orkiestra grała Uwerturę 1812 Czajkowskiego. Gretchen przewijała sekwencję, nad którą pracowała, i dialog zmienił się w świszczący, głośny, niezrozumiały bełkot.

- Wszyscy święci - rzekł Rudolf. - Jak ty możesz to znieść?

- Odgłosy uczciwej pracy - powiedziała Gretchen. Skończyła przewijanie filmu i oddała szpulę Idzie. - Uciekaj zaraz do domu - upominała ją. Jeśli jej nie pilnować, a ona nie ma żadnego zebrania, gotowa co dzień zostawać do dziesiątej albo jedenastej w nocy i pracować. Ida bała się nieróbstwa.

Rudolf nie złożył jej życzeń, kiedy zjechali windą i wyszli na Broadway. Gretchen nie przypomniała mu o swoich urodzinach. Rudolf niósł małą walizeczkę, którą Gretchen spakowała rano na weekend.

Deszcz ciągle padał i nie można było złapać taksówki, więc ruszyli w stronę Park Avenue. Nie padało, kiedy Gretchen szła rano do pracy, więc nie miała parasola. Zanim

doszli do Szóstej Alei, całkiem przemokła.

- Temu miastu - zauważył Rudolf - trzeba przynajmniej jeszcze dziesięciu tysięcy taksówek. To obłęd, co ludzie muszą znosić mieszkając tutaj.

- „Energiczny administrator - powiedziała Gretchen - umiarkowanie liberalny myśliciel, dalekowzroczny urbanista.”

Rudolf roześmiał się.

- Och, więc czytałaś ten artykuł. Cóż to za bzdury. - Ale ona odniosła wrażenie, że był zadowolony.

Byli na Pięćdziesiątej Drugiej i deszcz lał coraz bardziej. Przed „Twenty-One” Rudolf zatrzymał ją i powiedział:

- Wskoczmy tu na drinka. Później portier złapie nam taksówkę.

Gretchen miała włosy rozprostowane na deszczu, pończochy z tyłu pochłapane i nieszczęśliwie chciało jej się wchodzić do takiego lokalu jak „Twenty-One”, przemoczonej i ze znaczkiem „Precz z bombą” przy płaszczu, ale Rudolf już wciągnął ją w drzwi.

Wewnątrz portierzy, szatniarki, kierownicy i starsi kelnerzy mówili: „Dobry wieczór, panie Jordach”, na widok Rudolfa było wiele ściskania dłoni. Gretchen mało mogła zdziałać, aby poprawić stan swoich włosów i pończoch, więc nie wstąpiła nawet do toalety, tylko od razu poszła za Rudolfem do baru. Ponieważ nie zamierzali jeść obiadu, nie poprosili o stolik, ale usiedli w odległym, odosobnionym kącie baru. W pobliżu wejścia ludzie tłoczyli się w trzech rzędach - mężczyźni o huczących, zachwalających i przypochlebnych głosach, którzy prawie na pewno nie pragnęli zakazu prób z bronią atomową i kobiety, które najwyraźniej przyszły tu prosto od Elizabeth Arden i które zawsze łąpały taksówki. Oświetlenie było dyskretne i pomysłowe, zaprojektowane tak, aby kobietom opłacało się spędzić całe popołudnie u fryzjera i masażystki od Elizabeth Arden.

- Zepsujesz sobie reputację w tym lokalu - powiedziała Gretchen - przychodząc tutaj z kimś, kto wygląda jak ja dzisiaj.

- Oni tu widzieli gorsze rzeczy - rzekł Rudolf. - Dużo gorsze.

- Dziękuję ci, braciszku.

- Nie chciałem tego powiedzieć, w ten sposób - tłumaczył się Rudolf. - Jesteś piękna.

Nie czuła się piękna. Czuła się mokra i zaniedbana, i stara, i zmęczona, i samotna, i urażona.

- Dziś jest mój dzień rozczulania się nad sobą - powiedziała. Nie zwracaj na to uwagi. A jak się ma Jean? - spytała. Jean miała poronienie i bardzo źle to zniosła, a kiedy Gretchen ostatnio ją widziała, wydawała jej się jakaś odległa i przytłoczona, wyłączała się nagle z rozmowy albo wstawiała w połowie zdania i wychodziła z pokoju. Porzuciła fotografowanie i gdy Gretchen zapytała, kiedy wróci do swego zawodu, tylko potrząsnęła głową.

- Jean? - powiedział krótko Rudolf. - Już lepiej.

Podszedł barman i Rudolf zamówił szkocką, a Gretchen martini.

Rudolf uniósł szklanekę.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - rzekł.

Pamiętał.

- Nie bądź dla mnie miły - powiedziała - bo się rozpłaczę.

Wyjął z kieszeni podłużne pudełeczko od jubilera i położył przed nią.

- Spróbuj, czy dobry rozmiar.

Otworzyła pudełeczko z napisem „Cartier”. Wewnątrz był śliczny złoty zegarek. Zdjęła masywny zegarek w stalowej kopercie, który miała na ręku, i zapięła cienką, złotą bransoletkę. Czas oprawny w drogie kamienie i pomykający wykwinicie. Jedyny prezent tego dnia.

Pocałowała Rudolfa w policzek, wstrzymała łzy. Muszę zacząć wyżej go cenić, pomyślała. Zamówiła drugie martini.

- Jakie jeszcze łupy zgromadziłaś? - spytał Rudolf.

- Żadnych.

- Czy Billy dzwonił? - powiedział to nazbyt obojętnie.

- Nie.

- Dwa dni temu spotkałem go przypadkiem na terenie uniwersytetu i przypomniałem o twoich urodzinach.

- On jest straszliwie zajęty - rzekła defensywnie.

- Może obraził się o to, że mu przypomniałem i kazałem do ciebie zadzwonić - powiedział Rudolf. - Nie przepada za swoim wujaszkiem Rudolfem.

- On za nikim nie przepada - odparła Gretchen.

Billy wstąpił na Uniwersytet Whitby, bo kiedy skończył szkołę średnią w Kalifornii, zapragnął studiować na Wschodzie. Gretchen łudziła się, że pójdzie na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles albo Uniwersytet Południowej Kalifornii i będzie nadal mógł mieszkać z nią, ale Billy postawił sprawę jasno, iż nie zamierza dłużej pozostawać w domu. Chociaż był bardzo inteligentny, nie uczył się wcale i miał zbyt niskie oceny, aby mógł się dostać do którejkolwiek z prestiżowych uczelni na Wschodzie. Gretchen musiała więc prosić Rudolfa, aby wykorzystał swe wpływy i umieścił Billy'ego w Whitby. Billy pisywał rzadko - czasem potrafił milczeć nawet dwa miesiące. Kiedy zaś już pisał, to krótko i prawie tylko o tym, na jakie zapisał się wykłady i jakie ma projekty na letnie wakacje, zawsze na Wschodzie. Gretchen pracowała już z górą miesiąc w Nowym Jorku, zaledwie o parę godzin jazdy od Whitby, lecz on nie odwiedził jej ani razu. Aż do tej pory duma nie pozwalała jej pojechać do niego, ale w końcu nie mogła dłużej znieść tego stanu.

- Co jest z tym chłopcem? - spytał Rudolf.

- Odgrywa się na mnie - odparła Gretchen.

- Za co?

- Za Evansa. Staralam się zachowywać jak najdyskretniej... Evans nigdy nie zostawał u mnie na noc, a ja zawsze sypiałam w domu i nigdy nie wyjeżdżałam na weekendy, ale Billy, oczywiście, od razu się połapał i stosunki oziębily się.

- Przejdzie mu to - rzekł Rudolf. - To tylko dziecięca zazdrość.

- Oby tak było. On gardzi Evansem. Nazywa go szarlatanem.

- A on nim jest?

Gretchen wzruszyła ramionami.

- Nie sędę. Nie dorównuje Colinowi, ale i ja mu nie dorównywałam.
- Nie popadaj w czarny nastrój - rzekł Rudolf łagodnie.
- A co lepszego można zrobić w czterdzieste urodziny?
- Wyglądasz na trzydzieści - powiedział Rudolf. - Na piękną, pociągającą trzydziestolatkę.

- Kochany braciszek.

- Czy Evans chce się z tobą ożenić?

- W Hollywood - odparła Gretchen - trzydziestodwuletni, wzięci reżyserzy nie żenią się z czterdziestoletnimi wdowami, jeśli nie są one sławne albo bogate, albo jedno i drugie razem. A ja nie jestem ani sławna, ani bogata.

- Czy on cię kocha?

- Czy ja wiem?

- A ty go kochasz?

- Ta sama odpowiedź. Czy ja wiem? Lubię z nim sypiać. Lubię pracować dla niego, jestem do niego przywiązana i dobrze mi z tym.

Daje mi wszystko. Muszę być przywiązana do mężczyzny i czuć się mu potrzebna, i tym szczęśliwcem okazał się właśnie Evans. Gdyby mnie poprosił, żebym za niego wyszła, zrobiłabym to natychmiast. Ale nie poprosi.

- Szczęśliwe dni - rzekł Rudolf w zamyśleniu. - Dokończ pić.

Powinniśmy już iść. Jean na nas czeka.

Gretchen spojrzała na zegarek.

- Jest dokładnie siedemnaście minut po siódmej według pana Cartiera.

Na dworze wciąż padało, lecz właśnie podjechała taksówka, z której wysiadło dwoje ludzi i portier osłonił Gretchen wielkim parasolem, gdy biegła do niej. Przed „Twenty-One” człowiekowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że miastu brakuje około dziesięciu tysięcy taksówek.

Gdy Rudolf otworzył drzwi swego nowojorskiego mieszkania, usłyszeli gwałtowne odgłosy metalu uderzającego o metal. Rudolf wbiegł do salonu, a w ślad za nim Gretchen. Na środku pokoju siedziała na podłodze Jean z rozstawionymi kolanami, jak

dziecko, które bawi się klockami. Miała w ręku młotek i metodycznie niszczyła nim stos aparatów, obiektywów i różnych akcesoriów fotograficznych leżących między kolanami. Była w spodniach i brudnym swetrze, a nie umyte włosy zasłaniały jej twarz, gdy pochylała się nad swą robotą.

- Jean - powiedział Rudolf - co ty, u licha, wyprawiasz?

Jean podniosła wzrok zerkając chytrze przez włosy.

- Pan burmistrz pragnie wiedzieć, co jego śliczna, bogata, młoda żona robi. Powiem panu burmistrzowi, co jego śliczna, ; bogata, młoda żona robi. Ona przerabia to na kupę złomu. - Mówiła niewyraźnie i była pijana. Walnęła młotkiem w wielki, szerokokątny obiektyw i roztrzaskała go na kawałki.

Rudolf zabrał jej młotek. Nie sprzeciwiała się.

- Pan burmistrz zabrał swojej pięknej, bogatej, młodej żonie młotek - powiedziała Jean. - Nie martw się, mała kupko złomu. Są jeszcze inne młotki. Wyrośniesz i któregoś dnia staniesz się największą, najpiękniejszą kupą złomu, jaka istnieje na świecie, a pan burmistrz uczyni z ciebie park publiczny dla mieszkańców Whitby.

Wciąż trzymając młotek, Rudolf spojrzał na Gretchen. Wyczytała w jego oczach wstyd i przestach.

- Chryste, Jean - rzekł do żony - zniszczyłaś tego za co najmniej pięć tysięcy dolarów!

- Żona pana burmistrza nie potrzebuje aparatów fotograficznych - powiedziała Jean. - Niech inni mnie fotografują. Niechaj fotografują biedacy. Ludzie utalentowani. Hoppa! - zrobiła szeroki, wesoły ruch taneczny ramionami. - Przynieście młotki.

Rudi, kochanie, nie sądzisz, że powinienes dać swojej ślicznej, bogatej, młodej żonie coś do picia?

- Dość już wypiłaś.

- Rudolf - powiedziała Gretchen - ja już lepiej pójdę. Nie pojedziemy dziś do Whitby.

- Ślicznego Whitby - rzekła Jean. - Gdzie śliczna, bogata, młoda żona pana burmistrza uśmiecha się do demokratów i republikanów, otwiera wenty dobroczynne i

wiernie trwa u boku swego męża na bankietach i zebraniach politycznych, gdzie można ją ujrzeć na uroczystościach nadania stopni naukowych i Czwartego Lipca, na meczach uniwersyteckiej drużyny rugby, poświęceniu nowych laboratoriów przyrodniczych i ceremonii położenia kamienia węgielnego pod osiedle mieszkaniowe z prawdziwymi toaletami dla kolorowych.

- Przestań, Jean! - rzekł Rudolf ostro.

- Naprawdę lepiej sobie pójdę - powiedziała Gretchen. - Zadzwoń do...

- Siostrze pana burmistrza, po co ten pośpiech? - ciągnęła Jean. - Kto wie, może kiedyś będzie mu potrzebny twój głos. Zostań i wypijemy sobie malutkiego rodzinnego drinka. Może jak rozegrasz swoje karty odpowiednio, on się z tobą nawet ożeni. Zostań i słuchaj. To może być pou... pouczające. - Zająknęła się na tym słowie. - Sto łatwych lekcji: „Jak być cieniem męża”. Kazałam wydrukować wizytówki. Pani Rudolfowa Jordachowa, eks-fotografik, obecnie w branży cieni. Jeden z dziesięciu najbardziej obiecujących cieni w Stanach Zjednoczonych. Specjalność: parazytyzm i hipokryzja. Kursy specjalne. - Zachichotała. - Każda lojalna amerykańska dziewczyna ma gwarantowany dyplom.

Rudolf nie próbował zatrzymać Gretchen, gdy wyszła z pokoju do hallu, pozostawiając go w płaszczu od deszczu i z młotkiem w dłoni, patrzącego na pijaną żonę.

Drzwi windy prowadziły wprost do mieszkania i Gretchen musiała czekać w hallu, skąd słyszała jeszcze, jak Jean mówi dziecięcym zasmuconym głosem:

- Wszyscy mi ciągle zabierają młotki - nim drzwi windy się otworzyły i mogła uciec.

Wróciwszy do hotelu „Algonquin” zadzwoniła do Evansa, ale nikt nie podnosił słuchawki. Poprosiła zatem hotelową telefonistkę, aby przekazała mu wiadomość, że pani Burke nie wyjechała na weekend i pozostanie do rana w hotelu. Następnie wzięła gorącą kąpiel, przebrała się i zjechała do hotelowej restauracji na obiad.

Rano o dziewiątej zadzwonił Rudolf. Gretchen była sama. Evans nie zadzwonił. Rudolf powiedział że Jean poszła spać po wyjściu Gretchen, a kiedy się zbudziła, była zawstydzona i pełna skruchy i teraz już doszła do siebie, więc w końcu jadą do Whitby i

będą tam czekali na Gretchen.

- Jesteś pewien, że nie byłoby mądrzej, gdybyś spędził ten dzień sam na sam z żoną? - spytała Gretchen.

- Lepiej, gdy nie będziemy sami - odparł Rudolf. - Nie martw się, że zgubiłaś walizeczkę, bo zostawiłaś ją tutaj.

- Pamiętam - powiedziała Gretchen. - Będę u was o dziesiątej.

Ubierając się rozpamiętywała wczorajszą scenę i wspominała mniej gwałtowne, lecz niemal równie dziwne zachowanie Jean przy innych okazjach. Teraz wszystko się zsumowało. Do tej pory udawało się Jean zataić to przed Gretchen, bo Gretchen nie widywała jej często. Ale naraz wszystko stało się jasne: Jean była alkoholiczką. Gretchen zastanawiała się, czy Rudolf zdaje sobie z tego sprawę i co zamierza z tym zrobić.

Do za kwadrans dziesiąta Evans nie zadzwonił i Gretchen zjechała windą na dół i wyszła w słońce Czterdziestej Czwartej Ulicy, szczupła, wysoka kobieta o pięknych nogach, miękkich czarnych włosach, nieskazitelnie bladej cerze, doskonale dobranym - na miły weekend poza miastem - tweedowym kostiumie i jerseyowej bluzce.

Tylko znaczek „Precz z bombą”, niczym broszka w świetnie skrojonej klapie, mógłby komuś zdradzić, że nie wszystko było takie, jakie się wydawało w ów słoneczny, amerykański, wiosenny poranek roku 1966.

Szczałki aparatów fotograficznych zostały usunięte z salonu. Gdy Gretchen weszła, Rudolf i Jean słuchali radiowego koncertu fortepianowego Mozarta. Rudolf wydawał się spokojny, a Jean, choć blada i nieco chwiejna, gdy wstała, aby pocałować Gretchen na powitanie, również zdołała się pozbierać po wczorajszej nocy.

Rzuciła Gretchen szybkie spojrzenie, prosząc nim być może o litość i zrozumienie, ale zaraz powiedziała żywym głosem o niskim brzmieniu, z nutką wesołości, która nie wydawała się wymuszona:

- Gretchen, wyglądasz szalowo w tym kostiumie. Powiedz, gdzie można dostać taki znaczek. Ten kolor świetnie pasuje do moich oczu.

- Tak - rzekł Rudolf - jestem pewien, że zrobisz nim furorę, kiedy następnym razem będziemy musieli jechać do Waszyngtonu. - Ale powiedział to czule i zaśmiał się.

Jean trzymała go za rękę, jak dziecko idące na spacer z ojcem, kiedy schodzili po schodach, a potem czekali, aż człowiek z garażu przyprowadzi ich samochód. Jej kasztanowe włosy były umyte i lśniące, i związane wstążką z tyłu głowy, a spódniczka bardzo krótka. Nogi, bez pończoch, miała śliczne, smukłe, proste i już opalone. Jak zwykle wyglądała na nie więcej jak osiemnaście lat.

Kiedy czekali na samochód, Rudolf powiedział Gretchen:

- Dzwoniłem do swojej sekretarki i poprosiłem, żeby się skontaktowała z Billym i powiedziała mu, że oczekujemy go na lunchu w naszym domu.

- Dziękuję ci, Rudi - odparła Gretchen. Nie widziała Billy'ego od tak dawna, że będzie lepiej, jeśli to pierwsze spotkanie odbędzie się przy innych ludziach.

Kiedy podjechał samochód, usiadły obie na przednim siedzeniu koło Rudolfa. Włączył radio. Mozart, beztroski i wiośniany, towarzyszył im aż do Bronx.

Jechali wśród dereni i tulipanów obrzeżających boiska, na których mężczyźni i chłopcy grali w baseball. Mozart ustąpił w radio miejsca Loesserowi i Ray Bolger śpiewał porywająco: „Kto raz się zakocha w Amy, zawsze będzie kochał Amy”, a Jean śpiewała razem z nim niskim, czystym, pięknym głosem. Wszyscy troje pamiętali Bolgera w tym przedstawieniu i ile im sprawił przyjemności. Zanim dojechali do dworku w Whitby, gdzie w ogrodzie zaczynały już pączkować szarawo pierwsze bzy, czuli się prawie jakby poprzedni wieczór w ogóle nie istniał. Prawie.

Enid, już dwuletnia, krągła i jasnowłosa, czekała na nich.

Skoczyła ku matce i zaczęły się obie ścisnąć i całować. Rudolf niósł walizkę Gretchen, prowadząc ją po schodach do pokoju gościnnego. Pokój lśnił i świecił czystością, i pełno w nim było kwiatów.

Rudolf postawił jej walizkę i rzekł:

- Myślę, że masz tu wszystko, czego trzeba.

- Rudi - powiedziała Gretchen cicho - powinniśmy dziś zrezygnować z alkoholu.

- Czemu? - wydawał się zdziwiony.

- Nie można jej stwarzać pokusy. Jean. Jeżeli nawet sama nie będzie piła... to widok pijących...

- Och - rzekł Rudolf lekceważąco - ja bym się o to nie martwił.

Była wczoraj po prostu trochę wyprowadzona z równowagi.

- Ona jest alkoholiczką, Rudi - powiedziała Gretchen łagodnie.

Rudolf zrobił odpychający gest.

- Nie bądź melodramatyczna - rzekł - to do ciebie nie pasuje. Co jakiś czas trochę sobie podchmieli, i to wszystko. Tak samo jak ty i ja.

- Wcale nie tak samo jak ja i ty - powiedziała Gretchen. - Nie powinna tknąć nawet kropli. Nawet łyżeczka piwa. Trzeba się starać trzymać ją z dala od pijących. Rudi, wiem, co mówię. W Hollywood pełno jest takich kobiet. W początkowych stadiach, takich w jakim jest teraz, i późniejszych, okropnych stadiach, które ją czekają.

Musisz ją ochraniać.

- Nikt nie może powiedzieć, że jej nie ochraniam. - W jego głosie zabrzmiała leciutka nuta gniewu.

- Rudi.

- Uspokój się - rzekł Rudolf. - To nie Hollywood.

Na dole zadzwonił telefon i Jean zawołała:

- Gretchen, to Billy do ciebie. Tu, na dole.

- Proszę cię, posłuchaj mnie - powiedziała Gretchen.

- Idź, porozmawiaj ze swoim synem - rzekł Rudolf oziębło.

W słuchawce głos Billy'ego brzmiał bardzo dorośle.

- Halo, mamó. Cudownie, że mogłaś przyjechać. - Zaczął nazywać ją mamą, gdy Evans pojawił się na widowni. Przedtem zawsze mówił „mamusiu”. Uważała to za nazbyt dziecinne, jak na takiego dużego chłopca jak on, ale teraz, stojąc ze słuchawką w ręku, zatęskniła za tym dawnym „mamusiu”. - Słuchaj, strasznie mi przykro. Czy możesz w moim imieniu przeprosić Rudolfa? Zaprosił mnie na lunch, a tymczasem mam mecz baseballowy o pierwszej i nikt nie może mnie zastąpić, więc obawiam się, że będę musiał skorzystać z zaproszenia kiedy indziej.

- Dobrze - odparła Gretchen. - Przeprzeszę go. Kiedy cię zobaczę?

- To bardzo trudno powiedzieć. - Wydał się szczerze zakłopotany. - Zaraz po

meczu ma się odbyć wielkie piwożłopstwo w jednym z akademików...

- Gdzie gracie? - spytała Gretchen. - Przyjdę i popatrzę. Będziemy mogli porozmawiać w przerwach.

- Teraz jesteś wściekła.

- Nie jestem wściekła, jak to określiłeś. Gdzie grasz?

- Po wschodniej stronie uniwersytetu jest mnóstwo różnych boisk - odparł. - Nie można nie trafić.

- Do widzenia, Billy - powiedziała Gretchen i powiesiła słuchawkę.

Weszła z hallu, gdzie stał telefon, do salonu. Jean siedziała na kanapie kołysząc i huśtając Enid. Enid gaworzyła. Rudolf przygotowywał coctail daiquiri.

- Mój syn ogromnie żałuje - powiedziała Gretchen. - Sprawy wielkiej wagi zatrzymują go na całe popołudnie. Nie może przyjść na lunch.

- To okropne - rzekł Rudolf. Ale usta zacisnęły mu się na moment.

Nalał coctail sobie i Gretchen. Jean, zajęta dzieckiem, powiedziała, że nie będzie piła.

Po lunchu Gretchen pożyczyła od Rudolfa samochód i pojechała na teren uniwersytetu. Bywała tam już przedtem, ale teraz uderzyło ją na nowo spokojne, wiejskie piękno tego miejsca, z jego bezpretensjonalnymi budowlami rozrzuconymi nieregularnie wśród akrów zieleni, krętymi, żwirowymi alejkami, wysokimi dębami i wiazami. Ponieważ było to sobotnie popołudnie, uniwersytet drzemał w spokojnym słonecznym transie. Było to miejsce, za którym się człowiek ogląda, myślała Gretchen, obraz późniejszej nostalgii.

Jeśli uniwersytet jest miejscem przygotowującym młodych ludzi do życia, to na tych spokojnych trawnikach, w tych bezpretensjonalnych, gościnnych salach wykładowych i refektoriach zapewne nieco go brakuje. Życie, jakiemu absolwenci Whitby będą musieli stawić czoło w ostatniej, trzeciej części dwudziestego wieku, prawie na pewno nie będzie takie jak tu.

Na boiskach toczyły się równocześnie trzy bezładne rozgrywki baseballowe. Najbardziej bezładna, gdzie prawie połowę graczy stanowiły dziewczęta, była ta, w której

brał udział Billy.

Dziewczyna zajmująca stanowisko w głębi pola, miała z sobą książkę. Siedziała sobie na trawie i czytała, a podnosiła głowę i biegła za piłką tylko wtedy, kiedy koledzy do niej krzyczeli. Gra musiała już się toczyć od dłuższego czasu, bo kiedy Gretchen podeszła do linii pierwszej bazy, między strzegącym jej graczem a leżącymi na trawie przeciwnikami, którzy czekali swojej kolejki w grze, trwał łagodny spór, czy wynik jest dziewiętnaście do szesnastu, czy osiemnaście do piętnastu. Z pewnością nikomu nie sprawiało różnicy, czy Billy z nimi gra, czy nie.

Ubrany w postrzępione, wyblakłe džinsy i szarą koszulkę z krótkimi rękawami, Billy zagrywał piłkę, którą inni gracze odbijali kijem.

Dziewczynom podrzucał ją leciutko, ale gdy przychodziła kolej na któregoś z chłopców, grzmocił z całej siły. Billy nie od razu spostrzegł Gretchen, a ona przyglądała mu się, jak się porusza leniwie i z wdziękiem, wysoki, z nieco za długimi włosami nad twarzą, która była piękną, ulepszoną wersją twarzy Willie Abbotta.

Zmysłowa, mocna, z wyrazem niezadowolenia, czołem równie szerokim i wysokim, oczyma głębiej osadzonymi i ciemniejszymi, dłuższym nosem, ściągniętymi szerokimi nozdrzami, jednym asymetrycznym dołkiem na prawym policzku, przy uśmiechu, i czystymi, młodzieńczo białymi zębami.

Gdybyż jego życie odpowiadało wrażeniu, jakie wywiera jego twarz, myślała Gretchen, kiedy jej syn zagrał piłkę do ładnej, pyzatej dziewczyny, która zamachnęła się kijem, chybiła i wykrzyknęła z udaną rozpaczą:

- Jestem bez-na-dziej-na!

Było to trzecie chybienie i Billy spostrzegł Gretchen stojącą za linią pierwszej bazy. Podeszedł, powiedział:

- Cześć, mamó - i pocałował ją. Wokół oczu pokazały się malutkie zmarszczki rozbawienia, gdy zobaczył znaczek w jej klapie. - Mówiłem ci, że znajdziesz nas bez trudu.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała. Nieodpowiedni ton, wiedziała... Kochaj mnie, jestem twoją matką.

- Ależ skąd - odparł. - Hej, chłopaki - zakrzyknął - niech który wybiję za mnie. Mam gościa. Spotkamy się w akademiku. - Nie przedstawił jej nikomu. - Pójdziemy się przejść? Pokażę ci uniwersytet.

- Rudolf i Jean byli bardzo zawiedzeni, że nie mogłeś przyjechać na lunch - powiedziała, gdy oddalali się od boiska. Znów nieodpowiedni ton.

- Naprawdę? - rzekł Billy obojętnie. - Bardzo mi przykro.

- Rudolf mówi, że wciąż cię zaprasza, a ty nigdy nie przychodzisz.

Bill wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak to jest - powiedział. - Zawsze coś staje na przeszkodzie.

- Lepiej bym się czuła, gdybyś tam wstąpił od czasu do czasu - powiedziała Gretchen.

- Wybiorę się. Kiedyś. Porozmawiamy o konflikcie pokoleń. Albo o tym jak to każdy student pali marihuanę. Jego gazeta celuje w omawianie tych spraw.

- A ty palisz marihuanę?

- Mamo, kochanie, zrozum wreszcie, że to dwudziesty wiek.

- Porzuć ten protekcyjny ton - rzekła ostro.

- Mamy taki piękny dzień - powiedział. - Nie widziałem cię tyle czasu. Nie kłóćmy się. Tamten dom to akademik, w którym mieszkałem na pierwszym roku.

- Czy twoja dziewczyna grała teraz z wami? - Pisał jej, że interesuje się dziewczyną, która z nim chodzi na wykłady.

- Nie. Przyjechali jej rodzice i musi udawać, że nie istnieję. Jej ojciec nie może mnie znieść, a ja nie mogę znieść jego. Mówi, że wywieram na nią niemoralny, deprawujący wpływ. To neandertalczyk.

- Czy w ogóle jest ktoś taki, o kim możesz powiedzieć coś dobrego?

- Oczywiście. Albert Camus. Ale on nie żyje. To mi coś przypomina.

Jak się ma ten drugi poeta, Evans Kinsella?

- Żyje - odparła Gretchen.

- To wielka nowina - rzekł Billy. - Sensacyjna nowina.

Gdyby Colin żył, Billy nie byłby taki, myślała Gretchen. Byłby zupełnie inny.

Roztargniony człowiek siada za kierownicą samochodu i uderza w drzewo, a skutki tego wypadku trwają i trwają bezustannie, przechodząc z pokolenia na pokolenie.

- Czy bywasz kiedykolwiek w Nowym Jorku? - spytała.

- Czasami.

- Jeśli dasz mi znać, kiedy następnym razem będziesz - powiedziała - postaram się o bilety do teatru. Zabierz swoją dziewczynę, jeśli chcesz. Chętnie ją poznam.

- To zwyczajna dziewczyna - rzekł Billy.

- W każdym razie daj mi znać.

- Oczywiście.

- Jak ci idzie praca? - spytała.

Billy skrzywił się.

- Rudolf mówi, że niezbyt się starasz. Mówi, że grozi ci nawet usunięcie.

- Burmistrzowanie w tym miasteczku musi być łatwym zajęciem - rzekł Billy - skoro on ma czas sprawdzać, ile w każdej sesji oblewam egzaminów.

- Jak cię usuną, pójdiesz do wojska. Chcesz tego?

- A co mi tam - odparł Billy. - Wojsko nie może być nudniejsze od większości wykładów.

- Czy nigdy nie myślisz o mnie? - Ogromny błąd. Klasyczny błąd.

Ale stało się. - Jak sądzisz, jak bym się czuła, gdyby cię posłano do Wietnamu?

- Mężczyźni walczą, a kobiety płaczą - rzekł Billy. - Czemu z tobą i ze mną miałyby być inaczej.

- A co robisz, żeby próbować ten stan zmienić? Żeby położyć kres wojnie, na przykład? Mnóstwo studentów w całym kraju pracuje dzień i noc, żeby...

- Wariaci - powiedział Billy. - Tracą tylko czas. Wojna to zbyt wielki interes dla zbyt wielu grubych ryb. Czy ich obchodzi, co robi garstka spastycznych pętek? Jeżeli chcesz, wezmę twój znaczek i będę go nosił. Duża rzecz. Pentagon zadrży w posadach, kiedy się dowie, że Billy Abbott protestuje przeciw bombie atomowej.

- Billy - Gretchen zatrzymała się i spojrzała mu w twarz - czy cię cokolwiek interesuje?

- Nie - odparł spokojnie. - Czy widzisz w tym coś złego - Jedno napawa mnie nadzieją - rzekła - że to jest poza. Głupia, młodzieńcza poza.

- To nie poza - odparł. - A ja nie jestem młodzieniaszkiem, o ile tego nie zauważyłaś. Jestem dorosłym mężczyzną i we wszystkim wietrzę smród. Na twoim miejscu zapomniałbym o mnie na jakiś czas.

Jeżeli przysyłanie pieniędzy na moje studia sprawia ci najmniejszą trudność, to ich nie przysyłaj. Jeżeli ci się nie podoba, że jestem, jaki jestem, i winisz za to siebie, to może masz słuszość, a może nie masz. Przykro mi, że muszę w ten sposób mówić, ale jest jedno, czym nie chcę być - nie chcę być hipokrytą.

Myślę, że będziesz szczęśliwa, jeśli nie będziesz się musiała o mnie martwić, więc wracaj do mego kochanego wujaszka Rudolfa, i swego kochanego Evansa Kinselli, a ja wrócę do mojej gry w piłkę.

- Obrócił się i ruszył ścieżką w stronę boisk.

Gretchen patrzyła za nim, póki się nie stał malutką niebieskoszarą figurką w dali, a potem poszła wolno, ociężale do miejsca, gdzie stał samochód Rudolfa.

Nie było już sensu zostać na cały weekend. Wieczorem zjadła w milczeniu obiad z Rudolfem i Jean, a nazajutrz wsiadła w pociąg jadący do Nowego Jorku.

Kiedy wróciła do swego hotelu, zastała wiadomość od Evansa, że nie może pójść z nią tego dnia na obiad.

ROZDZIAŁ VI

W samolocie do Dallas siedzący obok niego Johnny Heath przeglądał teczkę papierów. Rudolf przeglądał własną teczkę papierów. Musiał przedłożyć radzie miejskiej budżet na rok przyszły i krzywił się, przerzucając grubą broszurę, która zawierała uwagi rewidenta księgowego. Wszystkie ceny szły w górę, wydział policji i straży ogniowej, personel szkół publicznych i urzędnicy - wszystkim należała się podwyżka płac. Nastąpił alarmujący wzrost liczby ludzi, którzy pobierają zapomogi pieniężne z funduszu opieki społecznej, zwłaszcza w dzielnicy murzyńskiej; potrzebny był nowy kolektor; wszyscy sprzeciwiali się podwyżce podatków, a pomoc stanowa i federalna utrzymywała się na dawnym poziomie. Jestem tu, myślał, wysoko nad ziemią, i znów martwię się o pieniądze.

Johnny Heath na fotelu obok niego również martwił się o pieniądze, ale przynajmniej o własne pieniądze, i Rudolfa. Brad Knight przeniósł swoje biuro po śmierci ojca z Tulsy do Dallas i właśnie lecieli tam, aby porozmawiać o swoich pieniądzach, które zainwestowali w Towarzystwie Naftowym Peter Knight i Syn. Brad nagle jakby utracił wyczucie i stwierdzili, że inwestują w jeden suchy szyb za drugim. Nawet udane wiercenia spotykały klęski - słona woda, obsypujący się łożysko, formacje dające się przewiercić tylko nakładem wielkich kosztów. Johnny Heath przeprowadził ciche badania i był pewien, że Brad fałszował raporty i od pewnego czasu ich okradał. Liczby, jakie przedstawił Johnny, jasno dowodziły oszustwa, ale Rudolf nie chciał wystąpić na drogę prawną, póki najpierw nie wygarną Bradowi wszystkiego osobiście. Wydawało mu się niemożliwe, że człowiek, którego znał tak długo i tak dobrze, mógł coś takiego zrobić. Wbrew Wirginii Calderwood.

Gdy samolot wylądował, nie zastali na lotnisku Brada. Przysłał swojego zastępcę - tęgiego, wysokiego mężczyznę w brązowym słomkowym kapeluszu, wąziutkim krawacie i marynarce z madrasu - który przeprosił ich w imieniu pana Knighta (nie mógł opuścić zebrania) i zawiózł klimatyzowanym Cadillakiem, po ulicach drgających w rozgrzanym powietrzu, do hotelu w centrum Dallas, gdzie Brad wynajął apartament z salonem i dwiema sypialniami: dla Johnny'ego i Rudolfa.

Hotel był nowiułki i pokoje ozdobbiono w stylu, który w oczach dekoratora miał uchodzić za drugie cesarstwo na teksańską modłę.

Na długim stole przy ścianie stało sześć butelek krajowej whisky, sześć szkockiej, sześć dżinu i wódki, plus butelka wermutu, wiaderko z lodem, całe tuziny coca-coli i wody sodowej, kosz cytryn, ogromna patera z najpiękniejszymi okazami owoców i rzędy najrozmaitszych szklanek i kieliszków.

- Piwo i szampan znajdziecie panowie w lodówce - rzekł zastępca Brada. - Jeżeli macie na nie ochotę. Jesteście, panowie gośćmi pana Knighta.

- Zostajemy tu tylko do jutra rana - powiedział Rudolf.

- Pan Knight polecił mi zadbać o wygodę panów - wyjaśnił zastępca Brada. - Jesteście panowie w Teksasie.

- Gdyby mieli to wszystko w Alamo - rzekł Rudolf - na pewno wytrwaliby do tej pory.

Zastępca Brada zaśmiał się grzecznie i powiedział, że pan Knight prawie na pewno będzie już o piątej wolny. Było właśnie kilka minut po trzeciej.

- Gdyby panowie czegoś potrzebowali - rzekł na odchodnym - proszę dzwonić do mnie do biura.

- Mydlenie oczu - zauważył Johnny wskazując gestem apartament, stół zastawiony napojami.

Rudolfa zirytował Johnny ze swoim odruchem podejrzliwości we wszystkich sytuacjach.

- Muszę załatwić kilka telefonów - rzekł. - Daj mi znać, jak przyjdzie Brad. - Wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi.

Najpierw zadzwonił do domu. Starał się telefonować do Jean co najmniej trzy razy dziennie. Posłuchał wreszcie rady Gretchen i usunął z domu alkohol, ale w Whitby było pełno sklepów z napojami alkoholowymi i pełno barów. Dziś nie miał zmartwienia. Jean była wesola i pogodna. Padało w Whitby. Jean wybierała się z Enid na jej pierwsze przyjęcie dziecinne. Przed dwoma miesiącami miała wypadek, jadąc po pijanemu, z Enid na tylnym siedzeniu: Samochód się rozbił, ale obie wyszły cało, jeśli nie liczyć kilku

zadrapań.

- Jak tam w Dallas? - spytała.

- Dla Teksaszczyków chyba w sam raz - odparł Rudolf - dla przedstawicieli reszty ludzkości nie do zniesienia.

- Kiedy wrócisz?

- Jak tylko zdołam najwcześniej.

- Pospiesz się. - Nie mówił jej, po co się wybrał z Johnnym do Teksasu. Gdy była trzeźwa, obłuda ją deprimowała.

Następnie zadzwonił do biura, do ratusza, i połączył się ze swoim sekretarzem. Sekretarzem był młody człowiek nieco zniewieściały, ale zazwyczaj pogodny. Tego dnia nie był jednak pogodny. Przed redakcją „Sentinela” odbyła się rano demonstracja studentów protestujących przeciwko artykułowi wstępnemu, który opowiadał się za dalszym istnieniem Ośrodka Szkoleniowego Oficerów Rezerwy przy uniwersytecie. Rudolf sam pochwalał ten artykuł, ponieważ był umiarkowany w tonie i nie zalecał obowiązkowego szkolenia wojskowego, lecz mówił, że ośrodek powinien stać otworem dla tych studentów, którym uśmiecha się kariera wojskowa, a nawet dla tych, którzy chcieliby w razie potrzeby być gotowi do obrony kraju.

Słodki głos rozsądku nie uciszył demonstrantów. Wybito kamieniem szybę ze szlifowanego szkła i trzeba było wezwać policję. Rektor Dorlacker dzwonił w ponurym nastroju, mówił sekretarz, i powiedział: „Jeżeli jest burmistrzem, to czemu nie siedzi za biurkiem?” Koniec cytatu. Rudolf nie zniżył się, żeby łaskawie poinformować sekretarza, jaki jest charakter sprawy którą pojechał załatwić. Komendant policji Ottman przychodził bardzo strapiiony.

Sprawa jest bardzo, ale to bardzo ważna, powiedział Ottman.

Niechaj burmistrz porozumie się z nim jak najprędzej. Dwa razy telefonowało Albany. Delegacja czarnych przedstawiła petycję - chodzi o coś, co ma związek z pływanią.

- Dosyć tego, Walter - powiedział Rudolf ze znużeniem. Odłożył słuchawkę i położył się na jasnoniebieskiej, śliskiej, jedwabnej kapie łóżka. Dostawał dziesięć tysięcy

dolarów za to, że był burmistrzem Whitby. I całą tę sumę oddawał na cele dobroczynne.

Służba publiczna.

Wstał z łóżka czując złośliwą przyjemność, że jego buty pozostawiły plamę na jedwabiu i wszedł do salonu. Johnny siedział przy ogromnym biurku i przeglądał papiery.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości, Rudi - powiedział - daliśmy się skurwysynowi nabrać.

- Błagam, później - rzekł Rudolf. - W tej chwili zaprzęta mnie myśl, jaki to ze mnie oddany i pełny poświęcenia pracownik państwowy. - Nalał sobie trochę coca-coli z lodem, podszedł do okna i spojrzał na Dallas. Lśniło w prażącym słońcu, wznosząc się nad pustkowiem jak bezsensowna erupcja metalu i szkła, rezultat wypadku kosmicznego, nieograniczona i samowolna.

Rudolf wrócił do swojej sypialni i podał telefonistce numer biura komendanta policji w Whitby. Czekaając na połączenie patrzył na siebie w lustrze. Wyglądał jak człowiek, któremu przydałby się urlop. Zastanawiał się, kiedy dostanie pierwszego ataku serca.

Chociaż uważa się, że w Ameryce tylko biznesmeni doznają ataków serca, a teoretycznie Rudolf przestał być biznesmenem.

Profesorowie są wieczni, przeczytał w jakimś piśmie, a także większość generałów.

Gdy Ottman się odezwał, głos jego brzmiał żałośnie. Ale zawsze brzmiał żałośnie. Raziło Ottmana jego metier, którym był występpek.

Bailey, dawny komendant policji, którego Rudolf wsadził do więzienia, był krzepkim i pogodnym człowiekiem. Rudolf często go żałował. Smutek prawości.

- Otworzyliśmy puszkę z robactwem, panie burmistrzu - rzekł Ottman. - Pełniący służbę Slattery przyłapał dziś rano o ósmej trzydzieści w jednej z jadłodajni studenta pierwszego roku na paleniu marihuany. O ósmej trzydzieści rano! - Ottman był człowiekiem rodzinnym, który wszystko robił o wyznaczonej porze, i ranki były dla niego bardzo cenne - chłopak miał jedną i jedną trzecią uncji tego narkotyku przy sobie. Zanim go zarejestrowaliśmy, gadał jak najęty. Mówił, że w jego akademiku przynajmniej

pięćdziesięciu chłopców pali haszysz i marihuanę.

Mówi, że jeśli tam pójdziemy, znajdziemy z pół kilograma tego draństwa. Ma adwokata i do wieczora zostanie wypuszczony za kaucją, ale adwokat musiał do tej pory powiedzieć o tym kilku osobom, i co ja mam teraz robić? Rektor Dorlacker dzwonił do mnie przed chwilą i kazał trzymać się z dala od uniwersytetu, ale zaraz się wszystko rozniesie po mieście i jeśli będę się trzymał z dala od uniwersytetu, to jak będę wyglądał? Uniwersytet Whitby nie jest w Hawanie ani w Buenos Aires, na miłość boską, jest w granicach tego miasta, a prawo jest prawem, na miłość boską.

Świetny dzień sobie wybrałem, żeby przyjechać do Dallas, myślał Rudolf.

- Jeżeli nie wolno mi wejść na teren uniwersytetu - rzekł Ottman - to mogę w tej chwili złożyć rezygnację.

Boże, myślał Rudolf, ci uczciwi ludzie! Któregoś dnia musi sam popробować marihuany i zobaczyć, o co tyle krzyku. Może się okaże czymś w sam raz dla Jean.

- Adwokat tego chłopaka jest także adwokatem Leona Harrisona - ciągnął Ottman.

- Harrison już tu był i pytał, co zamierzam zrobić. Wspomniał o zwołaniu nadzwyczajnego zebrania zarządu.

- Dobra, komendancie - rzekł Rudolf. - Niech pan zadzwoni do Dorlackera i powie mu, że rozmawiał pan ze mną, a ja nakazałem przeprowadzenie rewizji dziś o ósmej wieczorem. Niech pan weźmie nakaz od sędziego Satterlee i powie swoim ludziom, żeby zostawili pałki w domu. Nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda.

Wiadomość o tym zaraz się rozniesie i może chłopaki będą mieli tyle rozsądku, żeby się pozbyć tego draństwa, zanim przyjedziecie do akademika.

- Nie zna pan dzisiejszej młodzieży, panie burmistrzu - odparł Ottman żałośnie. - Nie mają dość rozsądku, żeby podetrzeć sobie tyłek.

Rudolf dał mu telefon swojego hotelu w Dallas i kazał dzwonić zaraz po zakończeniu rajdu na akademik. Odłożył słuchawkę i dopił coca-colę. Lunch w samolocie był okropny i teraz Rudolf miał zgagę. Niemądrze wypił dwa manhattany, które stewardesa postawiła mu na tacy. Z jakichś przyczyn zawsze pił manhattany, kiedy leciał samolotem. Na ziemi nigdy. Jakie to ma znaczenie?

Zadzwonił telefon. Rudolf czekał, aż Johnny podniesie słuchawkę; ale telefon dzwonił tylko u niego w pokoju.

- Halo - powiedział.

- Rudi? - To był głos Gretchen.

- Tak. - Odkąd Gretchen powiedziała mu, że Jean jest alkoholiczką, ich stosunki oziębły się. Zdanie Gretchen okazało się prawdziwe, ale to tylko powiększyło oziębłość.

- Dzwoniłam do Jean - mówiła Gretchen - i Jean podała mi twój telefon. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. - Wydawała się zaniepokojona.

- Nie, nie - skłamał Rudolf. - Walkonię się w znanej miejscowości wypoczynkowej Dallas Les Bains. A gdzie ty jesteś?

- W Los Angeles. Nie dzwoniłabym do ciebie, ale odchodzę od zmysłów.

Można liczyć na rodzinę, że zawsze sobie znajdzie właściwy czas i miejsce, żeby odchodzić od zmysłów.

- O co chodzi? - spytał.

- O Billy'ego. Czy wiesz, że miesiąc temu przestał studiować?

- Nie - odparł Rudolf. - Wiesz, że rzadko mi się zwierzał ze swoich sekretów.

- Jest w Nowym Jorku, żyje z jakąś dziewczyną.

- Gretchen, złotko - powiedział Rudolf. - W tej chwili w Nowym Jorku jest zapewne z pół miliona chłopców w jego wieku, którzy żyją z jakimiś dziewczynami. Dziękuj Bogu, że nie z jakimś chłopcem.

- Ależ nie o to chodzi - odparła Gretchen. - Biorą go do wojska, ponieważ nie jest już studentem.

- Może mu to wyjdzie na dobre. Parę lat w wojsku może zrobić z niego człowieka.

- Dobrze ci mówić - powiedziała Gretchen z goryczą - bo masz córkę. Ja mam jedynego syna. Nie sądzę, aby kula, która mu przebije głowę, mogła z mojego syna zrobić człowieka.

- Słuchaj, Gretchen - rzekł Rudolf - nie traktuj tego faktu tak automatycznie, że najpierw powołuje się chłopca do wojska, a w dwa miesiące później odsyła zwłoki matce. Istnieje całe mnóstwo chłopców, którzy po odsłużeniu wojska wracają do domu nawet nie

draśnięci.

- Dlatego do ciebie dzwonię - powiedziała Gretchen. - Spraw, żeby z całą pewnością wrócił do domu nawet nie draśnięty.

- A co ja mogę zrobić?

- Znasz mnóstwo ludzi w Waszyngtonie.

- Nikt nie może uchronić przed wzięciem do wojska chłopaka, który zawalił naukę, a jest zdrow, Gretchen. Nawet w Waszyngtonie.

- Wcale nie jestem tego taka pewna - odparła Gretchen - sądząc z tego, co czytałam i słyszałam. Ale wcale cię nie proszę o to, abyś uchronił Billy'ego przed powołaniem do wojska.

- Więc o co mnie prosisz?

- Spraw przez swoje koneksje, żeby Billy, jeśli go wezmą, nigdy nie został wysłany do Wietnamu.

Rudolf westchnął. Fakt, że istotnie znał w Waszyngtonie ludzi, którzy najprawdopodobniej mogli to załatwić i najprawdopodobniej załatwiliby, gdyby ich o to poprosił. Ale był to właśnie ten rodzaj drobnego, uprzywilejowanego wewnętrznego politykierstwa, jakim najwięcej gardził. Raził jego poczucie prawości i rzucał cień na przyczynę, dla której wstąpił na służbę publiczną. W świecie biznesu jest zupełnie normalne, jeśli ktoś przychodzi i prosi o umieszczenie siostrzeńca czy kuzyna na jakimś lepszym stanowisku. Zależnie od tego, ile się jest temu człowiekowi winnym lub jaką to kiedyś przyniesie korzyść, albo po prostu jak bardzo się go lubi, pomaga się temu siostrzeńcowi lub kuzynowi w miarę możliwości, nie zastanawiając się nad tym wiele. Ale wykorzystywanie władzy, jaką się uzyskało dzięki głosom ludzi, którym się obiecało nieskazitelne reprezentowanie i najsurowszy szacunek dla prawa, na uwolnienie własnego siostrzeńca od groźby utraty życia, przy jednocześnie czynnej lub milczącej zgodzie na wysyłanie tysięcy innych chłopców w tym samym wieku na zgubę, to zupełnie inna sprawa.

- Gretchen - rzekł przy leciutkim pobrzękiwaniu przewodów pomiędzy Dallas a Los Angeles - wolałbym, żebyś wymyśliła jakiś inny sposób...

- Jedyny człowiek poza tobą, który mógłby coś zrobić - powiedziała Gretchen unosząc głos - to brat Colina Burke'a. Jest generałem lotnictwa. W tej chwili właśnie przebywa w Wietnamie. Na pewno się postara, żeby Billy nie usłyszał ani jednego strzału.

- Nie tak głośno, Gretchen - rzekł Rudolf odsuwając słuchawkę od ucha. - Słyszę cię doskonale.

- Powiem ci coś. - Teraz już krzyczała histerycznie. - Jeśli mi nie pomożesz, jadę do Nowego Jorku i zabieram Billy'ego z sobą do Kanady albo Szwecji. I będę krzyczała, gdzie się da, dlaczego to robię.

- Gretchen, na litość boską - rzekł Rudolf - co się z tobą stało... zbliżasz się do menopauzy czy co?

Usłyszał odgłos rzuconej z trzaskiem słuchawki. Wstał wolno, podszedł do okna i spojrzął na Dallas. Nie wyglądało wcale lepiej z okna sypialni niż przed chwilą z salonu.

Rodzinka, pomyślał. Zawsze był tym, który bez żadnego zastanowienia usiłował chronić swoją rodzinę. Był tym, który pomagał ojcu przy piecach i rozwoził pieczywo, który trzymał matkę przy życiu. Był tym, który wdawał się w nędzne knowanie z detektywami, był świadkiem bolesnej sceny z Willy Abbottem, pomagał Gretchen przeprowadzić rozwód i zaprzyjaźnił się z jej drugim mężem. Był tym, który zrobił pieniądze dla Toma, aby ten mógł porzucić żywot dzikiego człowieka, jaki wiódł. Był tym, który jeździł na pogrzeb Colina Burke'a na drugi kraniec kontynentu, aby wspierać siostrę w chwilach największego smutku. Był tym, który się podjął odpowiedzialności zabrania Billy'ego - mimo że chłopak się okazał niewdzięczny i odnosił się do niego z pogardą - ze szkoły, kiedy się poczuł nieszczęśliwy. Był tym, który umieścił Billy'ego w Whitby, kiedy oceny ze szkoły średniej ledwie kwalifikowały go do jakiejś szkoły rzemieślniczej. Był tym, który na prośbę matki odszukał Toma w hotelu „Egejskim”, zapoznał się z całą Pięćdziesiątą Trzecią Zachodnią Ulicą, wyłożył pieniądze dla Schultza i załatwił Tomowi u adwokata połączenie z synem i rozwód z prostytutką...

Nie żądał wdzięczności i - myślał cierpko - otrzymał jej cholernie mało. Nie zrobił tego wszystkiego dla zaskarżenia sobie wdzięczności. Był wobec siebie uczciwy. Zdawał

sobie sprawę z obowiązków wobec siebie i innych, i nie mógłby spokojnie żyć, gdyby ich nie wypełnił.

Obowiązki nie kończą się nigdy. To ich zasadnicza cecha.

Podszedł do telefonu i poprosił o numer Gretchen w Kalifornii.

Kiedy podniosła słuchawkę, powiedział:

- Dobrze, Gretchen. Zatrzymam się w Waszyngtonie w drodze na północ i zobaczę, co się da zrobić. Myślę, że możesz się przestać martwić.

- Dziękuję ci, Rudi - odparła Gretchen cichym głosem. - Wiedziałam, że zadzwonisz.

Brad przyszedł do hotelu o piątej trzydzieści. Teksańskie słońce i alkohol uczyniły go czerstwiejszym niż kiedykolwiek. Jak również tęższym i bardziej ekspansywnym. Miał na sobie ciemne lekkie ubranie w paski i plisowaną niebieską koszulę z ogromnymi perłowymi spinkami.

- Przepraszam, że nie mogłem wyjść po was na lotnisko, ale mam nadzieję, że mój człowiek potraktował was, jak należy. - Chlusnął sobie krajowej whisky na kostki lodu i uśmiechnął się promiennie do przyjaciół. - Najwyższy czas, żebyście wy, kolesie, złożyli mi wreszcie wizytę i zobaczyli na własne oczy, skąd się biorą wasze pieniądze. Uruchamiamy nowy szyb i może jutro wynajmę samolot, to polecimy popatrzeć, jak się spisuje. I mam bilety na mecz rugby na sobotę. Największy mecz sezonu. Teksas przeciw Oklahomie. Trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć, co się tutaj będzie działo w tę sobotę.

Trzydzieści tysięcy szczęśliwych pijaków. Żałuję, że nie ma Wirginii. Będzie niepokieszona, kiedy się dowie, że byliście i odjechaliście. Ale ona jest na Północy z wizytą u swojego papcia.

Podobno papcio niezbyt dobrze się czuje. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Szczerze lubię staruszka.

To było zbyt przykre - ta zachodnia serdeczność, bezgraniczna gościnność, ten rozpaczliwy potok południowych pochlebstw.

- Przestań, Brad - rzekł Rudolf. - Po pierwsze, wiemy, dlaczego nie ma Wirginii. Wcale nie dlatego, że pojechała z wizytą do papcia, jak go nazywasz. - Dwa tygodnie temu Calderwood przyszedł do biura Rudolfa i powiedział mu, że Wirginia porzuciła Brada na dobre, ponieważ Brad nawiązał romans z jakąś aktorką filmową w Hollywood, dojeżdża do niej z Dallas trzy razy na tydzień i ma kłopoty finansowe. To właśnie po wizycie Calderwooda Rudolf zaczął coś podejrzewać i zadzwonił do Johnny'ego.

- Wspólniku - rzekł Brad, popijając. - Nie wiem, o czym mówisz.

Właśnie rozmawiałem z moją żoną i powiedziała mi, że lada dzień wróci i...

- Wcale z nią nie rozmawiałeś, a ona wcale nie zamierza wrócić, Brad - powiedział Rudolf. - I wiesz o tym.

- I wiesz jeszcze mnóstwo innych rzeczy - rzekł Johnny. Stał między Bradem a drzwiami, prawie jakby się spodziewał, że Brad rzuci się nagle do ucieczki. - I my też wiemy.

- Rany - odparł Brad - gdybyście wy, chłopcy, nie byli moimi kumplami, których znam od urodzenia, przysiągłbym, że słyszę w waszych głosach wrogą nutę. - Pocił się mimo klimatyzacji, a jego niebieska koszula miała ciemne plamy. Napelnił sobie znowu szklankę. Jego krótkie i grube palce z wymanikiurowanymi paznokciami trzęsły się, kiedy nakładał lodu.

- Wytłumacz się, Brad - rzekł Johnny.

- No cóż... - Brad zaśmiał się, a raczej próbował się roześmiać. - Zdarzało mi się czasem zdradzać żonę. Ty mnie znasz, Rudi, nie mam tej siły charakteru co ty, nie mogę się powstrzymać, jak mi lezie prosto w ręce kawał dobrej dupy. Ale Wirginia robi z tego nie wiadomo co i...

- Nas nie obchodzi Wirginia i ty - rzekł Johnny. - Nas obchodzi, na co poszły nasze pieniądze.

- Co miesiąc dostajecie sprawozdanie - odparł Brad.

- O tak, dostajemy - powiedział Johnny.

- Ostatnio mieliśmy trochę pecha. - Brad wytarł twarz wielką płócienną chusteczką z monogramem. - Mój papcio, Panie świeć nad jego duszą, zwykł był mawiać o naszym

zawodzie nafciarzy: „Jak nie lubisz fal, nie pchaj się do wody.”

- Przeprowadziliśmy małą kontrolę - rzekł Johnny - i obliczamy, że w ciągu minionego roku ukradłeś nam w przybliżeniu po siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

- Wy sobie żartujecie - powiedział Brad. Twarz zrobiła mu się teraz purpurowa, a uśmiech miał przylepiony, jakby rozprasowany na stałe na czerstwej, napiętej skórze nad zwilgotniałym kołnierzykiem. - Na pewno żartujecie. To jakiś kawał. Jezu, sto czterdzieści tysięcy dolarów!

- Brad... - rzekł Rudolf ostrzegawczo.

- No dobra - podjął Brad. - Domyślam się, że nie żartujecie. - Osunął się na kwiecistą kanapę: tęgi, znużony człowiek o zaokrąglonych ramionach, na tle jaskrawych barw najlepszego mebla w najlepszym apartamencie najlepszego hotelu w Dallas, w stanie Teksas. - Powiem wam, jak to się stało.

A stało się to tak, że Brad przed rokiem udał się do Hollywood, aby poszukać nowych inwestorów, i poznał tam gwiazdeczkę imieniem Sandra Dilson. „Słodką, niewinną istotkę”, jak ją określił.

Wariował za nią, powiedział, ale minęło wiele czasu, nim pozwoliła mu się dotknąć. Aby wyrzeć na niej wrażenie, zaczął kupować jej biżuterię.

- Nie macie pojęcia, ile każą sobie płacić za kamienie w tym mieście - mówił. - Zupełnie, jakby sami sobie drukowali pieniądze.

- I żeby wyrzeć na niej jeszcze większe wrażenie, stawiał wielkie sumy, gdy szli na wyścigi. - Jeżeli chcecie wiedzieć prawdę - mówił - ta dziewczyna nosi na sobie biżuterię wartości około czterystu tysięcy dolarów, kupioną za moje pieniądze. A miałem z nią w łóżku takie chwile - rzekł wyzywająco - że w pełni zasługiwała na nią, co do centa. Kocham ją i straciłem dla niej głowę, i jestem w pewien sposób z tego dumny, i chętnie poniosę wszelkie konsekwencje.

By zdobyć pieniądze, zaczął fałszować miesięczne sprawozdania.

Donosił o poszukiwaniach i wierceniach szybów uznanych za suche lub nierentowne już przed laty i podawał ceny oprzyrządowania dziesięcio-, piętnastokrotnie wyższe. Miał w swoim biurze wtajemniczonego księgowego, który o wszystkim wiedział,

ale płacił mu za milczenie i dopuścił do spółki. Zdarzały się już złowróżbne dociekania ze strony innych inwestorów, ale do tej pory Brad wychodził ze wszystkich obronną ręką.

- Ilu w tej chwili masz inwestorów? - spytał Johnny.

- Pięćdziesięciu dwóch.

- Pięćdziesięciu dwóch idiotów - rzekł Johnny z goryczą.

- Nigdy dotąd nie robiłem czegoś podobnego - oświadczył Brad z całą prostotą. - Moja reputacja w Oklahomie i Teksasie jest czysta jak kryształ. Spytajcie, kogo chcecie. Ludzie mi ufali. I mieli prawo.

- Pójdiesz do pudła, Brad - rzekł Rudolf.

- Chyba nie zrobisz mi tego... swemu staremu przyjacielowi, który siedział obok ciebie w dniu ukończenia uczelni, co, Rudi?

- Bez namysłu - odparł Rudolf.

- Chwileczkę, chwileczkę - wtrącił się Johnny - poczekajmy z rozmową o pudle. Mnie bardziej interesuje wycofanie pieniędzy niż wsadzenie tego kretyna do pudła.

- No proszę - rzekł Brad z zapalem. - Tak właśnie należy rozmawiać. Rozsądnie.

- Jak się przedstawiają twoje aktywa? - spytał Johnny. - W obecnej chwili.

- No proszę - powtórzył Brad. - Teraz mówimy jak należy. Jeszcze nie leżę na obu łopatkach. Jeszcze mam kredyt.

- Gdy wyjdiesz z tego pokoju, Brad - rzekł Rudolf - nie będziesz mógł w żadnym banku w tym kraju pożyczyć nawet dziesięciu centów.

Już ja się o to postaram. - Trudno mu było ukrywać swój wstręt.

- Johnny... - Brad odwołał się do Heatha. - On jest mściwy.

Powiedz mu. Rozumiem, że jest trochę zły, ale żeby być tak mściwym...

- Pytam cię o aktywa - rzekł Johnny.

- Cóż - odparł Brad - w księgach nie wygląda to zbyt... zbyt optymistycznie. - Uśmiechnął się z nadzieją. - Ale od czasu do czasu udawało mi się zgromadzić trochę gotówki. Można powiedzieć, na czarną godzinę. Mam ją tu i ówdzie w depozycie. Oczywiście za mało tego, żeby spłacić wszystkich, ale was dwóch w poważnym stopniu.

- Czy to pieniądze Wirginii? - spytał Rudolf.

- Pieniądze Wirginii - zachnął się Brad. - Jej stary tak mocno obwarował jej pieniądze, że choćbym ginął z głodu, nie mógłbym za nie kupić nawet parówki.

- Był dużo sprytniejszy od nas - rzekł Rudolf.

- Jezu, Rudolf - jęknął Brad - wcale nie musisz mi tego wciąż wypominać.

- Ile masz tej gotówki? - spytał Johnny.

- Rozumiesz, Johnny - rzekł Brad - tego nie ma w księgach towarzystwa ani żadnych innych.

- Rozumiem - odparł Johnny - Ile?

- Blisko sto tysięcy. Mógłbym wam dać po prawie pięćdziesiąt tysięcy a conto. I osobiście gwarantuję, że później wypłacę resztę.

- Jak? - spytał Rudolf brutalnie.

- No więc, wiercimy jeszcze nowe szyby... - Rudolf wiedział, że Brad kłamie. - A poza tym mógłbym pójść do Sandry i powiedzieć, że chwilowo jestem w tarapatkach, więc żeby zwróciła mi biżuterię i... - pokręcił głową z niedowierzaniem. - I naprawdę sądzisz, że ona to zrobi?

- To wspaniała dziewczyna, Rudi. Muszę was kiedyś poznać.

- Och, dorośnij wreszcie, na miłość boską - rzekł Rudolf.

- Zaczekaj tu - powiedział Johnny do Brada. - Chcę porozmawiać z Rudim sam na sam. - Ostentacyjnie zabrał z sobą papiery, które przeglądał, i skierował się w stronę sypialni Rudolfa.

- Nie weźmiecie mi za złe, jeśli przygotuję sobie tymczasem coś do picia? - spytał Brad.

Znalazszy się z Rudolfem w sypialni, Johnny zamknął za sobą drzwi.

- Musimy podjąć decyzję - rzekł. - Skoro mówi, że ma blisko sto tysięcy gotówką, możemy je wziąć i zmniejszyć nasze straty. Wtedy wynosiłyby one około dwudziestu tysięcy dolarów. Jeśli nie weźmiemy tej gotówki, musimy o niej donieść, zażądać zebrania wierzycieli i prawdopodobnie doprowadzić go do bankructwa. O ile nie wystąpimy na drogę sądową. Wtedy wszyscy jego wierzyciele będą mieli prawo do równej części tych pieniędzy albo przynajmniej pro rata, zależnie od rozmiaru inwestycji i

wielkości sumy, jaką w chwili obecnej jest im winien.

- A czy on ma prawo spłacić nas w ten sposób, preferencyjnie?

- No cóż, nie uległ jeszcze bankructwu - odparł Johnny. - Sądzę, że wyszlibyśmy z tego obronną ręką w każdym sądzie.

- Nic z tego - powiedział Rudolf. - Niech wrzuci te pieniądze do wspólnej puli. I weźmiemy od niego dzisiaj klucze do sejfów, żeby nie mógł podjąć tych pieniędzy z depozytu.

Johnny westchnął.

- Bałem się, że to powiesz - rzekł. - Chodząca rycerskość.

- Wcale nie znaczy, że jak on jest kanciarzem - zachnął się Rudolf - to i ja będę kanciarzem, i będę zmniejszał swoje straty, jak powiadasz.

- Powiedziałem, że prawdopodobnie wyszlibyśmy z tego obronną ręką w każdym sądzie.

- To za mało - rzekł Rudolf. - Dla mnie to jeszcze za mało.

Johnny spojrzał w zamyśleniu na Rudolfa.

- A co byś zrobił, gdybym poszedł do niego i powiedział, dobra, biorę swoją połowę i zrzekam się pretensji do reszty?

- Doniósłbym o tym na zebraniu wierzycieli - odparł Rudolf niewzruszenie - i zażądał zwrotu pod groźbą postawienia cię przed sądem.

- Poddaję się, mój drogi - powiedział Johnny. - Kto potrafi stawić czoło uczciwemu politykowi?

Wrócili do salonu. Brad stał przy oknie z pełną szklanką whisky w ręku i biletami na największy mecz sezonu w portfelu, patrząc na bogate, przyjazne miasto Dallas. Johnny wyjaśnił mu, co postanowili. Brad skinął głową - odrętwiały, niezupełnie rozumiejący, o co chodzi.

- Masz tu być jutro rano o dziewiątej - rzekł Rudolf. - Przed otwarciem banków. Odwiedzimy razem z tobą wszystkie sejfy w bankach, o których mówiłeś, i zaopiekujemy się tymi pieniędzmi.

Damy ci pokwitowanie, żebyś miał dla swojej księgowości. Jeśli nie będzie cię

tutaj minuta przed dziewiątą, zadzwonię na policję i oskarżę o oszustwo.

- Rudi... - zaczął Brad płacząco.

- A jeżeli zależy ci na tych wymyślnych spinkach z perłami - powiedział Rudolf - to radzę ci je gdzieś ukryć, bo z końcem miesiąca szeryf przyjdzie zająć na poczet długów twój majątek, każdą rzecz, jaka do ciebie należy, łącznie z tą śliczną, plisowaną koszulą, którą masz na sobie.

- Wy, chłopaki - rzekł Brad urywanym głosem. - Wy, chłopaki... wy nie wiecie, jak to jest. Jesteście bogaci, macie żony z milionami, macie wszystko, czego tylko chcecie. Nie wiecie, jak to jest być kimś takim jak ja.

- Nie łam nam serc - odparł Rudolf szorstko. Nigdy w życiu nie był na nikogo bardziej zły. Musiał się powstrzymać, żeby nie skoczyć na tego człowieka i nie zacząć go dusić. - Tylko bądź tu jutro o dziewiątej.

- Dobrze. Będę - powiedział Brad. - Sądzę, że nie zechcecie zjeść ze mną obiadu?

- Wynoś się, nim cię zamorduję - rzekł Rudolf.

Brad podszedł do drzwi.

- Cóż - powiedział - bawcie się dobrze w Dallas. To wspaniałe miasto. I pamiętajcie... - wskazał pokoje, napoje. - To wszystko na mój rachunek.

Wyrzekłszy te słowa, wyszedł.

Rudolf nie miał czasu zadzwonić do domu następnego ranka. Brad przyszedł o dziewiątej, jak mu kazano, z zaczerwienionymi oczyma, jakby nie spał całą noc, i przyniósł klucze od sejfów w różnych bankach w Dallas. Ottman nie zadzwonił poprzedniego wieczoru, choć Rudolf i Johnny zjedli obiad w restauracji hotelowej, żeby być na miejscu, gdyby telefonował. Rudolf uznał to za znak, że wszystko poszło gładko na Uniwersytecie Whitby i że obawy Ottmana były przesadzone.

Rudolf i Johnny, z wlokącym się za nimi Bradem, udali się do kancelarii adwokata, którego znał Johnny. Adwokat wypisał Johnny'emu pełnomocnictwo do występowania w imieniu Rudolfa. Miał on pozostać w Dallas aby uporządkować cały ten bałagan.

Następnie, wzięwszy z sobą urzędnika z kancelarii adwokata na świadka, jeździli od banku do banku i patrzyli, jak Brad otwiera sejfy i wyjmuje pliki banknotów. Wszyscy czterej liczyli skrupulatnie pieniądze, a następnie urzędnik wystawiał pokwitowanie, które Rudolf i Johnny podpisywali na dowód, że otrzymali tę sumę od Bradforda Knighta, i opatrywali datą. Urzędnik z kancelarii adwokata poświadczał odpowiednio owo pokwitowanie, po czym szli wszyscy ze skarbcza bankowego na główne piętro i deponowali pieniądze na wspólnym koncie Rudolfa i Johnny'ego, z zastrzeżeniem, że jakakolwiek suma może być podjęta jedynie za okazaniem obydwu podpisów. Procedurę tę Rudolf i Johnny obmyślili poprzedniego wieczoru, wiedząc, że odtąd wszystko, co ma związek z Bradfordem Knightem, będzie podlegało drobiazgowemu badaniu.

Po opróżnieniu ostatniego schowka ostateczna suma wyniosła dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów. Brad określił więc niemal ściśle, ile pieniędzy ukrył na „czarną godzinę”. Ani Johnny, ani Rudolf nie pytali go, skąd pochodzą te pieniądze. To będzie należało do kogoś innego.

Wizyta w kancelarii adwokackiej i objazd banków zajęły im większą część ranka i Rudolf musiał się śpieszyć, żeby złapać samolot, który odlatywał z Dallas do Waszyngtonu o dwunastej w południe.

Wychodząc z hotelowego apartamentu z walizką i teczką zobaczył, że z całego zestawu butelek na stole otwarta była tylko butelka coca-coli, którą sam wypił, i butelka krajowej whisky, z której pił Brad.

Brad zaofiarował się, że odwiezie go na lotnisko swoim samochodem.

- Przynajmniej dziś - powiedział usiłując się uśmiechnąć - mam jeszcze swego Cadillaca. Czemu więc z niego nie skorzystać? - Ale Rudolf odmówił i wezwał taksówkę. Wsiadając poprosił Johnny'ego, żeby zadzwonił do jego biura w Whitby i zawiadomił sekretarza, że nie może jeszcze wrócić do domu, ale będzie osiągalny w hotelu „Mayflower” w Waszyngtonie.

W samolocie nie jadł lunchu ani nie pił manhattanów. Wyjął z teczki sprawozdanie rewidenta księgowego, ale nie mógł skupić uwagi na cyfrach, które miał przed sobą.

Myślał więc o Bradzie - skazanym na zgubę, napiętnowanym bankrucie z wiszącą

nad głową groźbą więzienia. A wszystko to przez kogo?

Przez żadną pieniędzy hollywoodzką dziwkę. Odrażające! Kochał ją, mówił, gra była warta świeczki. Miłość, Piąty Jeździec Apokalipsy.

Przynajmniej w Teksasie. A zdawało się, że Brad nie jest zdolny do tego uczucia. Był człowiekiem urodzonym - Rudolf wiedział teraz - do przebywania w knajpach i burdelach. Może wiedział o tym cały czas, tylko nie chciał się pogodzić z tym faktem. Mimo to zawsze trudno uwierzyć w istnienie miłości u innych ludzi. Może odmowa pogodzenia się z faktem, że Brada stać na uczucie miłości, była przejawem protekcjonalności z jego, Rudolfa strony. On sam kocha Jean, myślał, ale czy byłby gotów zrujnować się dla niej?

Odpowiedź musi brzmieć: nie. Czyżby więc był mniej wrażliwy od tego bełkotliwego, spoconego człowieka w wymiętej koszuli? I czy jest w jakiś sposób odpowiedzialny za ten okropny dzień, jaki przyjaciel przeżywa, i jeszcze okropniejsze, które nadejdą? Kiedy zniweczył szansę Brada u Calderwooda na schodach klubu na weselu, czy nie przygotował wówczas nieświadomie Bradowi jego losu? Kiedy zainwestował pieniądze w interes Brada z poczucia winy, to czy naprawdę nie wiedział, że Brad któregoś dnia się zemści, i to w jedyny możliwy dla siebie sposób, przez oszustwo? I czy w rzeczywistości nie pragnął, aby tak się stało, żeby się wreszcie pozbyć Brada, ponieważ Brad nie wierzył w to, co on mówił o Wirginii? A co jeszcze bardziej niepokojące, gdyby uległ Wirginii Calderwood i przespał się z nią, to czy wyszłaby za Brada, a czyniąc to wyrwałaby swego męża spod opieki przyjaciela? Nie ulega bowiem wątpliwości, że przez te wszystkie lata ochraniał Brada, sprowadzając go najpierw na Wschód dla objęcia stanowiska, na którym dziesiątki innych ludzi od początku spisywałyby się lepiej, następnie szkoląc go pilnie (i przepłacając zarazem) tak, aby przynajmniej w pojęciu Brada przyznanie mu najwyższego stanowiska w firmie było uzasadnione. W jakim momencie zaprzestanie opieki nad przyjacielem jest moralnie słuszne? Nigdy?

Łatwiej byłoby pozwolić Johnny'emu Heathowi jechać do Dallas i załatwić sprawę samemu. Johnny też był przyjacielem Brada i pierwszym drużbą na jego weselu, ale to

nie to samo, co istniało między Rudolfem i Bradem. Jakoś boleśniej było dla Brada tłumaczenie się przed Rudolfem, twarzą w twarz. Bóg wie, że łatwo byłoby Rudolfowi wytłumaczyć się nawalem pracy w Whitby i wysłać Heatha samego. Rozważał tę możliwość, ale odrzucił jako tchórzostwo. Wybrał się w tę podróż dla zachowania szacunku dla samego siebie. Własny szacunek mógł być innym określeniem próżności. Czyżby stałe sukcesy stępiły jego wrażliwość, doprowadziły go do samozadowolenia i obłudy?

Kiedy bankructwo zostanie ostatecznie stwierdzone, postanowił, będzie wspomagał w jakiś sposób Brada. Pięć tysięcy dolarów Brada.

Pięć tysięcy dolarów rocznie wypłacanych w tajemnicy, aby ani wierzyciele Brada, ani rząd nie mogli się do nich dostać? Czy te pieniądze, których Brad będzie tak rozpaczliwie potrzebował i które będzie musiał przyjąć, opłacą ból konieczności przyjmowania ich od kogoś, kto odwrócił się do niego plecami?

Zaświecił się napis nakazujący zapięcie pasów. Schodzili do lądowania. Rudolf włożył papiery z powrotem do teczki, westchnął i zapiął pas.

W hotelu „Mayflower” zastał oczekującą go wiadomość. Sekretarz prosił go o jak najszybszy telefon.

Rudolf poszedł na górę do swego pokoju, gdzie nikt nie zatroszczył się o dostarczenie mu napojów, i zadzwonił do swojego biura. Dwa razy linia była zajęta i Rudolf już niemal postanowił zaniechać wysiłków połączenia się z biurem, a skontaktować się z senatorem, który może pomógłby mu załatwić, aby w armii Stanów Zjednoczonych nie stała się Billy'emu Abbottowi jakaś krzywda. Nie była to sprawa, jaką załatwia się przez telefon, więc Rudolf miał nadzieję, że umówi się z senatorem na lunch następnego dnia, a potem wsiądzie w popołudniowy samolot do Nowego Jorku.

Za trzecim razem sekretarz podniósł słuchawkę.

- Strasznie mi przykro, panie burmistrzu - mówił Walter, jakby był wyczerpany - ale obawiam się, że będzie lepiej, jeśli pan natychmiast przyjedzie. Wczoraj po zamknięciu biura, kiedy już byłem w domu, rozpętało się całe piekło. Dowiedziałem się o tym dopiero

dziś rano, bo bym inaczej zadzwonił wcześniej.

- Co się stało? Co się stało? - spytał Rudolf niecierpliwie.

- Wszystko jest strasznie zagmatwane i nie jestem pewien, czy znam prawdziwą kolejność wypadków - rzekł Walter. - Ale kiedy Ottman próbował wejść wczoraj do akademika, studenci się zabarykadowali, to znaczy, nie chcieli wpuścić policji. Rektor Dorlacker zażądał od Ottmana, żeby odwołał policję, ale Ottman odmówił. Kiedy spróbowali znowu wejść do środka, studenci zaczęli rzucać różnymi przedmiotami. Ottman dostał kamieniem w oko; mówią, że to nic poważnego, ale jest w szpitalu, i policja odstąpiła, przynajmniej na tę noc. Potem inni studenci zorganizowali marsz i obawiam się, że demonstrowali przed pana domem. Byłem tam przed chwilą; trawnik jest w okropnym stanie. Pani Jordach otrzymała środki uspokajające i...

- Resztę opowie mi pan po moim przyjeździe - powiedział Rudolf. - Wsiadam w pierwszy samolot do Nowego Jorku.

- Właśnie myślałem, że pan tak zrobi - odparł Walter - i pozwoliłem sobie posłać Scanlona z pana samochodem. Będzie na pana czekał na lotnisku La Guardia.

Rudolf wziął swoją walizkę i teczkę, zszedł spieszenie do hallu i wymeldował się z hotelu. Kariera wojskowa Billy'ego Abbotta będzie musiała na razie pozostać w zawieszaniu.

Scanlon był grubasem, który mówiąc sapał. Był policjantem, ale ponieważ miał blisko sześćdziesiąt lat, groziło mu przeniesienie na emeryturę. Cierpiał na reumatyzm i wyznaczono go na kierowcę Rudolfa niemal z litości. Rudolf wyrzekł się służbowego samochodu, którego używał poprzedni burmistrz, dając tym lekcję poglądową obywatelskiej oszczędności, i jeździł własnym.

- Gdybym miał jeszcze raz przeżyć życie - mówił Scanlon sapiąc - to przysięgam Bogu, nigdy bym nie służył w policji w takim mieście, gdzie są studenci i czarnuchy.

- Scanlon, proszę was - powiedział Rudolf. Od pierwszego dnia starał się korygować słownictwo Scanlona, ale z miernym skutkiem.

Siedział na przednim siedzeniu obok starego służbisty, który jechał irytująco powoli. Ale czułby się urażony, gdyby Rudolf siadł za kierownicą.

- Poważnie, panie burmistrzu - ciągnął Scanlon. - To dzikie zwierzęta. Nie mają większego szacunku dla prawa niż zgraja hien.

A jak idzie o policję... oni się z nas wprost śmieją. Nie chcę panu mówić, co pan powinien zrobić, panie burmistrzu, ale na pana miejscu poszedłbym prosto do gubernatora i poprosił go o gwardię narodową.

- Jeszcze na to czas - odparł Rudolf.

- Niech pan zapamięta moje słowa - rzekł Scanlon. - Dojdzie do tego. Dość popatrzeć, co zrobili w Nowym Jorku i w Kalifornii.

- Nie jesteśmy w Nowym Jorku i w Kalifornii - powiedział Rudolf.

- Mamy studentów i czarnuchów - obstawał Scanlon przy swoim. Przez pewien czas jechał w milczeniu. Potem rzekł: - Gdyby pan był wczoraj wieczorem u siebie, panie burmistrzu, to wtedy może by pan wiedział, o czym mówię.

- Słyszałem już - odparł Rudolf. - Zdeptali ogród.

- Zrobili dużo więcej - powiedział Scanlon. - Ja sam tam nie byłem, ale Ruberti mi mówił. - Ruberti to inny policjant. - Grzech, co tam nawyprawiali, mówił Ruberti, grzech. Wołali pana i wyśpiewywali sprośne piosenki, młode dziewczęta wykrzykiwały najsprośniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszano, powyrywali wszystkie rośliny w pana ogrodzie, a kiedy pani Jordach otworzyła drzwi...

- Otworzyła drzwi? - Rudolf był przerażony. - Po co to zrobiła?

- No tak, zaczęli rzucać różnymi rzeczami w okna. Grudami ziemi i puszkami od piwa i wrzeszczeć: „Powiedzcie temu skurwysynowi, żeby wyszedł”. Za przeproszeniem, mieli pana na myśli, panie burmistrzu. Tam był tylko Ruberti i Zimmermann, bo wszyscy inni znajdowali się na terenie uniwersytetu. A co ich dwóch mogło zrobić przeciwko bandzie rozwrzeszczanych, dzikich Indian, których było może ze trzy setki. Więc, jak powiadam, pani Jordach otworzyła drzwi i wrzasnęła na nich.

- Jezu - jęknął Rudolf.

- Wolę, żeby pan usłyszał to teraz ode mnie, niż później od kogo innego - rzekł Scanlon. - Kiedy pani Jordach otworzyła drzwi, była pijaniuteńka. I zupełnie goła.

Rudolf całą siłą skierował wzrok na tylne światła samochodów jadących przed

nimi i oślepiający blask reflektorów aut nadjeżdżających z przeciwka.

- W tłumie był jeden chłopak, fotograf z gazety uniwersyteckiej - ciągnął Scanlon - i zrobił kilka zdjęć przy fleszu. Ruberti chciał go złapać, ale koledzy zrobili coś w rodzaju zapory i chłopak uciekł. Nie wiem, co chcą zrobić z tymi zdjęciami, ale je mają.

Rudolf kazał Scanlonowi jechać wprost na uniwersytet.

Główny budynek administracyjny był rzęsiście oświetlony i w każdym oknie siedzieli studenci; wyrzucali tysiące papierów z segregatorów i wrzeszczeli na policję - niepokojąco nieliczną, ale już uzbrojoną w pałki - która otaczała kordonem budynek.

Podjechawszy do miejsca, gdzie pod drzewem stał zaparkowany samochód Ottmana, Rudolf zobaczył, co zrobiono z fotografią jego nagiej żony. Została monstrualnie powiększona i zwisiała z okna pierwszego piętra. W blasku reflektorów obraz nagiej Jean, szczupłej i doskonale zbudowanej - jej pełne piersi, jej zaciśnięte i grożące pięści, jej twarz oszalała - wisiał jak urągający sztandar nad wejściem do budynku, tuż nad wykutymi w kamieniu słowami: „Poznaj prawdę, a prawda cię wyzwoli”.

Gdy Rudolf wysiadł z samochodu, kilku studentów w oknach poznało go i powitało dzikim tryumfalnym wyciem. Ktoś wychylił się z okna i potrząsnął fotografią Jean, która wyglądała niby w jakimś wyuzdanym tańcu.

Ottman stał przy swoim samochodzie z wielkim bandażem na oku i miał czapkę zsuniętą na tył głowy. Tylko sześciu policjantów założyło hełmy. Rudolf pamiętał, jak przed pół rokiem odrzucił prośbę Ottmana o dwa tuziny hełmów, ponieważ wydawało mu się to zbędnym wydatkiem.

- Sekretarz pana powiedział nam, że jest pan w drodze - rzekł Ottman bez żadnych wstępów - wstrzymaliśmy więc akcję do przybycia pana. Trzymają tam u siebie Dorlackera i dwóch profesorów. Zajęli budynek dopiero o szóstej wieczorem.

Rudolf kiwnął głową przyglądając się badawczo budynkowi. W jednym z okien na parterze zobaczył Quentina McGoverna. Quentin był już dyplomantem i pracował jako asystent na wydziale chemicznym.

Spoglądał z drwiącym uśmiechem na widok, jaki miał przed sobą, i Rudolf był

przekonany, że Quentin go zobaczył i że ten drwiący uśmiech był skierowany do niego osobiście.

- Cokolwiek się dziś zdarzy, Ottman - rzekł Rudolf - chcę, żeby pan aresztował tego czarnego w trzecim oknie od lewej na parterze.

Nazywa się McGovern i jeśli nie złapiecie go tutaj, aresztujcie go w domu.

Ottman kiwnął głową.

- Oni chcą z panem rozmawiać. Żeby pan tam wszedł i przedyskutował z nimi sytuację.

Rudolf potrząsnął głową.

- Tu nie ma o czym dyskutować. - Nie miał zamiaru z nikim rozmawiać pod fotografią swojej nagiej żony. - Wejdźcie i zróbcie porządek.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić - odparł Ottman. - Już trzy razy wzywałem ich do wyjścia. Tylko się śmieją.

- Powiedziałem: oczyścić budynek! - Rudolf był wściekły, ale opanowany. Wiedział, co robi.

- W jaki sposób? - spytał Ottman.

- Macie broń.

- Nie chce pan chyba, żebyśmy użyli broni? - spytał Ottman z niedowierzaniem. - O ile wiemy, nikt z nich nie jest uzbrojony.

Rudolf zawahał się.

- Nie - rzekł - nie chodzi mi o broń palną. Ale macie pałki i macie gaz łzawiący.

- Na pewno nie chce pan, żebyśmy po prostu siedzieli i czekali, aż się zmęczą? - spytał Ottman. Jego głos zdradzał większe zmęczenie niż zmęczenie studentów. - A jak sytuacja się nie naprawi, poprosić może o gwardię?

- Nie, nie chcę siedzieć i czekać. - Rudolf tego nie mówił, ale wiedział, że Ottman się domyśla, iż chce natychmiast zdjąć fotografię żony. - Niech pan każe swoim ludziom użyć granatów łzawiących.

- Panie burmistrzu - rzekł Ottman powoli - będzie pan musiał dać mi to na piśmie. Z podpisem.

- Niech mi pan da bloczek - powiedział Rudolf.

Ottman dał mu bloczek i Rudolf, oparłszy bloczek o zderzak Ottmanowego samochodu, wypisał ów nakaz starając się pisać czytelnie i wyraźnie. Podpisał się i oddał bloczek Ottmanowi, który wydarł kartkę z podpisem Rudolfa i złożony ją starannie, wsunął do kieszeni bluzy. Zapląt kieszeń bluzy i dopiero wtedy ruszył wzdłuż kordonu, liczącego około trzydziestu ludzi - cała policja miejska - by wydać rozkazy. Kiedy ich mijali, policjanci nakładali maski gazowe.

Kordon policji ruszył powoli przez trawnik do budynku, a jego cienie w blasku reflektorów były ogromne na lśniącej, zielonej trawie. Policjanci nie szli równą linią, ale chwiejącą się niepewnie, i wyglądali jak jakieś długie, ranne zwierzę, które nie chce nikomu zrobić krzywdy tylko znaleźć miejsce, aby się ukryć przed dręczycielami. Potem przez jedno z najniższych okien wpadł pierwszy granat i wewnątrz rozległ się krzyk. Następnie przez okna rzucono więcej granatów; twarze, które tam były, znikły, i policjanci pojedynczo, pomagając jeden drugiemu, zaczęli się wspinać do środka budynku.

Za mało było policjantów, żeby móc ich posłać na tyły budynku, więc większość studentów tamtędy uciekła. Gryzący zapach gazu dotarł do miejsca, w którym stał Rudolf patrząc w górę, gdzie wciąż wisiała powiększona fotografia Jean. W oknie pojawił się policjant, który ją zerwał i zabrał z sobą.

Niebawem było po wszystkim. Zaaresztowano zaledwie około dwudziestu osób. Trzej studenci krwawili z ran głowy, a jednego chłopca, który zakrywał sobie rękami oczy, wyniesiono. Jakiś policjant powiedział, że chłopiec oślepl, ale to pewnie tylko chwilowe. Wśród aresztowanych nie było Quentina McGoverna.

Wyszedł Dorlacker z dwoma profesorami - wszyscy z łzawiącymi oczyma. Rudolf podszedł do niego.

- Czy nic się panom nie stało? - spytał.

Dorlacker spojrzał ukośnie, chcąc wiedzieć, kto mówi.

- Nie będę z panem rozmawiał, Jordach - rzekł. - Jutro złożę oświadczenie w prasie i dowie się pan, co o panu myślę, jeśli pan kupi wieczorne wydanie własnej gazety. - Wsiadł do czyjogoś samochodu i odjechał.

- Chodźmy - powiedział Rudolf do Scanlona. - Odwieziecie mnie do domu.

Kiedy wyjeżdżali z terenu uniwersytetu, mijaly ich ambulanse z włączonymi syrenami. Autobus szkolny, wysłany po aresztowanych studentów, przejechał obok z turkotem.

- Scanlon - powiedział Rudolf - wygląda na to, że od dziś nie będę już burmistrzem tego miasta, co?

Scanlon długo nie odpowiadał. Krzywił się obserwując ulicę przed sobą i sapał jak starzec, kiedy musiał zawrócić na jakimś rogu.

- Tak, panie Jordach - odparł wreszcie - wygląda na to, że nie.

ROZDZIAŁ VII

Kiedy tym razem wysiadł z samolotu na lotnisku Kennedy'ego, nikt nie wyszedł na spotkanie. Nie napisał do Rudolfa, że przyjeżdża, ponieważ wiedział z listów Gretchen, iż Rudolf ma zbyt wiele spraw na głowie, aby móc się jeszcze kłopotać na wpół ślepym bratem.

Zimą, podczas pracy na jachcie w porcie Antibes pękła linka i chlasnęła go przez twarz, a następnego dnia zaczął miewać zawroty głowy i widzieć podwójnie. Udawał, że nic się nie stało, bo nie chciał, by Kate i Wesley martwili się o niego. Napisał do pana Goodharta z prośbą o przysłanie adresu dobrego okulisty w Nowym Jorku, a gdy otrzymał odpowiedź, powiedział Kate, że jedzie do Nowego Jorku, aby załatwić ostatecznie sprawę rozwodu. Kate suszyła mu głowę, żeby się z nią ożenił; a on nie miał jej tego za złe. Była w ciąży i miała rodzić w październiku, a zbliżała się już połowa kwietnia.

Zmusiła go do kupna nowego ubrania i gotów był teraz stawić czoła każdemu prawnikowi i portierowi. Miał na sobie kurtkę po zmarłym Norwegu, bo wyglądała jeszcze porządnie i wolał nie wyrzucać bez sensu pieniędzy.

Cały samolot ludzi, którzy jeździli na narty, wylądował tuż przed nim. Hall bagażowy mrowił się od opalonych, zdrowo wyglądających i dziwacznie poubieranych mężczyzn i kobiet z nartami, w większości głośnych i mniej lub bardziej pijanych. Wypatrując swej walizki usiłował nie być nastawiony antyamerykańsko.

Wziął taksówkę, chociaż to był poważny wydatek, bo czuł, że nie poradzi sobie z wsiadaniem i wysiadaniem z autobusu, manipulowaniem walizką i trudem znalezienia taksówki w Nowym Jorku.

- Hotel „Paramount” - powiedział taksówkarzowi i opadł ciężko na siedzenie, zamykając oczy.

Kiedy zameldował się w hotelu i znalazł się w swoim pokoju, który był mały i ciemny, zadzwonił do lekarza. Chętnie poszedłby do niego od razu, ale pielęgniarka powiedziała, że doktor będzie mógł go przyjąć dopiero po jedenastej następnego dnia. Rozebrał się i położył do łóżka. Była dopiero szósta nowojorskiego czasu, ale jedenasta

nicejskiego, a on wsiadł do samolotu w Nicei. Czuł się jakby nie spał od czterdziestu ośmiu godzin.

- Siatkówka jest częściowo odklejona - zawyrokował lekarz. Badanie było żmudne, gruntowne i bolesne. - Obawiam się, że będę musiał przekazać pana chirurgowi.

Tom kiwnął głową. Nowa bolączka.

- Ile to będzie kosztowało? - spytał. - Jestem człowiekiem pracującym i nie stać mnie na ceny rzędu Park Avenue.

- Rozumiem - odparł lekarz. - Wyjaśnię doktorowi Halliwellowi.

Pielęgniarka ma pański numer telefonu, prawda?

- Tak.

- Zadzwoń do pana i powie, kiedy ma się pan stawić w szpitalu.

Będzie pan w dobrych rękach. - Uśmiechnął się uspokajająco. Jego własne oczy były duże, czyste, bez blizn i zmian chorobowych.

Trzy tygodnie później wyszedł ze szpitala. Twarz miał ściągniętą i bladą i lekarz ostrzegł go, że musi długo jeszcze unikać gwałtownych ruchów i dużego wysiłku. Stracił około siedmiu kilogramów i kołnierzyk odstawał mu od szyi, a ubranie zwisało z ramion. Ale nie widział już podwójnie i nie miał zawrotów głowy, kiedy nią poruszał. Cała rzecz kosztowała go nieco ponad tysiąc dwieście dolarów, ale gra była warta świeczki.

Zameldował się znowu w hotelu „Paramount” i zadzwonił do nowojorskiego mieszkania Rudolfa. Rudolf sam podniósł słuchawkę.

- Rudi - rzekł Tom - jak się masz?

- Kto mówi?

- Tom.

- Tom! Gdzie jesteś?

- Tutaj. W Nowym Jorku. W hotelu „Paramount”. Mogę się z tobą możliwie prędko zobaczyć?

- Ależ oczywiście - Rudolf wydawał się szczerze zadowolony. - Przychodź zaraz.

Wiesz gdzie.

Mimo nowego ubrania w hallu budynku, w którym mieszkał Rudolf, zatrzymał go portier. Tom podał mu swoje nazwisko i portier nacisnął guzik i powiedział:

- Pan Jordach do pana, panie Jordach.

Tom usłyszał głos swojego brata:

- Proszę przysłać go na górę - i ruszył przez wykładany marmurem hall do windy, myśląc: A jednak ta cała ostrożność nie ochroniła go przed ciosem.

Rudolf stał w przedpokoju, gdy otworzyły się drzwi windy.

- Boże, Tom - powiedział, gdy uścisnęli sobie ręce. - Ale się zdziwiłem kiedy usłyszałem twój głos. - Potem odstąpił i przyjrzał się Tomowi krytycznie. - Co się z tobą stało? - spytał. - Wyglądasz jak po chorobie.

Tom mógł powiedzieć, że jego zdaniem Rudolf sam nie wygląda całkiem zdrów, ale nie powiedział.

- Opowiem ci wszystko - rzekł - jak dostanę drinka. - Lekarz kazał mu również dać spokój z pićciem.

Rudolf wprowadził go do salonu. Salon wyglądał podobnie jak ostatnim razem - wygodny, przestronny, przeznaczony do celebrowania drobnych wydarzeń, a nie do przeżywania klęsk.

- Whisky? - spytał Rudolf, a gdy Tom kiwnął głową, nalał Tomowi i sobie. Był całkowicie ubrany, w krawacie, jakby znajdował się w biurze. Tom przyglądał mu się, jak bierze butelki z kredensu i odbija srebrnym młoteczką kawałki lodu w wiaderku. Wyglądał dużo starzej niż ostatnim razem, z głęboko zaznaczonymi zmarszczkami na czole i wokół oczu. Ruchy miał niezdecydowane, niepewne.

Znalezienie przyrządu do otwierania butelek z wodą sodową stanowiło problem. Nie bardzo wiedział, ile wody wlać do każdej ze szklanek! - Siadaj, siadaj - powiedział. - Powiedz, co cię tu sprowadza. Od jak dawna jesteś w Nowym Jorku?

- Od około trzech tygodni. - Wziął swoją szklankę i usiadł na drewnianym krześle.

- Czemu nie zadzwoniłeś? - sprawiał wrażenie urażonego tą zwłoką.

- Musiałem pójść do szpitala na operację - odparł Tom. - Operację oka. Wolę być

sam, gdy jestem chory.

- Wiem - rzekł Rudolf siadając naprzeciwko niego w fotelu. - Ja tak samo.

- Już jestem zdrow - powiedział Tom. - Muszę przez pewien czas na siebie uważać, i to wszystko. Na zdrowie. - Uniósł szklanę.

Przebywając wciąż ze Świnką-Kimballeem i Kate, nauczył się mówić „na zdrowie” przy picciu.

- Na zdrowie - rzekł Rudolf. Patrzył z powagą na brata. - Nie wyglądasz już jak bokser, Tom.

- A ty nie wyglądasz jak burmistrz - odparł Tom i zaraz pożałował, że to zrobił.

Lecz Rudolf roześmiał się.

- Gretchen mówiła mi, że napisała do ciebie o wszystkim - powiedział. - Miałem niewielkiego pecha.

- Pisała, że sprzedałaś dom w Whitby - rzekł Tom.

- Nie było sensu trzymać się go kurczowo. - Rudolf zagrzechotał lodem w poruszanej w zamyśleniu szklance. - To mieszkanie nam teraz wystarczy. Enid jest w parku z niańką. Wróci za kilka minut.

Będziesz mógł się z nią przywitać. Jak twój chłopak?

- Wspaniale - odparł Tom. - Powinieneś posłuchać, jak mówi po francusku. A z jachtem radzi sobie lepiej niż ja. I nikt nie każe mu popołudniami ćwiczyć musztry.

- Cieszę się, że wszystko się skończyło dobrze - powiedział Rudolf. Wyglądało na to, że istotnie się cieszył. - Syn Gretchen, Billy, jest w wojsku, w Brukselii. W NATO.

- Wiem. Pisała mi i o tym. I pisała, że ty to załatwiłeś.

- Jeden z moich ostatnich urzędowych aktów - rzekł Rudolf. - A raczej powinienem powiedzieć, półurzędowych aktów. - Mówił teraz w jakiś przyciszony, spokojny sposób, jakby nie chciał używać zbyt stanowczych określeń.

- Przykro mi, że tak się stało, Rudi. - Po raz pierwszy w życiu żał mu było brata.

Rudolf wzruszył ramionami.

- Mogło być gorzej - odparł. - Ten chłopak mógł stracić życie, a nie tylko wzrok.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Och, wynajduję sobie rozmaite zajęcia - powiedział Rudolf. - Nowy Jork to wymarzone miejsce dla człowieka, który nie musi zarabiać na życie. Może, jak Jean wróci, zaczniemy trochę podróżować. Może nawet odwiedzimy ciebie.

- Gdzie ona jest?

- W pensjonacie w północnej części stanu - odparł Rudolf grzechocząc lodem w szklance. - Właściwie to nie pensjonat... Raczej klinika... Klinika odwykowa. Mają tam zdumiewające wyniki.

Już drugi raz tam jest. Po pierwszym pobycie nie tknęła ani kropli przez blisko sześć miesięcy. Nie wolno mi tam jej odwiedzać... to teoria jakiegoś cholernego doktora... ale jestem w kontakcie z człowiekiem, który tę klinikę prowadzi, i Jean spisuje się wspaniale... - Zakrztusił się whisky i zakaszał. - Może i mnie przydałaby się lekka kuracja - rzekł uśmiechając się, gdy atak kaszlu minął. - A teraz - zagadnął pogodnie - kiedy twoje oko jest w porządku, jakie masz plany?

- Muszę przeprowadzić rozwód, Rudi - powiedział Tom. - Myślałem, że może zechcesz mi pomóc.

- Adwokat, do którego cię wtedy skierowałem, mówił, że nie ma żadnych problemów. Powinieneś był wtedy to zrobić.

- Nie miałem czasu - odparł Tom. - Chciałem jak najprędzej zabrać Wesleya z tego kraju. I w Nowym Jorku musiałbym przedstawić powód.

A nie chcę, żeby Wesley się dowiedział, że się rozwiodłem z jego matką, ponieważ jest kurwą. A jeśli nawet dostałbym rozwód w Nowym Jorku, za długo by to trwało. Musiałbym tu tkwić i stracić większą część sezonu, a nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę mieć ten rozwód najpóźniej do października.

- Czemu?

- No bo... żyję z pewną dziewczyną, Angielką. Cudowna dziewczyna.

I będzie miała dziecko w październiku.

- Rozumiem - powiedział Rudolf. - Gratuluję. Powiększy się klan Jordachów. Może wniesie trochę angielskiej krwi. Co chcesz, żebym zrobił?

- Nie chcę rozmawiać z Teresą - wyjaśnił. - Boję się, żebym jej czegoś nie zrobił,

jak ją zobaczę. Jeszcze teraz. Gdybyś ty, albo kto inny, mógł z nią porozmawiać i skłonił, żeby pojechała do Reno albo podobnej miejscowości... Rudolf odstawił szklankę delikatnie.

- Oczywiście - odparł. - Pomogę ci z przyjemnością. - Od drzwi rozległ się jakiś hałas. - A oto i Enid. Chodź tutaj, dziecko - zawołał. Do salonu wpadła w podskokach Enid w czerwonym płaszczku. Na widok obcego, siedzącego w pokoju z ojcem, zatrzymała się. Rudolf wziął ją na ręce, pocałował. - Powiedz „dzień dobry” wujkowi Tomowi. On mieszka na łodzi, wiesz?

W trzy dni później Rudolf zadzwonił do Toma i umówił się z nim na lunch u P. J. Moriarty'ego przy Trzeciej Alei. Panująca tam atmosfera była męska i niewyszukana, więc miał nadzieję, że Tom nie będzie się czuł skrępowany i nie odniesie wrażenia, iż Rudolf chce się popisać.

Gdy przyszedł, Tom czekał na niego w barze popijając drinka.

- No więc - rzekł Rudolf siadając na stołku obok brata - nasza pani jest w drodze do Nevady.

- Żartujesz - odparł Tom.

- Sam odwozłem ją na lotnisko - mówił Rudolf - i widziałem, że samolot wystartował.

- Chryste, Rudi - powiedział Tom - jesteś cudotwórcą.

- Szczerze mówiąc, nie było to takie trudne - rzekł Rudolf.

Zamówił martini, aby pozbyć się przykrego wrażenia, jakie wywołało spędzenie całego przedpołudnia z Teresą Jordach. - Ona mówi, że pragnie również wyjść za mąż po raz drugi. - Było to kłamstwo, lecz Rudolf wypowiedział je przekonującym tonem. - I wie, że lepiej nie szargać dobrego imienia, jak mówi, w nowojorskich sądach.

- Naciągnęła cię na forszę? - spytał Tom. Znał swoją żonę.

- Nie - skłamał Rudolf ponownie. - Mówi, że dobrze zarabia i stać ją na tę podróż.

- To do niej niepodobne - rzekł Tom powątpiewająco.

- Może życie ją zmiękczyło. - Martini poprawiło Rudolfowi samopoczucie. Użerał

się z tą kobietą całe dwa dni i w końcu się zgodził opłacić bilet powrotny pierwszą klasą, jej rachunek hotelowy w Reno za sześć tygodni, plus pięćset dolarów tygodniowo za to, co Teresa określiła jako straty w interesie. Wypłacił jej z góry połowę, a resztę obiecał, gdy przyjedzie i wręczy mu papiery rozwiązujące formalnie małżeństwo.

Zjedli dobry, solidny lunch z dwiema butelkami wina i Tom trochę się rozrzewnił, i zaczął mówić Rudiemu, jak bardzo jest mu wdzięczny, i jaki był niemądry przez cały ten czas, nie zdając sobie sprawy, jak wspaniałego ma brata. Przy koniakach rzekł:

- Słuchaj, ostatnim razem mówiłeś mi, że chcesz sobie podróżować, jak twoja żona wyjdzie z kliniki. Na pierwsze dwa tygodnie lipca nie mam czarteru. Zarezerwuję ten czas dla ciebie i przyjedziecie z żoną jako moi goście, i popływamy sobie trochę. A jeśli Gretchen będzie mogła się wybrać, zabierzcie ją z sobą. Musicie poznać Kate. Chryste! Rozwód będzie wtedy już ostatecznie załatwiony i urządzimy moje wesele. Zgódź się, Rudi, nie chcę słyszeć o odmowie.

- Zależy od Jean - powiedział Rudolf. - Jak będzie się czuła...

- To dla niej najlepsza rzecz pod słońcem - dowodził Tom. - Postaram się, żeby na jachcie nie było ani jednej butelki alkoholu. Rudi, musisz się zgodzić.

- Dobrze - rzekł Rudi. - Pierwszy lipca. Może nam obojgu nieźle zrobi, jeśli wyjedziemy na jakiś czas z tego kraju.

Tom uparł się, że zapłaci za lunch.

- Chcę chociaż to zrobić - powiedział. - A mam co uczcić.

Odzyskałem oko i pozbyłem się żony w tym samym miesiącu.

Burmistrz był przepasany szarfą, panna młoda miała na sobie bławatkową suknię i nie widać było po niej, że jest w ciąży. Enid, w białych rękawiczkach, trzymała matkę za rękę i krzywiła się trochę patrząc na tę tajemniczą zabawę dorosłych w języku, którego nie rozumiała. Tom był opalony na brąz i znów wyglądał zdrowo.

Odzyskał już swoją dawną wagę i jego muskularna szyja ledwie się mieściła w kołnierzyku białej koszuli. Wesley stał tuż za ojcem - wysoki, wdzięczny piętnastolatek w ubraniu o nieco już za krótkich rękawach. Twarz miał mocno opaloną, a blond włosy

wyblakłe w śródziemnomorskim słońcu. Wszyscy byli opaleni, ponieważ pływali po morzu już od tygodnia i przyjechali do Antibes tylko na tę uroczystość. Gretchen, myślał Rudolf, wygląda znakomicie z ciemnymi włosami o leciuteńkim przeblasku siwizny, gładko szeszanymi wokół kościstej, wielkookiej, wspaniałej twarzy.

Królewskiej, myślał Rudolf, pełnej szlachetnego tragizmu. Wielkie słowa są bardzo na miejscu podczas ślubu. Rudolf wiedział, że po tym jednym tygodniu na morzu wygląda o lata młodziej niż w chwili, kiedy wysiadała z samolotu w Nicei. Słuchał, rozbawiony, burmistrza który wyliczał z gardłowym południowym akcentem, pełnym dudniących twardych g, obowiązki młodej żony. Jean również rozumiała francuski i kiedy burmistrz mówił, wymieniali z sobą leciutkie uśmiechy: Jean nie piła od powrotu z kliniki i wyglądała na słodką, śliczną i kruchą istotkę w tym pomieszczeniu pełnym portowych przyjaciół Toma o ogorzałych, ciemnych, czerstwych twarzach nad kołnierzykami i marynarkami, do których nie nawykli.

W tym słonecznym, przybranym kwiatami urzędzie burmistrza, myślał Rudolf, pachnie aurą morskich podróży posmakiem soli i zapachem tysięcy portów.

Tylko Dwyer wydawał się smutny, dotykając białego goździka w butonierce. Tom opowiedział Rudolfowi dzieje Dwyera i Rudolf pomyślał, że może widok szczęścia przyjaciela sprawił, że Dwyer pożałował dziewczyny z Bostonu, której się wyrzekł dla „Klotyldy”.

Burmistrz wyglądał krzepko i najwyraźniej lubił tę część swoich obowiązków. Był tak samo opalony jak otaczający go żeglarze. Kiedy ja zostałem burmistrzem miasta, myślał Rudolf, nie spędzałem wiele czasu w słońcu. Zastanawiał się, czy ten burmistrz martwi się o chłopców palących marihuanę w domach akademickich i musi decydować, czy użyć gazu łzawiącego, czy nie. Whitby też w pewnych okresach wyglądało idyllicznie.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał Kate, wybór brata rozczerował go.

Lubił piękne kobiety, a Kate, ze swą brzydką, ciemną pospolitą twarzą i przysadzistą figurą, z całą pewnością nie była piękna według jakichkolwiek konwencjonalnych pojęć. Przypominała mu niektóre z tubylczych kobiet na tahitańskich

obrazach Gauguina. W dużym stopniu odpowiadają za to „Vogue” i „Harper's Bazar”, myślał. Przyzwyczajeni do ich długonogich, szczupłych piękności odwróciliśmy się od prostszych i bardziej prymitywnych powabów.

Także sposób, w jaki Kate mówiła - nieśmiało, z liverpoolskim akcentem ludzi niewykształconych - początkowo raził jego uszy.

Ciekawe, myślał Rudolf, że Amerykanie ze swoimi pojęciami o angielskim, wyrobionymi przez aktorów i wykładowców, których u siebie goszczą, z większym snobizmem odnoszą się do wymowy angielskiej niż własnych współziomków.

Ale po paru dniach obserwowania stosunku Kate do Toma i Wesleya, jak bez najmniejszej skargi wykonuje najrozmaitsze prace na jachcie, jak odnosi się do tego mężczyzny i chłopca z najjawniejszą, a zarazem pozbawioną wylewności miłością i ufnością, zawstydził się swojej pierwszej reakcji. Brat był szczęściarzem, i Rudolf powiedział mu to, a Tom z powagą przyznał mu rację.

Burmistrz doznał do końca swego przemówienia, wymieniono obrączki, państwo młodzi pocałowali się. Burmistrz pocałował pannę młodą, cały promieniejący, jakby udało mu się znakomicie wypełnić jakąś niezwykle delikatną, biurokratyczną funkcję.

Ostatni ślub, jaki Rudolf widział, to ślub Brada Knighta i Wirginii Calderwood. Wolał ten.

Rudolf i Gretchen wpisali się do ksiąg tuż pod nowożeńcami: Rudolf z wahaniem pocałował pannę młodą. Wszędzie wokół miażdżono sobie palce rąk w uściskach i wreszcie całe towarzystwo wyszło w słońce miasta, założonego przed z górą dwoma tysiącami lat przez ludzi, którzy musieli być bardzo podobni do tych, towarzyszących jego bratu w weselnym pochodzie.

W „Chez Felix” czekał na nich szampan, melony i bouillabaisse.

Grała harmonia, burmistrz wznosił toast na cześć panny młodej, Świnka-Kimball na cześć pana młodego - francuszczyzną z Southampton a Rudolf na cześć młodej pary takim francuskim, że goście patrzyli na niego z podziwem, a gdy skończył, nagrodzili go gromkimi oklaskami. Jean miała z sobą aparat i trzaskała rolkę po rolce dla upamiętnienia tego wydarzenia. Fotografowała pierwszy raz od owego wieczoru, kiedy

roztrzaskała swoje aparaty. Rudolf wcale jej tego nie zasugerował. Sama wystąpiła z tym projektem.

Lunch skończył się o czwartej i wszyscy goście, niektórzy już na chwiejnych nogach, odprowadzili państwa młodych do miejsca przy kei, gdzie stała „Klotylda”. Na tylnym pokładzie jachtu leżała wielka skrzynia przewiązana czerwoną wstęgą. Był to prezent od Rudolfa, który załatwił, aby wstawiono ją na pokład podczas uroczystości. Kazał ją wysłać z Nowego Jorku do agenta Toma z instrukcją, aby zatrzymano ją do dnia ślubu.

Tom przeczytał załączoną kartkę.

- Cóż to jest, u licha? - zapytał Rudolfa.

- Otwórz i zobacz.

Dwyer poszedł po dłuto i młotek. Pan młody rozebrał się do pasa i przy stojących wokół tłumnie gościach otworzył skrzynię. Wewnątrz był śliczny, bendiksowski zestaw radarowy wraz z ekranem. Przed wyjazdem z Nowego Jorku Rudolf widział się z panem Goodhartem i zapytał go, co Tom najbardziej chciałby mieć na „Klotyldzie”, i pan Goodhart podsunął mu myśl o radarze.

Tom triumfalnie podniósł w górę zestaw, a goście znowu oklaskiwali Rudolfa, jakby sam wynalazł to urządzenie i wyprodukował własnymi rękami.

Tom z całą pewnością nieco pijany, miał łzy w oczach, kiedy dziękował Rudolfowi.

- Radar - powiedział - marzyłem o nim od lat.

- Pomyślałem, że to bardzo odpowiedni prezent ślubny - rzekł Rudolf. - Wyznacza horyzont, pozwala rozpoznać przeszkody, omijać wraki.

Kate, żeglarska żona, dotykała urządzenia, jakby to było rozkoszne, młode szczenię.

- Mówię wam - cieszył się Tom. - To najwspanialsze z wesel, jakie ktokolwiek miał.

Projektowali, że wyruszą po południu do Portofino. Przepłynęliby wzdłuż brzegu koło Monte Carlo, Mentony i San Remo, a potem w nocy przecięliby zatokę Genueską i rano dobiliby do włoskiego brzegu.

Meteo było dobre i cała podróż nie powinna im być zabrac, według Toma, więcej

niż piętnaście godzin.

Dwyer i Wesley nie pozwolili Tomowi i Kate dotknąć nawet linki, tylko kazali im siedzieć na tylnym pokładzie, jak na tronie, i sami przygotowywali „Klotyldę” do wyjścia. Kiedy w końcu podnieśli kotwicę i jacht skierował dziób ku morzu, na rozmaitych jachtach w porcie zabrzmiały na cześć nowożeńców syreny, a pełna kwiatów łódź rybacka towarzyszyła im aż do boi i dwaj ludzie rzucali je w ślad za „Klotyldą”.

Kiedy wypłynęli na łagodną falę otwartego morza, zobaczyli białe wieże Nicei daleko po drugiej stronie Baie des Anges.

- Cóż za wspaniały kraj - zauważył Rudolf. - Francja.

- Zwłaszcza - odparł Tom - jeśli się nie jest Francuzem.

Gretchen i Rudolf spoczywali na leżakach na rufie „Klotyldy” i patrzyli na rozpoczynający się zachód słońca. Znajdowali się naprzeciwko lotniska nicejskiego i widzieli opadające na nie co kilka minut odrzutowce. Kiedy nadlatywały, ich skrzydła lśniły w ukośnych promieniach słońca, a gdy lądowały, niemal dotykały srebrzystego morza. Startując wspinały się stromo nad skarpą Monaco, wciąż oblane blaskiem słońca od zachodu. Jak to miło podążać z szybkością dziesięciu węzłów, myślał Rudolf, gdy wszyscy inni gnają z prędkością pięciuset.

Jean układała w kajucie Enid do snu. Na pokładzie Enid nosiła małą, pomarańczową kamizelkę ratunkową i była przywiązana w pasie linką do metalowego kółka przy kabinie sternika, żeby nie wypadła za burtę. Pan młody odsypiał szampan w kajucie na dziobie. Dwyer i Kate przygotowywali w kuchni obiad. Rudolf protestował przeciwko temu i zaprosił wszystkich na obiad do Nicei albo Monte Carlo, ale Kate się uparła.

- Cóż lepszego mogłabym zrobić w dzień mojego ślubu - powiedziała.

Wesley w błękitnym golfie, ponieważ robiło się chłodno, stał przy kole sterowym. Poruszał się po jachcie boso i pewnie, jakby urodził się na morzu.

Gretchen i Rudolf też byli w swetrach.

- Jaki to luksus - rzekł Rudolf - odczuwać chłód w lipcu.

- Cieszysz się, że tu przyjechałeś, prawda? - spytała Gretchen.

- Bardzo - odparł Rudolf.

- Odzyskana rodzina - powiedziała Gretchen. - Nie, nawet nie to.

Zgromadzona po raz pierwszy. I któż by pomyślał, że właśnie za sprawą Toma.

- Bo nauczył się czegoś, czego my nigdy nie zdołaliśmy - rzekł Rudolf.

- Z pewnością. Czy zauważyłeś, że gdziekolwiek jest, otacza go atmosfera miłości. Żona, Dwyer, przyjaciele na ślubie, wszyscy go kochają. Nawet własny syn. - Zaśmiała się.

Mówiła Rudolfowi o swojej wizycie u Billy'ego w Brukseli przed przyjazdem do Antibes, więc wiedział, co kryło się za tym śmiechem. Billy, bezpieczny w kancelarii wojskowej, gdzie pracował jako stenotypista, był cyniczny, pozbawiony ambicji, jak powiedziała Rudolfowi, traktował wojsko niczym zło konieczne, szydził ze wszystkiego i ze wszystkich, włącznie z matką.

Nieciekawy bogactw Starego Świata, jakie go otaczały, spędzał noce z głupimi dziewczynami w Brukseli i Paryżu, wciąż innymi, palił marihuanę, jeśli nie miał ochoty na coś mocniejszego, ryzykując więzienie z takim samym brakiem zainteresowania, jak ryzykował wywalenie z uniwersytetu, nadal niezachwiany w swoim lodowatym stosunku do matki. Podczas ostatniego obiadu w Brukseli, mówiła Gretchen, kiedy rozmowa zesłała na Evansa Kinsellę, Billy się wściekł.

- Wiem wszystko o ludziach w twoim wieku - powiedział. - Wielkie fałszywe ideały, wielkie uniesienia nad książkami, sztukami i politykami, którzy w ludziach w moim wieku budzą śmiech. Zbawienie świata i przechodzenie od jednego klepiącego bzdury artysty do drugiego, by udąć, że wciąż jesteście młodzi, a naziści zostali dopiero co pobici i nowy wspaniały świat jest tuż za następnym rogiem, albo w następnym barze, albo w następnym łóżku.

- W pewnym sensie - powiedziała Gretchen Rudolfowi - może i jest w tym trochę racji. Nienawiść, ale i trochę racji. Gdy mówi o fałszu. Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Gdy przyszedł czas, nie powiedziałam: „Idź do więzienia” albo „Zdezerteruj”. Po prostu zadzwoniłam do mego wpływowego brata i ocaliłam nędzną skórę mojego syna,

pozostawiając innym matkom nakłanianie swoich, aby szli do więzienia, dezercerowali lub urządzali marsz na Pentagon albo umierali w jakiejś dżungli. Tak czy owak, ostatni raz złożyłam swój podpis pod jakąkolwiek petycją.

Rudolf niewiele mógł na to odpowiedzieć. Był jej współnikiem.

Oboje ponosili winę.

Ale ten tydzień na morzu okazał się tak uzdrawiający, a ślub tak wesoły i optymistyczny, że świadomie starał się o tym wszystkim nie myśleć. Żałował, że widok Wesleya przy kole sterowym, opalonego na brąz i zręcznego, przywiódł im obojgu na myśl Billy'ego.

- Spójrz na niego - mówiła Gretchen patrząc na Wesleya. - Wychowała go kurwa. Ojciec przebrnął przez zaledwie drugą klasę szkoły średniej i od tamtej pory nie miał nigdy książki w ręku, był natomiast bity, ścigany i nokautowany i od szesnastego roku życia obracał się wśród mętów społecznych. Co do tego nie ma kwestii. Gdy Tom zdecydował, że nadeszła odpowiednia pora, zabrał swojego syna, wywiózł go do innego kraju, nauczył innego języka i wprowadził między łotrów, którzy zaledwie umieją czytać i pisać. I posłał go do pracy w wieku, w którym Billy wciąż jeszcze prosił w sobotnie popołudnia o dwa dolary na kino. Co do rozkoszy rodzinnego życia... - Roześmiała się. - Chłopak z pewnością żyje w eleganckim zaciszu, skoro jego kajuta mieści się obok kajuty małej, angielskiej wieśniaczki, która jest kochanką jego ojca i nosi w brzuchu jego nieślubne dziecko. I jaki rezultat? Chłopiec jest zdrowy, pracowity i grzeczny. I tak oddany ojcu, że Tom nie musi nigdy nawet podnieść głosu. Wystarczy, żeby wskazał, że chce, aby chłopak zrobił to czy tamto, a chłopak robi. Chryste - powiedziała - chyba powinniśmy zacząć pisać od nowa te wszystkie książki na temat wychowywania dzieci. I ten chłopak może być pewien jednego. Że nikt go nie pośle do Wietnamu. Ojciec tego na pewno dopilnuje. Powiem ci coś... na twoim miejscu, gdy Enid będzie dość duża, by móc chodzić po pokładzie bez obawy, że wypadnie, przysłałabym ją na wychowanie do Toma. Boże święty, jakże chętnie bym się czegoś napiła. Chyba Tom ma jakąś butelczynę schowaną na tym jachcie Damskiego Związku Wstrzemięźliwości Chrześcijańskiej.

- Chyba tak - odparł Rudolf. - Pójdę zapytać. - Wstał z leżaka i poszedł w stronę

dziobu. Ciemniało i Wesley wywieszał światła kursowe. Mijając Rudolfa uśmiechnął się i powiedział:

- Zdaje się, że staruszek bardzo to przeżył - rzekł. - Nie przyszedł nawet sprawdzić, czy przypadkiem nie kieruję jachtu wprost na Alpy.

- Śluby nie zdarzają się codziennie - odparł Rudolf.

- Pewnie, że nie - powiedział Wesley. - I to wielkie szczęście dla mojego taty. Bo jego organizm by tego nie zniósł.

Rudolf przeszedł przez salon do kuchni. Dwyer mył nad zlewem sałatę, a Kate, która już się przebrała, polewała sosem pieczeń skwierczącą w piecyku.

- Kate - zagadnął ją Rudolf - czy Tom ma schowaną gdzieś butelkę?

Kate zamknęła piecyk, wstała i spojrzała z zatroskaniem na Dwyera.

- Obiecał ci chyba, że nie weźmiemy kropli do ust, póki będziecie na jachcie - powiedziała.

- Nie masz się czego obawiać, Kate. Jean jest z dzieckiem w kajucie. To tylko dla mnie i Gretchen. Siedzimy na pokładzie, a robi się chłodno.

- Króliczku - zwróciła się Kate do Dwyera - idź i przynieś.

Dwyer poszedł na dziób do swojej kajuty i wrócił z butelką dżinu.

Rudolf nalał dżinu do dwóch szklanek i dodał trochę toniku.

Gdy wrócił do Gretchen i podał jej szklankę, skrzywiła się.

- Dżin z tonikiem. Paskudztwo.

- Jeśli Jean przypadkiem wejdzie na pokład, udamy, że to czysty tonik. Zabija zapach dżinu.

- Łudzisz się - odparła Gretchen.

Siedzieli popijając.

- To ulubiony napój Evansa - powiedziała Gretchen. - Jeden z wielu punktów, w których się różnimy.

- Jak tam między wami?

- Tak samo - odrzekła beztrąsko. - Z każdym rokiem trochę gorzej, ale tak samo.

Chyba powinnam go rzucić, lecz on mnie potrzebuje.

Nie tak znowu bardzo, ale potrzebuje. W moim wieku jest to może lepsze niż pożądanie.

Na pokład wyszła Jean w obcisłych, spiętych nisko w biodrach, różowych spodniach drelichowych i kaszmirowym swetrze. Spojrzała na szklanki w ich dłoniach, ale nie powiedziała słowa.

- Jak tam Enid? - spytał Rudolf.

- Śpi snem sprawiedliwych. Pytała, czy Kate i wujek Tom muszą nosić obrączki, które sobie nałożyli. - Dreszcz ją przeszedł. - Zimno mi - powiedziała i przytuliła się do ramienia męża. Rudolf pocałował ją w policzek.

- Ho, ho, ho - powiedziała Jean. - Czuję krew Anglików.

Tonik nie zwiódł jej ani na chwilę.

- Jedną kropelkę - powiedziała.

Rudolf wahał się... Gdyby był sam, nie wypuściłby szklanki z ręki.

Ale była przy nim Gretchen i patrzyła. Nie mógł upokarzać swojej żony przed siostrą. Podał Jean szklankę. Upiła z niej maleńki łyczek, a potem mu ją oddała.

Na pokład wyszedł Dwyer i zaczął nakrywać do stołu, - stawiając małe, mosiężne lampki sztormowe ze świecami w środku. Stół na jachcie zawsze był nakryty gustownie - słomiane maty, kwiaty we flakonie, drewniana miska na sałatę, a wieczorem świece. Ci troje, myślał Rudolf patrząc, jak Dwyer pracuje, schludny w swoich uprasowanych drelichowych spodniach - ci troje zdołali w jakiś sposób stworzyć pewien styl. Świece mrugały za szkłem latarenek jak uwięzione robaczki świętojańskie, tworząc małe, ciepłe kręgi światła na środku wielkiego, czysto wyszorowanego stołu.

Nagle rozległo się głuchoe dudnienie o kadłub jachtu i terkot pod rufą. Jacht dygotał nierówno i spod pokładu dochodził szczepek, póki Wesley nie zatrzymał silników. Dwyer pobiegł na rufę i wpatrzył się w bielejący na ciemnym morzu ślad jachtu.

- Cholera - powiedział wskazując - uderzyliśmy w kłodę. Widzicie?

Rudolf dostrzegł niewyraźny cień na wodzie, wystający nad powierzchnię zaledwie na dwa, trzy cale. Nadbiegł Tom, bosy i obnażony do pasa, ale ze swetrem w rękę. Tuż za nim pojawiła się Kate.

- Uderzyliśmy w kłodę - powiedział mu Dwyer. - Poszła jedna, a może nawet obie śruby.

- Toniemy? - spytała Jean. Wydawała się przestraszona. - Mam iść po Enid?

- Zostaw ją w spokoju, Jean - rzekł Tom spokojnie. - Nie toniemy. - Wciągnął sweter, wszedł do kabiny sterowej i ujął koło. Jacht utracił szybkość i kołysał się nieco w lekkim wietrze; podnosząc się i opadając z falą. Tom włączył lewy silnik. Pracował normalnie i śruba obracała się gładko. Ale gdy włączył prawy, pod pokładem rozległ się metaliczny szczęk i „Klotylda” zaczęła podrygiwać. Tom wyłączył prawy silnik i posuwali się powoli naprzód. - To prawa śruba. I może też wał - powiedział.

Wesley był bliski łez.

- Tato, przepraszam. Ja jej w ogóle nie widziałem.

Tom poklepał chłopca po ramieniu.

- To nie twoja wina, Wes - uspokajał go. - Naprawdę. Zajrzyj do maszynowni i zobacz, czy nie nabieramy wody. - Wyłączył lewy silnik i za chwilę znów stanęli w dryf. - Prezent ślubny od morza - rzekł, ale bez goryczy. Nabił fajkę, zapalił, objął ramieniem żonę i czekał na powrót Wesleya.

- Sucho - powiedział Wesley.

- Solidna jest - rzekł Tom. - Pocziwa „Klotylda”. - I wtedy zauważył szklanki w ręku Rudolfa i Gretchen. - Nadal celebруемy? - spytał.

- Tylko po jednym - odparł Rudolf.

Tom kiwnął głową.

- Wesley - powiedział - stań przy kole. Wracamy do Antibes. Na lewym silniku. Zachowuj niskie obroty i uważaj na wskaźniki wody i oleju. Jeśli ciśnienie spadnie lub silnik zacznie się grzać, natychmiast go wyłącz.

Rudolf czuł, że Tom wolałby sam stanąć przy kole sterowym, ale chciał się upewnić, że Wesley nie będzie się czuł winny spowodowania wypadku.

- No, moi mili - rzekł Tom, gdy Wesley zapuścił silnik i wolno skierował „Klotyldę” w powrotną drogę - możemy się pożegnać z myślą zobaczenia Portofino.

- Nie przejmuj się nami - powiedział Rudolf. - Myśl o jachcie.

- Dziś już nic nie możemy zrobić - rzekł Tom. - Jutro rano nałożymy maski, zejdziemy pod wodę i popatrzymy. Jeśli stało się to, o czym myślę, będziemy musieli poczekać na nową śrubę i być może nowy wał, a następnie wyciągnąć „Klotyldę” na brzeg, żeby je założyć. Mógłbym popłynąć do Villefranche, ale mam korzystniejsze układy w stoczni w Antibes.

- Nie szkodzi - odparła Jean. - Wszyscy uwielbiamy Antibes.

- Miła z ciebie dziewczyna - powiedział Tom. - A teraz siądźmy wszyscy i zjedźmy obiad.

O jednym silniku mogli płynąć z prędkością zaledwie czterech węzłów i port Antibes był cichy i ciemny, gdy dopłynęli na miejsce. Syreny nie huczały na ich powitanie i nikt nie rzucał kwiatów za rufą „Klotyldy”.

Śniło mu się, że słyszy ciche, natarczywe pukanie i budząc się Tom pomyślał, że to Pappy dobija się do drzwi. Otworzył oczy i stwierdził, że jest w swojej koi ze śpiącą Kate u boku.

Przymocował do dolnej koi drugą, aby mogli oboje wygodnie spać.

Drugą część koi można było na dzień składać, żeby było więcej miejsca w ciasnej kajucie.

Pukanie powtórzyło się.

- Kto tam? - spytał szeptem. Nie chciał budzić Kate.

- To ja - usłyszał w odpowiedzi szept. - Kimball.

- Chwileczkę - rzekł Tom. Nie zapalił światła, ubrał się po ciemku. Kate spała głęboko, zmęczona wypadkami dnia.

Boso, w swetrze i spodniach Tom ostrożnie otworzył drzwi kajuty i wyszedł do schodni, gdzie czekał na niego Świnka. Od Świnki zalaływało potężnie alkoholem, ale w korytarzu było za ciemno, żeby Tom mógł stwierdzić, jak bardzo Świnka jest pijany. Podszedł przodem do kabiny sterowniczej, mijając po drodze kajutę, w której spał Wesley i Dwyer. Spojrzał na zegarek. Druga piętnaście na fosforyzowanej tarczy. Świnka trochę utykał wspinając się po schodach.

- Co się, u diabła, stało? - spytał Tom z irytacją.

- Przed chwilą wróciłem z Cannes - rzekł Świnka przepitym głosem.

- To co? Zawsze musisz budzić ludzi, kiedy wracasz z Cannes?

- Musisz mnie wysłuchać, brachu - powiedział Świnka. - Widziałem twoją bratową w Cannes.

- Jesteś pijany, Świnka - odparł Tom z niesmakiem. - Idź spać.

- W różowych spodniach. Słuchaj, po co bym to mówił, gdybym jej nie przyłapał? Widziałem ją cały dzień, prawda? Nie jestem aż taki pijany. Potrafię poznać kobietę, którą widziałem cały dzień, nie?

Zdziwiłem się, więc podszedłem do niej i powiedziałem, że powinna być w drodze do Portofino, a ona odpowiedziała: nie jestem w drodze do Portofino, bo mieliśmy wypadek i teraz stoimy, do cholery, w porcie Antibes.

- Nie powiedziała: do cholery - rzekł Tom pragnąc za wszelką cenę wierzyć, że Jean jest nie gdzie indziej, tylko na „Klotyldzie” i śpi.

- Tak mi się powiedziało - odparł Świnka. - Ale widziałem ją.

- Gdzie, w Cannes? - Musiał uważać, żeby nie podnosić głosu i nie zbudzić innych.

- W takiej knajpie striptizowej. „La Porte Rose”. Przy rue Bivouac Napoleon. W barze, z takim wielkim Jugosłowianinem czy kimś innym w gabardynowym ubraniu. Widywałem już go nieraz. To sutener. Miał już jeden wyrok.

- O, Chryste! Była pijana?

- W pestkę - odparł Świnka. - Zaproponowałem, że zabiorę ją z sobą do Antibes, ale powiedziała: „Ten dżentelmen odwiezie mnie do domu, kiedy będziemy mieli ochotę”.

- Zaczekaj tutaj - rzekł Tom. Zszedł do salonu, a stamtąd do schodni w tyle jachtu. Minał kajutę Gretchen i Enid. Z żadnej nie dochodził najmniejszy dźwięk. Otworzył drzwi kajuty kapitańskiej na rufie. W schodni paliło się całą noc światło na wypadek, gdyby Enid chciała pójść do łazienki. Gdy Tom uchylił drzwi kajuty kapitańskiej tylko tyle, by zajrzeć do środka, zobaczył Rudolfa śpiącego w piżamie na wielkim łożu. Samego.

Tom zamknął cicho drzwi i wrócił do Świnki.

- Widziałeś ją naprawdę - powiedział.
- Co zamierzasz zrobić? - spytał Świnka.

- Pójść i sprowadzić ją na jacht - odparł Tom.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? To niebezpieczna hołota.

Tom zaprzeczył ruchem głowy. Świnka na trzeźwo był żadną pomocą.

Cóż dopiero po pijanemu.

- Nie, dziękuję. Idź spać. Zobaczymy się rano. - Świnka próbował protestować, ale Tom powiedział: - Wynoś się, wynoś się - i pchnął go delikatnie w stronę trapu. Patrzył, jak Świnka idzie zataczając się po kei, to nękając, to wyłaniając się z cienia, ku miejscu, gdzie stała przycumowana „Vega”. Pomacał kieszenie: Miał trochę drobnych w portfelu. Potem zszedł do swojej kajuty, przechodząc ostrożnie koło tej, w której spał Wesley i Dwyer. Obudził Kate leciutkim klapnięciem w ramię.

- Cicho - rzekł. - Nie chcę obudzić wszystkich na jachcie.

- Powiedział jej, z czym przyszedł Świnka. - Muszę ją sprowadzić - rzekł.

- Sam?

- Im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej. Sprowadzę ją, położę do łóżka męża i jutro będzie mógł powiedzieć, że żonę boli głowa i poleży dzień lub dwa, i nikt się nie połapie. Nie chcę, żeby Wesley lub Króliczek widzieli tę panią pijaną. - Nie chciał również, aby Dwyer lub Wesley byli w pobliżu, jeśli wynikną jakieś kłopoty.

- Pójdę z tobą - rzekła Kate. - Zaczęła wstawać. Pchnął ją z powrotem na łóżko.

- Nie chcę też, żeby wiedziała, że ty ją widziałeś pijaną w towarzystwie sutenera. Musimy przetrwać do końca życia jako przyjaciele.

- Ale bądź ostrożny, dobrze?

- Oczywiście, będę ostrożny - odparł. Pocałował ją. - Śpij dobrze, kochanie.

Każda inna narobiłaby hałasu, myślał wychodząc na pokład. Ale nie Kate. Włożył płótniaki, które zawsze zostawiał na trapie i zszedł na keję. Miał szczęście. W chwili gdy wychodził z bramy, zajechała taksówka, z której wysiadła jakaś para w wieczorowych strojach.

Wsiadł do taksówki i rzekł:

- Rue Bivouac Napoleon, Cannes.

Nie było jej przy barze, kiedy wszedł do „La Porte Rose”. I nie było też żadnego Jugosłowianina w gabardynowym garniturze. Przy barze stało kilku mężczyzn, którzy oglądali popisy striptizerki i kilka starych pudeł. Na sali znajdowało się trochę samotnych mężczyzn, a trzech, których wygląd nie podobał się Tomowi, siedziało w towarzystwie jednej ze striptizek przy wejściu. Przy stoliku na skraju parkietu siedziały dwie starszawe, amerykańskie pary. Właśnie rozpoczynał się popis. Orkiestra grała głośno i ruda dziewczyna w wieczorowej sukni poruszała się w takt melodii w kręgu światła reflektora, zdejmując wolno długą rękawiczkę, która sięgała jej prawie do ramienia.

Tom zamówił szkocką z wodą sodową. Kiedy barman przyniósł szklankę z napojem i postawił przed nim, Tom powiedział po angielsku:

- Szukam pewnej Amerykanki, która tu była przed chwilą. Brązowe włosy. Ubrana w różowe spodnie. Z panem w gabardynowym garniturze.

- Nie widziałem żadnej Amerykanki - odparł barman.

Tom położył przed nim stufrankowy banknot.

- Zdaje się, że zaczynam sobie przypominać - rzekł barman.

Tom położył drugą stufrankówkę. Barman rozejrzał się szybko.

Banknoty znikły. Wziął szklankę i zaczął ją pracowicie wycierać.

Mówił nie patrząc na Toma. Przy tym hałasie, jaki wzniewała orkiestra, nie było strachu, że ktoś go podsłucha.

- Za les toilettes - powiedział szybko - są schody do komórki.

Nasz plongeur, pomywacz, on tam śpi po pracy. Może znajdziesz, kogo szukasz w tej komórce. Nazwisko tego gościa Danovic. Sal typ.

Uważaj. On ma przyjaciół.

Tom przyglądał się, jak striptizerka zdjęła pończochę, pomachała nią i zaczęła manipulować przy drugiej podwiązce. Potem, z pozoru nadal zainteresowany popisem, podszedł wolno do oświetlonego napisu: Toilettes, Telephone. Wszyscy patrzyli na dziewczynę w kręgu światła reflektora i był pewien, że nikt nie zauważył, jak wszedł w

sklepione przejście. Minał zaduch wionący z toalet i zobaczył schody, które wiodły do piwnicy. Zszedł po nich szybko. U stóp schodów były cienkie, fornirowane drzwi, z widniejącymi w mętnym blasku żarówki łatami z listew. Ponad hałasem orkiestry słyszał kobiecy głos zza drzwi, proszący histerycznie, a potem uciszony jakby ręką, która zakrywała usta. Spróbował drzwi, ale były zamknięte na klucz. Cofnął się trochę i z rozbiegu uderzył w nie ramieniem. Zbutwiałe drewno i lichy zamek ustąpiły jednocześnie i Tom wpadł do środka. Jean leżała na łóżku pomywacza i próbowała się podnieść. Włosy miała zburzone wokół twarzy, a sweter rozerwany na ramieniu. Mężczyzna w gabardynowym garniturze, Danovic, stał obok niej, zwrócony twarzą do drzwi. W świetle żarówki, wiszącej na drucie u sufitu, Tom widział sterty pustych butelek po winie, warsztat i narzędzia stolarskie porozrzucane wokół.

- Tom! - wykrzyknęła Jean. - Zabierz mnie stąd. - Wyrzeźwiła ze strachu albo nie była aż tak pijana, jak się zdawało Śwince.

Spróbowała wstać, ale Danovic pchnął ją brutalnie, zwrócony wciąż twarzą do Toma.

- Czego tu chcesz? - spytał. Mówił po angielsku, ale niewyraźnie.

Był mniej więcej tego samego wzrostu co Tom, o grubych ramionach.

Na policzku miał bliznę od noża lub brzytwy.

- Przyszedłem zabrać tę panią do domu - rzekł Tom.

- Ja sam odwiozę tę panią do domu, jak przyjdzie na to czas - powiedział Danovic.

- Pchnął Jean z rozmachem w twarz, kiedy próbowała znowu wstać.

Na górze hałas orkiestry wzmógł się, gdy opadła następna część garderoby.

Tom zbliżył się do łóżka o krok.

- Tylko nie rozrabiaj - powiedział spokojnie. - Ta pani idzie ze mną.

- Będziesz musiał mi ją odebrać siłą, Sammy - rzekł Danovic.

Sięgnął nagle za siebie i chwycił z warsztatu młotek. Chryste, myślał Tom, wszędzie pełno Falconettich.

- Tom, proszę cię, proszę - łkała Jean.

- Daję ci pięć sekund na wyjście - zagroził Danovic. Zbliżył się do Toma z

młotkiem wzniesionym na wysokość jego twarzy.

Tom wiedział, że bez względu na to, co się stanie, musi się jakoś uchronić przed uderzeniem w głowę. Jeśli młotek uderzy lub nawet zahaczy bokiem w jego głowę, będzie po wszystkim.

- Okey, okey - powiedział odstępując trochę i unosząc pojednawczo ręce. - Nie szukam bójk. - Potem skoczył ku nogom Danovica, który jednocześnie zamachnął się młotkiem. Wyrzwał bykiem w krocze, jak tylko mógł najmocniej. Młotek uderzył go w ramię i Tom czuł, że ramię drętwieje. Danovic zatoczył się do tyłu, straciwszy równowagę, a wtedy Tom ścisnął mu kolana ramionami i przewrócił.

Danovic musiał uderzyć o coś głową, bo na ułamek sekundy zaprzestał walki. Tom skorzystał z tego i wy dostał głowę spomiędzy jego nóg. Danovic zamachnął się młotkiem i uderzył w łokieć ręki, którą Tom podniósł, żeby się zasłonić, starając się pochwycić rękę z młotkiem, sięgając drugą dłonią do oczu przeciwnika. Nie udało mu się schwycić młotka i poczuł piekący ból w kolanie, gdy młotek znowu opadł. Tym razem złapał rękę z młotkiem. Zignorował ciosy drugiej i mocno wykręcił dłoń Danovica. Młotek poleciał po cementowej podłodze i Tom skoczył po niego zasłaniając się przed przeciwnikiem kolanami. Byli znów obaj na nogach, ale Tom ledwie się mógł ruszać z powodu kolana i musiał wziąć młotek do lewej ręki, bo prawe ramię było drętwe.

Ponad hałasem orkiestry i własnym oddechem słyszał wrzask Jean, ale jakiś słaby, z bardzo daleka.

Danovic wiedział, że Tom jest okaleczony, i spróbował zająć go od tyłu. Zaciskając zęby Tom zmusił się, żeby się odwrócić. Danovic skoczył do niego i Tom uderzył go w rękę powyżej łokcia. Ręka opadła, ale Danovic zamachnął się zdrowym ramieniem. Tom dostrzegł lukę w osłonie i trzasnął go w skroń, nie bezpośrednio, ale wystarczyło. Danovic zachwiał się, padł na plecy. Tom opadł na niego, siadając mu okrakiem na piersi. Uniósł młotek nad głową Danovica. Danovic dyszał ciężko, osłaniając twarz ramieniem. Tom opuścił młotek trzy razy, na bark, przeguby dłoni i łokieć, i było po wszystkim. Obie ręce Danovica leżały nieprzydatne wzdłuż ciała.

Oczy były mętne ze strachu, gdy patrzył w górę, z krwią spływającą ze skroni -

ciemna rzeka w delcie twarzy.

- Błagam cię - krzyknął - nie zabijaj! Błagam! - Głos przeszedł we wrzask.

Tom odpoczywał na piersi Danovica, odzyskując oddech, z młotkiem wciąż wzniesionym w lewej ręce. Jeśli ktokolwiek zasługiwał, aby go zabić, to właśnie ten człowiek. Ale Falconetti również zasługiwał, aby go zabito. Niech zrobi to kto inny. Tom odwrócił młotek i wbił trzonek w rozwarte, dygocące usta Danovica. Czuł, jak łamią się zęby. Nie był już zdolny zabić tego człowieka, ale mógł go okaleczyć.

- Pomóż mi wstać - powiedział do Jean. Siedziała na łóżku trzymając ręce wyciągnięte przed sobą na wysokości piersi. Dyszała głośno, jakby ona też stoczyła walkę. Wstała powoli na chwiejne nogi, podeszła, włożyła mu ręce pod pachy i dźwignęła. Podniósł się i omal nie przewrócił, przestępując przez drgające ciało na ziemi. Kręciło mu się w głowie i komórka zdawała się wirować wokół, ale myślał jasno. Spostrzegł biały, płócienny płaszcz Jean przerzucony przez poręcz jedyne w tym pomieszczeniu krzesła i powiedział: - Włóż płaszcz. - Nie mogliby przejść przez lokal z Jean w tym porwanym swetrze. Może w ogóle nie zdołają przejść.

Musiał obiema rękami wciągać okaleczoną nogę na każdy stopień schodów. Zostawili Danovica na cementowej podłodze, z młotkiem sterczącym ze zranionych ust bulgocących krwią.

Gdy przechodził pod napisem Toiletttes, Telephone nad łukowatym sklepieniem wejścia do korytarza, właśnie zaczynał się nowy występ. Występy trwały non-stop w „La Porte Rose”. Na szczęście było ciemno, poza kręgiem światła punktówki skierowanej na artystę, która ubrana była w czarny strój do konnej jazdy, w meloniku, długich butach i z pejczem. Mocno opierając się na ramieniu Jean, udało się Tomowi nie kuleć zbyt widocznie i byli już prawie za drzwiami, gdy jeden z trzech mężczyzn siedzących u wejścia z dziewczyną zauważył ich. Mężczyzna ten wstał i zawołał:

- Alló! Tious la. Les Americains. Arretez. Pas si vite. * (* Halo! Wy tam, Amerykanie. Zatrzymajcie się. Nie tak szybko. [fr.]

Ale oni byli już za drzwiami i jakoś się posuwali dalej. Właśnie przejeżdżała taksówka, więc Tom ją zatrzymał. Jean zdołała wepchnąć Toma do środka, sama

wtoczyła się za nim i taksówka mknęła już do Antibes, zanim mężczyzna, który ich zaczepił, zdążył wyjść na chodnik, żeby zobaczyć, dokąd pojechali.

W taksówce Tom, wyczerpany, opadł ciężko na oparcie siedzenia.

Jean skuliła się w swoim białym płaszczu w drugim kącie z dala od niego. Sam nie mógł znieść własnego zapachu przemieszanego z odorem ciała Danovica, krwi, wilgotnej piwnicy, więc nie potępił Jean, że trzyma się jak najdalej od niego. Nie wiedział, czy popadł w omdlenie, czy zasnął. Kiedy znów otworzył oczy, jechali już uliczką wiodącą do portu Antibes. Jean płakała niepokohamowanie w swoim kącie taksówki, ale on nie mógł już się o nią troszczyć tej nocy.

Zachichotał, kiedy podjechali do miejsca, gdzie była przycumowana „Klotylda”.

Jego chichot zdumiał Jean. Przestała nagle płakać.

- Z czego się śmiejesz, Tom? - spytała.

- Śmieję się z tego lekarza w Nowym Jorku - odparł. - Kazał mi długo unikać gwałtownych ruchów i większego wysiłku. Chciałbym widzieć jego twarz, gdyby mógł tam być tej nocy.

Zmusił się, aby wyjść z taksówki o własnych siłach, zapłacił za kurs i pokulał po trapie za Jean. Znowu zaczęło mu się kręcić w głowie i omal nie spadł z trapu do wody.

- Pomóc ci dojść do kajuty? - spytała, gdy wreszcie dostał się na pokład.

Machnął ręką.

- Idź do siebie i powiedz mężowi, że już jesteś - rzekł. - I wymyśl mu, jaką chcesz, historyjkę o dzisiejszej nocy.

Pochyliła się i pocałowała go w usta.

- Przysięgam, że do końca życia nie wezmę do ust ani kropli alkoholu.

- W takim razie - powiedział - mieliśmy jednak udany wieczór. - Ale pogłaskał ją po gładkim, dziecięcym policzku, aby ująć tym słowem nieco ironii. Patrzył, jak szła przez salon do kajuty kapitańskiej. Potem mozolnie zszedł na dół i otworzył drzwi swojej kajuty. Kate nie spała i światło było zapalone. Z jej ust wyrwał się cichy, zdławiony okrzyk.

- Szsz - uciszył ją.

- Co się stało? - wyszeptała.

- Coś wspaniałego - odrzekł. - Właśnie uniknąłem zabicia człowieka. Opadł na koję. - A teraz się ubierz i sprowadź lekarza.

Zamknął oczy, ale słyszał, jak z pośpiechem się ubierała. Nim wyszła z kajuty, już spał.

Ocknął się wcześniej, zbudzony sykiem wody, gdy Wesley i Dwyer polewali gumowym wężem pokład. Za późno wczoraj wpłynęli do portu, aby móc to zaraz zrobić. Miał gruby bandaż na kolanie i krzywił się z bólu, ilekroć poruszył prawym barkiem. Ale mogło być gorzej.

Lekarz oświadczył, że nie ma żadnych złamań. Kolano było silnie stłuczone i jakaś chrząstka mogła odprysnąć. Kate była już w kuchni i leżał sam na koi, odczuwając całym ciałem wszystkie te przypadki w życiu, kiedy budził się posiniaczony i obolały. Jego bank pamięci.

Dźwignął się zdrową ręką z koi i stanął na zdrowej nodze przed lustrem. Twarz przedstawiała okropny widok. Nie czuł tego wówczas, ale gdy przewrócił Danovica, uderzył twarzą o szorstką, betonową podłogę i nos miał nabrzmiąły, wargę spuchniętą, a na czole i kościach policzkowych głębokie cięcia. Lekarz przemył je alkoholem i w porównaniu z resztą ciała twarz go nie bolała, mimo to miał nadzieję, że Enid nie ucieknie z wrzaskiem na jego widok.

Był nagi - na piersiach i ramionach miał granatowe siniaki.

Schultz powinien mnie teraz zobaczyć, myślał, wciągając spodnie.

Zajęło mu to pełnych pięć minut i nie mógł sobie wcale poradzić z koszulą. Wziął więc koszulę z sobą i ruszył ciężko, przeważnie skacząc na jednej nodze, do kuchni. Kawa już się gotowała i Kate wyciskała sok z pomarańczy. Gdy lekarz ją zapewnił, że nic poważnego mu się nie stało, zrobiła się spokojna i rzeczowa. Nim zasnął po wyjściu doktora, opowiedział jej wszystko.

- Nie pocałujesz pięknej twarzy pana młodego? - spytał.

Pocałowała go leciutko, uśmiechając się, i pomogła włożyć koszulę.

Nie powiedział jej, jak bardzo go bolało, kiedy poruszał barkiem.

- Czy ktoś już o tym wie? - spytał.

- Nie mówiłam nic Wesleyowi ani Króliczkowi - odparła. - A inni jeszcze nie wstali.

- O ile chodzi o nich, wdałem się w bójkę z pijakiem przed „Le Cameo” - rzekł. -

Niech to będzie pogładowa lekcja dla każdego, kto idzie pić w swoją noc poślubną.

Kate skinęła głową.

- Wesley schodził już w masce pod wodę - powiedziała. - Wyłamało kawał lewej śruby i o ile mógł się zorientować, wał też jest wygięty.

- Będziemy mieli szczęście - rzekł Tom - jeśli wydostaniemy się stąd za tydzień.

Pójdę już na pokład i zacznę kłamać.

Poszedł za Kate niosącą na tacy sok pomarańczowy i kawę na pokład.

Gdy Wesley i Dwyer go zobaczyli, Dwyer zapytał:

- Na miłość boską, coś ty z sobą zrobił? - a Wesley wykrzyknął:

- Tato!

- Opowiem - rzekł Tom - kiedy będziemy wszyscy razem. Nie chcę tego powtarzać każdemu z osobna.

Przyszędł Rudolf z Enid i Tom domyślił się z wyrazu jego twarzy, że Jean prawdopodobnie opowiedziała mu wszystko albo prawie wszystko. Enid zauważyła tylko:

- Wujku Tomie, bardzo śmiesznie dziś wyglądasz.

- Z całą pewnością, kochanie - odparł Tom.

Rudolf powiedział, że Jean boli głowa, więc została w łóżku; on jej zanieś trochę soku pomarańczowego po śniadaniu. Ledwie siedli do stołu, przyszła Gretchen.

- Boże wielki, Tom! - wykrzyknęła. - Co ci się stało?

- Czekałem, kiedy mi ktoś zada to pytanie - odparł Tom. Następnie wyjaśnił, że wdał się w bójkę z pijakiem przed „Le Cameo”. Tylko że ten pijak, powiedział ze śmiechem, nie był tak bardzo pijany jak on.

- Och, Tom - rzekła Gretchen z roztargnieniem - sądziłam, że zaprzestałeś już bójek.

- Ja też tak myślałem - odpowiedział Tom. - Tylko ten pijak nie.

- Byłaś przy tym, Kate? - spytała Gretchen oskarżycielskim tonem.

- Ja spałam - odparła Kate spokojnie. - Wykradł się z kajuty.

Wiesz, jacy są mężczyźni.

- Wstyd - powiedziała Gretchen - żeby dorośli mężczyźni się bili.

- Ja też tak myślę - rzekł Tom. - Zwłaszcza jak dają się stłuc. A teraz zjedzmy śniadanie.

Później tego samego przedpołudnia Tom i Rudolf byli sami na dziobie jachtu. Kate i Gretchen poszły robić zakupy i wzięły z sobą Enid, a Wesley i Dwyer włożyli maski i nurkowali pod rufą, żeby jeszcze raz obejrzeć śruby.

- Jean opowiedziała mi wszystko - rzekł Rudolf. - Nie wiem, jak mam ci dziękować, Tom.

- Zapomnij o tym. To nie było nic nadzwyczajnego. Prawdopodobnie wyglądało dużo gorzej niż w istocie, w oczach tak dobrze wychowanej dziewczyny jak Jean.

- To picie przez cały dzień - mówił Rudolf z goryczą - a potem ostatnia kropla... te drinki, które piłem z Gretchen na pokładzie przed obiadem. To po prostu było ponad jej siły. A alkoholicy potrafią być tacy chytry. Jak zdołała wstać z łóżka, ubrać się i zejść z jachtu tak, żebym się nie zbudził... - Pokręcił głową. - Do tej pory zachowywała się bardzo dobrze, więc pewnie pomyślałem, że nie ma się o co martwić. A jak wypije parę głębszych, staje się nieodpowiedzialna. Zupełnie jak nie ta sama dziewczyna. Nie myślisz chyba, że na trzeźwo podrywa mężczyzn w barach w środku nocy?

- Pewnie, że nie, Rudi.

- Mówiła mi, mówiła - ciągnął Rudolf. - Ten grzeczny z pozoru i wyrażający się wytwornie młody człowiek podszedł do niej i powiedział, że ma samochód i zna w Cannes bardzo miły bar, który jest otwarty do rana, więc czy nie zechciałaby z nim tam pojechać, a on odwiezie ją tu z powrotem, gdy ona tylko zapragnie...

- Grzeczny i wyrażający się wytwornie młody człowiek - powtórzył Tom, myśląc o Danovicu leżącym na podłodze piwnicy z trzonkiem młotka sterczącym spomiędzy wyłamanych zębów. Zachichotał. - Zapewniam cię, że dziś wcale nie wygląda grzecznie ani nie wyraża się wytwornie.

- A potem, gdy przyjechali do baru, który okazał się lokalem striptizowym... Boże, nie mogę sobie nawet wyobrazić Jean w podobnym miejscu... powiedział, że tu jest dla niego zbyt hałaśliwie, ale na dole mieści się mały, przytulny klub... - Rudolf potrząsnął głową z rozpaczą. - No cóż, resztę znasz.

- Proszę cię, Rudi, nie myśl o tym więcej - rzekł Tom.

- Czemu mnie nie zbudziłeś i nie wziąłeś z sobą? - Głos Rudolfa brzmiał szorstko.

- Nie jesteś człowiekiem, który nadaje się do takich spraw, Rudi.

- Jestem jej mężem, na miłość boską.

- To był jeszcze jeden powód, żeby cię nie budzić - odparł Tom.

- On mógł cię zabić.

- Przez krótką chwilę - przyznał Tom - były po temu szanse.

- I ty mogłeś jego zabić.

- To właśnie jedna dobra rzecz, jaką wyniosłem z minionej nocy - odparł Tom. - Stwierdziłem, że nie mógłbym. A teraz chodźmy na rufę i zobaczymy, co robią nurkowie. - Pokuśtykał po pokładzie, pozostawiając za sobą brata razem z jego poczuciem winy i wdzięczności.

Siedział sam na pokładzie, z przyjemnością wdychając łagodne wieczorne powietrze. Kate była na dole, a wszyscy inni pojechali na dwudniową, samochodową wycieczkę do miast górskich i Włoch.

Minęło pięć dni od powrotu „Klotyldy” do portu i wciąż czekali na nową śrubę i wał z Holandii. Rudolf powiedział, że trzeba coś pozwiedzać. Jean była niebezpiecznie cicha od owej nocy pijaństwa i Rudolf robił wszystko, żeby ją rozerwać. Prosił, żeby Tom i Kate jechali z nimi, ale Tom powiedział, że nowożeńcy pragną pozostać sami. Poprosił nawet po cichu Rudolfa, żeby zabrał ze sobą Dwyera.

Dwyer dręczył go bezustannie, by wskazał tego pijaka, który go sprął przed „Le Cameo”, i Tom był pewien, że Dwyer z Wesleyem knują jakiś zwariowany plan zemsty. Również i Jean krążyła wciąż za nim nic nie mówiąc, ale z jakimś szczególnym, przygnębionym wyrazem twarzy. Kłamanie przez całe pięć dni znużyło go nieco i z ulgą

myślał, że będą mieli wreszcie z Kate na krótki czas jacht tylko dla siebie.

W porcie było cicho, a światła na większości jachtów wygaszone.

Ziewnął, przeciągnął się, wstał. Jego ciało już nie było obolałe, a noga, choć wciąż kulała, nie sprawiała wrażenia, jakby była złamana na pół gdzieś w środku. Nie kochali się z żoną od czasu bójki i myślał, że ta noc jest w sam raz, aby to znów zacząć, kiedy zobaczył samochód bez świateł, jadący szybko po kei.

Samochód zatrzymał się. Był to czarny DS 19. Drzwi się otworzyły i wysiadło dwóch mężczyzn, potem jeszcze dwóch. Ostatnim z nich był Danovic z ręką na temblaku.

Gdyby na jachcie nie było Kate, dałby nura do wody i niechby go spróbowali złapać. Ale nie pozostało mu nic innego jak stać i czekać. Na jachtach po obu stronach nie było nikogo. Danovic pozostał na kei, a tamci trzej weszli na pokład.

- Czym mogę panom służyć? - spytał Tom.

I wtedy poczuł uderzenie.

Odzyskał przytomność tylko jeden raz. Wesley i Kate byli przy nim w szpitalu.

- Nigdy więcej... - powiedział i znów popadł w omdlenie.

Rudolf zadzwonił do Nowego Jorku do specjalisty od urazów czaszki i specjalista był właśnie w drodze do Nicei, gdy Tom zmarł.

Czaszka została uszkodzona, wyjaśnił chirurg Rudolfowi, i nastąpił katastrofalny wylew krwi do mózgu.

Rudolf przeniósł Gretchen, Jean i Enid do hotelu. Gretchen miała surowo przykazane, aby nie opuszczała Jean ani na chwilę.

Rudolf opowiedział policji wszystko, co wiedział, i policja rozmawiała z Jean, która po półgodzinnym przesłuchiwaniu dostała ataku hysterii. Powiedziała wszystko o „La Porte Rose” i Danovica aresztowano, ale nie było żadnych świadków pobicia a Danovic miał na tę noc alibi, którego nie dało się podważyć.

Po kremacji Rudolf i Gretchen pojechali taksówką i zabrali metalowe pudełko z prochami swego brata. Następnie udali się do portu Antibes, gdzie już ich oczekiwała

Kate z Wesleyem i Dwyerem.

Jean pozostała z Enid w hotelu. Dla Kate byłoby to nieznośne, myślał Rudolf, gdyby musiała dziś stać u boku Jean. A jeśli Jean się upije, myślał, to wreszcie będzie miała po temu dostateczny powód.

Gretchen знаła już tak samo jak wszyscy prawdziwy przebieg wypadków nocy poślubnej.

- Tom - powiedziała w taksówce przedzierającej się przez świąteczny ruch uliczny - jedyny z nas, który ostatecznie znalazł miejsce w życiu.

- I oddał życie za to z nas, które nie znalazło - rzekł Rudolf.

- Twojej winy w tym tylko tyle - powiedziała Gretchen - że nie obudziłeś się pewnej nocy.

- Tylko tyle - powtórzył Rudolf.

Potem już nie mówili nic póki nie znaleźli się na „Klotyldzie”.

Kate, Wesley i Dwyer w roboczych ubraniach czekali na nich na pokładzie. Dwyer i Wesley mieli czerwone oczy od płaczu, ale twarz Kate, choć pełna powagi, nie zdradzała śladu łez. Rudolf wszedł na pokład niosąc pudełko z prochami, a Gretchen szła za nim. Rudolf postawił pudełko w kabine sterowej, a Dwyer stanął za kołem i włączył jeden silnik. Wesley wciągnął trap na pokład, a potem zeskoczył na brzeg, aby odwiązać dwie cumy rufowe, które Kate zaraz zwinęła. Wesley wskoczył jak kot na rufę i pobiegł na dziób pomóc Kate przy podnoszeniu kotwicy.

Wszystko przebiegało tak zwyczajnie, tak bardzo podobnie, jak za każdym razem kiedy wychodzili z portu, że stojącemu na tylnym pokładzie Rudolfowi zdawało się, iż lada chwila ujrzy brata wyłaniającego się z cienia kabiny sterowniczej, z fajką w zębach.

Nieskazitelny, biało-niebieski stateczek minął z dudnieniem silnika wejście do portu w porannym słońcu i tylko dwie postacie w śmiesznej czerni na odsłoniętym pokładzie sprawiały, że wyglądał nieco inaczej od innych jachtów wypływających w rejs.

Nikt nic nie mówił. Zdecydowali, co zrobią, już wczoraj. Płynęli z godzinę na południe, oddalając się od lądu. Ponieważ byli na jednym silniku, nie popłynęli bardzo daleko i mieli za plecami wyraźną linię brzegów.

Dokładnie po godzinie Dwyer obrócił jacht i wyłączył silnik. W polu widzenia nie było innych jachtów i na morzu panowała cisza, której nie zakłócał najmniejszy nawet plusk fal. Rudolf wszedł do kabiny sterowej, wziął puszkę z prochami i otworzył. Kate wyszła spod pokładu z wielkim naręczem białych i czerwonych gladiolusów.

Stanęli szeregiem na rufie, zwróceniu twarzami ku otwartemu, pustemu morzu. Wesley wziął puszkę z rąk Rudolfa i po chwili wahania, mając już suche oczy, zaczął wysypywać prochy ojca w morze. Zajął to ledwie minutę. Prochy unosiły się na wodzie, leciutki pył na lśniącym błękitnie Morza Śródziemnego.

Ciało ich ojca, myślał Rudolf, także stoczyło się w głębię.

Kate rzuciła kwiaty wolnym, gospodarskim ruchem krągłych, opalonych ramion.

Wesley opuścił puszkę i pokrywkę za burtę, do góry dnem.

Natychmiast zatoneły. Potem Wesley wszedł do kabiny sterowej i włączył silnik. Jacht był zwrócony dziobem do brzegu i Wesley wziął kurs prosto na wejście do portu.

Kate zeszła pod pokład, a Dwyer udał się na dziób, pozostawiając Gretchen i Rudolfa, w barwie żałoby, na tylnym pokładzie.

Stojąc na dziobie, w lekkim powiewie wywołanym ruchem jachtu, Dwyer patrzył, jak linia brzegu, białe wille, stare mury, zielone pinie zbliżają się wolno w jaskrawym blasku porannego słońca.

Pogoda w sam raz dla bogaczy, przypomniał sobie.